

MIĘDZYKRAJOWY BESTSELLER  
PRZEŁAMAŁ MOCYŚĆ SIA 20 JĘZYKÓW

DAMIAN DIBBEN

# STRAŻNICY HISTORII

CHIŃSKI EKSPRES

*Literacki*  
EGMONT

*Mojemu bratu Justinowi*

*oraz wszystkim braciom i siostram  
od Lowrych i Ansteyów  
- ciepłym, dowcipnym i mądrym*

# 1

## Uroczystość

Dzień, w którym na Mont-Saint-Michel zawitała śmierć, zaczął się jako najbardziej radosne święto w dziejach zamku. W to upalne czerwcowe popołudnie miały się odbyć ślub i wesele dwojga agentów Tajnych Służb Straży Historii.

Niebo było bezchmurne, morze gładkie jak szkło, zamek przystrojony girlandami pachnących kwiatów, atmosfera nabrzmiała oczekiwaniem. Na trawniku, z widokiem na ocean, ustawiono w schludnych szeregach krzesła dla gości. Ci zaś – niemal sto osób z różnych zakątków historii, przybyłych tutaj, do 1820 roku – ścigali powoli z zamku, zbierając się w grupki i prowadząc ożywione rozmowy w wielu językach świata.

Miriam DJones gorączkowo przeciskała się przez tłum. Była ubrana w gigantyczną suknię bombkę i niezwykle wysoki kapelusz, misternie skomponowany z egzotycznych owoców i palmowych liści.

– Widziałeś Jake’a? Czy ktoś widział Jake’a?!

Zaczepiani goście kręcili przecząco głowami albo wzruszali ramionami.

– Miał wprowadzać gości. – Miriam westchnęła z irytacją.

– Ktoś hałasuje w sali szermierczej – powiedział głębokim głosem mężczyzna zakuty w zbroję krzyżowca, sącząc koktajl z szampanem. – Może to on.

Miriam uśmiechnęła się sucho, obróciła na pięcie i z rosnącym gniewem ruszyła w stronę przybudówki zamku, gdzie agenci ćwiczyli sztukę walki wręcz i fechtunku. Jeszcze nie dotarła do drzwi, kiedy jej uszu dobiegły grzmiące dźwięki *Lotu Walkirii* Wagnera. To musiał być Jake, nie miała żadnych wątpliwości – od tygodni słuchał w kółko tego płomiennego operowego fragmentu. Miriam poczerwieniała z irytacji i, przytrzymując kapelusz, wbiegła do środka.

Muzyka wdzieriała się do uszu, zagłuszając myśli. Dobywała się ze starego patefonu, podłączonego jednak do wzmacniacza i kolumn głośnikowych (rzecz jasna wynalazki te pochodziły z czasów znacznie późniejszych niż lata dwudzieste dziewiętnastego wieku, ale komendantka, zapalona melomanka, zezwoliła na ich ograniczone wykorzystywanie). W odległym końcu sali piętnastoletni chłopiec, ubrany tylko w bryczesy i luźną koszulę, toczył pojedynek na miecze z mechanicznym szermierzem.

Jego przeciwnik mógł się poszczycić solidnym metalowym korpusem i ośmioma ruchomymi ramionami, które dźgały, siekły i cięły z oszałamiającą szybkością. Chłopiec parował ciosy w tym samym obłąkańczym tempie, tak że mogło się wydawać, jakby sam miał co najmniej osiem rąk. Walkę obserwował pies, masywny mastif, siedząc z boku i podążając wzrokiem za każdym ruchem swojego pana.

– Jake! – zawołała Miriam, usiłując przekrzyczeć nordyckie boginie. Podbiegła do patefonu i zniecierpliwionym ruchem pacnęła igłę, która zsunęła się z płyty z rozdzierającym zgrzytem. Zapadła cisza, jeśli nie liczyć szaleńczego klekotu mechanicznego fechtmistrza. – Jake!

Pies położył uszy po sobie i przypadł pyskiem do ziemi. Chłopiec opuścił broń i odwrócił się.

– Mama? Nie widziałem, jak wchodzisz.

Miriam zmierzyła syna wzrokiem raz, a potem drugi. Jake rósł w takim tempie, że wydawał się starszy za każdym razem, kiedy nań spojrzała. Ledwie trzy miesiące temu skończył

piętnaście lat, a już zdążył urosnąć od tej pory o ładnych kilka cali.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoił się, podczas gdy maszyna za jego plecami niestrudzenie wywijiała mieczami.

– Nie, nie wszystko jest w porządku – odburknęła Miriam. – Twoja ciotka wychodzi za mąż za pięć minut, ty masz być drużbą, a wciąż nie jesteś nawet ubrany. Jake, uważaj! – wrzasnęła na widok klingi mknącej w stronę jego grzbietu.

Jake niedbałym ruchem uchylił się przed pchnięciem.

– Nie cierpię tej maszyny. Na jej widok przechodzą mnie ciarki – wycedziła Miriam, pociągając dźwignię, aby wyłączyć szermierza.

Ramiona robota zwolniły i zatrzymały się jedno po drugim.

– Ślub! Teraz! – Miriam pstryknęła palcami i już jej nie było.

Przebranie dla Jake'a czekało złożone na grzbiecie drewnianego konia. Róża Djones, miłośniczka wszystkiego, co indyjskie, zdecydowała się na zaślubiny w stylu imperium Wielkich Mogołów i drużbowie mieli wystąpić w tradycyjnym indyjskim stroju: długich kaftanach sięgających kolan i jedwabnych turbanach. Jake przebrał się pośpiesznie.

Jego ciotka wychodziła za Jupitusa Cole'a. Wiadomość o ich narzeczeństwie spadła na wszystkich jak grom z jasnego nieba. Jupitus i Róża od dziesięcioleci zdawali się reagować na siebie alergicznie – on szorstki malkontent, ona gorącołowa trzpiotka. Jednak po ich ostatnim wspólnym zadaniu – wyprawie do starożytnego Rzymu, w której brał udział także Jake – sytuacja zmieniła się diametralnie i osobiwa para, ku zaskoczeniu wszystkich, wylądowała na ślubnym kobiercu.

– Chodź, Felson! – Jake klepnął się w udo i pies przyskoczył do niego, ziejąc radośnie.

Zbliżając się do trawnika, Jake potoczył wzrokiem po tłumie gości w ubiorach z rozmaitych czasów i miejsc. Widok tak wielu strażników historii zgromadzonych w jednym miejscu zawsze przeszywał go dreszczem podniecenia, ale nigdy przedtem nie widział zbiorowiska tak licznego i różnorodnego jak to. Do zamku ściągnęli goście z kolonialnej Ameryki, inkaskiego Peru, z Chin, a także z mogolskich Indii (dalecy krewni doktora Chatterju, szefa działu wynalazków). Wzrok Jake'a zatrzymał się na korpulentnej kobiecie w elżbietańskiej sukni, która paląc cheroota, rozmawiała z wysokim muszkietierem. Tuż obok tej pary dwaj młodzi francuscy arystokraci w obficie upudrowanych perukach demonstrowali swoje kieszonkowe zegarki dwóm druhom z Persji.

Od chwili, gdy Jake wstąpił do Straży Historii, minęło już prawie półtora roku. Wtedy to, zupełnie niespodziewanie, dowiedział się, że jego rodzice potajemnie służą w Straży od dziesięcioleci i zaginęli w szesnastowiecznej Wenecji. Dołączył wówczas do wyprawy mającej na celu ich odnalezienie oraz ostateczne powstrzymanie księcia Zeldta, który usiłował doprowadzić do zagłady renesansu.

Oba zadania zostały wypełnione, ale wkrótce pojawiło się kolejne zagrożenie: siostra Zeldta, Agata, zwana najpodlejszą kobietą w historii, uknuła własny diaboliczny spisek. Jake'a wraz z przyjaciółmi wysłano do 27 roku naszej ery – kiedy rzymskie imperium było u szczytu potęgi – aby odnaleźli Agatę i zapobiegli katastrofie. Ostatecznie, w dużej mierze dzięki hartowi ducha i odwadze Jake'a oraz pozostałych młodych agentów, udało się pokrzyżować te plany.

Ale dla Jake'a najbardziej nadzwyczajnym wydarzeniem było odkrycie, że jego brat Filip, który rzekomo zginął w wypadku, kiedy miał piętnaście lat, także był strażnikiem historii. W dodatku istniała szansa – wprawdzie nikła, ale jednak istniała – że Filip wciąż żyje w jakimś punkcie przeszłości.

Jake znał wiele osób na wyspie zwanej Mont-Saint-Michel, ale bliższe koleżeńskie

kontakty utrzymywał z rówieśnikami. Teraz skierował się w stronę trojga z nich – dwóch chłopców i dziewczyny (powinni, tak jak on, odprowadzać gości na ich miejsca, ale byli za bardzo pochłonięci pogawędką).

Jeden z chłopców był wysoki i barczysty, twarz zdobił mu ujmujący uśmiech. Swój mogolski strój uzupełnił ogromnym, zakrzywionym bułatem zawieszonym u pasa oraz spinką z wielkim rubinem błyszczącym z przodu turbanu. Drugi był niższy, wyglądał – trzeba to przyznać – ciut inteligentniej, a na ramieniu siedziała mu jaskrawo ubarwiona papuga o imieniu Pan Drake. Dziewczyna, ubrana identycznie jak chłopcy, zachwycała długimi, złotymi lokami i oczami w kolorze indygo, w których kryło się tyleż tajemniczości co serdecznego ciepła.

Byli to najlepsi przyjaciele Jake'a – najlepsi, jakich miał kiedykolwiek w życiu – Nathan Wylder, Charlie Chieverley i Topaz St Honoré.

– Chciałbym się jedynie upewnić – mówił Nathan z charakterystycznym dla siebie charlestońskim akcentem – czy w tych okularach faktycznie wyglądam na inteligenta, czy... po prostu na ślepcę?

Dla pewności, że Charlie i Topaz udzielą mu właściwej odpowiedzi, rzucił im zza szkieł ogniste spojrzenie.

– Skłaniałbym się ku wadzie wzroku – orzekł Charlie po chwili namysłu.

– Co najmniej zez. – Topaz pokiwała głową.

– Oboje jesteście do niczego – fuknął Nathan. – Jake, co powiesz o moim nowym wcieleniu? Lepiej w szklach czy bez szkieł? – Zademonstrował obie wersje, zdejmując okulary, a potem zakładając znowu, ale tym razem zsunął oprawki do połowy nosa jak profesor.

– Masz wadę wzroku? – zdumiał się Jake.

– Oczywiście, że nie! Wzrok mam sokoli. W pogodną noc widzę drugi brzeg kanału La Manche, o pierścieniach Saturna nie wspominając. Nie potrzebuję okularów, co to to nie. Pytam tylko, czy dodają mi... *je ne sais quoi*?

Podczas gdy Jake zastanawiał się nad pytaniem, Charlie uśmiechnął się szelmowsko.

– Pyta, bo próbuje zrobić wrażenie na jakiejś tajemniczej dziewoi z miasteczka – powiedział zaczepnie.

– Nie inaczej – przytaknęła Topaz. – Po tylu latach łamania serc wygląda na to, że ktoś w końcu odplacił mu pięknym za nadobne.

Twarz Nathana przybrała barwę rubinu na jego turbanie.

– To są bezpodstawne i oburzające insynuacje – zaprotestował gwałtownie. – Nie mam pojęcia, co dziś w was wszystkich wstąpiło. Cały ten ślub najwyraźniej uderzył wam do głowy.

Chciał się demonstracyjnie odwrócić, ale rękojeść bułata zaplątała mu się w poły kaftana. Podczas gdy się z nią szarpał, rubinowa spinka spadła z turbanu, którego zwoje opadły mu na ramiona. Nathan chrząknął gniewnie, porwał spinkę z trawy i zniknął w tłumie.

Jake nie oparł się pokusie.

– Zdecydowanie uważam, że w okularach wyglądasz inteligentniej – rzucił za odchodzącym przyjacielem.

–I nie możemy się już doczekać, kiedy ją poznamy – dodała Topaz.

Troje agentów parsknęło śmiechem.

– Nie ma nic bardziej satysfakcjonującego na całym bożym świecie niż nabijanie się z Nathana, kiedy zaczyna traktować coś poważnie – powiedziała Topaz.

Ona i Nathan wychowywali się na wyspie razem, pod opieką jego rodziców, Trumana i Betty Wylderów, dlatego знаła go tak dobrze, jak tylko siostra może znać brata.

Przyjaciele już mieli wrócić do swoich ślubnych obowiązków, kiedy tuż za nimi odezwał się głos.

– Czy ktoś z was, dzieciaki, mógłby wyświadczyć mi przysługę?

Głos należał do Galliany Goethe, komendantki Tajnych Służb Straży Historii, kobiety dystygowanej, wysokiej, smukłej, z długimi srebrnymi włosami związanymi ciasno z tyłu głowy. Towarzyszyła jej madame Tieng, szefowa biura Tajnych Służb w Chinach. Tieng wraz garstką innych azjatyckich agentów mieszkała na Mont-Saint-Michel już od ponad roku, schroniwszy się tu po tym, jak siedziba chińskiego biura została splądrowana.

– Moja córka znowu gdzieś zniknęła – westchnęła madame Tieng.

W barwnych jedwabnych szatach, trzepocząc wachlarzem przed białą twarzą, wyglądała jak rajski ptak.

–Uroczystość zacznie się niebawem. – Galliana uśmiechnęła się. – Czy ktoś z was mógłby jej szybko poszukać?

– Niech idzie Jake albo Charlie – powiedziała szybko Topaz. – Jeśli to ja poproszę pannę Yuting o cokolwiek, zrobi coś dokładnie przeciwnego.

– Ja nie mogę – sprzeciwił się Charlie. – Właśnie wnoszą tort i muszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Rzeczywiście, zebrani goście, wśród westchnień zachwytu, rozstępowali się przed dwoma mężczyznami niosącymi olbrzymi, lukrowany wypiek: jadalną makietę Mont-Saint-Michel zwieńczoną figurkami przedstawiającymi młodą parę.

– A zatem, Jake, byłbyś tak łaskaw? – Galliana uniosła brwi pytająco.

Jake zarumienił się równie mocno jak wcześniej Nathan.

– Oczywiście... Już idę – wyjąkał, odwrócił się i oddalił z Felsonem u boku.

Przemierzał wnętrze fortecy w poszukiwaniu córki madame Tieng, czując nerwowy skurcz w żołądku. Choć panna Yuting mieszkała z nimi od dawna, Jake wciąż nie był pewien, jak powinien ją traktować. Czuł się przy niej nieswojo.

Na tej wyspie pełnej ekscentryków panna Yuting była jedną z najosobliwszych postaci ze wszystkich: zawzięta, lekkomyślna, niewiarygodnie piękna. Była niemal w wieku Jake'a (oboje świętowali piętnaste urodziny w tym samym tygodniu), ale jej drobna postać wydawała się emanować dekadami życiowego doświadczenia. Wyrastając dumą ponad swój stan, wymagała od wszystkich, aby zwracali się do niej, używając oficjalnego nazwiska – panna Yuting. Całkiem niedawno udzieliła Jake'owi zgody na używanie jej przydomka – Yoyo. Jake był pierwszym jej kolegą, którego obdarzyła tym przywilejem.

Wszzechstronność talentów Yoyo dorównywała jej urodzie. Jak każdy strażnik historii świetnie walczyła, władając biegle licznymi typami broni, ale oprócz tego dała się poznać jako znakomita matematyczka i wybitna kryptolog, mówiła tyloma językami, co Charlie, rysowała jak sam Michał Anioł i grała na tuzinie instrumentów muzycznych, w tym na harfie i szkockich dudach. Była świetna we wszystkim z wyjątkiem jednego: zdobywania przyjaźni.

W ciągu dwóch minut od swojego przybycia zdążyła obrazić Topaz, która przyszła do jej pokoju, aby ją powitać. Yoyo wręczyła jej swój płaszcz i kazała przygotować kąpiel, zakładając, że rozmawia z pokojówką. Innych nie potraktowała lepiej – wykpiła gust odzieżowy Nathana i podała w wątpliwość umiejętności kucharskie Charliego. Jake był jedyną osobą, której okazała jakąkolwiek serdeczność, ale nie miał pojęcia dlaczego.

Przeszukawszy cały budynek, ostatecznie odnalazł zgubę na dachu. Na szczycie wieży dostrzegł znajomą sylwetkę przez okno.

– Panno Yuting! – zawołał.

Drobna postać zafalowała w bijącym od dachu żarze, po czym dziewczęcy głos odpowiedział:

– Nie kazałam ci mówić do mnie Yoyo?

– Siad, zaczekaj tu! Dobry piesek – powiedział Jake do Felsona i wyszedł przez okno na dach.

Przypomniał sobie, że ma na głowie turban, zdjął go i upchnął w kieszeni. Potem szybko zmierzył sobie włosy, wyprostował ramiona i ruszył w stronę dziewczyny. Musiał uważać, dach był stromy, a niektóre dachówki obluźowane. Z dołu dobiegał odległy gwar głosów, goście zajmowali już swoje miejsca.

– Ślub chyba zaraz się zacznie – zagadnął Jake, kiedy podszedł bliżej.

Yoyo stała odwrócona do niego plecami, zajęta zapinaniem uprzęży na swoim torsie. Kilka linek łączyło uprzęż z wielką bambusową ramą w kształcie spłaszczonego ostrosłupa, podtrzymującą podobny do namiotu baldachim. Był to co najmniej niepokojący widok.

– Co robisz?

– Chcę wypróbować mój spadochron – odpowiedziała Yoyo, nie odwracając głowy. – Zbudowałam go dokładnie według planów Leonarda da Vinci.

Tak jak jej matka, Yoyo mówiła po angielsku z niemal doskonałym arystokratycznym akcentem.

– Konstrukcja z powodzeniem przeszła chrzest bojowy w tysiąc czterysta osiemdziesiątym piątym, więc nie ma się czego obawiać. Skoczę z tego kroksztynu. – Wskazała na grubą metalową belkę, sterczącą ze ściany budynku.

– Serio? Czy to na pewno dobry pomysł? – wypalił Jake, ale zaraz nieco złagodził ton. – To znaczy, wygląda to trochę... niebezpiecznie.

Ujął to dość delikatnie: Yoyo właśnie zamierzała skoczyć z wysokości sześćdziesięciu metrów, powierzając swoje życie filigranowej konstrukcji z drewna i brezentu.

Dziewczyna obejrzała się na niego i uśmiechnęła.

– Gdyby to nie było niebezpieczne, nie byłoby warte zachodu.

Jej twarz wyglądała przepięknie: nieskazitelna, alabastrowa skóra, oczy jak szmaragdy i karminowe usta. Dziewczyna ubrana była jak księżniczka z baśni w sukienkę z koralowego jedwabiu, przepasaną w talii, z mieczem i sztyletem wiszącymi u bioder.

– Trzymaj kciuki – powiedziała, podnosząc płócienną piramidę, i weszła na wąską belkę.

Jake spojrział w dół i znów poczuł ucisk w żołądku. Ogarnęło go mdlące przecucie, że święto nagle przemieni się w tragedię – konstrukcja zawiedzie, a Yoyo runie ku śmierci w obecności setki gości.

– Panno Yuting, naprawdę nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – powiedział z naciskiem.

Yoyo uniosła namiot nad głową.

– Jeśli nie zaczniesz mówić do mnie Yoyo, to się pogniewam – powiedziała i skoczyła w przepaść. – Zwycięstwo! – krzyknęła, kiedy spadochron wypełnił się powietrzem.

Z dołu dały się słyszeć okrzyki i Jake ujrzał grupę gości zrywających się z miejsc i pokazujących palcami na niebo. Westchnął z ulgą, uświadomiwszy sobie, że konstrukcja Yoyo mimo wszystko działa. Wir ciepłego powietrza odepchnął ją od zamku, potem przyciągnął z powrotem. Po kilku sekundach wylądowała miękko tuż obok ślubnego zgromadzenia. Przebiegła kilka kroków, wyhamowując pęd, a potem wyswobodziła się z uprzęży, wygładziła sukienkę i zajęła swoje miejsce, jak gdyby metoda jej przybycia nie była w najmniejszym stopniu niezwykła.

Jake ujrzał, jak jego mama z niedowierzaniem kręci głową, a potem podnosi na niego wzrok i rozkłada ręce. Natychmiast zawrócił do wieży i co tchu pognął na dół, potykając się o Felsona, który plątał mu się pod nogami. Pobiegli skrótem przez salę reprezentacyjną, korytarzem obok sali łączności, wreszcie schodami w dół do zbrojowni.

Kiedy wypadli za drzwi, Jake spostrzegł zwierzę siedzące na środku sali, jakby właśnie na niego czekało. Była to Józefina, lwica Oceany Noire.

Jake nie lubił jej, właściwie nikt jej nie lubił z wyjątkiem właścicielki. Już jako młode kocię Józefina wykazywała się przebiegłością i wyrachowaniem. Teraz była jeszcze gorsza – nieprzewidywalna i złośliwa – każdego uważała za wroga. Charlie, wielki miłośnik zwierząt, próbował zaskarbić sobie jej względy, gotując dla niej specjalne posiłki i wyprowadzając na spacer. Odwdzieczyła mu się, gryząc go w rękę. Od tamtej pory komendantka Goethe nalegała, aby zwierzę było trzymane w apartamencie Oceany, a na spacer chodziło na smyczy. Jake widział lwicę po raz pierwszy od tygodni i wyglądała groźniej niż kiedykolwiek.

– Gdzie twoja pani? – spytał. – Jest w domu?

Oceana od tygodni tkwiła w swoim apartamencie, starannie unikając wszystkiego, co miało jakkolwiek związek ze ślubem. Dotychczas nie wybaczyła Jupitusowi tego, że ją zdradził, zbliżając się do jej rywalki, Róży.

Jake zaczął ostrożnie przysuwać się do Józefiny, zastanawiając się, czy bestia pozwoli zagonić się do apartamentu swojej właścicielki. Zatrzymał się nagle, kiedy wydała z siebie basowy warkot, podnosząc się i świdrując go spojrzeniem bursztynowych oczu.

Jake przełknął ślinę. Zerknął nerwowo na kolekcję broni na ścianie, obmyślając sposób obrony, na wypadek gdyby zwierzę postanowiło zaatakować. Ale Józefina tylko potrząsnęła uszami, odwróciła się i poczłapała przez salę. Od progu rzuciła mu jeszcze ostatnie złe spojrzenie, po czym pchnęła drzwi nosem i wyszła na zewnątrz.

Jake zaczerpnął tchu, a potem pośpiesznie ruszył za lwicą. Drzwi wyprowadziły go na szczyt głównych schodów. Józefiny nie było w zasięgu wzroku.

– Gdzie ona się podziała? – zapytał Felsona.

Pies wyglądał na równie zdumionego i przestraszonego jak jego pan. Nie zwlekając, pobiegli w dół, odprowadzani nieruchomymi spojrzeniami słynnych strażników historii, których portrety zdobiły mury zamku. Niepokój przyprawił Jake'a o mdłości – Józefina nie powinna wążać się samopas po wyspie, podczas gdy przebywało na niej tylu gości! Musiał kogoś powiadomić. Wybiegłszy z bramy, puścił się pędem w stronę trawnika, ale zanim tam dotarł, zgromadzeni wstali, a orkiestra huknęła pierwszymi akordami marsza weselnego w stylu mogolskim.

– Gdzieś ty był, do licha?! I co robiłeś na dachu? – zasyczała Miriam, kipiąc gniewem, kiedy Jake usiadł obok niej w pierwszym rzędzie.

– Kazano mi znaleźć Yoyo... znaczy pannę Yuting – odburknął i wzruszył ramionami. – Skąd miałem wiedzieć, że zamierza rzucić się z dachu? – Był świadomy, że ton jego głosu jest opryskliwy; ostatnio często taki bywał, kiedy Jake rozmawiał z mamą. – Mamo, posłuchaj. Chodzi o Józefinę. Ona...

– Ubierz no się porządnie – wymamrotała Miriam, wyciągając mu z kieszeni pognieciony zawój. Nie chciała słyszeć nic więcej. Zerknęła przez ramię na Yoyo i dodała: – Ta dziewczucha ma źle w głowie.

Zrezygnowany Jake pozwolił mamie uzupełnić braki swojej garderoby, mając nadzieję, że Józefina wróciła do apartamentu Oceany. Nie mógł jednak powstrzymać się od rzucania nerwowych spojrzeń wokół trawnika.

Nagle gwar rozmów zagłuszyły spontaniczne oklaski wywołane pojawieniem się Róży Djones w lektyce niesionej triumfalnie przez czterech mężczyzn – w tym Alana, ojca Jake'a – ubranych w stylu mogolskim. Róża – która dzięki przybraniu głowy i niezliczonym warstwom jedwabiu w odcieniu karmazynowym wyglądała jak indyjska księżniczka – wspierała się na stercie aksamitnych poduszek, otoczona girlandami kwiatów. Efekt psuła jedynie jej nieodłączna



wzorzysta torba, którą przyciskała łokciem do boku.

– Nie sądzisz, że całkiem mi odbiło? – zawołała do Miriam, kiedy znalazła się tuż przy niej. – Wychodzę za faceta, który składa skarpetki, zanim pójdzie do łóżka.

Miriam zachichotała. Zapomniała już o drobnej utarczce z Jakiem i radośnie uściśniła mu dłoń.

Tragarze ostrożnie postawili lektykę na ziemi i Alan odprowadził siostrę do ołtarza, gdzie czekał Jupitus Cole z twarzą rozciągniętą w wymuszonym uśmiechu. Wyglądał, jakby wciąż się zastanawiał, czy mimo wszystko nie dać drapak. Rozpoczęła się ceremonia – ślub Rozalindy Aurory Djoness z Jupitusem Tarquinem St-Johnem Seneką Cole'em.

Wszystko szło dobrze do momentu wymiany obrączek. Wtedy to kątem oka Jake spostrzegł, że Felson nagle usiadł, zastrzygł uszami, a potem utkwiał wzrok w stole biesiadnym i cicho zawarczał. Stół był przykryty białym obrusem, którego brzegi zwisały do samej ziemi. Jake ujrzał, że materiał zafalował, jakby coś się pod nim poruszyło, po czym w połowie długości stołu spod obrusa wychynęła Józefina. Ponieważ oczy wszystkich gości były zwrócone na młodą parę, Iwicę widział tylko Jake. Ta znieruchomiała na chwilę i spojrzała na niego złowrogo, tak jak wcześniej w zbrojowni.

Nagle mała dziewczynka – jedna z bratanic doktora Chatterju – spostrzegła bestię i wrzasnęła ze strachu. Głos miała tak przenikliwy, że wszyscy jednocześnie odwrócili się w jej stronę. W jednej chwili podniosła się paniczna wrzawa.

Oszołomiona Józefina na chwilę przypadła do ziemi, a potem skoczyła naprzód w stronę oblubieńców. Z kilkudziesięciu piersi wyrwał się jęk grozy, kiedy zwierzę wybiło się i poszybowało w stronę Róży. Dwie złote obrączki – jedna już w drodze na palec Róży – wystrzeliły w powietrze. Józefina kłapnęła paszczą, zaciskając zęby na fałdach jedwabiu i zaczęła tarmosić Różę niczym szmacianą lalkę.

## 2

# Masakra w środku lata

Róża szarpnęła się w tył, by dygocąc ze strachu, wpaść prosto w ramiona Jupitusa. Lwica wypluła strzęp jedwabiu, który pozostał jej w pysku, a widząc nacierający tłum ludzi, obróciła się w miejscu i strzelając spod łap kępami trawy, skoczyła w stronę stołu. Zderzyła się z nim, jednocześnie strącając na ziemię słodką makietę Mont-Saint-Michel.

– Nic ci nie jest? Nic ci się nie stało? – dopytywał się Jupitus drżącym głosem.

Róża spojrzała po sobie. Suknię miała w strzępach, podrapane ramiona lekko krwawiły, ale nie odniosła poważniejszych obrażeń.

– Ten potwór nikogo już nie skrzywdzi! Broń! – krzyknął Jupitus. – Czy ktoś tutaj ma broń?!

Ruszył w stronę zamku, pozostawiając Różę w rękach Alana i Miriam.

Nathan dobył już bułata, a Yoyo trzymała w gotowości miecz i sztylet. Topaz, nie mając własnej broni, porwała ze stołu świecznik. Ruszyli w stronę zwierzęcia, szukając najlepszej pozycji do ataku. Józefina – już nie słodkie kociątko, ale dzika, wściekła bestia – biła w tort swoimi masywnymi łapami, miażdżąc podobizny państwa młodych. Nathan natarł pierwszy, ale wymknęła mu się, skoczyła i wylądowała na stole, który skrzypnął, uginając się pod jej ciężarem. Lwica sunęła rozpędem wzdłuż blatu, strącając zeń podzwaniającą lawinę sztućców, naczyń i potraw. Natrafiwszy na ogromną sztukę mięsa, bez namysłu złapała ją w zęby. Tymczasem Nathan znów ruszył naprzód, unosząc miecz, gotów zadać śmiertelny cios.

Ale Józefina była przebiegła. Widząc, co się święci, porzuciła mięso i lekko zeskoczyła na ziemię, by oddalić się truchtem wzdłuż muru twierdzy.

– Gdzie jest ta kobieta?! – ryknął rozjuszony Jupitus, powracając ze zbrojowni z dwoma pistoletami w dłoniach. – Oceana Noire! – zawołał.

Jake jeszcze nigdy nie widział go tak czerwonego na twarzy.

– Czy mogę? – Nathan wyjął mu z ręki jeden z pistoletów i pobiegł w ślad za Lwicą.

Jupitus, Topaz i Yoyo ruszyli za nim.

– Hej, zaczekajcie na mnie – zawołał Charlie, biegnąc za nimi z Panem Drakiem podskakującym mu na ramieniu. – Można ją powstrzymać bez rozlewu krwi, wiecie? – Nie znosił, kiedy zadawano cierpienia zwierzętom.

– Ja też idę – oznajmił Jake, dobywając miecza.

– Jest ich tam już wystarczająco dużo, kochanie – powiedziała Miriam, zastępując mu drogę. – Lepiej zostawić to któremuś z zawodowców.

– Ja też jestem którymś z zawodowców, nie sądzisz? – warknął, przepychając się obok niej.

Dogonił pozostałych na ścieżce okalającej zamek. Okrążyli wybrzuszenie baszty i pobiegli dalej, w stronę oceanu. Ścieżka zwężała się, klucząc między przyporami muru z jednej strony a skalistym brzegiem z drugiej. Musieli iść gęsiego, zdając sobie sprawę, że bestia może wyskoczyć na nich w każdej chwili. Przynajmniej nie mieli wątpliwości, że idą we właściwą stronę – Józefina pozostawiła za sobą ledwie widoczne ślady cukru pudru.

Po pewnym czasie ścieżka doprowadziła ich do niskiej furtki wprawionej w pionowe urwisko muru obronnego. Było to tylne wejście do podziemnej przystani, gdzie cumowała większość floty Straży Historii. Drzwi były otwarte i zwisały krzywo na zawiasach, najwyraźniej

sforsowane przez Józefinę siłą. Nathan prześliznął się na drugą stronę z odbezpieczonym pistoletem. Nie dostrzegając bezpośredniego zagrożenia, skinął na pozostałych, by poszli za nim.

Pomimo powagi sytuacji Jake czuł przyjemny dreszcz podniecenia – jak zawsze, kiedy miał okazję przebywać w tym niezwykłym miejscu. Była to rozległa wapienna jaskinia ukryta w samym sercu Mont-Saint-Michel. Przy kei, ciągnącej się łukiem wzdłuż ściany, na czarnej tafli wody unosiły się rozmaitej wielkości statki o nagich masztach i sklarowanych żaglach, kołysząc się sennie.

Nathan ostrożnie przekradł się wzdłuż kei i wspiał po schodkach do kolejnych drzwi. Te okazały się zamknięte na klucz.

– To jedyne wyjście – powiedział cicho do pozostałych. – To znaczy, że ona gdzieś tu jest.

Sześcioro agentów rozejrzało się po pokładach przycumowanych statków. Były puste, bez żadnych śladów obecności zwierzęcia.

– Przeszukujemy wszystkie po kolei – zarządził Nathan.

– Proponuję użyć tego do jej obezwładnienia – powiedział Charlie, unosząc przed sobą kłęb rybackiej sieci. – Ma wszelkie prawo do sprawiedliwego sądu.

– Bez obrazy, Charlie, nikt bardziej niż ja nie docenia twojej wrażliwości – powiedział Nathan, przeciągając słowa jak rasowy amerykański południowiec – ale ten potwór dopiero co próbował wszamać pannę młodą, że nie wspomnę o nieszczęsnym torcie. Użyj sieci, jeśli tak każe ci sumienie, ale ja wolę zaufać temu. – Uniósł pistolet, po czym rozpoczął poszukiwania, wskazując na pokład normañskiego langskipa, zacumowanego na końcu kei.

Jupitus, Topaz i Yoyo już mieli pójść w jego ślady, kiedy zatrzymał ich głuchy stuk, jaki rozległ się w ładowni „Company”, genueńskiej galery kupieckiej, stojącej tuż za langskipem.

Wszyscy zastęgli w bezruchu.

Jupitus odwiódł kurek pistoletu. Yoyo rzuciła mu porozumiewawcze spojrzenie i ostrożnie ruszyła po poskrzypującym trapie, ściskając w dłoni miecz. Tymczasem Nathan zwinnie przeskoczył na „Campanę” prosto z pokładu sąsiedniej jednostki. Zdenerwowany Pan Drake wbił szpony w ramię Charliego. Podkradłszy się do luku, Nathan i Yoyo złapali pokrywę i odrzucili ją, gotowi do ataku. Spojrzeli do wnętrza ładowni i miny im zrzedły.

– Szczury. – Nathan westchnął rozczarowany. – Najwyraźniej urządziły tu sobie imprezkę. Strasznie hałaśliwe te małe łobuzy, co?

Jake uśmiechnął się, ale w następnej chwili zamarł, słysząc tuż za sobą obcy dźwięk. Dobiegał od strony następnego statku, „Hippokampa”. Odwrócił się powoli i ujrzał lwicę, przyczajoną na szczycie schodów wiodących do kabiny. Napotkawszy jego wzrok, uniosła wargi, odsłaniając siekacze, ale poza tym była nieruchoma jak posąg.

Jake spróbował przyjaznego skinienia głową. Równie dobrze mógłby na nią splunąć, ponieważ w tej samej chwili odepchnęła się potężnie od schodów i pofrunęła z pokładu prosto na niego.

Wykazując się błyskawicznym refleksem, Charlie cisnął w górę swoją sieć, przechwytyjąc bestię i nieznacznie ją spowalniając. Mimo to spadła na Jake'a z ogromnym impetem, powalając go i wytrącając mu miecz z ręki. Masywne cielsko wylądowało mu na piersi, wyciskając powietrze z płuc.

Wściekle przebierając łapami, lwica usiłowała wyplątać się z sieci. Jake poczuł jej gorący oddech na twarzy i zamachnął się pięścią, celując w miękki nos. Usłyszał chrupnięcie kości, a kiedy oszołomiona Józefina zarzuciła głową w tył, serią panicznych kopniaków spróbował uwolnić się spod jej ciężaru.

Józefina rozwarła paszczę i już miała zaatakować, kiedy rozległ się huk wystrzału, a po

chwili jeszcze jeden. Drugi pocisk drasnął grzbiet lwicy, co tylko jeszcze bardziej ją rozwścieczyło. Bestia przysiadła na tylnych łapach i wydała z siebie grzmiący ryk. W tej samej chwili spadł na nią Pan Drake, który zaatakował z lotu nurkowego, z rozczapierzonymi szponami. W zamieszaniu on także zaplątał się w sieć i zwierzęta zaczęły się szamotać, czyniąc okropny hałas. Charlie krzyknął, a za nim rozległy się przerażone wołania pozostałych.

Nagle Jake poczuł, że duszący go ciężar zelżał. Natychmiast odtoczył się na bok i poderwał na nogi. Zobaczył, że lwica biegnie po schodach do wyjścia, wlokąc za sobą sieć z nieszczęsną papugą – widoczną jako barwna plama – wciąż wplątana w jej sznury.

– Panie Drake! – zawołał żałośnie Charlie, kiedy zwierzę staranowało drzwi, rozwalając je w drzazgi. Wyrwał Nathanowi pistolet i pognął za bestią.

Wbiegłszy do zamku, spojrzął w górę wielkich schodów, gdzie trzymały wartę portrety dawnych strażników historii. Niczego nie zobaczył, ale doszły go ptasie skrzeki, odbijające się echem w sklepionym pomieszczeniu. Puścił się biegiem w górę. Daleko przed nim Pan Drake, który zdołał nareszcie wyplątać się z sieci, usiłował pofrunąć w jego stronę. Jednak złamane skrzydło odmówiło posłuszeństwa i papuga spadła na posadzkę. Józefina odwróciła łeb i kłapnęła paszczą. Ptak użył resztek energii, by z trzepotem uskoczyć jej spod łap, po czym potoczył się w dół, odbijając od kolejnych stopni.

Charlie stanął przed lwicą, kipiąc z wściekłości. Wymierzył w nią pistolet i zamarł z palcem na spuście. Czy potrafi z zimną krwią zabić zwierzę?

Chwila wahania miała opłakany skutek. Józefina ryknęła i skoczyła naprzód, wytrącając mu broń. Z rozszerzonymi ze zdumienia oczami Charlie zachwiał się, stracił równowagę i runął w tył, uderzając ramieniem w jeden z olejnych portretów. Sejanus Poppoloe, założyciel Tajnych Służb Straży Historii, został rozdarty na pół, zaś Józefina, już niekrępowana przez sieć, przypadła do Charliego, zatapiając kły w jego kostce. Jake usłyszał trzask łamanej kości, kiedy niedbałym ruchem głowy przyciągnęła ofiarę bliżej, aby rozpocząć ucztę.

Jake rzucił się naprzód, porwał ze schodów pistolet i wycelował. Jednak zanim nacisnął spust, usłyszał huk wystrzału, a głowę otoczył mu obłok gryzącego dymu. Zaskoczona Józefina zastygła w bezruchu, po czym z czarnego otworu w jej piersi pociekła krew – najpierw cienką strużką, by po chwili bluznąć obfitym strumieniem. Czerwona kaskada popłynęła po stopniach. Lwica potoczyła wokół gasnącym wzrokiem, potem łapy poddały się i cielsko osunęło się ciężko na posadzkę. Jake spojrzął jej w oczy, które zaszły mgłą. Powieki drgnęły po raz ostatni i zwierzę zastygło w bezruchu.

Józefina nie żyła. W dniu radosnego święta na Mont-Saint-Michel zagościła śmierć.

Jake obejrzał się za siebie i ujrzał Oceanę Noire wchodzącą po schodach. Przed sobą niosła strzelbę, z której dopiero co zastrzeliła Józefinę, swoją ukochaną lwicę. Z twarzą bez wyrazu przyklękała przy martwym ciele i uniosła bezwładną łapę. Dopiero po chwili Oceana zamknęła oczy i wydała z siebie jęk rozpacz, początkowo cichy, potem coraz głośniejszy.

Jake podszedł do pobladłego Charliego.

– Pan Drake... Czy on...? – wyjąkał Charlie.

Jake odszukał wzrokiem barwny kłębek pierza. Nad papugą pochylała się Topaz. Pan Drake poruszał się, ale nie wyglądał dobrze.

Jake odwrócił się do tłumu gości zgromadzonych u stóp schodów. Na przedzie stała Róża w poszarpanej sukni ślubnej.

Oceana podniosła się i niczym zombie ruszyła w dół schodów. Jake jeszcze nigdy nie widział jej w tak okropnym stanie. Idąc, zarzuciła starą chustę na kościste ramiona. U stóp schodów przystanęła, wyciągnęła dłoń i pogładziła Różę po policzku, znacząc go świeżą krwią. Usta jej drżały, kiedy wyszeptała z goryczą:

– Zadowolona?

# 3

## Potwór z głębin

Po drugiej stronie świata, w odległej epoce historycznej, samotny statek przemierzał nocą Morze Południowocchińskie. Była to dżonka kupiecka, w 1612 roku jedna z największych jednostek pływających na świecie. Statek miał sześćdziesiąt metrów długości i pięć masztów wspierających trójkątne żagle, których wygląd przywołał na myśl pletwy. Wyruszył z Kantonu dwa dni wcześniej i zmierzał do portów w Persji i Arabii.

W oświetlonej świecami kajucie na rufie trzech dostojnie wyglądający kupcy – właściciele jednostki – popijali herbatę, studiując mapy i planując podróż.

Pod nimi, w podzielonej na liczne przedziały ładowni, spoczywał niezwykle cenny ładunek: szkatuły z jadeitem, czarnym bursztynem i lazurytem, porcelana i heban, bele przedniego jedwabiu, skrzynie z herbatą, imbirem, cynamonem i ziarnami pieprzu. Wąski korytarz pomiędzy przedziałami był nieustannie patrolowany przez strażników.

Tymczasem na pokładzie bosonodzy marynarze uwijali się wśród takielunku, z czołami zroszonymi potem. Noc była parna, gorąca. Ci, którzy mieli wolne, tłoczyli się w grupkach, siedząc po turecku i zabijając czas grą w kości. Wartownicy w napierśnikach i szpiczastych szyszakach wodzili wzrokiem po ciemnym morzu, wypatrując niebezpieczeństw, zwłaszcza piratów.

Było cicho i spokojnie.

Nagle kadłubem targnął potężny wstrząs.

W kajucie kupców świece powypadały z uchwytów, a herbata z przewróconej filiżanki spłynęła na mapę Oceanu Indyjskiego. Na górze marynarze zeszywnieli w bezruchu, niektórzy w połowie want, popatrując po sobie z niepokojem. Wartownicy wychylali się za burtę i przyświecając sobie latarniami, szukali przeszkody, z którą zderzył się statek. Jednak dżonka cięła już wodę zupełnie normalnie, nabierając wiatru w żagle.

W ładowni jeden ze strażników ruszył wzdłuż korytarza, by sprawdzić źródło osobliwego dźwięku – z drugiej strony kadłuba dobiegał głuchy, uporczywy stukot. Strażnik pochylił się i przyłożył ucho do belek. Wtem rozległ się huk, drewno eksplodowało i do wnętrza statku, mijając żołnierza o włos, wdarła się metalowa macka, zakończona ostrym szpikulcem, gruba jak ludzka noga. Chlusnęła woda, a macka – równie szybko, jak się pojawiła – wycofała się przez wybitą dziurę.

Trzej kupcy wypadli na korytarz ładowni, tocząc wokół siebie przerażonym wzrokiem. Statek zadygotał, spod kadłuba dobył się głęboki zgrzyt i nagle, tuż przed nimi, drugie stalowe ramię przebiło się przez poszycie, rozbijając jedną z grodzi. Cenny ładunek posypał się za burtę. Krzycząc z trwogi, kupcy przyskoczyli do schodów i zaczęli w panice wspinać się na pokład.

Statek tonął. Rufa zagłębiała się w wodzie, podczas gdy dziób coraz bardziej sterczał nad powierzchnią. Duża grupa marynarzy i żołnierzy tłoczyła się przy jednej burcie, wymachując mieczami i krzycząc. Kupcy, potykając się, podbiegli do nich i ujrzeli kolejną wynurzającą się z morza kończynę morskiego potwora. Wśród okrzyków załogi macka uniosła się prosto w górę, a potem, zakrzywiając w łuk, opadła na pokład. Żołnierze zaatakowali ją mieczami, ale kiedy klingi odskoczyły z brzękiem od celu, uświadomili sobie, że mają do czynienia z metalem! Tymczasem macka uczepiła się burty statku.

Kupcy zawrócili i pobiegli na drugą burtę, gdzie marynarze opuszczali na wodę mały

wiosłowy skif. Właściciele wgramolili się do środka tuż przed tym, jak łódź plasnęła o wodę. Niemal w tym samym momencie spośród fal wystrzeliła kolejna macka, która rozbiła łódź w drzazgi, ciskając wszystkich jej pasażerów do wody, po czym wczepiła się w drugą burtę dżonki.

Statek jęczał i trzeszczał, rozłaząc się w szwach, wciągany w głębiny przez metalowe monstrum. Runęły z łoskotem dwa złamane maszty, z których jeden potoczył się na stojących na pokładzie marynarzy. Dżonka szybko zniknęła pod wodą, ocean zagotował się nad nią, a potem wszystko ucichło.

Na Mont-Saint-Michel nadeszła pora lunchu. Jake siedział przy łóżku Charliego w zamkowej izbie chorych. Czuwał przy przyjacielu już od trzech dni, często w towarzystwie Nathana i Topaz. Charlie wciąż nie odzyskiwał przytomności.

Józefina zmiażdżyła mu kostkę i strzaskała trzy kości w stopie. Jej atak pozostawił go w głębokim szoku. Doktor Chatterju niezwłocznie go zoperował, a teraz nad jego powrotem do zdrowia czuwała bibliotekarka Lydia Wunderbar – kobieta o wielkiej duszy, pełna życia, niekiedy groźna; wybornie sprawdzała się w roli pielęgniarki (ponoć była niegdyś przyjaciółką Florence Nightingale).

– Panno Wunderbar, coś się dzieje – wyszeptał Jake, widząc, że Charlie otworzył oczy.

Bibliotekarka podeszła do łóżka i Charlie posłał im pierwsze przytomne spojrzenie. Nagle spadła nań straszna myśl.

– Pan Drake? Gdzie jest Pan Drake? – spytał.

– Papużka miała wielkie szczęście – powiedziała Lydia z uśmiechem.

Wysunęła palec i postukała nim w koszyk zawierający kilka aksamitnych poduszek oraz wyciągniętego na nich, raczej mizernie wyglądającego ptaka, ze skrzydłem zabandażowanym w taki sam sposób jak noga Charliego. Lydia i Jake ze wzruszeniem patrzyli, jak Charlie ostrożnie bierze na ręce ukochane zwierzę i tuli je do serca.

– Jak się czujesz? – spytał Jake.

Charlie spojrzał na swoją nogę i uniół brwi.

– Sam nie wiem. – Westchnął. – Jak ja się czuję, panno Wunderbar?

– Z czasem wrócisz do pełni sił – odpowiedziała bibliotekarka. – Jednak na jakiś czas możesz zapomnieć o pracy w terenie.

Charlie z rezygnacją skinął głową, a potem przypomniał sobie coś jeszcze.

– Niewiele pamiętam, ale przypuszczam, że Józefina... Czy wyszła z tego jakoś? – Pomimo swojego stanu czuł się okropnie z myślą o tym, co się wydarzyło.

Mina Jake'a wystarczyła mu za odpowiedź.

– A Oceana?

– Od trzech dni siedzi zamknięta w swoim apartamencie. Otworzyła drzwi tylko raz, żeby przyjąć dostawę czerwonego wina i cygar.

– Musi jej być okropnie ciężko – powiedział cicho Charlie. – A co ze ślubem? Czy Róża i Jupitus ostatecznie założyli obrączki?

Jake i Lydia wymienili ostrożne spojrzenia. Bibliotekarka bez słowa zajęła się sprzątnięciem izby chorych, a Jake westchnął i zabrał się do wyjaśnień:

– Cóż, aktualnie Jupitus i Róża nie rozmawiają ze sobą. Mieli koszmarną awanturę. Jupitus powiedział coś o krzykliwych kolorach sukienki, działających jak czerwona płachta na byka, i Róża puściły nerwy. Tak się wściekła, że cisnęła obrączkę do morza.

– Do morza?! Piekło, dzwony i demony! – Charlie usiadł i usadowił się wygodniej. – No dobra, coś jeszcze przegapiłem?

– Jutro moi rodzice jadą do Londynu. Na cały miesiąc – powiedział Jake.

– Zapomniałem. Do nowoczesnego Londynu?

– Tak, z moich czasów. Tam, gdzie ty i ja spotkaliśmy się po raz pierwszy. – Jake uśmiechnął się do wspomnienia. – Ich dwoje najstarszych przyjaciół, Martin i Rosie, kończy pięćdziesiąt lat. Poza tym mama i tata czują, że muszą uporządkować sprawy sklepu z łazienkami. Nie pytaj dlaczego. Przecież nikt nie będzie ich szukać w dziewiętnastym wieku. Oczywiście chcieli zabrać mnie ze sobą, no i krótko mówiąc, my też się pokłóciliśmy. Jak zwykle zagrozili, że wrócimy tam na stałe. Nie wiem, kogo oni chcą nabrać, przecież uwielbiają to miejsce tak samo jak ja. Tak czy owak w końcu zdołałem się z tego wykręcić. Szantaż emocjonalny. Dzisiaj jest, no wiesz... – Jake znacząco zawiesił głos.

Charlie zmarszczył brwi, wyęzając pamięć. Nagle przypomniał sobie.

– Dwudziesty pierwszy czerwca?

Jake skinął głową.

– Urodziny mojego brata. Skończyłby dziewiętnaście lat.

Charlie ścisnął dłoń przyjaciela.

– On skończył dziewiętnaście lat. Myślmy o tym w ten sposób.

Jake zmienił temat.

– Obiecałem, że przyjdę i zawiadomię wszystkich, kiedy się obudzisz. Wrócę za minutkę. Tylko nigdzie się stąd nie ruszaj – zażartował i wyszedł z sali.

Wieść o przebudzeniu Charliego szybko rozeszła się po zamku i izba chorych wypełniła się ludźmi. Pierwszy zjawił się Nathan wraz ze swoim ojcem Trumanem – wtoczyli się do środka, gadając głośno i potracając rzeczy wokół siebie. Niedługo później przyszła Topaz, potem Alan i Miriam. Mama Jake'a przyniosła własnej roboty ciasteczka z czekoladą i zaczęła częstować nimi obecnych, nie dostrzegając ich przerażonych min (ciasteczka Miriam słynęły z granitowej twardości, zaś ich smak przeważnie kojarzył się z benzyną). Potem pojawił się także Jupitus, a w ślad za nim signor Gondolfino, szef kostiumerii. Następnie izbę chorych odwiedził doktor Chatterju, prowadząc swoją dziewięćdziesięcioletnią matkę, która po nieudanym ślubie postanowiła zabawić na wyspie dłużej. Róża przyszła na końcu i rozanielona spotkaniem z tak doborową kompanią zaczęła zabawiać obecnych – i irytować Jupitusa – historiami ze swoich „szalonych lat”, kiedy jako młoda agentka służyła w Konstantynopolu. Jej dosyć śmiała opowieść skłoniła starego Gondolfina do upozorowania nagłego ataku głuchoty.

Kiedy starsza pani Chatterju, złamawszy ząb na jednym z ciasteczek Miriam, wszczęła karczemną awanturę, panna Wunderbar uznała, że co za dużo, to niezdrowo, i wygoniła za drzwi wszystkich z wyjątkiem Jake'a.

Zmęczony zamieszaniem Jake usiadł z powrotem w fotelu przy łóżku Charliego i niemal natychmiast zasnął.

– Jake? – szepnęła Lydia.

Jake wyprostował się gwałtownie, przestraszony i dezorientowany.

– Która godzina?

– Prawie dziesiąta. Gasimy światło.

Za oknem było już prawie ciemno. Jake przeciągnął się i odwrócił. Charlie siedział na łóżku, pogrążony w lekturze. Pan Drake tulił się do jego boku.

– To absolutnie fascynujące – powiedział Charlie, potrząsając książką trzymaną w rękach. – Panna Yuting pożyczyła mi książkę o Chinach i właśnie uświadomiłem sobie coś niesamowitego. Nie wiem, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej. – Uniósł brwi, zaczerpnął tchu i rzucił bombę: – Dynastia Han i cesarstwo rzymskie istniały w tym samym czasie.

Jake zerknął ukradkiem na pannę Wunderbar. Nie miał pojęcia, o czym mówi jego przyjaciel.



– Pomyśl tylko – ciągnął chory. – Pierwszy wiek naszej ery i dwie spośród największych cywilizacji, jakie widział świat. Na zachodzie Rzym, Juliusz Cezar, wielkie podboje, potężne armie, wszelkiego rodzaju wynalazki. A siedem tysięcy kilometrów dalej chińskie imperium dynastii Han, tak samo wspaniałe, prężne, niezwykłe. A jednak – Charlie wznosił palec i zawiesił głos dla zbudowania napięcia – oba imperia istniały, nie wiedząc prawie nic o sobie nawzajem! No dobra, trochę jedwabiu i srebra wędrowało tam i z powrotem, ale poza tym kompletna izolacja, praktycznie zero wpływów kulturowych.

– Charlie, czy ty na pewno dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Jake.

Charlie potrząsnął głową i spojrzał najpierw na Lydię, potem na Jake'a.

– Chodzi mi o to, że Wschód i Zachód były kiedyś całkowicie od siebie oddzielone. No właśnie. I traktujemy to jako rzecz oczywistą. A nie powinniśmy. – Oczy mu płonęły.

– Już dobrze, dość tego. – Lydia Wunderbar wyjęła mu książkę z rąk. – Może nie powinnam tak mówić jako bibliotekarka, ale zastanawiam się czasem, Charlie, czy nie powinieneś jednak poszukać sobie zainteresowań mniej wymagających intelektualnie, jak Nathan Wylder na przykład. Tak czy owak, już czas do łóżek. Obaj!

– Pogadamy o tym jutro, dobrze? – powiedział Jake, poprawiając przyjacielowi kołdrę.

Charlie skinął głową, Jake pogłaskał jeszcze Pana Drake'a i chłopcy się pożegnali.

Przy drzwiach Jake zatrzymał Lydię.

– Wyjdzie z tego, prawda? – wyszeptał, zerkając za siebie.

– Dzięki tobie wróci do pełni zdrowia.

Lydia nigdy nie przyznałaby się, że ma faworyta, ale Jake budził w niej szczególnie ciepłe uczucia. Na pożegnanie cmoknęła go lekko w czoło i oddaliła się.

Jake poczłapał do swojej sypialni. Zwykle lubił włączyć się nocą po opustoszałych korytarzach zamku, dumając nad historią budowli i wyobrażając sobie agentów z dawnych lat, jak wyruszają stąd na swoje wyprawy, ze ściśniętymi z emocji żołądkami. Ale ten wieczór był inny. Do tej pory Jake'owi udawało się odpędzić od siebie myśli o bracie, ale teraz, kiedy został sam, ogarnęła go czarna chmura smutku. Dzień przesilenia letniego, dwudziesty pierwszy czerwca, najdłuższy dzień roku, był niegdyś jednym z jego ulubionych – czasem śmiechu i zwariowanych rodzinnych wycieczek. Teraz bał się go.

„Skończył dziewiętnaście lat” – powiedział Charlie. Nie brzmiało to zbyt przekonująco. Minął rok, odkąd Jake miał jakiegokolwiek wieści o Filipie. Zdrajca Caspar Isaksen, zanim zginął na dachu pałacu Agaty w Rzymie, wyznał: „Owszem, widziałem go. Nawet osobiście go torturowałem, ale spodziewam się, że od dawna już nie żyje”. Ale następne zdanie Caspara było najgorsze ze wszystkich: „Sądził, że kompletnie o nim zapomniałeś”.

Wizja Filipa więzionego w ciemnym lochu w jakimś odległym zakątku historii nie przestawała dręczyć Jake'a. Jak mógł pomyśleć, że został zapomniany? „Nigdy! Dopóki żyję, nie zapomnę o nim”.

Galliana była tak przejęta odkryciem tego wąskiego tropu, że zdołała nakłonić Fredrika Isaksena, ojca Caspara, aby pozwolił jej przeszukać rzeczy jego martwego syna w rodzinnej rezydencji Isaksenów, położonej na północy Szwecji w latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku. Ze względów bezpieczeństwa jedna z najpilniej przestrzeganych zasad Straży Historii stanowiła, że do laboratorium Isaksenów – gdzie w pocie czoła wytwarzano atomium, substancję umożliwiającą podróżowanie w głąb historii – nie ma dostępu nikt poza Isaksenami; dotyczyło to nawet samej komendantki. Jednakże zniknięcie Filipa Djonesa było wydarzeniem tak doniosłym, tak boleśnie odczuwanym przez wszystkich, że Isaksenowie odstąpili od tej zasady, wymagając jedynie, aby podczas podróży Galliana miała zawiązane oczy.

Nie znalazła niczego. Ona i Fredrik spędzili cały tydzień na przetrząsaniu każdej szuflady

i kredensu w zamku, przeglądaniu każdego skrawka papieru. Nigdzie nie było żadnej wzmianki o Filipie. Od tamtej pory minęło już wiele miesięcy.

Podczas gdy Jake zamykał za sobą drzwi swojego pokoju, podbiegł do niego Felson, przyjaźnie merdając ogonem. Przywitał pana liźnięciem w dłoń i potruczał z powrotem na swoje posłanie.

Jake otworzył okno i wciągnął do płuc balsamiczne nocne powietrze. Z drugiej strony zatoki, gdzie migotały światła miasteczka, dobiegały go odgłosy zabawy – skocznej muzyce towarzyszyły wesołe okrzyki tańczących. Pomimo późnej pory niebo wciąż znaczyły smugi purpury i różu.

Jake przebrał się w piżamę, ale uznał, że nie czuje się zmęczony. Nie chcąc popaść znowu w ponure rozmyślenia o bracie, wskoczył na łóżko i przypomniawszy sobie, co Charlie mówił o dynastii Han, sięgnął po książkę, którą Yoyo przyniosła jemu. (Dziewczyna była wielką patriotką i wciskała książki o Chinach każdemu, kto się napatoczył. Zdołała nawet zirytować Topaz, wręczając jej dzieło zatytułowane *Dobre maniery i obyczaje w Chinach*).

Książka Jake'a opowiadała o przygodach Marco Polo, młodego weneccjanina, który popłynął do Chin w 1272 roku i spędził tam dwadzieścia cztery lata. Był to pierwszy Europejczyk, który dotarł do tej tajemniczej krainy. Poznał wielkiego cesarza Kubilaj-chana, mieszkał w jego letnim pałacu, a nawet, przez pewien czas, służył mu jako jego ambasador.

Jake zdążył przeczytać dwie strony rozdziału o genialnych chińskich wynalazkach, kiedy przestraszyło go łupnięcie w dach nad jego głową. Pokój mieścił się na szczycie wieżyczki na murach obronnych i wraz z pokojem Nathana był najwyższą położoną sypialnią na zamku. Jake zamarł, zerkając niespokojnie na miecz, oparty o brzeg łóżka (miał teraz w zwyczaju sypiać z bronią pod ręką). Felson uniósł łeb. Kiedy uderzenie powtórzyło się, pies zawarczał cicho, a Jake ostrożnie sięgnął do rękojeści miecza. Ktoś lub coś skradało się do miejsca tuż nad oknem. Jake powoli wstał, na palcach przeszedł przez pokój, trzymając ostrze w gotowości, i nagłym szarpnięciem otworzył okno.

– Kto idzie?! – huknął najdoroślejszym basem, na jaki udało mu się zdobyć.

Cofnął się w przestachu, kiedy postać w kominiarce zsunęła się z góry, by zawisnąć tuż za oknem.

– Kto idzie? – powtórzyła postać. – Trochę staroświecka odzywka, nie sądzisz? – zakpiła, zrywając z głowy kominiarkę.

Oczom Jake'a ukazała się śliczna twarz Yoyo.

– Mogę wejść?

Jake odsunął się na bok i dziewczyna zwinnie wskoczyła do pokoju, z policzkami rumianymi z podniecenia. Wyglądała inaczej – ubrana we francuskim stylu z początku dziewiętnastego wieku, w zwiewnej sukience o wysokiej talii, z włosami upiętymi w luźny kok. Felson szczechnął przyjaźnie i podszedł, żeby się przywitać.

– Ciebie też miło widzieć, Felson, stary druhu – powiedziała Yoyo, karykaturalnie naśladowując angielski akcent i czochrając psa po głowie, co skłoniło go do kolejnego szczechnięcia.

– Już dobrze, wracaj na miejsce – rozkazał mu Jake i Felson zwinął się w kłębek na swoim posłaniu.

Jake czuł się trochę nieswojo, występując w piżamie w damskim towarzystwie.

– C-co ty tutaj robisz? – wyjąkał. – Znaczy, nie żebym nie cieszył się na twój widok...

Yoyo przechadzała się po pokoju, spoglądając na ściany obwieszane portretami podróżników i wynalazców.

– Ach, widzę, że czytasz książkę, którą ci poleciłam! – ucieszyła się na widok otwartego tomu leżącego na łóżku.

– Tak. Jest niesamowita. Nie do wiary, jak pomysłowi byli Chińczycy. Nie miałem pojęcia, że to oni wynaleźli kompas.

– Pierwszy naród wielkich żeglarzy w historii – powiedziała Yoyo z dumą. – Ale to był dopiero początek. A stal? Papier? Lustra? Odciski palców? Okulary przeciwsłoneczne? Nie wspominając o takim drobiazgu jak proch strzelniczy.

– Tak, proch z pewnością zmienił to i owo w historii – powiedział Jake, który zdążył się już dowiedzieć, że w ciągu minionych siedmiuset lat proch był kluczowym składnikiem każdej wojny, jaka toczyła się na powierzchni Ziemi.

Zapadła niezręczna cisza.

– Pierwszy raz widzę cię w takim stroju – powiedział w końcu Jake. – Wybierasz się dokądś?

– Razem się wybieramy – poprawiła go. – Płyniemy na tańce, o tam. – Wyciągnęła palec w stronę odległego lądu i na twarzy rozkwitł jej szeroki uśmiech.

– Serio? Eee... – wymamrotał Jake. – Nie za późno trochę?

Natychmiast zakarbował sobie w pamięci, żeby na przyszłość zaczynać od ciut śmielszego tonu.

– Jest wigilia przesilenia letniego, najbardziej magiczna noc w roku. No, i tańczą walca. Słyszałeś kiedyś o walcu? Pochodzi z Wiednia, ale we Francji uchodzi za taniec nieprzyzwoity. – Ostatnie słowo wypowiedziała z filuternym błyskiem w oku.

Dla Jake'a walc był najbardziej staroświecką rzeczą na świecie, ale przecież pochodził z innej epoki niż Yoyo: on z Londynu dwudziestego pierwszego wieku, ona z cesarskich Chin.

– No więc jak, idziemy? – nalegała Yoyo. – Łódka już czeka w przystani. W ciągu godziny będziemy na miejscu.

Jake spojrzął za okno na pogodne niebo w kolorze głębokiej ultramaryny. Nie było jeszcze całkiem ciemno. Plan Yoyo był kuszący – wyprawa mogła odegnać precz jego smutki. W dodatku do tej pory był w miasteczku tylko dwa razy, na sprawunkach z rodzicami, ale nigdy w nocy. Za dnia nie było to nic szczególnego, ale Jake miał przecucie, że tego wieczoru może tam być naprawdę magicznie.

– No więc... – zawahał się. – Sam nie wiem, panno Yu... znaczy Yoyo. Po pierwsze, moi rodzice na pewno nie byliby zachwyceni.

– Jake, rozczarowujesz mnie. Słyszałam, że z ciebie niezły chojrak. Wyścigi rydwanów w Circus Maximus? A jeśli chodzi o rodziców... Po prostu nic im nie mów. Ja nie mówię mojej matce o niczym. Rodzice chcą, żebyśmy byli wobec nich szczerzy, ale kiedy jesteśmy, zawsze dostają piany. – Yoyo wzruszyła ramionami i dodała: – Mam wrażenie, że twoja mama raczej za mną nie przepada.

– Co? Nie, skąd! Oczywiście, że cię lubi – odpowiedział pośpiesznie Jake, rumieniąc się, ponieważ mijał się z prawdą.

– Jake, spokojnie, nie przeszkadza mi to ani trochę – powiedziała łagodnie Yoyo, po czym dodała z dostojnym, angielskim akcentem: – Jak to się mówi w starej, poczciwej Anglii, nie każdemu w smak taka herbatka. No dobrze, poszukajmy ci jakiegoś wdzianka.

Podeszła do komody i otworzyła szufladę, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

Jake zamarł, a Felson nadstawił uszu.

– Nie śpisz, kochanie? – spytała Miriam.

Jake wytrzeszczył oczy w przypiływie paniki. Spojrzął na Yoyo.

– N-nie całkiem – wyjąkał.

– Chcielibyśmy zamienić z tobą słówko – zaszczebiotała Miriam.

„Chcielibyśmy? – pomyślał Jake. – Tata!”. Było gorzej, niż przypuszczał. Przypadł do

Yoyo, która wślizgiwała się już pod kołdrę.

– Nie tutaj! – wysyczał.

Ale było już za późno.

– Co mówiłeś, kochanie? – spytała Miriam, wchodząc do pokoju wraz z Alanem.

Felson zerwał się z pościana, a Jake usiadł na łóżku, odchylając się tak, aby zamaskować wybrzuszenie pościeli. Pies szczeknął radośnie, podskoczył i wbił nos w kołdrę, w miejscu, gdzie ukrywał się nocny gość.

– Na miejsce! – warknął Jake nieco ostrzej niż zazwyczaj.

Felson położył uszy po sobie i podreptał z powrotem na pościanie.

– Nie zajmujemy ci dużo czasu, kochanie – powiedziała Miriam, przysuwając sobie krzesło. – Chcieliśmy się tylko upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.

– To nie jest wesoły dzień dla nikogo z nas – dodał Alan, kładąc dłoń na ramieniu syna.

– Nic mi nie jest – odpowiedział pośpiesznie Jake. – To znaczy jest mi smutno, owszem, ale... – Wzruszył ramionami. – Przyzwyczailem się.

Jego rodzice porozumieli się spojrzeniem, nie domyślając się prawdziwej przyczyny jego zdenerwowania.

– Wiesz, że jutro wyjeżdżamy? – powiedziała Miriam.

– No chyba – odburknął Jake. – Od tygodni o niczym innym nie słyszę. – Przestraszył się zniecierpliwienia w swoim głosie. „Co ze mnie za gbur?” – pomyślał. Spróbował złagodzić efekt, dodając: – Będzie mi was brakowało.

– Cóż, zanim odjedziemy, jest jeszcze coś, o czym chcielibyśmy porozmawiać.

– To sprawa dużej wagi – dodał Alan tonem, jakiego używał wyłącznie przy bardzo uroczystych okazjach.

Pod pachą trzymał książkę, która wyglądała na bardzo starą. Jake zauważył rysunek egipskich piramid na okładce.

– Pamiętasz, kiedy wracałeś z Rzymu? – zaczął Alan. – Róża zdradziła ci pewien sekret. Powiedziała, że już wcześniej podróżowałaś w czasie. Jako dziecko.

– Jasne, że pamiętam – odpowiedział Jake.

Jak mógłby zapomnieć? Spędził cały rok, bezskutecznie próbując dowiedzieć się czegoś więcej w tej materii.

– Bo widzisz – podjęła Miriam ostrożnie – rzecz w tym, że ukryliśmy przed tobą jeszcze jedną rzecz i sądzimy, że nadszedł odpowiedni czas, abyś się dowiedział.

– Dowiedział? Dowiedział czego? – Jake zmarszczył brwi.

Czuł, jak Yoyo poruszyła się pod pościelą, na pewno pilnie nadstawiając uszu, by usłyszeć rewelację.

Jego rodzice znów spojrzeli po sobie.

– No więc, to nie był pierwszy raz, kiedy wybrałeś się w głąb historii – powiedział Alan, siadając na łóżku.

Za Jakiem rozległ się stłumiony okrzyk, kiedy dziewięćdziesiąt pięć kilo żywej wagi wylądowało na stopie Yoyo.

Miriam zerwała kołdrę, by ujrzeć...

## 4

# Ostatni walc

Dobry wieczór, pani Djones... panie Djones. – Yoyo skłoniła się lekko ze spłoszonym uśmiechem na twarzy. Wstała z łóżka i wygładziła na sobie sukienkę. – Jake i ja... My tylko... Jest wigilia letniego przesilenia! – dodała bez związku.

Miriam najeżyła się.

– Sądzę, że będzie lepiej, jeśli wrócisz do swojego pokoju, panno Yuting. Natychmiast!

– Mamo, proszę, to żenujące.

– Co jest żenujące? Masz czternaście lat, Jake!

– Piętnaście. Mam piętnaście lat. Skończyłem trzy miesiące temu.

– Nieważne, wciąż jesteś młody – ucięła Miriam. – O wiele za młody na... na... – Nie mogąc wykrztusić słowa, które miała na myśli, machnęła ręką w stronę Yoyo.

Jej gest rozjuszył Jake'a.

– My tylko rozmawialiśmy! – wycedził, podnosząc głos. – Czy to przestępstwo?

Alan pokręcił głową, cmokając.

– Na twoim miejscu nie odzywałbym się tym tonem do mamy – wtrącił.

– Cóż, wybacz, że jestem taka żenująca – ciągnęła Miriam – ale jestem odpowiedzialna za pannę Yuting przed jej matką.

– I to jest najważniejsze, tak? – wymamrotał Jake, krzywiąc się. – Twoja święta reputacja.

– Nie miał pojęcia, skąd wzięło się w nim tyle goryczy i złości.

– W porządku, Jake, twoja mama ma rację – powiedziała Yoyo, próbując rozładować napięcie. – Faktycznie już późno.

Pozbierała swoje rzeczy, a potem odwróciła się do rodziców Jake'a i ukłoniła.

– Przykro mi, że państwa zdenerwowałam.

Ruszyła do drzwi, ale Jake skoczył pierwszy i zastąpił jej drogę.

– Cóż, tak się składa, że ja nie chcę, by wyszła – oznajmił wyzywającym tonem. – Proszę usiąść, panno Yuting – dodał już mniej pewnie, wskazując na krzesło.

Teraz to Miriam straciła cierpliwość.

– Nie wiem, Jake, co w ciebie ostatnio wstąpiło. Nie mam bladego pojęcia. Ale myślę, że najlepiej będzie dla was obojga, jeżeli nie będziecie się tak często widywać. A teraz, panno Yuting, bardzo proszę, abys łaskawie wróciła do siebie. W tej chwili!

Yoyo skinęła głową, ścisnęła ramię Jake'a i podeszła do drzwi. Na progu odwróciła się jeszcze raz.

– Państwo Djones, chciałabym tylko powiedzieć, dla waszego spokoju ducha, że wasz syn jest całkowicie niewinny. Przyszłam tu, żeby go odwiedzić, to wszystko. Spanikowałam, kiedy usłyszałam pukanie, i schowałam się pod kołdrą. Ponoszę całą winę, ale zbrodnia nie była większa niż to. Życzę państwu dobrej nocy. – Z tymi słowami zniknęła.

Jake pobiegł za nią.

– Jake, masz zostać tutaj! – rozkazała Miriam.

– A mogę chociaż powiedzieć jej dobranoc? – rzucił szorstko i nie czekając na odpowiedź, wyszedł z pokoju.

Dopadł Yoyo na schodach.

– Na nabrzeżu za kwadrans – wyszeptał.

– Może nie dzisiaj – odpowiedziała, spuszczać wzrok.

– To musi być dzisiaj. Jest letnie przesilenie – naciskał.

Yoyo uniosła głowę, ujrzała płomień w jego oczach i nagle wrócił jej zapał.

– Umowa stoi. Tylko nie nawal!

Pobiegła w dół, a Jake wrócił do swojej sypialni.

Miriam przeszedł już gniew i wyglądała na nieco zakłopotaną.

– Jake, naprawdę mi przykro, ale musisz się nauczyć, że nie zawsze możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

Jake wzruszył ramionami i położył się do łóżka.

– Zobaczymy się przed odjazdem, dobrze? – Pocałowała go w czoło.

– A ten wasz wielki sekret? – burknął.

– Porozmawiamy o tym rano – odparł Alan, wsuwając książkę z piramidami na okładce z powrotem pod pachę. – Śpij dobrze, synu.

Jake schował głowę pod kołdrę, czekając, aż Miriam i Alan zostawią go w spokoju. Nagle zapragnął pobiec za nimi, przeprosić za swoją opryskliwość, powiedzieć, że tak naprawdę bardzo ich kocha. Jednak coś go powstrzymywało.

Odczekał, aż odgłos ich kroków ucichnie w oddali, a potem wyskoczył z łóżka i przypadł do komody, żeby wybrać odpowiedni strój na tańce.

Piętnaście minut później Jake skradał się przez trawnik w stronę schodów wiodących do przystani.

Zdecydował się na styl, który Nathan nazywał zawadiackim: korsarskie buty z wysokimi cholewami, koszula na wpiół wyciągnięta z pludrów, pas z jego ulubionym mieczem, apaszka w czaszki na skrzyżowanych piszczelach i rubinowy klips w uchu. Zwłaszcza ów klips – pożyczony od Nathana – dawał mu poczucie dorosłości. W nowoczesnym Londynie nie odważyłby się pokazać ludziom z wielkim klejnotem przy uchu, ale w tych romantycznych czasach taka ozdoba świadczyła nie o zniewieściałości jej właściciela, lecz o awanturniczej żyłce. Dla tego efektu Jake był gotów znosić ból, jaki sprawiał mu zbyt mocny zacisk klipsa.

Na dalekim końcu przystani zobaczył zacumowaną łódź wioślową – z pewnością tę, o której mówiła mu Yoyo. Zeskoczył do łodzi z nabrzeża, przycupnął na dnie i czekał z bijącym sercem. Nad wodą wiała ciepła bryza, a za ciemną sylwetą zamku niepostrzeżenie pięła się w górę ogromna tarcza księżyca.

Dzwony wieży zegarowej wybiły jedenastą. Jake spojrzał niecierpliwie w stronę wielkich wrót, sprawdził, czy klips jest na swoim miejscu, i poprawił chustę, drapując ją na szyi w starannie niedbały sposób. W pobliżu nie było żywej duszy. Po kolejnych dziesięciu minutach zaczęło ogarniać go przygnębienie.

Czekając i nudząc się, zauważył coś, czego nigdy nie dostrzegł wcześniej: każdy z kamiennych pirsów, przy których cumowano statki, był ozdobiony emblematem Straży Historii – rysunkiem dwóch planet krążących wokół klepsydry. Przypomniał sobie rozmowę z rodzicami. Nagle gorąco zapragnął się dowiedzieć, co takiego próbowali mu przekazać. „To nie był pierwszy raz, kiedy wybrałeś się w głąb historii” – powiedział ojciec. W jakich czasach znalazł się wcześniej? Jakie było znaczenie tej starej książki? Będzie musiał poczekać do rana, żeby zaspokoić ciekawość.

Wreszcie usłyszał tupot nóg i na pirs wbiegła Yoyo, oglądając się niespokojnie za siebie.

– Przepraszam za spóźnienie – sapnęła zdyszana. – Moja matka była na patrolu.

Oczy błyszczały jej z podniecenia. Zeskoczyła na łódź i poczęstowała Jake’a soczystym całusem w czoło.

– Ruszajmy – zarządziła, ściągając cumę.

Każde z nich ujęło po wiosło i popłynęli w stronę lądu.

Zamek za nimi już spał. Wszystkie okna były ciemne z wyjątkiem jednego, wysoko na wieżyczce, gdzie pełgał płomyk świecy i mroczna postać patrzyła przez lunetę na łódkę, sunącą powoli przez zatokę.

Uśmiechając się do siebie, Jake i Yoyo miarowymi pociągnięciami wiosel popychali łódkę ku brzegowi. W miarę jak czarna sylweta zamku malała powoli za rufą, dźwięki muzyki nabierały mocy i wyrazistości, niosąc się ponad gładką taflą morza.

Kiedy znaleźli się blisko przystani, Jake spostrzegł, że roi się tam od ludzi. Nawet sam pomost ugiął się od tłumy hulaków, którzy przyszli odpocząć trochę od tańców i odetchnąć nocnym powietrzem.

Przywiązali łódkę do pomostu i zeszli na brzeg, Yoyo przodem. Grupka rozbawionych imprezowiczów patrzyła na dziewczynę prześlizgującą się pomiędzy nimi z prawdziwie cesarską godnością (nawet ubrana odpowiednio do okazji Yoyo nie była osobą, która łatwo zlewa się z tłumem). Jedna z kobiet, niemłoda, z grubą warstwą różu na zniszczonej twarzy, zadarła dumnie nos w żartobliwej parodii nowo przybyłej. Yoyo zignorowała zaczepkę, ale Jake uśmiechnął się bojaźliwie do kobiety i skłonił się lekko.

– *Trop jeune, hélas, chéri.* Jesteś dla mnie za młody, kochasiu – powiedziała kobieta, tarmosząc Jake'a za policzek.

Towarzystwo pokładało się ze śmiechu. Jake poczerwieniał i śpiesznie poszedł dalej, nerwowo bawiąc się klipsem przy uchu. Yoyo czekała na skraju placu, gdzie zabawa trwała w najlepsze. Co najmniej dwadzieścia par wirowało w tańcu, pokrzykując z uciechy, podczas gdy kapela po drugiej stronie skweru dziarsko rżnęła walczyka.

– Czy to właśnie jest walc? – bąknął Jake, zastanawiając się, jak w ogóle mogło mu przyjść do głowy, że to jest nudne.

– Coś cudownego, prawda? – Yoyo rozpromieniła się, uskakując w tył, aby zejść z drogi rozpedzonej parze.

Jake przypomniał sobie ostatnią wiejską zabawę, na jakiej był, kiedy podczas pierwszej wyprawy w służbie Straży Historii znalazł się na brzegu Renu w Niemczech. Tamten taniec porywał i upajał, ten był o wiele bardziej buntowniczy i wypełniał miasteczko atmosferą letniego szaleństwa. Wokół placu szynkarze sprzedawali z prowizorycznych kramów cydr, brandy i absynt. Kucharze piekli całe prosięta nad kosztami pełnymi rozżarzonych węgli. W tłumie bawiących się mieszkańców byli także młodzi żołnierze z miejscowego garnizonu, w granatowo-białych mundurach. Opici winem wyśpiewywali sprośne żołnierskie piosenki.

– No, to jazda! – zawołała Yoyo, łapiąc Jake'a za rękę i pociągając go między tańczących.

Nie zdążył zaprotestować. Wiedział, że marny z niego tancerz, ale nie było już wyjścia. „Raz kozie śmierć” – pomyślał i złapawszy Yoyo w pól, ruszył w płas.

– Przepraszam... Proszę wybaczyć... – mamrotał, zderzając się z innymi parami, ale wszyscy byli tak pochłonięci tańcem, że nikt go nawet nie zauważał.

Yoyo w lot podchwyciła krok walca i pomogła Jake'owi, przejmując prowadzenie. Po kilku chwilach ćwiczeń – i uważania na cudze stopy – Jake zaczął odnajdywać rytm. Wirując, za taflą zatoki dostrzegł odległą sylwetkę Mont-Saint-Michel i ogarnęło go poczucie winy.

Tymczasem do przystani zawinęła kolejna mała łódka, która zacumowała tuż obok łodzi Jake'a i Yoyo. Wiozła jedną osobę: mężczyznę w trenczu z wysokim kołnierzem i w cylindrze wciśniętym głęboko na grzywę kasztanowych włosów, skrywającym jego twarz w cieniu.

Przybysz wyskoczył na brzeg i wmieszał się w tłum na placu, bacznie obserwując Jake'a i Yoyo.

– Uf, zgrzałam się – wysapała Yoyo, kiedy muzyka nareszcie ucichła. – Może coś do

picia?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę jednego z kramów z napitkiem. Jake pośpieszył za nią, ale akurat w tej chwili kapela zaczęła grać następny kawałek. Musiał być bardzo popularny, bo po pierwszych taktach tłum ryknął z zachwytem i wszyscy ruszyli na plac. Jakaś rozbawiona młódka wpadła na Jake'a, strącając mu z ucha rubinowy klips. W gąszczu nóg Jake wypatrzył na ziemi błysk czerwieni. Schylił się po kamień, ale stopa kolejnego tancerza kopnęła go dalej. Jake, ku utraپieniu tańczących, gonił swój klejnot na czworakach, ale w końcu go odzyskał.

Kiedy nareszcie dotarł do Yoyo, obsługiwał ją mężczyzna o gigantycznym brzuchu, długich, pozlepianych w strąki włosach i wybitnie nieprzyjaznym spojrzeniu. Szykarz ujął otwartą stągiew, chlusnął z niej mętnym płynem do dwóch drewnianych kubków, po czym pchnął je przez stół. Yoyo zapłaciła srebrną monetą, zgarnęła kubki i podała jeden Jake'owi.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie.

– To? Cydr – oznajmiła z figlarnym błyskiem w oku.

Jake wiedział, że cydr zawiera alkohol. Sam spróbował alkoholu tylko dwa razy w życiu. Za drugim razem, podczas kolacji dla przyjaciół urządzonej przez jego rodziców, potajemnie wyłopał dwa kieliszki czerwonego wina, a potem pochorował się na kanapie, rujnując wszystkim wieczór.

– Nie wydaje mi się, żeby mama i tata byli... – zaczął.

– Musisz przestać się tak nimi przejmować – odburknęła Yoyo poirytowanym tonem.

Wzrok Jake'a powędrował ku odległej wyspie. Przykro mu było sprawiać zawód Yoyo, ale w tej kwestii jego stanowisko było niezachwiane: rodzice wyruszyli w drogę wcześniej rano, a on chciał się z nimi pożegnać jak należy (nie wspominając o chęci poznania ich sekretu).

– Dziękuję, ale muszę odmówić – powiedział stanowczo.

– No, no, facet z zasadami. – Yoyo uśmiechnęła się. – To mi się podoba. – Nagle wytrzeszczyła oczy i wskazała drugą stronę placu. – To Nathan, prawda?

– Co? – zdumiał się Jake.

– Nathan Wylder. O tam... W kapeluszu.

Jake spojrział we wskazany przez Yoyo kierunek. Po chwili wypatrzył w tłumie człowieka w płaszczu i kapeluszu, ale nie mógł dostrzec jego twarzy. Nagle mężczyzna – być może zorientowawszy się, że został zauważony – skręcił gwałtownie i zderzył się z przechodniem. Kapelusz spadł mu z głowy i Jake spostrzegł, że to naprawdę jego przyjaciel.

– Nathan! – zawołał, uradowany.

Amerikanin zanurkował w tłum zebrany w bocznej uliczce, próbując oddalić się od placu.

– Nathan! – powtórzył Jake, ale bez skutku. – Najwyraźniej nas nie zauważył. Poczekaj tu chwilę – rzucił do Yoyo i pognął za przyjacielem. – Nathan, to ja! – wysapał, kiedy go w końcu dogonił.

Ostatecznie zdemaskowany Nathan odwrócił się i obdarzył Jake'a promiennym uśmiechem.

– Jake, stary druhu, jak miło cię widzieć! – zawołał z miną niewiniątka. – Co cię sprowadza na te brzegi?

– Długo by mówić – odparł Jake, lekko zmieszany. – Yoyo i ja pomyśleliśmy, że fajnie byłoby wybrać się na tańce. Rzecz jasna łamiemy każdy paragraf...

– Yoyo? – przerwał mu Nathan.

– Panna Yuting. Jest tu ze mną. O, tam stoi.

– Tak, widziałem – uciął niecierpliwie Nathan. – Pozwala ci mówić do siebie Yoyo?



Jake był zaskoczony dziwną szorstkością w zachowaniu przyjaciela.

– Takie ma przezwisko, zdaje się – odpowiedział ostrożnie, obawiając się pułapki. – No dobrze, a ty co kombinujesz? – spytał wesoło.

Wtedy przypomniał sobie, co Charlie powiedział w dniu ślubu: Nathan zakochał się w kimś z miasteczka. Na pewno dlatego zachowywał się tak dziwnie.

– Słuchaj, wiem, że nie dogadujesz się zbyt dobrze z Yo... z panną Yuting, ale wypadałoby chociaż podejść i się przywitać.

– Cóż, chyba mnie to nie zabije. – Nathan wzruszył ramionami. – Byle nie próbowała drwić z mojego stroju. Może i jestem wzorcem męskości, ale coś ci powiem: ja też mam swoje uczucia, wiesz?

Podczas gdy Jake prowadził go przez plac, Nathan wyjął z kieszeni okulary i pośpiesznie założył je na nos.

– Przyzwyczałem się – wyjaśnił. – Dobrze się w nich czuję.

Rozpiął płaszcz, odsłaniając elegancką koszulę.

– Dobry wieczór, panno Yuting – powiedział, stając przed Yoyo, by złożyć wytworny ukłon. – Cóż za cudowny zbieg okoliczności, natknąć się tu na was oboje. Szalenie barwne te lokalne tańce, nieprawdaż? – mówił jak staroświecki profesor. – Usłyszałem muzykę niosącą się nad wodą i nie zdołałem oprzeć się pokusie.

– Dokładnie to samo przydarzyło się nam – zgodziła się Yoyo i czule uszczypnęła Jake'a w policzek.

Nathan skrzywił się z odrazą. Akurat wtedy podtoczyli się do nich trzej młodzi żołnierze. Byli nieznacznie starsi od Nathana i jeśli nie wyżsi, to z pewnością szersi w barach. Przywódca grupy – lejtnant – podszedł do Yoyo i nie zaszczyciłszy jej towarzyszy nawet jednym spojrzeniem, zażądał z aroganckim grymasem:

– *Dansez avec moi.*

To nie była prośba. Choć młodzian nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat, pierś miał obwieszoną medalami, a pod na wpół rozpiętą koszulą wybrzuszały się węzły mięśni. Rysy jego twarzy przywoływały na myśl boksera – kwadratowa szczęka, spłaszczony nos, do tego szyderczy uśmiešek i złoty kolczyk w uchu. „I to się nazywa zawadiacki styl” – pomyślał mimo woli Jake.

Yoyo zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów, po czym pochyliła się do swoich towarzyszy.

– Jest tak nadęty, że chyba mu się nie oprę... – wyszeptała.

Podąła mu dłoń.

– Przepraszam bardzo. – Nathan zatrzymał żołnierza delikatnym klepinięciem w ramię. – Tylko jeden taniec. *Pas plus qu'une danse, d'accord?* Bo widzi pan, ona jest z nami.

We dwóch patrzyli, jak Yoyo wkracza na plac. Pomimo niedźwiedziojatej postury lejtnant okazał się zaskakująco dobrym tancerzem.

– No więc, Jake... – zaczął Nathan nerwowym tonem. – Nie będę owijał w bawełnę i zapytam wprost. Czy wy dwoje ten tego...?

– Że co? – Jake skrzywił się.

– No, ty i Yoyo, skoro była tak łaskawa i pozwoliła ci się tak nazywać, czy jesteście... w pakiecie?

– Że razem? Nie, skąd. Oczywiście, że nie – wyjąkał Jake, lekko wstrząśnięty. – Po prostu się przyjaźnimy.

– Nie masz pojęcia, jaka to dla mnie ulga. – Po raz pierwszy tego wieczoru twarz Nathana ozdobił autentyczny uśmiech.

Głos Jake'a nabrał lodowatej twardości.

– Wiesz, jesteś dla niej trochę zbyt surowy. Tak naprawdę ona jest... jest cudowna, kiedy pozna się ją bliżej.

Nathan nie odpowiedział. Obaj przypatrywali się tańczącej parze przez długą minutę, po czym Nathan odezwał się znowu:

– Nie chwałę się, nieprawdaż, kiedy mówię, że cieszę się określoną reputacją w kręgach młodych dam. Szczególne *je ne sais quoi*? Cóż mogę poradzić? Powalająca uroda, pierwszorzędne poczucie stylu, całe wiadra uroku, przez wrodzoną skromność nie wspomnę o mojej wielkiej czułości względem dzieci i zwierząt. Nie zaprzeczysz chyba?

– Absolutnie. Całe wiadra wszystkiego – przytaknął Jake, nie odrywając wzroku od Yoyo, która właśnie śmignęła tuż obok.

– Rozumiesz zatem, że przyciągnięcie uwagi lepszej płci nie stanowi dla mnie problemu. Ergo, nigdy nie czułem potrzeby przywiązania do jednej, konkretnej osoby. Miłość zawsze jawiła mi się absurdalnym marnotrawstwem energii i źródłem wielkiego stresu, zaś stres, jak powszechnie wiadomo, przydaje zmarszczek. A kto chciałby zestarzeć się przed czasem?

– No tak, kto, w rzeczy samej.

– Poza tym, po co się wiązać, jeśli można wybierać z całej historii?

– Otóż to – westchnął Jake, marząc, aby Nathan przeszedł wreszcie do rzeczy.

– I nagle zjawia się ona. Panna Yuting. Kobieta doskonała. Świetna we wszystkim, czego się tknie.

Jake, który nagle pojął sytuację, powoli przeniósł wzrok na przyjaciela.

– Udaje brak zainteresowania – mówił dalej Nathan. – Nie szkodzi. Wkładam ciut więcej wysiłku, ubieram się lepiej, rzucam bardziej powłóczyście spojrzenia. I nic. Guzik. Zero reakcji.

– Nie ma żadnej dziewczyny w miasteczku, prawda? – spytał cicho Jake.

– Nie śmieje się z moich dowcipów. Więcej! Śmie kwestionować moją inteligencję, zmuszając mnie do noszenia okularów!

– To nie tak, że jej nie lubisz, prawda? Wprost przeciwnie...

– No bo spójrz na mnie. Jak można odtrącić coś takiego?

– Przytłynąłeś tu za nami. To dlatego tu jesteś, tak?

– A potem zaczyna wyzywać mnie na pojedyunki. Szable, pistolety, kusze. Kładzie mnie, jak chce, za każdym razem. A ze mną nikt nigdy nie wygrał! No, może Topaz, ale bardzo rzadko. A wiesz, co ja przez to czuję? Przez to wszystko tylko coraz bardziej mnie do niej ciągnie! Jasna cholera, wybaczone, ale to jest nie do wytrzymania! – Nathan zdjął okulary i spojrzał Jake'owi prosto w oczy. – Czy ty masz pojęcie, jak to strasznie boli?

Jake uznał, że nadszedł już czas na własne wyznanie, chociażby po to, żeby zamknąć Nathanowi usta.

– Owszem – odparł wyzywającym tonem. – Wiem dokładnie, jak to strasznie boli, bo ja czuję do niej to samo. A odpowiadając na twoje pytanie, nie jesteśmy „w pakiecie”, jak raczyłeś to ująć, ale bardzo chciałbym, aby tak było!

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy.

– Doprawdy? – Nathan uniósł brwi. – No, to mamy problem, staruszk. (Od pewnego czasu Nathan w swojej na wpół angielskiej, na wpół charlestońskiej manierze wysławiania się często używał wyrażenia typu „staruszk”).

W tym momencie taniec się skończył. Jake i Nathan patrzyli, jak Yoyo dziękuje partnerowi i odwraca się, aby zejść z placu. Ale żołnierz złapał ją za rękę i pociągnął z powrotem. Wyszarpnęła mu się i powiedziała coś ostrym tonem.

– No, dobrze – warknął Nathan. – Dosyć już zobaczyłem.

Zaczął przeciskać się przez tłum na placu, a Jake ruszył za nim. Po chwili stanęli pomiędzy Yoyo a lejtnantem.

– To wszystko na dziś – oznajmił zimno Nathan, nie panując nad swoim amerykańskim akcentem. – Natańczyłeś się, możesz zmiatać.

Troje strażników historii odwróciło się, aby odejść, a wtedy lejtnant kopnął Nathana w zadek tak mocno, że ten stracił równowagę i runął na kolana. Twarz błysnęła mu furją.

– Atakujesz z tyłu? – zasyczał, podczas gdy Yoyo i Jake pomagali mu wstać. – Doprawdy jesteś durny jak wiadro kamieni i niewiele odeń przystojniejszy.

Już miał dobyć miecza, kiedy interweniował Jake, mocno przyciskając mu dłoń do rękojeści.

– Lepiej nie. – Pokręcił głową. – Nie w miasteczku.

Była to jedna z koronnych reguł Straży Historii: mieszkańcy wyspy powinni za wszelką cenę unikać ściągania na siebie uwagi – ostatecznie była to tajna organizacja.

Jednak żołnierz, którego towarzysze zwarli już szyk z przywódcą, ani myślał odpuścić.

– *Vos cheveux sont ridicules* – powiedział, dobywając własnej broni, by czubkiem klingi unieść kasztanowy lok Nathana. – *Vous ressemblez à une fille*.

– Wyglądam jak dziewczyna? – warknął Nathan, a ręka znów powędrowała mu do rękojeści miecza.

– Nie inaczej – zadrwił żołnierz, po czym skinął w stronę Yoyo. – A ona tańczy jak chłop.

Jake i Nathan równocześnie obnażyli klingi. Żołnierze zrobili to samo. Nathan natarł pierwszy, biorąc na cel lejtnanta, podczas gdy Jake zajął się jego dwoma pomagierami, tnąc z wprawą i rozkoszując się okazją zademonstrowania swoich świeżo nabytych umiejętności przed Yoyo. W ciągu minionego roku stał się niemal równie biegły w szermierce jak Nathan.

Wśród mieszkańców podniosły się okrzyki i tłum rozstał się w panice, robiąc miejsce dla walczących. Wszyscy patrzyli z podziwem, jak dwaj młodzi agenci zaledwie kilkoma oszczędzonymi uderzeniami rozbrajają trzech przeciwników, nawet nie dostając przy tym zadyszki.

– Gdybyście spędzali mniej czasu, hasając po parkiecie, może i coś by z was było – drwił Nathan, zbierając miecze Francuzów.

– Za tobą! – krzyknął Jake na widok plutonu żołnierzy, truchających przez plac w ich stronę.

– Czy to naprawdę konieczne? – westchnął jego przyjaciel. – Przecież nic do nich nie mamy. Potrzymaj to przez chwilę – powiedział, rzucając Jake'owi swój miecz, po czym odwrócił się do jednego z palenisk i oburącz złapał gigantyczny rożen. – Najmocniej przepraszam – zwrócił się do osłupiałego kucharza, po czym dźwignął całą pieczoną świnię w górę, odwrócił się i mocnym pchnięciem cisnął ją w powietrze.

Dymiące zwierzę gruchnęło na bruk i potoczyło się pod nogi nacierających, roztrzaskując ich jak kręgle. Z kłębowiska przewracających się żołnierzy wyfrunął hełm, który wirując, zakreślił łuk i rąbnął Jake'a prosto w pierś. Straciwszy równowagę, Jake zatoczył się w tył, siadając na stągwi z cydrem. Ta przewróciła się i jej zawartość rozlała się na plac taneczny.

Rozjuszony szynkarz przypadł do Jake'a, złapał go za kołnierz, wyszarpnął ze stosu skorup i uniósł pięść, by wbić mu ją w nos. Jake uchylił się przed ciosem, a kiedy szynkarz rzucił się na niego, zgrabnie uskoczył w bok i przydał mu impetu siarczystym kopniakiem w tylną część ciała. W eksplozji smyczkowo-perkusyjnego rumoru zwalisty mężczyzna przetoczył się przez orkiestrę.

Do bójki włączyło się całe miasteczko, mieszkańcy i żołnierze przeciwko wspólnemu wrogowi: dwóm młodym zarozumialcom, którzy przybyli nie wiadomo skąd na łódce (Yoyo rozsądnie wycofała się w boczną uliczkę na samym początku awantury). Obłąd szalał, dopóki

powietrzem nie targnęły dwa wystrzały oddane z pistoletu. Wszyscy zastygli w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w tęgim mężczyźnie w trójgraniastym kapeluszu, o twarzy, którą zdobiły ogromne rude bokobrody. Mężczyzna wkroczył na plac z miną jak burzowa chmura.

Chłopcy odruchowo przysunęli się do siebie.

– No i takie to nasze parszywe szczęście. – Nathan przewrócił oczami. – To Poing de Fer, Żelazna Pięść, miejscowy szeryf.

Poing de Fer spuścił na nich lawinę złorzeczeń – w najbarwniejszej francuszczyźnie, jakiej Jake miał okazję słuchać – po czym wydał rozkaz natychmiastowego aresztowania wichrzycieli.

Yoyo patrzyła z zamartwionym sercem, jak strażę zakuwają jej przyjaciół w kajdany i odprowadzają do aresztu.

Zamknięto ich w malutkiej kamiennej celi z jednym zakratowanym okienkiem wychodzącym na ciemne morze. Obaj przedstawiali sobą żałosny widok. Jake miał poszarpane ubranie, cuchnął cydrem, a pod okiem zaczynała mu ciemnieć dorodna śliwa. Areszt mieścił się przy wojskowym garnizonie, w jednym z kamiennych budynków, na cyplu, niecały kilometr od miasteczka. Chłopcy błagali szefa policji o łaskę i przymknięcie oka na ich *moment de folie*, ale ich prośby trafiły w próżnię. Nalegania Nathana skończyły się zapowiedzią szeryfa Poing de Fer, że rankiem odwiedzi ich oddział werbunkowy w celu wcielenia ich do wojska.

Patrząc przez kraty na ciemny kształt Mont-Saint-Michel, Jake czuł odrazę do samego siebie. Za kilka godzin miał żegnać rodziców, odpływających do nowoczesnego Londynu. Co gorsze, on i Nathan złamali jedną z najświętszych zasad organizacji, ściągając na siebie uwagę miejscowych władz.

– Musimy się stąd wydostać! – zawołał rozpaczliwie, szarpiąc za żelazne pręty. Wprawiona w kamienny mur krata ani drgnęła.

## 5

# Rodzina w ruinie

Godzinę później za oknem coś zaszeleściło i rozległ się szept:

– To ja.

Jake i Nathan unieśli głowy i na widok znajomej twarzy między prętami kraty natychmiast poderwali się na nogi.

– Przepraszam, że tak długo mi zeszło – powiedziała cicho Yoyo. – Czekałam, aż wartownik przyśnie, nie wspominając o całym plutonie za drzwiami. Ale znalazłam sposób na wydostanie was stąd. – Pomachała dwiema łaskami dynamitu. – Pożyczyłam ze zbrojowni – wyjaśniła.

Na widok materiału wybuchowego Jake wzdrygnął się. Ostatnim razem miał do czynienia z dynamitem, kiedy Agata Zeldt zdetonowała swoje bomby w starożytnym Rzymie, rozpętując piekło podczas jednego z największych wydarzeń publicznych w historii.

– Hm, ciekawy pomysł. – Nathan uśmiechnął się drwiąco. – Tylko że te kamienne ściany mają metr grubości. Skończy się tak, że wywołamy jeszcze większe zamieszanie, niewątpliwie tracąc przy okazji kończynę lub dwie. A ja jestem do swoich bardzo przywiązany. Nie, obawiam się, że mamy tylko jedno wyjście. Panno Yuting, musisz ściągnąć odsiecz z Punktu Zero. Komendantka ma układy z Żelazną Pięścią. Tylko ona może nas stąd wyciągnąć.

Jake'owi zamarło serce. Wciąganie w aferę Galliany Goethe było ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć. Utrata kończyny wydawała mu się niemal lepsza od hańby, jaką musiałby cierpieć, gdyby wieść o jego postępkach stała się wiedzą powszechną. Z drugiej strony wiedział, że Nathan ma rację. Musieli zrobić, co tylko w ich mocy, aby ograniczyć szkody.

Yoyo zgodziła się w końcu i kilka chwil później Jake i Nathan ujrzeli ją w łodzi, wiosłującą przez wody zatoki.

Nathan zwrócił się do swojego towarzysza.

– Jake, staruszkule – powiedział – czy możemy ustalić coś między sobą?

– Co?

Nathan był w poważnym nastroju, głos miał niski i głęboki.

– Że nie poróżnimy się z powodu panny Yuting.

Jake spojrzał na przyjaciela, uśmiechając się półgębkiem. Pokiwał głową. Nathan wyciągnął rękę i chłopcy uścisnęli sobie dłonie.

– Przyjaźń jest najważniejsza na świecie – oświadczył uroczyście Jake. Nagle zaczął się śmiać, choć bolała go od tego głowa. – Nie do wiary, że przyplynałeś tu za nami.

– Cóż, nikt nie musi o tym wiedzieć, prawda? Stałbym się pośmiewiskiem, gdyby to wyszło na jaw.

– Boże broń, żeby ktoś miał się z ciebie śmiać!

Obaj zachichotali, a potem usiedli w ciszy, słuchając dźwięków muzyki, dobiegających z oddali.

Noc mijała powoli, hałas zabawy stopniowo cichł. O świcie Jake dosłyszał miarowy plusk wioseł. Dźwignął się i podszedł do okna. Okrutnie bolała go głowa, a opuchlizna pod okiem ograniczała pole widzenia. Przez kraty ujrzął niewielką łódź o granatowych żaglach, zmierzającą w stronę brzegu. Był to jacht Galliany, „Zimorodek”, jego właścicielka stała nieruchomo na dziobie. Towarzyszył jej dżentelmen w cylindrze na głowie – Jupitus Cole.

Jake zmarszczył brwi.

– A ten tu po co? – mruknął pod nosem, popadając w jeszcze mroczniejszy nastrój.

Patrzył, jak łódź zawija do przystani. Kiedy jej pasażerowie wyszli na brzeg, Jake zauważył, że Jupitus niesie ciężką skrzynię. Wraz z Gallianą ruszyli w stronę garnizonu i wkrótce zniknęli mu z oczu.

– Nathan! – zawołał Jake cicho do przyjaciela, który zasnął skulony w kącie.

Amerikanin otworzył oczy i usiadł.

– Już są.

Jake wepchnął dół koszuli w spodnie, przyczesał włosy i przetarł twarz swoją piracką apaszką, aby choć trochę się oczyścić. Zabiegi te nie odniosły większego skutku – wciąż wyglądał okropnie.

– Ja będę mówił – oznajmił Nathan, poprawiając na sobie ubranie. – To mój bałagan.

Jake potrząsnął głową.

– Ale to ja tu pierwszy przypląnąłem.

Zza drzwi dobiegły ich głosy. Zaczął Jupitus – posługując się nieco kaleką francuszczyzną – ale po chwili pałeczkę przejęła Galliana. Komendantka wystawiała się płynnie i z przekonaniem. Cokolwiek mówiła, jej argumenty musiały brzmieć rozsądnie, bo Poing de Fer nie próbował się jej sprzeciwić, a z czasem jego ton stał się niemal jowialny.

Pięć minut później zadzwoniły klucze i drzwi celi otworzyły się. Jake zamarł na widok zimnych oczu i posępnej miny Jupitusa.

– Twoi rodzice odpływają za godzinę – wycedził wchodzący pogardliwym tonem, zwracając się do Jake'a. – Sądzę, że będą chcieli zamienić z tobą słówko przed wyjazdem.

– Panie Cole – powiedział Nathan promiennie – pozwoli mi pan zacząć od stwierdzenia, że w istocie sprawa nie wygląda tak źle, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Z całą stanowczością nie pozwalam – odwarknął Jupitus. – Twój brzękliwy głos jest przykry w każdych okolicznościach, ale przed śniadaniem jest nie do zniesienia.

– Brzękliwy? – Nathan wzruszył ramionami. – Myślę, że tembr ma całkiem przyjemny.

– Panie Cole, jest mi ogromnie przykro – zaczął Jake, który miał przygotowane w głowie całe przemówienie. – To ja ponoszę całkowitą...

Jupitus uciszył go niecierpliwym syknięciem.

– Nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany twoim punktem widzenia. Na twoim miejscu zachowałbym energię dla tych, których skrzywdziłeś najmocniej.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jake i Nathan spojrzeli po sobie i ruszyli za nim.

Galliana czekała na zewnątrz z równie kamienną twarzą. Jake pierwszy raz widział ją ubraną tak statecznie – niemal po nauczycielsku – i z taką dbałością o wierność stylowi epoki (w kwestii ubioru Galliana potrafiła być równie ekscentryczna jak jej przyjaciółka Róża). Jake przywitał ją uśmiechem, ale zignorowała go.

– *Merci, Monsieur Poing de Fer* – powiedziała, zwracając się do szefa policji. – *C'était un plaisir, comme toujours...*

Poklepała skrzynkę, którą Jupitus przytaszczył z jachtu. Zawierała dziewięć butelek złotobrazowego płynu, wyglądających jak znalezisko archeologiczne. Jake domyślił się, że była to łapówka.

Jupitus powiódł całą grupę do przystani, gdzie czekała łódź Galliany o charakterystycznych granatowych żaglach. Nathan przywiązał swoją łódkę do rufy i wyruszyli w stronę wyspy. Przez całą drogę na pokładzie nie padło ani jedno słowo.

Kiedy zbliżyli się do nabrzeża, Jake ujrzał zebraną tam grupę ludzi. Zwykle pożegnania agentów odpływających w inne miejsca i czasy były radosnymi wydarzeniami; tym razem

„Escape” przygotowywano do rejsu w grobowej ciszy.

Państwo DJonesowie wyróżniali się ubiorem. Dziwnie było zobaczyć ich znowu w nowoczesnych strojach – Alan miał na sobie sztruksowe spodnie, Miriam włożyła znoszony wełniany sweter, drelichową spódnicę i legginsy. Obok nich stała czerwona walizka, której obecność zawsze wróżyła kłopoty.

Łódź Galliany przybiła do brzegu. Komendantka zeszła z pokładu, w ślad za nią Jupitus i chłopcy. Jake czuł na sobie palący wzrok wszystkich obecnych. Yoyo także obserwowała go z oddali, pilnowana przez mamę, która stała tuż obok, z ustami zaciśniętymi w kreskę. Topaz, czekająca na nabrzeżu w towarzystwie równie zatroskanych rodziców Nathana, przywitała go lekkim uśmiechem, ale widać było, że jest smutna. Jake uświadomił sobie, jak bardzo zawiódł ją oraz wszystkich agentów w Punkcie Zero.

Podszedł do rodziców ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nie potrafił spojrzeć im w oczy.

– Cieszę się, że zdążyłem, zanim odpłynęliście – powiedział cicho, niemal szeptem.

Miriam potrząsnęła głową.

– Gdzie popełniliśmy błąd? – westchnęła.

– Nigdzie. – Jake wzruszył ramionami.

– Jesteś dumny ze swojego zachowania?

– Nie.

– Masz choćby blade pojęcie, co musiała zrobić komendantka, żeby wyciągnąć was z więzienia?

– Pani DJones, czy mogę zaznaczyć... – zaczął Nathan.

– Nie, nie możesz! Z siebie też nieźle ziółko. A powinieneś świecić przykładem! – ucięła Miriam, nie odwracając wzroku od Jake'a. – Pytam, czy masz choćby blade pojęcie, co musiała zrobić komendantka, żeby wyciągnąć was z więzienia?

Jake potrząsnął głową.

– Musiała przekupić policję koniakiem pozostawionym jej przez zmarłego męża. Ten trunek miał dwieście lat! Był bezcenny.

– Nie, ja przecież... To znaczy, przecież nie prosiłem... To znaczy, przepraszam.

– No więc, co zrobiliśmy źle? – spytała jeszcze raz Miriam.

– Nic! Nic nie zrobiliście źle! – wybuchnął Jake, nagle tracąc panowanie nad sobą.

– Co to za ton?! – oburzyła się Miriam i spojrzała na męża. – Czy ty słyszysz, jak on się odzywa do matki?

Alan smutno potrząsnął głową. Jake jeszcze nigdy nie widział go tak przygnębionego.

Nagle Miriam zeszywniała. Pochyliła się nad Jakiem i powąchała jego koszulę.

– Ty piłeś...

– Nie.

– Śmierdzisz alkoholem, Jake. Nie waż się kłamać!

– Nie kłamię.

– To nie tak, pani DJones... – wtrąciła Yoyo z tyłu, ale jej mama uciszyła ją miażdżącym spojrzeniem.

Miriam na chwilę zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– To twoje dwutygodniowe wypowiedzenie, Jake – powiedziała niemal nienawistnym tonem, który wcześniej Jake słyszał tylko raz w życiu. Dreszcz przebiegł mu po plecach. – Słyszysz mnie? Po tym czasie wracamy z Londynu, zabieramy cię i od razu płyniemy z powrotem. Wracasz do szkoły, więc możesz zacząć żegnać się z przyjaciółmi.

Jake poczuł, że twarz płonie mu gniewem.

– Czyżby? – zasyczał. – Za każdym razem ta sama groźba...

– Tym razem mówię poważnie! Poważnie, słyszysz?! – krzyknęła Miriam. – Zrobiłeś się niemożliwy!

– Wiesz, chyba jednak zrobiliście coś źle. Po pierwsze, okłamywaliście mnie przez całe moje życie!

– Co? – Miriam nie posiadała się z oburzenia.

– Już dobrze, Jake, nie dajmy się ponieść emocjom... – zaczął Alan.

Interweniowała także Róża.

– Słuchajcie, dajcie spokój. Wszyscy jesteśmy zmęczeni i podenerwowani.

Wzięła Jake'a za rękę, ale on odtrącił jej dłoń.

– Kiedy to prawda. Okłamywaliście mnie we wszystkim – ciągnął Jake, nabierając rozpędu. – Kłamaliście o pracy tutaj, o sklepie, w ogóle całe życie w Londynie... to wszystko kłamstwa!

– Robiliśmy to, aby cię chronić – odparła Miriam. – Dobrze o tym wiesz.

– I okłamywaliście mnie w sprawie Filipa, mojego własnego brata! – Jake wpatrywał się w mamę płonącymi oczami, sapiąc z gniewu. – Nienawidzę cię!

Słowa na krótką chwilę zawisły w ciszy, po czym Jake odwrócił się, przepchnął przez tłum i pobiegł do zamku.

Z piersi Miriam wydarł się szloch, a Alan przyciągnął ją do siebie i przytulił.

Kilka minut później Alan i Róża poszli poszukać Jake'a, pozostawiając mamroczący tłum na nabrzeżu.

Jake tymczasem wbiegł do stajni Dory i trzasnął za sobą drzwiami. Często uciekał do słońcy, kiedy czuł się źle – jej bliskość pomagała mu się uspokoić. Oczywiście Dora była tylko zwierzęciem, ale robiła wrażenie mądrego stworzenia. Jake poczęstował ją pękiem marchewek, pogłaskał po uszach i zajął w stare oczy, szukając w nich odpowiedzi na dręczące go pytania.

Słyszając nawoływania ojca i ciotki, wlaźł do pojemnika na słomę, skrywając się w nim całkowicie.

Po kilku chwilach wołania umilkły. Jake'owi dobrze leżało się w sianie. Był zmęczony, powieki ciążyły mu coraz bardziej i bardziej.

Nagle spłynęła nań wizja – nie był pewien, czy to sen, czy może halucynacja. Jego mama krzyczała z przerażenia, a „Escape” zmagał się ze sztormem i szedł na dno, wciągany pod spienione fale. Jake otworzył szeroko oczy i gwałtownie usiadł.

– Muszę ich zatrzymać – wymamrotał.

Wyskoczył z pojemnika, wybiegł ze stajni i pognął ścieżką na drugą stronę wyspy.

Jednak nabrzeże było opustoszałe, jeśli nie liczyć jednej tylko osoby, zaś „Escape” zniknął już na szarej linii horyzontu.

– Niiieeee! – krzyknął Jake.

Signor Gondolfino patrzył za odpływającym statkiem. Jake przebiegł obok niego, by stanąć na samej krawędzi nabrzeża.

– Przepraszam! Naprawdę, bardzo przepraszam! – zawołał ile sił w płucach.

Morze zdawało się naigrawać z jego wysiłków. Nie było żadnej szansy, aby usłyszano go na statku.

Signor Gondolfino przykuśtykał do niego ostrożnie, postukując o kamienne nabrzeże laseczką z kości słoniowej.

– *Mi dispiace tanto*, Jake – powiedział łagodnym tonem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Bardzo mi przykro. Twoja mama prosiła, aby ci to przekazała. – Podał Jake'owi karteczkę.

*Jesteś moim wyjątkowym chłopcem, Kocham Cię.*

*Mama*



Jake patrzył, jak maszty „Escape” znikają za horyzontem. Nagle twarz wykrzywił mu grymas rozpaczony i chłopiec się rozplakał. Signor Gondolfino objął go ramieniem.

– *Piangi, caro mio*. Płacz sobie. Łzy dobrze ci zrobią. Ciężko jest być dorosłym. *Magari fossimo bambini per sempre*. Gdybyśmy tylko mogli być dziećmi na zawsze.

Kropla deszczu sfrunęła z nieba, by rozprysnąć się na kłapie jedwabnej marynarki Gondolfina. W ślad za nią spadła następna, a potem jeszcze jedna. Wkrótce marynarka była całkiem, całkiem przemoczona.

## 6

# Dzwon zagłady

Jake nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok i wzdychał, nękany wspomnieniem niedawnych wydarzeń. Minęła już druga, kiedy usłyszał pojedynczy, głęboki gong, dobiegający z jakiegoś miejsca daleko poniżej jego pokoju. Na wyspie było wiele dzwonów, które biły z najrozmaitszych przyczyn, ale ten miał charakterystyczny ton, który nie był znany Jake'owi. Brzmiał złowieszczo.

Kilka chwil później Jake usłyszał trzaśnięcie drzwiami i tupot pośpiesznych kroków na korytarzach. Przyskoczył do okna i spojrzał w dół. Galliana, nerwowymi ruchami zapinając płaszcz, wydawała rozkazy dwóm marynarzom. Kiedy ci pognali, by przygotować do rejsu „Tulipana” – statek, na którym Jake popłynął na pechową misję do Sztokholmu – od strony zamku nadbiegł Jupitus Cole, zapinając żakiet i trzymając pod pachą swój nieodłączny cylinder, za nim zaś truchtał doktor Chatterju, dźwigający pękatą skórzaną walizę.

Jake musiał się dowiedzieć, co się dzieje. Zrzucił na siebie, co miał pod ręką, naciągnął buty i pędem zbiegł na dół.

– Co się stało? – zapytał doktora, dobiegłszy do nabrzeża.

– Dzwon zagłady! Odezwał się!

– Dzwon zagłady?

– SOS. Ktoś wpadł w tarapaty, próbując przejść przez północno-zachodni punkt czasohoryzontu!

Punkty czasohoryzontu – o czym Jake wiedział – były miejscami, przez które agenci mogli przedostawać się do innych czasów.

Natychmiast naszła go straszna myśl, od której zakręciło mu się w głowie.

– Czy to moi rodzice? – spytał, przypominając sobie swoją przerażającą wizję.

– Nie – odpowiedział Chatterju. – Sygnał wezwania pomocy nadszedł z przeszłości, z końca osiemnastego wieku. Twój rodzice zmierzali w przeciwnym kierunku.

– Może zgubili się w czasie – upierał się Jake. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy skręcili w złą stronę.

– Wszystko, co mamy, to SOS – odparł doktor, otwierając walizę, aby skontrolować jej zawartość.

Była pełna instrumentów medycznych, flaszek z miksturami i strzykawek.

Galliana i Jupitus krzętałi się już na „Tulipanie”, uruchamiając maszyny. Chatterju zamknął walizę i wbiegł po trapie na pokład.

Jake rozpaczliwie chciał pobiec za nim.

– Czy mógłbym się przydać? W jakikolwiek sposób? – zawołał z nadzieją.

Galliana i Jupitus odpowiedzieli spojrzeniem, które nie pozwalało wątpić o ich negatywnym nastawieniu do tego pomysłu. Ale doktor Chatterju pośpieszył z odsieczą:

– Im więcej rąk do pomocy, tym lepiej. Kto wie, w jakie kłopoty się wpakowali...

Kimkolwiek są.

Galliana pokiwała głową z ociąganiem.

– Dobrze. Pośpiesz się.

Jake wbiegł po trapie, kiedy marynarze zdejmowali już cumy. Kilka sekund później statek odbił od nabrzeża i zaczął wykręcać w stronę morza. Wtedy Jake usłyszał za sobą łoskot głównej

bramy i szybki tupot nóg. Na nabrzeże wbiegli Nathan, tuż za nim Yoyo.

– Co się stało? – zawołał Amerykanin za odpływającym żaglowcem.

– SOS od kogoś, kto przechodzi przez północno-zachodni punkt czasohoryzontu! – odkrzyknął Jake.

Dwoje jego przyjaciół stało na nabrzeżu i patrzyło bezradnie, jak „Tulipan” oddala się od wyspy. Wkrótce rozpląnął się w mroku, prowadzony przez pierścienie konstantora w stronę punktu czasohoryzontu.

Od czasu do czasu Jake zerkał na stojącą za sterem Gallianę. Wiatr rozwiewał jej długie szare włosy. Jake uświadomił sobie, że zna ją jedynie jako mieszkankę wyspy, administratorkę, nie poszukiwaczkę przygód. Teraz po raz pierwszy mógł sobie wyobrazić, jaka musiała być jako młoda agentka w terenie, zdeterminowana i spokojna. Nagle zapragnął dowiedzieć się czegoś o wyprawach, w których wzięła udział.

– Komendantko – zagał. – Czy mogę spytać, skąd mamy pewność, że wezwanie nie jest pułapką zastawioną przez któregoś z naszych wrogów?

– Wezwania pomocy są szyfrowane, podobnie jak wszystkie chronotelegramy – odpowiedziała, zerkając na konstantor. – Ale, rzecz jasna, nigdy nie ma stuprocentowej pewności.

Jupitus zilustrował tę wypowiedź, wyjmując pistolety ze skrzyni za kolumną steru. Wręczył po jednym Gallianie i doktorowi Chatterju, ale Jake’a pominął.

– Wszyscy mają być uzbrojeni, panie Cole – oznajmiła komendantka chłodnym tonem.

Jupitus podał chłopcu pistolet.

– Tylko na wszelki wypadek, rozumiesz?

Jake skinął głową.

Kiedy trzy złote pierścienie konstantora zaczęły się zrównywać, załoga wzmogła czujność, przepatrując ocean w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów statku w opalach. Przez Atlantyk toczyły się potężne fale. Nagle Jake, obserwujący ze sterburty, usłyszał cichy gwizd. Rozejrzał się wokół, potem wpatrzył się w ciemną wodę. Tajemniczy dźwięk przybierał na sile i ostrości.

– Coś tu jest! – zawołał Jake i Jupitus z Chatterju podbiegli do relingu.

Na ich oczach morze przed statkiem zakipiało bąblami, a potem powierzchnia wody zapadła się nagle, tworząc podłużne zagłębienie: odcisk kadłuba, który jeszcze nie zdążył się w pełni zmaterializować. Jake’a przeszedł dreszcz lęku.

Jupitus i Chatterju odciągnęli kurki. W twarze uderzył ich gwałtowny podmuch, rozbłysło widmowe światło i w szum wiatru wdarły się okrzyki i skrzywienie drewnianych wiązań – to jednostka nagle nabrała kształtu, wypełniając sobą pustkę.

Był to nieduży jacht, o połowę mniejszy od ich statku. Z całą pewnością nie był to „Escape” z rodzicami Jake’a na pokładzie. Ale do kogo należał?

– Ster lewo na burt! – krzyknął Jupitus do komendantki, obawiając się kolizji.

Posłuchała go i „Tulipan” w ostatniej chwili odbił w lewo, niemal ocierając się burtą o jacht.

Jake spostrzegł, że przybysz ma kłopoty. Dziób szedł pod wodę, a fale przelewały się nad potrzaskanymi belkami pokładu. Mężczyzna w płaszczu z wysokim kołnierzem, najwyraźniej jedyna osoba na pokładzie, stał na szeroko rozstawionych nogach i wołał o pomoc, starając się przekrzyczeć wichurę. Był mniej więcej w wieku Galliany – po pięćdziesiątce, jak oceniał Jake – i miał posturę poszukiwacza przygód. Pomimo wieku jego gęste, jasne włosy, które wydały się Jake’owi dziwnie znajome, nie nosiły śladu siwizny. Z pewnością mężczyzna nie był wrogiem, bo Jupitus i Chatterju natychmiast porzucili broń.

Jupitus bez wahania wspiął się na reling i skoczył ponad spienioną wodą na uszkodzony jacht. Wylądował ciężko, ślizgając się po przechylonym pokładzie w stronę mężczyzny. Jake usłyszał, jak woła do żeglarza:

– Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

Mężczyzna wskazał na swoją rękę, dając do zrozumienia, że jest złamana.

– Jesteś sam?

Stanowcze skinienie głową.

Jupitus objął go ramieniem i poprowadził w górę pokładu, wołając do Chatterju, aby rzucił im linę. Jake spostrzegł, że pod zdrowym ramieniem mężczyzna ściska skórzaną aktówkę.

– Kto to jest? – spytał komendantkę.

Nie odpowiedziała od razu, wpatrzona w przybysza w oszołomieniu.

– To Isaksen. – W jej tonie pobrzmiwał niepokój. – Caspar Isaksen Senior. Albo Fredrik, jak go nazywamy.

Jake wytrzeszczył oczy. Nazwisko Isaksen przejęło go dreszczem. Senior był głową sławnego rodu producentów atomium i ojcem podwójnego agenta Caspara Juniora – to dlatego Jake rozpoznał blond czuprynę.

– Co on tutaj robi? – mruknęła Galliana. – Od dwudziestu lat nie opuszczał Szwecji.

Jupitus szykował się do wciągnięcia Isaksena na pokład „Tulipana”, kiedy nagle rozległa się seria trzasków pękających klepek. Jacht złamał się na pół i błyskawicznie zatonał, omal nie wciągając obu mężczyzn pod wodę. Jupitus uchwycił się liny – gubiąc cylinder, który zakręcił się w wirze i zniknął – ale Isaksen stracił równowagę i wpadł do wody. Jupitus w ostatniej chwili sięgnął w dół i złapał go za złamaną rękę, sprawiając, że Isaksen zawył z bólu. Naprężając ścięgna do granic wytrzymałości, Jupitus zdołał utrzymać ciężar, podczas gdy Jake i Chatterju, zapierając się stopami o burtę, wciągnęli obu na pokład. Kiedy ranny Szwed gramolił się przez reling, skórzana aktówka wysunęła mu się spod pachy i spadła do morza.

– Nie! – ryknął Isaksen. – Ratujcie ją! Musicie ją wyciągnąć! – Wyglądał tak, jakby chciał skoczyć z powrotem do wody.

Jake zadziałał pod wpływem impulsu. Wskoczył na reling i rzucił się głową w dół w spienione fale. Najpierw zimno odebrało mu oddech, potem oślepił go mrok. Ale wiedział, gdzie spadła aktówka. Natrafiwszy dłonią na jej pasek, pochwycił go i z całej siły odbił się w górę. Dwukrotnie wir wsysał go pod wodę, jednak w końcu Jake wydostał się na powierzchnię.

Pozostali, nawołując z „Tulipana”, rzucili mu koło ratunkowe. Jake wczepił się w nie i został wywindowany na pokład.

Stał, dygocąc z zimna i pozwalając, by Galliana opatuliła go kocem.

– To był bardzo odważny czyn, młody człowieku – wyszeptała mu do ucha, z oczami błyszczącymi dumą. – Czyn godny nazwiska Djones.

James wyszczerzył zęby w uśmiechu. Warto było zaryzykować, choćby dla usłyszenia tych słów. Wręczył jej skórzaną aktówkę, po czym komendantka podeszła do Isaksena, który siedział na skrzyni, podczas gdy doktor Chatterju ostrożnie badał mu ramię, sprawdzając, gdzie jest złamane.

– Witaj, Fredriku – powiedziała. – Muszę przyznać, że jesteś ostatnią osobą, której się spodziewałam.

Isaksen podniósł na nią wzrok i chrząknął cicho.

– Znasz doktora Chatterju, rzecz jasna. I Jupitusa.

– Mi... minęło sporo czasu – wykrztusił chrapliwie mężczyzna.

– Chłopiec, który uratował twój bagaż – powiedziała Galliana, wskazując Jake'a – to Jake Djones.

Na dźwięk tego nazwiska Isaksen wyraźnie się ożywił. Przeniósł wzrok na chłopca i przyjrzał mu się uważnie, po czym uśmiechnął się.

– Miło mi cię poznać, Jake.

– A mnie pana, sir – odpowiedział Jake, zaintrygowany reakcją Isaksena.

– Zatem co się stało, Fredriku? – spytała Galliana.

– To było szaleństwo, kompletne szaleństwo wyruszać w tę podróż samotnie. Minęły dziesięciolecia, odkąd po raz ostatni żeglowałem, i trochę wyszedłem z wprawy – powiedział Isaksen. – Tak się śpieszyłem, żeby wydostać się z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego, że nie zaplanowałem trasy jak należy. Zniosło mnie na skały, ale dopiero dziesięć kilometrów przed punktem czasohoryzontu łódź zaczęła nabierać wody i zorientowałem się, że kadłub jest uszkodzony. To wtedy wysłałem wezwanie pomocy. Dzięki Bogu, przyплылиście.

– Skąd ten niezwykle pośpiech? – zainteresowała się Galliana.

– Znalazłem coś wczoraj w nocy. To coś ważnego i chciałem jak najszybciej przekazać to tobie. Osobiście.

Jake spojrział na rozbitka. Coś w tonie jego głosu sprawiało, że chłopcu serce zabiło szybciej. Jupitus zawrócił „Tulipana” w stronę brzegu, ale on także uważnie przysłuchiwał się rozmowie.

– Co znalazłeś? – spytała ponuro Galliana.

– Otwórz – odparł Isaksen, ruchem głowy wskazując aktówkę.

Odpięła klamry i wyjęła zawiązaną teczkę. Była stara, spękana i wypchana grubym plikiem niejednakowych skrawków papieru. Kiedy Galliana odstłoniła pierwszą stronę – trzymając mocno, żeby nie porwał jej wiatr – Jake zauważył, że Isaksen znów bacznie mu się przygląda. Komendantka przejrzała jeszcze kilka kartek, a potem, bez komentarza, wsunęła teczkę z powrotem do torby.

– Dziękuję, że mi to przyniosłeś. – To było wszystko, co powiedziała.

Zakończywszy badanie, odezwał się doktor Chatterju:

– Cóż, masz pękniętą kość ramienną, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Ale tym zajmiemy się później, teraz muszę wstawić ci kość promieniową z powrotem w panewkę, im wcześniej, tym lepiej. Możesz to poczuć.

Bez chwili wahania Chatterju chwycił przedramię pacjenta i szybko przekręcając je w łokciu, wprowadził kość na swoje miejsce. Staw strzelił donośnie, a Isaksen ryknął wielkim głosem i rąbnął zdrową pięścią w skrzynię.

– Już po wszystkim. – Chatterju uśmiechnął się, starając się bagatelizować sprawę.

Isaksen dyszał, zaciskając zęby, dopóki ból nie ustąpił.

Wkrótce przed dziobem wyrósł stożkowy kształt Mont-Saint-Michel. Nathan, Yoyo, Róża i kilka innych osób, prawie wszyscy w szlafrokach, czekali na nabrzeżu. Kiedy „Tulipan” wszedł do portu, wszyscy wstali, by mrużąc oczy, wypatrywać, kto jest na pokładzie.

Róża pierwsza rozpoznała pasażera.

– Wielkie nieba! – sapnęła. – Fredrik Isaksen. Do licha, co on tu robi?

Patrzyli, jak przybyli schodzą na ląd.

– Dziękuję wam wszystkim, że czekaliście – rzuciła sucho Galliana, podchodząc do zebranych. – Jest późno, a nasz nowy gość potrzebuje wypoczynku. Szybko do łóżek, bardzo proszę. Rano wygłoszę komunikat. Wszyscy strażnicy historii mają zebrać się w sali reprezentacyjnej punkt ósma.

Nie mówiąc już nic więcej, pomaszerowała w stronę zamku ze skórzaną aktówką pod pachą.

Jake był wyczerpany i zasnął bardzo szybko. Obudził się tuż po świcie i pośpiesznie

ubrał, gnany ciekawością, dlaczego Isaksenowi tak bardzo spieszyło się na Mont-Saint-Michel. Ponieważ do spotkania zostało jeszcze sporo czasu, wyprowadził Felsona na szybki spacer, z przystankiem w stajniach, gdzie dał Dorze śniadanie składające się z kapusty i jabłek.

W drodze powrotnej pod wpływem nagłego impulsu skręcił w stronę pomnika strażników historii, upamiętniającego agentów, którzy polegli na służbie. Na wysokim cokole w cieniu wierzby stała rzeźba przedstawiająca klepsydrę, wykuta ze srebrzystoczarnego marmuru. Wryto na niej tuziny nazwisk i dat, niektóre były całkiem niedawne. Jake siedział przed pomnikiem przez długi czas, zatopiony w myślach. Tak wiele istnień... Wspominając swoje niedawne postęпки, zastanawiał się, czy jest godny pozostawać na służbie. Uratowanie aktówki Isaksena poprawiło mu poczucie własnej wartości, ale czy kiedykolwiek miał dorównać wielkością tym ludziom, poległym strażnikom historii?

Kiedy za kwadrans ósma dotarł do sali reprezentacyjnej, ta wrzała już gwarem głosów. Niemal wszystkie krzesła wokół długiego stołu konferencyjnego były zajęte, a strażnicy historii stali w grupkach pod ścianami, plotkując zawzięcie.

– Uwaga! Droga dla rekonwalescenta! – zawołał jakiś głos z tyłu.

Jake obejrzał się i uśmiechnął na widok Nathana, pchającego Charliego, który siedział na staroświeckim wózku inwalidzkim. W umocowanej z boku wózka torbie podróżnej na aksamitnej poduszce wylegiwał się Pan Drake, wyraźnie rozkoszując się uwagą, jaką na siebie ściągał.

– Dobrze cię widzieć w miarę na chodzie. Przynieść ci coś? – spytał Jake, ruchem głowy wskazując stół z bufetem śniadaniowym.

Charlie już węszył w skupieniu.

– Czuję coś intrygującego. Co to może...? – Nagle spłynęło nań olśnienie. – Makaroniki! Tak, bardzo chętnie. Niesłusznie niedoceniany, ale jakże wyborny wypiek.

Jake oddał się i wrócił z kopiałym talerzem migdałowych ciastek. Charlie natychmiast wziął jedno ciastko i włożył do ust.

– No więc – prychnął okruciami – wiemy już coś więcej? Kto by pomyślał, że zjawi się u nas sam Fredrik Isaksen. To jak wizyta rodziny królewskiej. Galliana może być komendantką, ale realną władzę ma Isaksen.

Przy boku Jake'a nagle zjawiła się Topaz. Pochyliła się nad Charliem i ucałowała go serdecznie w oba policzki.

– Jak się dziś czuje nasz inwalida? *Tu te sens beaucoup mieux aujourd'hui?* A ty, maleństwo? – Połaskotała Pana Drake'a pod szyją, po czym obdarzyła ciepłym uśmiechem także Jake'a i Nathana. – A wy? Ufam, że doszliście już do siebie po waszym wypadku do miasta?

Jake pokiwał głową z zakłopotaniem, a Nathan dodał posępnie:

– Mniej słów, mniej szkód.

Nagle gwar rozmów ucichł. Jake odwrócił się i ujrzał Jupitusa wchodzącego do sali z Fredrikiem Isaksenem u boku. Szwed, z ręką na temblaku, rozglądał się wokół z miną wyrażającą łaskawe uznanie. Charlie miał rację: wyglądało to tak, jakby wyspę odwiedził ktoś z rodziny panującej. Zwłaszcza kobiety były zafascynowane. Fredrik był przystojny w pociągająco niedbałym stylu – zwłaszcza przy bladym i wyniosłym Jupitusie. W oczach pełgał mu szelmowski ogień, jakiego Jake nie dostrzegł poprzedniego wieczoru.

– Jak cudownie widzieć pana znowu, Herr Isaksen – zaszczebotała Lydia Wunderbar, przepychając się przed zebranych. – Czy wolno mi zauważyć, że wyglądasz naprawdę super, mimo iż minęło tyle lat. Ile to już czasu? Dwie dekady? – Uśmiechnęła się kokieteryjnie, unosząc dłoń do swojej perfekcyjnie ułożonej fryzury.

Isaksen uśmiechnął się półgębkiem, usiłując przypomnieć sobie, skąd mógłby ją znać.

– Tylko nie mów, że zapomniałeś! – wykrzyknęła Lydia, przejęta zgrozą. – Lydia

Wunderbar. Z monachijskich Wunderbarów. Pamiętasz, jak rozegraliśmy osiem szalonych partii kanasty, czekając na ten okropny prom w Genui? Obawiam się, że zebrałeś wtedy solidne baty – dodała i zachichotała piskliwie.

– Oczywiście, że pamiętam – mruknął Fredrik.

Dla Jake'a i chyba wszystkich pozostałych z wyjątkiem Lydii było oczywiste, że to wierutne kłamstwo.

– Musimy to kiedyś powtórzyć.

– Oczywiście! Kiedy tylko zechcesz! – Lydia klasnęła w dłonie. – Ale dość już tego, jesteś ranny, a ja cię tu zagaduję. Proszę, usiądź sobie. – Wskazała mu krzesło obok Róży.

Na widok ciotki Jake'a Fredrik rozpromienił się.

– Panna Rozalinda Djones – powiedział. – Oto twarz, która przywołuje wspomnienia.

Przypominasz sobie Persję?

Róża spiekła raka, bawiąc się nerwowo klamerką swojego sakwojażu.

– Niełatwo zapomnieć flotę pięciuset okrętów płynących po mnie przez Morze Czerwone.

– Persowie byli w kolczugach, ty w spiżu.

Jupitus wydawał się zirytowany tą wymianą zdań.

– Myślę, że Herr Isaksenowi będzie znacznie wygodniej na tamtym fotelu – oznajmił, odciągając gościa od Róży, by posadzić go na ozdobnym meblu w stylu Ludwika XIV, stojącym przy oknie.

Jake pochylił się do Topaz.

– Czy on jest żonaty? – wyszeptał.

– Od czterdziestu lat. Fru Isaksen jest kobietą nadzwyczaj wyrozumiałą.

Rwetes ucichł ponownie, kiedy do sali wkroczyła Galliana z Oliwką, swoją charcicą, drepczącą potulnie za swoją panią. Komendantka niosła pod pachą aktówkę Isaksena.

– Witam wszystkich – powiedziała. – Dziękuję wam za punktualność.

Zatrzymała się obok Jake'a.

– Usiądziesz obok mnie z przodu? – spytała go. – Mogę potrzebować twojej rady w pewnej sprawie.

Jake spełnił prośbę, pękając z dumy, choć nie miał pojęcia, w jakiej to sprawie mógłby się przydać komendantce.

Galliana zajęła swoje miejsce. Jupitus zasiadł po jej jednej stronie, a Jake – lekko onieśmielony – po drugiej. Rozglądając się, zauważył Różę, która uśmiechała się do niego i kiwała głową, tak samo jak przy jego pierwszej wizycie w sali reprezentacyjnej.

– Zapewne wszyscy zdążyliście się już przywitać z naszym znakomitym gościem – zaczęła Galliana. – Jestem pewna, że mówię w imieniu wszystkich, zapewniając, że jest niezwykle mile widziany na naszej wyspie.

Rozległy się pomruki aprobaty.

– A teraz do rzeczy...

Drzwi na końcu pomieszczenia otwały się z trzaskiem i do sali weszła Yoyo.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że już zaczęliście. – Skrzywiła się, nie wyglądając bynajmniej na zakłopotaną.

Topaz i Charlie spojrzeli po sobie, a Nathan poderwał się na nogi, wołając:

– Tutaj! Tu jest wolne miejsce, panno Yuting.

Yoyo rzuciła mu obojętne spojrzenie i usiadła na stołku przy kominku.

– Nie ma za co – wymamrotał Nathan do siebie, opadając z powrotem na krzesło.

Komendantka chrząknęła i podjęła przemowę.

– Przyczyną, dla której was tu zwołałam, jest to. – Uniosła aktówkę Isaksena. – Torbę tę

odkryto zaledwie wczoraj, w czasach Fredrika, ukrytą w jego rezydencji w północnej Szwecji. Zawiera dokumenty i notatki należące do jego zmarłego syna, Caspara.

Na dźwięk imienia zdrajcy przez zgromadzenie przebiegł szmer. Róża rzuciła Jake'owi zatroskane spojrzenie. Isaksen zwiesił głowę, zawstydzony wspomnieniem postępków własnego syna.

– Jak wszyscy wiecie, kiedy odkryliśmy, że Caspar pracował jako podwójny agent, służąc Agacie Zeldt, po jego niefortunnej śmierci jego pokoje, jak również cała posiadłość Isaksenów, zostały bardzo dokładnie zbadane. Tak bardzo zależało nam na zdobyciu dodatkowych informacji na temat działalności Caspara, że rodzina Isaksenów pozwoliła mi uczestniczyć w poszukiwaniach. Nie odkryliśmy niczego.

Jake spojrzął na plik dokumentów spoczywający w dłoni komendantki. Pałał żądzą poznania ich treści.

– Ale wczoraj, podczas prac renowacyjnych, odkryto tajny sejf, ukryty za drewnianą boazerią w patiserii Caspara. Większość tych papierów rzeczywiście zapisano jego ręką.

– Patiseria? – huknął Truman Wylder (ojciec Nathana był równie hałaśliwy jak jego syn).  
– Co to, u licha, jest patiseria?

– Wydaje się, że chodzi o rodzaj pracowni cukierniczej, którą Caspar urządził, by mieć gdzie przygotowywać swoje wypieki i słodycze – odpowiedziała Galliana.

Charliemu opadła szczęka.

Pomimo powagi tematu Jake nie zdołał powstrzymać uśmiechu na myśl o patiserii Caspara. Oczywiście, że swoje sekrety ukryłby właśnie tam – Jake nigdy w życiu nie spotkał kogoś równie zbkikowanego na punkcie ciastek.

– Dokumenty ujawniły wstrząsającą prawdę. – Galliana potoczyła surowym wzrokiem po zebranych. – Przykro mi to mówić w obecności jego ojca, ale wygląda na to, że ambicje Caspara Isaksena sięgały o wiele dalej, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Caspar zaoferował swoje usługi w więcej niż jednym kierunku... Krótko mówiąc, nawiązał współpracę nie tylko z Agatą Zeldt, lecz także z innym spośród naszych najgroźniejszych wrogów – Xi Xiangiem.

Strażnicy historii – już od dłuższej chwili siedzący na krawędziach krzesel – jednocześnie wydali okrzyki zdumienia, po czym wszyscy naraz zaczęli komentować wiadomość między sobą. Jupitus musiał wstać i zastukać łyżeczką w filiżankę, przypominając, że komendantka jeszcze nie skończyła.

– Jak wszyscy wiemy – podjęła Galliana – od incydentu w chińskim biurze rok temu staramy się ustalić miejsce pobytu Xi Xianga. Zawsze był jednym z naszych najbardziej niebezpiecznych przeciwników, w niemałym stopniu także dlatego, że w jego szaleństwie na ogół próżno doszukiwać się metody. Ma jeden prosty cel: wywołać chaos. Jest też mistrzem maskarady i niczego nie kocha bardziej, niż zniknąć bez śladu, jakby rozpułynał się w powietrzu. Co więcej – wybaczcie, ale w tej kwestii nie będę bawić się w subtelności – jest zdecydowanie najbardziej bezwzględny mordercą, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia.

Przez salę przetoczył się pomruk aprobaty. Jake wiedział, skąd to poruszenie: oprócz licznych zbrodni, jakie popełnił, Xi Xiang był osobiście odpowiedzialny za zamordowanie męża Galliany oraz ich jedyne dziecko. Utopił pięcioletniego chłopca, przywiązując mu ciężary do stóp i wrzucając do Morza Japońskiego, śmiejąc się przy tym do rozpuku. Jake przyglądał się komendantce, oczekując oznak emocji, ale jej twarz zachowała kamienny spokój.

– Wszystko to jest wystarczająco okropne – ciągnęła Galliana – ale od pewnego czasu obawialiśmy się, że Xi Xiang planuje nową potworność. Treść tych dokumentów wydaje się potwierdzać nasze obawy. Na szczęście znaleźliśmy także wskazówki dotyczące jego miejsca pobytu. Mam tu na myśli zarówno lokalizację geograficzną, jak i temporalną.



Ignorując okrzyki, jakimi powitano tę nowinę, Galliana naląła sobie wody do szklanki, pociągnęła łyk i podjęła mowę:

– Xi Xiang jest w rzeczywistości Indonezyjczykiem, urodzonym na wulkanicznej wyspie Krakatau. Jednak na swoją ojczyznę wybrał Chiny, niedługo po tym, kiedy skończył dwadzieścia...

– Tabuan – przerwała Yoyo.

– Słucham? – Komendantka spojrzała na niego srogo.

– Urodził się na wyspie Tabuan, niedaleko wybrzeża Sumatry. Jego rodzina przeniosła się na Krakatau, kiedy miał dwa lata. Jestem ekspertką, jeśli chodzi o Xi Xianga.

Podniósł się szmer. Starsi strażnicy historii wymieniali się po cichu komentarzami, zerkając z oburzeniem na Yoyo. Przerwanie komendantce było poważnym grzechem, zwłaszcza gdy robił to ktoś nowy na wyspie. W reakcji na atmosferę dezaprobaty Yoyo obojętnie wzruszyła ramionami.

– Przepraszam, że wytknęłam błąd.

– Ona ma rację, oczywiście – wtrącił gorliwie Nathan. – To był Tabuan.

– Wystarczy – ucięła Galliana. – Panno Yuting, nie wątpię, że jesteś specjalistką w tej kwestii, tak jak zresztą w wielu innych sprawach, ale mamy naprawdę dużo do omówienia. Jak już mówiłam, Xi Xiang osiadł w Chinach i tam prowadziliśmy nasze poszukiwania, skupiliśmy się zwłaszcza na rejonie Morza Południowochińskiego, gdzie ma licznych sojuszników. – Otworzyła teczkę i wzięła do ręki pierwszy plik papierów. – Te dokumenty sugerują, że powinniśmy radykalnie zmienić nasz sposób myślenia. Wygląda na to, że Xi Xiang ma kryjówkę na Zachodzie. Wszystko wskazuje na to, że w ciągu minionych kilku lat spędził tam sporo czasu. Niewykluczone, że jest tam i teraz. Lokalizacja jest zaskakująca...

Z pliku kartek wyjęła jedną i uniosła, pokazując zebrany. Był to plan miasta, stary i postrzępiony na brzegach. Jake musiał porządnie wyciągnąć szyję, aby go zobaczyć. Narysowano go odręcznie i opisano wyblakłymi ozdobnymi literami, ale w kształcie przecinającej rysunek rzeki było coś znajomego.

– Londyn – powiedziała Galliana. – Postelźbietański Londyn, początek siedemnastego wieku. Jeżeli nie przebywa tam osobiście, z całą pewnością ma w mieście swoją kwaterę.

Jake nagle pojął, dlaczego komendantka poprosiła, aby z nią usiadł. Londyn był miastem, w którym się wychował.

Galliana mówiła dalej:

– Wbrew pozorom ma to sens. Poza obsesją na punkcie chaosu i mordowania Xi Xiang ma też drugą manię: teatr, aktorstwo, przebieranki, magię. Rzecz jasna uważa się za pierwszorzędnego artystę. A nie ma miejsca ważniejszego dla historii dramatu niż szekspirowski Londyn. No i oczywiście jest to ostatnie miejsce, w którym przyszłoby nam do głowy go szukać.

– Przeciągnęła palcem przez środek mapy. – Centrum Londynu, Tamiza, Biała Wieża, Most Londyński, katedra Świętego Pawła... A tutaj – palec zatrzymał się w jednym punkcie – na północ od rzeki, tuż za Blackfriars, rysunek ośmiornicy, znak Xi Xianga.

– Właśnie tam, naszym zdaniem, może się ukrywać – wyjaśnił Jupitus.

– Niczego nie wiemy na pewno, ale to jedyny trop, jaki mamy – powiedziała Galliana. – Dziś po południu zamierzam posłać tam zespół dla przeprowadzenia rozpoznania.

Nastąpiła kolejna erupcja zgiełku. Ludzie podnosili ręce i zadawali pytania, wszyscy naraz.

– Proszę o ciszę! – zawołała Galliana, przekrzykując wrzawę. – Cisza! Mam do omówienia jeszcze jedną ważną kwestię.

Poczekala, aż wszyscy ucichną, po czym podjęła wypowiedź:

– Badanie ostatniej partii dokumentów znalezionych w teczce przyniosło nam jeszcze jedno odkrycie, być może najbardziej alarmujące ze wszystkich. – Komendantka położyła dłoń na ramieniu Jake’a, rzucając mu zatroskane spojrzenie. – Dokumenty te odnoszą się do innego młodego człowieka, który najwyraźniej współpracował z Xi Xiangiem i Casparem... – Galliana zaczerpnęła tchu i rzuciła bombę: – To Filip Djones.

# 7

## Znak ośmiornicy

Róża uniosła dłonie do ust, Charlie zakrztusił się makaronikiem, zaś signor Gondolfino upuścił swoją laskę na posadzkę. Jake zapomniał o oddychaniu. Wzburzeni agenci krzyczeli jeden przez drugiego i tylko Yoyo wydawała się zaskoczona ich reakcją.

– Uspokójcie się! – nawoływała Galliana. – Uspokójcie się! Usiądźcie wszyscy.

– Co to ma znaczyć? – zagrział Truman Wylder. – Jakie masz dowody?

– Istnieją różne poszlaki – odpowiedziała komendantka, wyławiając z pliku konkretną kartkę. – Oto jeden z chronotelegramów odebranych przez Caspara. – Poprawiła okulary na nosie i zaczęła czytać: – „XX i ja dotarliśmy do Londynu”. XX to z pewnością Xi Xiang. „XX wyrusza na wschód za tydzień. Potrzebne atomium na podróż”. I tu podpis: „Filip D.”.

I znów wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– To niczego nie dowodzi – zauważył ktoś.

– Każdy mógł napisać coś takiego – dodał ktoś inny.

Głos zabrał Jupitus:

– Wiemy, że Caspar mówił o Filipie w starożytnym Rzymie, prawdopodobnie się spotkali. Ale Caspar twierdził, że Filip był torturowany.

Podczas gdy mówił, z typową dla siebie niedelikatnością, Galliana mocno trzymała Jake’a za ramię, teraz zeszywniała.

– Być może jego współpraca z Xi Xiangiem była tylko pozorowana. Być może szpiegował go, został odkryty i stąd tortury. Ale to prowadzi nas do kolejnej, jeszcze większej zagadki: dlaczego, do licha, przed tym wszystkim nie nawiązał kontaktu z nami? Nie, w rzeczy samej mam przeczucie, że przeszedł na stronę wroga. Zawsze był żądny władzy.

– Że co proszę? – zawołała Róża z drugiego końca stołu. – Filip miałby pracować dla wroga? Żądny władzy? Czyś ty rozum postradał, Jupitusie?

– Spodziewałem się, że będzie to niepopularny pogląd. – Jupitus wzruszył ramionami. – Ale kiedy usłyszysz o wszystkich faktach...

– Jupitusie Cole, upadłeś na dno i wierzysz w nim dziurę! – zawołała Róża. – Jak śmiesz?! Jak śmiesz wygadywać takie rzeczy?!

Jupitus znów wzruszył ramionami i pociągnął łyk kawy z filiżanki.

– Dzięki Bogu, że nie doszło do tego ślubu! – grzmiąca Róża. – Dzięki Bogu! Jesteś... jesteś bydlę! Ty chciwy, małostkowy...

– Krzycz, Rozalindo, miotaj obelgi, to u ciebie normalne. Cóż za niezwykle dojrzałe zachowanie.

– I nie nazywaj mnie Rozalindą. Nie cierpię tego imienia! Zawsze go nienawidziłam! Nie masz prawa zwracać się do mnie w ten sposób...

– Dość! – krzyknął nagle Jake, uderzając pięścią w stół, aż zabrzączała zastawa. – Jakie fakty, panie Cole? Czy mój brat żyje?

Zapadła grobowa cisza. Róża opadła na krzesło, zawstydzona swoim wybuchem. Nawet Jupitus wyglądał, jakby czuł się winny.

– Przepraszam, komendantko – powiedział Jake cicho.

– Nie przepraszaj, nic się nie stało – odpowiedziała łagodnym tonem Galliana. – Miałeś prawo się zdenerwować. To wszystko jest dla ciebie trudniejsze niż dla kogokolwiek innego. –

Odwróciła się do Jupitusa i dodała oschle: – Niektórzy z siedzących przy tym stole powinni o tym pamiętać. Widziałam więcej dobrych manier w cyrku! – Zamilkła na chwilę, czekając, aż minie jej gniew. – Jake bardzo słusznie zapytał o fakty. W tej materii wydaje się, że jeden ślad ma szczególne znaczenie. Oto ostatnia kartka z teczki Caspara. – Galliana wysunęła papier leżący na spodzie pliku – dokument był znacznie nowszy, mniej zniszczony niż pozostałe – i położyła go na stole przed Jakiem. – Czy to wydaje ci się w jakikolwiek sposób znajome?

Jake spojrział na papier i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia. Zobaczył nakreślone odręcznie schematy dwóch rodzajów broni palnej – mniejszej i większej, pokazanych pod różnymi kątami – uzupełnione rysunkami objaśniającymi zasadę działania każdego z mechanizmów. Rysunki upstrzone były notatkami pisanymi drobnym maczkiem.

Wszyscy zgromadzeni patrzyli na Jake'a, który powoli wyciągnął rękę, by dotknąć papieru. Filip uwielbiał szkicować intrygujące rzeczy: maszyny, okręty, armaty... Kiedy miał zaledwie dziesięć lat, natknął się na książkę o wynalazkach Leonarda da Vinci. Na początku naśladował Leonarda – nawet notatki zapisywał pismem lustrzanym, tak jak jego mistrz – ale wkrótce wypracował własny niepowtarzalny styl. Dwa urządzenia na szkicu – smukły rewolwer i rodzaj masywnej wyrzutni (albo „ogniowy miotacz”, jak głosił podpis pod dolnym schematem) – narysowano z niesłychaną dbałością o szczegóły. Oba miały fantazyjny kształt złotego smoka, którego głowa i paszcza kryły w sobie lufę.

– Czy rozpoznajesz pismo? – spytała jeszcze raz Galliana.

Jake skinął głową.

– Ja również je rozpoznaję – powiedziała łagodnie, po czym zwróciła się do pozostałych strażników historii: – Jesteśmy zdania, że te szkice, a może raczej plany, którymi najpewniej są, zostały wykonane ręką Filipa Djonesa. Na górze strony widnieje pieczęć z odcisniętym wizerunkiem ośmiornicy.

Topaz, Nathan, Charlie i Róża siedzieli w absolutnym bezruchu ze wzrokiem utkwionym w Jake'u. Galliana mówiła dalej:

– Doktor Chatterju poświęcił tę noc na zbadanie rysunku w celu określenia jego wieku.

– Metoda nie jest doskonała – włączył się doktor, unosząc się lekko z krzesła – ale atrament, wystawiony na działanie powietrza, z czasem zmienia swoje właściwości. Kruszeje, można powiedzieć. Wykorzystując pewien odczynnik chemiczny, mogę z grubsza określić, w jakim stopniu wysechł.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Róża.

– Zatem jak bardzo wysechł, doktorze Chatterju?

Doktor spojrział na Gallianę, która skinęła głową przyzwalająco.

– Moim zdaniem rysunek powstał nieco ponad rok temu.

Wszyscy naraz gwałtownie wciągnęli powietrze. Kiedy znaczenie tej informacji dotarło do Jake'a, jego dolna warga zaczęła drżeć. Łzy cisnęły mu się do oczu, ale je powstrzymał. Galliana ścisnęła go za ramię jeszcze mocniej.

– Nieco ponad rok? – spytał.

– Tak uważamy.

Znowu cisza.

– Ale nieco ponad rok temu Caspar twierdził, że Filip prawdopodobnie nie żyje.

– To szokujące, wiem – podjęła Galliana ze śmiertelną powagą. – Musimy się dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Tymczasem nie martwmy się na zapas. Na razie bądźmy wdzięczni, że w ogóle mamy jakiś trop. – Westchnęła głęboko. – No dobrze... Co do planowanej operacji, postanowiłam, że do Londynu roku tysiąc sześćset dwunastego udadzą się następujący agenci: Topaz St Honoré, Nathan Wylder – przerwała na chwilę, zanim ogłosiła trzecie nazwisko

– oraz Jake Djones. Topaz będzie dowodzić operacją. Charlie, niestety, nie jest zdolny do podróży.

Jake usłyszał swoje imię i pomimo szoku, w jakim wciąż się znajdował, poczuł przyływ dumy, iskrę pocieszenia. Został wybrany i nawet nie musiał nikogo przekonywać.

– Proszę, proszę – mruknęła ponuro Róża z drugiego końca stołu. – Rychło w czas.

Wybór agentów nie był dla nikogo niespodzianką. Walor strażnika czasu – czyli jego zdolność do przenoszenia się w czasie i przestrzeni – był najsilniejszy u młodych agentów, zwłaszcza u tak zwanych diamentów, czyli tych, którzy pod zamkniętymi powiekami dostrzegali wyraziste, przypominające diament romby. Nathan, Topaz, Jake, a także Charlie byli diamentami. Diamentami byli również rodzice Jake’a oraz jego ciotka. Zdarzały się jednak wyjątki od tej zasady: Jupitus, na przykład, nie był diamentem, ale jego walor, choć agent młodość miał już za sobą, nadal był wyjątkowo silny.

– Pozostawiam te rysunki w twoich rękach – powiedziała cicho Galliana, zwracając się do Jake’a. – Zabierz je ze sobą. – Przesunęła szkic po blacie, a on ujął papier w taki sposób, jakby był najcenniejszą relikwią.

Yoyo uniosła rękę i cierpliwie czekała na przyzwalające skinienie komendantki.

– Chciałabym, jeśli wolno, zgłosić swoją kandydaturę do tej misji – powiedziała pokornie.

Matka Yoyo przytknęła palec do jej ust, dając znak, aby zamilkła.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony, panno Yuting, ale nie tym razem.

Uśmiech na twarzy Yoyo ani drgnął.

– Jak już wspominałam, temat Xi Xianga badałam bardzo dogłębnie – nalegała dziewczyna. – I nie muszę chyba dodawać, że posiadam rozległą wiedzę na temat wszystkiego, co wiąże się ze Wschodem.

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Jesteś cennym członkiem naszego zespołu. Jednak tym razem nie wybieramy się na Wschód.

– Ale sprawa dotyczy Wschodu. Xi Xiang jest Chińczykiem, to znaczy, operuje w Chinach.

–Cóż, przykro mi, panno Yuting, ale odpowiedź nadal brzmi: nie.

– Mimo to usilnie proszę...

– A ja usilnie radzę ci, zamilcz wreszcie – warknęła Galliana. – Ostatnio trudno powiedzieć, aby twoja obecność przynosiła nam cokolwiek dobrego.

Tym razem uśmiech Yoyo zniknął. Madame Tieng wstała, czerwieniąc się.

– Mojej córce jest bardzo przykro... – zaczęła.

– Nie odpowiadaj za mnie, matko. Nie jest mi ani trochę przykro. Uważam za nedorzeczność fakt, że nie włączono mnie w skład grupy. Jestem warta więcej niż tych troje razem wziętych. Walczę sprawniej i myślę sprawniej.

Z tymi słowami wstała, obrzuciła zebranych pogardliwym spojrzeniem i wybiegła z sali, trzaskając za sobą drzwiami.

W ciężkiej ciszy zebrani patrzyli na z wolna osiadający obłok kurzu.

– *Che dramma* – wymamrotał Gondolfino, nachyliwszy się do doktora Chatterju.

Galliana starała się wyglądać na nieporuszoną.

– Bardzo proszę, aby grupa operacyjna przeszła do kostiumerii, a po przygotowaniu strojów pobrała broń w zbrojowni. Wyruszenie na „Gromie”, punkt dziesiąta. Nie ma chwili do stracenia. To wszystko. Zamykam spotkanie.

Topaz i Róża natychmiast poderwały się i podbiegły do Jake’a. W ślad za nimi potoczył się wózek Charliego, popychany przez Nathana, który jednym okiem zerkał na drzwi, na

wypadek gdyby Yoyo jednak wróciła.

–Wszystko będzie dobrze, Jake – pocieszała go Topaz, kiedy przyjaciele zebrali się wokół niego. – Dowiemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

– W porządku – powiedział Jake, wzruszając ramionami.

Kłamał. Daleko mu było do „porządku”. Był wstrząśnięty i bardziej zdezorientowany niż kiedykolwiek dotąd. Filip został zabity czy nie? Czy pracował dla wrogów? Za dużo było znaków zapytania, aby teraz o tym myśleć.

– Chodźmy – powiedział stanowczym tonem, ściskając w dłoni szkic Filipa.

W kostiumerii długi wieszak elżbietańskich strojów wtoczył się z turkotem do przymierzalni.

– Początek siedemnastego wieku to przede wszystkim ogromne kołnierze, czyli krezy, bo tak brzmi ich właściwa nazwa – poinformował Jake’a Nathan, starając się odwrócić uwagę przyjaciela od myśli o Filipie. Przeciągnął dłonią po fałdach ciasno plisowanego jedwabiu. – Im większe, tym lepiej, a ja zamierzam posunąć się do skrajności.

Wybrał kołnierz o obwodzie niemal dwukrotnie większym od obwodu własnej głowy. Przyłożył go sobie do szyi i przejrzał się w lustrze.

– Cześć, przystojniaku! – Roześmiał się i puścił oczko do własnego odbicia.

– Czekaj na swoją kolej – syknął Gondolfino i wyrwał mu kołnierz z rąk. – Najpierw panna St Honoré.

Wystąpił naprzód, rozciągając usta w przymilnym uśmiechu. Uwielbiał Topaz i nie wstydził się tego okazywać.

– Ciebie, moja droga, widzę w aksamicie i brokacie – zaszczębiotał, przesuwając pomarszczoną dłoń wzdłuż szeregu sukienek, które wybrał dla niej już wcześniej.

Po Topaz Gondolfino zabrał się do ubierania chłopców. Kiedy skończył, cofnął się o krok i klasnął w dłonie.

– Popatrzmy teraz na was wszystkich razem, *tutti insieme* – powiedział, poprawiając monokl.

Troje agentów ustawiło się w szeregu.

– *Incantevole!* – zawołał. – Zachwycający!

I rzeczywiście, w ciemnych strojach i białych krezach stanowili niezwykle malowniczą grupę.

W zbrojowni czekał już na nich doktor Chatterju, stojący przy warsztacie w towarzystwie Amrita, swojego zadziornego bratanka, który służył mu jako asystent.

– Tutaj. – Doktor pomachał ręką. – Chodźcie, chcę wam coś pokazać.

– Zabawki! To lubię! – Nathan wyszczerzył zęby na widok gadżetów, które Chatterju rozłożył na stole.

– Na początek chciałbym zaprezentować wam moją nową wielostrzałową kuszę sprężynową – powiedział doktor, wybierając pierwszy przedmiot.

Rzecz przypominała skrzyżowanie kuszy z rewolwerem; miała grube łoża kryjące mechanizm sprężynowy, kolbę, bębnekowy magazynek amunicji oraz normalny pistoletowy spust.

– Bębnek mieści dziesięć bełtów i można go wymienić w pół sekundy. – Doktor zademonstrował, wprawnie wypinając magazynek z łoża i mocując inny na jego miejscu. – Dla wzmocnienia skuteczności bełty można pokryć trucizną.

– Czy mogę, sir? – spytał Nathan, niecierpliwie przebierając nogami.

Chatterju podał mu broń i Amerykanin niezwłocznie opróżnił pół magazynka, strzelając w stronę tarczy na drugim końcu sali. Śmignęły stalowe błyski – pac! pac! pac! pac! pac! –

i bełty utkwiły w celu.

– I co wy na to? Prawie wszystkie w dziesiątkę!

Topaz odebrała mu kuszę i złożyła się do strzału. Pięć bełtów wbiło się w sam środek tarczy, tworząc zwarty pęk.

– Oczywiście, to taka bardziej damska broń – wymamrotał pod nosem Nathan.

Jake też chciał spróbować, ale Chatterju dał znak, że chciałby kontynuować pokaz.

– Macie tu także inne typy broni miotającej – powiedział, wskazując na skrzynię. –

Żadnych materiałów wybuchowych, rzecz jasna, a wszystko utrzymane w stylu właściwym początkom siedemnastego wieku. – Przesunął się nieco, aby pokazać im zawartość półki. –

Oczywiście będą wam potrzebne także inkaust i gęsie pióro, standardowe wyposażenie w elżbietańskim Londynie. Ale spróbujcie napisać coś tym, a czeka was niemiła niespodzianka. Amrit, zademonstruj z łaski swojej.

Wesoło uśmiechnięty chłopak założył ochronny hełm z goglami i rękawice kolcze, po czym ujął pióro i zanurzył je w kałamarzu.

– W chwili gdy pióro wejdzie w kontakt z atramentem, zaczyna się reakcja – wyjaśnił doktor.

Mówił prawdę: wszyscy troje usłyszeli syczenie dobywające się z czubka pióra. Amrit przeszedł na drugą stronę sali, umieścił pióro w metalowym stojaku i cofnął się pośpiesznie. Nagle pióro rozbłysło oślepiającym białym blaskiem i wybuchło, wytwarzając chmurę dymu. Podmuchał Amrita na stertę tarcz i hełmów, ale chłopiec nie przejął się tym ani trochę. Wygramolił się ze złomu i chichocząc, zaczął otrzepywać swój laboratoryjny fartuch.

– Śmiercionośne pióro. – Nathan pokiwał głową z uznaniem. – Podoba mi się.

Ostatnia nowość została nazwana „całkiem poręcznym silnikiem zaburtowym”. Pojemnik wyglądał jak sfatygowany kuferek żeglarski, ale z jego wnętrza Chatterju ostrożnie wydobył maszynę złożoną z wielu zmyślnie połączonych części, wykonanych z wypolerowanego drewna albo lśniącego metalu. Doktor przekręcał i przesunął owe elementy tak długo, aż rzecz nabrała kształtu, przemieniając się w rumpel, silnik i śrubę napędową, połączone w jeden pomysłowy mechanizm.

– Można to przyczepić do rufy praktycznie każdej niewielkiej łodzi – chełpił się doktor, składając silnik z powrotem i chowając w skrzyni. – To jedyny prototyp i jestem z niego szczególnie dumny, więc bardzo proszę, uważajcie.

Do dziesiątej zostało niewiele czasu. Jake, Nathan i Topaz wrócili do swoich pokojów, aby spakować wszystko, czego mogli potrzebować podczas wyprawy. Jake podszedł do komody stojącej przy łóżku i wyjął z niej fotografię. Przedstawiała rodzinę Djonesów, a wykonano ją w święta Bożego Narodzenia przed zaginięciem Filipa. Jake przyjrzał się uśmiechniętej twarzy brata. Co kryło się za tym uśmiechem? Czy naprawdę mogła to być zdrada?

– Oczywiście, że nie – wymamrotał.

Włożył zdjęcie do teczki obok szkicu Filipa i spakował do torby. Wychodząc z pokoju, natknął się na Nathana, który tarabanił się przez korytarz z torbą zarzuconą na plecy.

– Słuchaj, staruszkule, wiem, że masz teraz inne rzeczy na głowie, ale powiedz, co sądzisz o całej tej chryi z panną Yuting? – powiedział Amerykanin w sposób, który uważał za szept.

Nie czekał na odpowiedź Jake'a.

– Te jej przechwałki, że jest lepsza niż my wszyscy razem, były cokolwiek nie na miejscu, ale mimo to... Sam nie wiem, dziwne to wszystko, nie sądzisz? Właśnie byłem u niej przed chwilą – wyznał. – Chciałem porozmawiać, pożegnać się. Udawała, że nie ma jej w pokoju, ale była tam jak nic. Siekła mieczem, aż świstało.

– Wiesz, niewiele możemy na to poradzić. – Jake wzruszył ramionami. – Myślę, że jej

przejdzie, zanim wrócimy.

Kiedy to mówił, w głowie zakiełkowała mu niepokojąca myśl: „A jeśli nie wrócimy?”. Misje wiązały się z realnym ryzykiem i prawda była taka, że w dziejach Tajnych Służb agenci nie zawsze kończyli swoje wyprawy żywi. Pomnik pod wierzbą był tego smutnym dowodem. Nagle Jake również zapragnął zobaczyć się z Yoyo przed wyruszeniem w drogę.

– Chodźmy do niej – powiedział. – Tylko szybko. Odpływamy za pięć minut.

Popędzili do jej pokoju, ale za otwartymi na oścież drzwiami nie było nikogo. Czas naglił, więc zrezygnowawszy z poszukiwań, chłopcy zeszli do przystani przygnębieni. Przy „Gromie”, niedużej fregacie kupieckiej o błękitnych żaglach i skomplikowanej sieci olinowania, zebrała się mała grupka żegnających.

– Charlie, hultaju, będzie mi ciebie brakowało – rzekł Nathan, ściskając dłoń przyjaciela.

Jake i Topaz pożegnali się z Charliem serdecznym uściskiem.

– Życzę powodzenia – powiedział do nich. – Ale musicie coś mi obiecać. Idźcie do The Globe i obejrzyjcie coś z oryginalnego Szekspira. Macie to zrobić. Ja nie żartuję, słyszycie?

– Umieszczam to na pierwszym miejscu naszej listy – oznajmił Nathan uroczyście, spoglądając ukradkiem na Jake'a i przewracając oczami. (Jake nie miał pojęcia, skąd u Nathana, tak przywiązanego do dramatyizmu, brała się niechęć do teatru i opery).

Galliana wręczyła Topaz małą szkatułkę zawierającą atomium i chronofuzor.

– Jeśli zlokalizujecie Xi Xianga albo kogokolwiek z jego ludzi, bądźcie bardzo ostrożni. To przewrotny człowiek, spodziewajcie się fałszu na każdym kroku. I niezmiernych pokładów okrucieństwa.

– Będziemy ostrożni, komendantko – obiecała Topaz.

– Zostajesz z ciotką Różą na kilka dni – powiedział Jake do Felsona, głaszcząc go czule. – Nie martw się, na pewno będzie cię rozpieszczać.

– A pewnie – przytaknęła dziarsko Róża, po czym dodała dość głośno, aby usłyszał ją Jupiterus: – Komu potrzebny człowiek do przytulania w nocy?

Uścisnęła się serdecznie.

– Uważaj na siebie, drogi chłopcze – dodała Róża. – Jeżeli Filip gdzieś żyje, odnajdziesz go, prawda?

–Zrobię, co w mojej mocy. Do widzenia, ciciu – powiedział Jake.

Wtem wróciła do niego tamta straszna myśl, że być może już nigdy nie wróci. Zaskoczył ciotkę dodatkowym, serdecznym uściskiem, po czym podniósł swój bagaż. Już miał wejść wraz z innymi na pokład, kiedy nadbiegła Yoyo. Jej napuchnięte, przekrwione oczy utkwione były w Jake'u.

– Szukaliście mnie?

Jake czuł się nieswojo ze świadomością, że wszyscy na niego patrzą.

– M-m-my tylko chcieliśmy się pożegnać...

Yoyo ujęła jego dłoń.

– Naprawdę mam nadzieję, że odnajdziesz swojego brata.

Podczas gdy patrzyła mu prosto w oczy, Jake'a przeszył dziwny dreszcz. Jeszcze nigdy nikt nie patrzył na niego tak bezpośrednio.

– Wróc cały i zdrowy, dobrze? – powiedziała Yoyo.

– Tak. Dobrze. Wrócę – rzekł oszołomiony.

Wtedy Yoyo pochyliła się i pocałowała go w policzek. Usta miała przyjemnie ciepłe – tak przyjemnie, że włosy na karku zjeżyły mu się z rozkoszy.

Nathan parsknął z niedowierzaniem, a kilka z obecnych osób uniosło brwi w zdumieniu.

– Uważaj na Jake'a, jasne? – powiedziała Yoyo do Nathana, po czym zawróciła na pięcie,



przepchnęła się między ludźmi i pobiegła do zamku.

– A na mnie to pouważam sobie sam, co nie? – zawołał za nią Nathan. – Ktoś musi – mruknął pod nosem. – Człowiek tyle się stara i oto co dostaje w zamian. Urocze!

Był tak zgaszony, że darował sobie zwyczajową „improvizowaną” przemowę o czekających ich niebezpieczeństwach. Wsiedli na statek wśród pożegnalnych okrzyków, a potem odbili od brzegu.

Jake patrzył na oddalającą się wyspę. Ludzie na nabrzeżu stawali się coraz mniejsi i mniejsi. W głowie miał mętlik, jakiego nie doświadczył chyba nigdy w życiu. Rewelacje o Filipie, spojrzenie Yoyo i to dręczące przeczucie, że zmierzają ku własnej zagładzie.

## 8

# Powrót nad Tamizę

Kiedy znaleźli się na pełnym morzu, Topaz starannie skalibrowała chronofuzor, dodała atomium, rozlała trzy porcje i rozdała je przyjaciółom. Każdy strażnik historii, aby móc podróżować w czasie, musiał posiadać naturalną po temu zdolność, mimo to przy każdych przenosinach należało bardzo dokładnie przeliczyć dystans i czas, a potem sporządzić i zażyć roztwór złocistego atomium o ściśle dobranych proporcjach. Wystarczyłby drobny błąd, aby agent zdryfował w czasie, co mogło się skończyć rozerwaniem atomów składających się na jego ciało. Każda podróż niosła ze sobą ryzyko i podczas wejścia w punkt czasohoryzontu strażnicy winni zachowywać najwyższe skupienie.

– Czy tylko mój żołądek tak burczy? – spytał niewinnie Nathan i wychylił swoją porcję atomium, krzywiąc się teatralnie. Spojrzał tęsknie w stronę wejścia do opustoszałego kambuza. – Gdyby Charlie tu był, już by coś dla nas pichcił – swój mistrzowski suflecik czy coś...

– Może pójde i coś przyrządzę – zaproponował Jake.

Nathan potrząsnął głową.

– Bez obrazy, staruszku, ale talenty kulinarne nie są czymś, czym mogłaby pochwalić się twoja rodzina. Nie, nie mamy innego wyjścia – oznajmił z mocą. – Stworzę jeden z moich wybitnych, charlestońskich zestawów drugośniadaniowych. Przy tylu umiejętnościach łatwo zapomnieć o mojej biegłości we władaniu drewnianą łyżką. Topaz, zechciałabyś mnie zastąpić?

Nathan przekazał koło sterowe dziewczynie i począł do kambuza. Szary poranek pojaśniał i zza chmur wyszło słońce, by posrebrzyć morze rojem refleksów. Topaz spojrzała na Jake'a, który siedział oparty o reling, wystawiając twarz na ciepłe promienie.

– Panna Yuting i ty wyglądaliście na całkiem... – zaczęła Topaz.

Jake spojrzał na przyjaciółkę, mrużąc oczy. W zamglonym blasku, z głową osadzoną na poduszce jedwabnej krezy, przypominała zjawę.

– Wyglądaliśmy na całkiem...? – zachęcił Jake.

Topaz wzruszyła ramionami.

– Bo ja wiem? Na... przywiązanych do siebie?

Jake parsknął śmiechem.

– Nie lubisz jej ani trochę, prawda?

– Co? – zająknęła się Topaz. – *Je la connais à peine*. Przecież prawie jej nie znam. Po prostu nie jest kimś, kto pozwala łatwo o sobie zapomnieć.

– Chyba nie jesteś zazdrosna, co?

– Zazdrosna? Oczywiście, że nie! – zaprotestowała Topaz, a Jake'a uderzyła gwałtowność jej reakcji. – Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? O co miałabym być zazdrosna?

Jake'owi nagle przyszła ochota na figle i przyskoczył do Topaz, grożąc, że ją połaskocze. Topaz zawsze twierdziła, że jest odporna na łaskotki, ale nie mogła przestać chichotać. Gonił ją wokół pokładu, dopóki statek nie zszedł gwałtownie z kursu, zmuszając ich do powrotu za ster.

Odgłosy dobiegające z kambuza zaczęły przybierać na sile. Najpierw usłyszeli Nathana mówiącego do siebie, potem łoskot rondli, brzęk tłuczonego talerza i stek barwnych przekleństw. W pewnej chwili Amerykanin wykrzyknął w popłochu:

– O nie, nie, nie, nie! Tak się nie robi. Nie pozwalam!

Zajrzawszy do środka, Jake ujrzał, że Nathan krzyczy na zwęglone paski, które niegdyś

musiały być bekonem. Wreszcie Amerykanin wydał z siebie ryk wściekłości, wyskoczył po schodkach na górę i cisnął na pokład tacę z bochenkiem chleba i kilkoma pomidorami.

– Macie!

– A co z twoim słynnym charlestońskim drugim śniadaniem? – Jake uśmiechnął się zaczepnie.

– Odwołane – fuknął Nathan. – W życiu nie spotkałem tak niegodziwych składników. Zupełnie jakby żywiły do mnie osobistą urazę!

Wkrótce dotarli do wyznaczonego punktu czasohoryzontu. Był położony nieco dalej na północ niż ten, w którym został przechwycony Fredrik Isaksen, i miał opinię jednego z najbezpieczniejszych przejść do odległej historii. W karierze Jake'a przejścia przez czasohoryzont nigdy nie były takie same, i to także okazało się inne niż wszystkie.

Choć wszyscy strażnicy historii doświadczali wrażenia opuszczenia własnego ciała podczas podróży w głąb historii, zwykle doświadczali go samotnie, nieświadomi obecności innych. Tym razem jednak, kiedy pierścienie konstantora zrównały się, Jake wystrzelił wespół z przyjaciółmi i wszyscy troje, trzymając się za ręce, pomknęli w stratosferę. Tak jak zwykle Jake ujrzał eksplozję diamentowych kształtów (w chwili startu z punktu czasohoryzontu strażnicy historii zawsze widzieli kształty: prostokąty, koła albo romby, w zależności od siły swojego waloru). Czasem przejście pod prąd czasu wywoływało straszliwe wizje albo retrospekcje, jednak tym razem wrażenie było euforyczne i kiedy Jake powrócił na pokład statku, czuł się naładowany energią.

Było już popołudnie, kiedy przepłynąwszy kanał La Manche, zbliżyli się do szerokiego ujścia Tamizy, bajkowej delty rozpostartej wśród moczarów niczym kawałek obcego świata. „Jednak wracam do Londynu” – pomyślał Jake, podczas gdy w ramach ostatniego etapu podróży wpływali w ujście Tamizy. Dziwnie mu było ze świadomością, że jego rodzice także są w Londynie, tyle że w zupełnie innej epoce.

Rzeka zaczęła zapełniać się statkami zmierzającymi w obu kierunkach. Galeony i fluty kupieckie z rozmaitych zakątków świata skrzybiały pod ciężarem ładunków.

– Chyba się zbliżamy – zawołał Jake z dziobu, zbyt podekscytowany, by się obejrzeć.

Patrzył, jak rzeka skręca raz w lewo, raz w prawo, podczas gdy ciepły wiatr bawił się jego włosami, a powietrze zaczęło wypełniać jednostajny pomruk, zrazu ledwie słyszalny, ale stopniowo, bardzo powoli, nabierający mocy – odległy odgłos tętniącego życiem miasta.

Wreszcie okrążyli kolejny cypel i w czerwonym blasku zachodzącego słońca ich oczom ukazał się Londyn – Londyn Szekspira.

Od czasu wstąpienia do Straży Historii Jake gościł już w kilku historycznych portach – Wenecji, Sztokholmie, Herkulanum – ale jeszcze nigdy nie widział tylu statków ściśniętych na tak wąskiej wstędze wody. Długie ich szeregi ciągnęły się wzdłuż obu brzegów, w niektórych miejscach zacumowane w dwóch, a nawet trzech rzędach, zasłaniając miasto gęstwą masztów i takielunku. Pomiędzy wielkimi statkami handlowymi, sunącymi majestatycznie po wodzie, kręciły się roje mniejszych jednostek – łodzi wiosłowych, jednomasztowych kutrów i rzecznych krypt – których sylwetki spletały się ze sobą i rozplatały, kiedy statki mijaly się na kursach wiodących wzdłuż i w poprzek rzeki.

Poza liniami nabrzeży miasto rozpełzało się promieniście niekończącym się labiryntem domów, świątyń i pałaców. Budynki – głównie drewniane – miały na ogół podobną wysokość, ale tu i ówdzie ponad dachy strzelała w górę wieża kościoła. Wysokie kominy wznosiły się tysiącem smukłych palców, wycelowanych w ciemniejące niebo.

Ten Londyn w pierwszej chwili wydał się Jake'owi zupełnie obcy. Nie rozpoznawał go. Nie było drapaczy chmur ani zgiełku nowoczesnego ruchu drogowego. Z mrocznych uliczek

dobiegał dziwny, przyciszony gwar, jakby cała metropolia szeptała.

Stopniowo fragmenty geografii miasta zaczęły układać mu się w całość.

– Tower... – szepnął w zdumieniu na widok fortecy, przesuwał się po jego prawej stronie.

W roku 1612 była to prosta budowla: dwa obwody grubych murów obronnych, oba wzmocnione basztami i wieżyczkami, otaczające stołp – Białą Wieżę, na pozór znacznie wyższą i wspanialszą niż ta, którą Jake zapamiętał ze swoich czasów. Wzdrygnął się, kiedy przepływali obok Bramy Zdrajców, a potem zdał sobie sprawę, że właśnie minęli miejsce, w którym brzegi Tamizy powinien spinać Most Wieżowy. Mostu jednak nie było.

– Jeśli rozglądasz się za tym, o czym myślę – powiedziała Topaz – to zbudują go dopiero za dwieście siedemdziesiąt lat. Katedry Świętego Pawła także byś nie rozpoznał. – Wskazała na budynek świątyni na północnym brzegu.

Słynna, zwieńczona ogromną kopułą budowla sir Christophera Wrena zniknęła bez śladu, zastąpiona – a raczej poprzedzona – majestatycznym normańskim kościołem z ogromnym okrągłym witrażem.

– Wielki pożar w tysiąc sześćset sześćdziesiątym szóstym unicestwił trzy czwarte miasta – dodała Topaz.

– Moja siostra uwielbia Londyn – skomentował Nathan, otwierając kosmetyczkę, by wydobyć z niej pęsetkę i lusterko. – Osobiście uważam, że ta pogoda jest nie do wytrzymania. Całe to miejsce jest jak jedno wielkie zapalenie płuc. Wszystkie te mokre ulice, kasztany z grilla, brr! – Wzdrygnął się i przystąpił do regulowania brwi, metodycznie wrywając po jednym włosku.

– Wiesz oczywiście, że mówisz do londyńczyka? – spytała Topaz. – Jake wychował się tutaj, pamiętasz?

Nathan zrobił zawstydzoną minę.

– Co za niewybaczalne grubiaństwo z mojej strony – powiedział samokrytycznie. – Chciałem powiedzieć, że pod względem kulturalnym jest cudownie ekscytujący. I osobiście uwielbiam pieczone kasztany.

– Na twoim miejscu po prostu bym go zignorowała. – Topaz westchnęła z rezygnacją. Jake skorzystał z rady.

– Ile mostów jest tu w tych czasach? – spytał, próbując zestawić w głowie roztaczający się przed nim widok z wizją miasta, jakie znał ze swoich czasów.

– Tylko jeden – odpowiedziała. – Most Londyński, na wprost nas. Być może najśłynniejszy most w historii.

Na początku, patrząc ponad rojem statków, Jake nie mógł go dostrzec. Mógłby przysiąc, że pierzeja budynków stojących wzdłuż wybrzeża zakręca przed nim i przechodzi na drugą stronę, jakby rzeka kończyła się ślepym zaułkiem. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że most sam w sobie jest budynkiem, a raczej grupą budynków, ustawionych nad rzeką na dziewiętnastu masywnych arkadach.

– Zbudował go Henryk Drugi w dwunastym wieku – ciągnęła Topaz. – Mieści się na nim około dwustu domów i sklepów. Jest nawet kościół i mały pałacyk nazwany Nonsuch House – Dom Niematakiego – bo jest jedyny w swoim rodzaju.

Usatysfakcjonowany kształtem swoich brwi Nathan schował pęsetę i lusterko, po czym wyjął pilniczek i zajął się pielęgnacją paznokci.

– A jak statki przedostają się za most? – zainteresował się Jake. – To w ogóle możliwe?

– Na środku znajduje się most zwodzony – odpowiedziała Topaz. – Ale potrzebne jest pozwolenie. Oczywiście mniejsze łodzie mieszczą się pod przęsłami, jednak nurt bywa

zdradliwy.

– A czy wiecie, moi drodzy – wtrącił Nathan – że na moście jest także wielomiejskowy publiczny wychodek, w którym użytkownicy wystawiają zadki poza gzyms, aby radośnie wydalać swoje... – zmarszczył brwi, szukając odpowiedniego określenia – swoje rekonstruowane kasztany wprost do rzeki?

– Nathan! – Topaz pokręciła głową. – Dlaczego nie zajmiesz się czymś pożytecznym? Trzymaj. – Podała mu mapę Isaksena. – Wytycz najkrótszą drogę do naszego celu.

Nathan rozłożył mapę i zaczął studiować ją z ponurą miną, nie przerywając manikiuru.

– A tam co tak wystaje? – Jake wskazał na dziwne tyczki sterzące z dachu strażnicy na południowym krańcu mostu niczym pęk gigantycznych szpilek wbitych w poduszkę.

– Odcięte głowy – powiedziała Topaz beznamiętnie. – Głowy zdrajców, zanurzone w smole i nabite na włócznie. Niektóre są tu od dziesięcioleci, jak głowa hrabiego Essex, niegdyś faworyta Elżbiety Pierwszej.

Jake wpatrywał się w makabryczną dekorację, a Topaz mówiła dalej.

– Tak, to okrutne czasy, jak większa część historii, ale to także wspaniała epoka. Londyn tysiąc sześćset dwunastego roku to być może pierwsze prawdziwie globalne miasto w historii. Spójrz tylko. – Powiodła ręką dookoła, wskazując gwarne nabrzeża. – Ściągają tu kupcy z Afryki, Ameryki Południowej, Indii i Chin. Przywożą towary, o jakich jeszcze dekadę temu ludzie mogli najwyżej pomarzyć: herbatę, przyprawy, barwniki, pachnidła, drogocenne kamienie i ziemniaki.

– Nie wspominając o tych śmiesznych zakręconych bucikach – wtrącił Nathan.

– A dobra nie tylko przybywają z zamorskich krajów, ale i są tam wysyłane. Brytyjczycy eksportują cuda techniki: zegary, mapy, broń. Jakies dwadzieścia lat temu kraj tonął w długach i wyniszczał się, uwikłany w wojnę z Hiszpanią. A teraz? Popatrz tylko. Angielski żeglarz, Francis Drake, opłynął świat dookoła, a Kompania Wschodnioindyjska, pierwsza w historii korporacja handlowa, robi interesy od dziesięciu lat. Londyn to brama świata. Nie przypadkiem Szekspir nazwał swój teatr kulą ziemską, The Globe. – W oczach Topaz płonęła pasja. – *C'est un age magnifique*. Wspaniałe czasy. Epoka odkryć, poszukiwań, ciekawości, akceptacji...

– A gdzie jest The Globe? – spytał Jake, pamiętając o prośbie Charliego.

Topaz wskazała pod mostem na południowy brzeg Tamizy. Jake spojrzał w tamtą stronę. Przez las masztów ledwie mógł dostrzec biały, ośmiokątny budynek, otoczony zagajnikiem drzew.

Topaz ostrożnie przybiła do drewnianego pomostu po północnej stronie rzeki. Jake zeskoczył z pokładu, by zająć się cumowaniem, i wtedy uderzyło go niezwykle skojarzenie: znajdował się w tym samym miejscu, w którym po raz pierwszy wsiadł na statek strażników historii. Nabrzeże, wtedy prawie bezludne, ciche, skryte w cieniu milczących, szarych biurowców, teraz tętniło życiem. Marynarze, dokerzy i kupcy krzyczeli jeden przez drugiego, uwijając się między stertami skrzyń, beczek i worków, które przenoszono ze statków na brzeg lub odwrotnie.

Jakiś nadęty młody birbant w aksamitnej pelerynie, którą zarzucił sobie dumnie na ramię, podszedł do mężczyzny czekającego w małej łodzi żaglowej, rzucił mu monetę i zażądał przewiezienia siebie i grupy swoich podchmielonych przyjaciół na drugi brzeg.

– Kurs na zachód! – zawołał przewoźnik, odbijając od brzegu.

– Taksówka dla bogaczy – powiedziała cicho Topaz. – To tutaj najszybszy sposób transportu.

Zarzucili swoje peleryny. Naśladowując zawadiacki sposób bycia młodego człowieka z łodzi, Nathan wskoczył na murek.

– Tędy! – zawołał i wszyscy troje ruszyli w stronę miasta.

Na rzece za nimi do portu wchodził niewielki jacht o granatowych żaglach. Za sterem stał młody człowiek w czarnym kubraku i pelerynie, który trzymając jedną dłoń na sterze, przepatrywał brzegi, używając do tego celu niewielkiej lunety. Odnalazszy w tłumie Jake'a i jego towarzyszy, patrzył, jak oddalają się od rzeki i znikają na schodach.

Troje strażników historii dotarło do szerokiej alei, prowadzącej od północnego końca mostu do serca miasta.

–Przy tylko jednym moście na Tamizie, jest to główna droga z kierunku południowego do Londynu – powiedziała Topaz. – W godzinach szczytu przekroczenie mostu może trwać całe godziny.

Teraz Jake zrozumiał, dlaczego bogacze korzystali z wodnych taksówek. Most Londyński był komunikacyjnym wąskim gardłem, zapchanym wozami i wózkami, turkoczącymi po kocich łbach wśród tłumu pieszych oraz stad bydła i świń, przeganianych na drugą stronę. Kolejka przed mostem rozciągała się na wiele kilometrów.

Jake rozglądał się ciekawie, chłonąc widoki i dźwięki. Słyszał głosy cudzoziemców: tu grupa Francuzów narzekała głośno na ceny w gospodach, tam dwaj mężczyźni w długich szatach i zawojach na głowie spierali się w nierozpoznawalnym narzeczu, zdejmując z wozu bele tkaniny.

– Tutaj jest cały świat. – Topaz szerokim gestem wskazała zatłoczoną aleję. – Afrykanie, Włosi, Holendrzy, Persowie i Marokańczycy; robotnicy, handlowcy, mieszkańcy, turyści...

Biedni i bogaci tłoczyli się w tłumie ramię w ramię. W pewnej chwili agenci ujrzeli powóz arystokraty ciągnięty przez cztery białe klacze. Piętrzył się na nim stos kufrów i pak przywiązanych linami do dachu. Wewnątrz mężczyzna w kapeluszu z piórami rozglądał się ciekawie, odciągając zasłonkę w oknie, podczas gdy jego żona zasłaniała usta bukiecikiem kwiatów. Byli tu także rolnicy ze skrzyniami warzyw, pęczkami ziół i świeżymi kwiatami; przekupnie z cynowymi naczyniami, świecami i książkami. Byli młodzieńcy na koniach i żebracy człapiący po bruku boso. Po obu stronach oberże i stajnie oferowały swoje usługi, a miejscowi grali w karty i kości albo palili tytoń w glinianych fajkach.

Wreszcie agenci skręcili w szeroką ulicę, biegnącą równolegle do rzeki. Była to spokojniejsza okolica, zaludniona głównie przez dostatnio odzianych londyńczyków. Wielu mężczyzn tutaj puszyło się jak birbant znad rzeki – kroczyli dumnie na podobieństwo pawia, unosząc podbródki, aby zademonstrować wspaniałość swoich gigantycznych krez, oraz dźwigając u pasa okazałe miecze, niekiedy tak długie, że czubek pochwy żłobił rowek w błocie.

– Długość miecza! –Topaz przewróciła oczami. – To jeden z niedorzecznych symboli statusu w elżbietańskim Londynie.

Nathan ukradkiem zerknął na swój i skorzystawszy z chwili, gdy jego przyjaciele patrzyli w inną stronę, opuścił pas na biodrach tak nisko, że koniec jego broni zgrzytnął o ziemię.

Mijali szereg sklepów i warsztatów rzemieślniczych jubilerów, szklarzy, rękawiczników, hafciarzy, złotników, aptekarzy i kuśnierzy. Jake zwrócił uwagę na witrynę zastawioną instrumentami naukowymi. W innej stała ogromna złota waza wypełniona po brzegi ziarnkami pieprzu.

– Jeżeli to cię dziwi – powiedział Nathan, widząc jego zdumienie – to musisz wiedzieć, że pieprz kosztuje tu dziesięć razy więcej niż złoto. Szalone czasy.

Następny lokal należał do kartografa. Wielka mapa w witrynie ukazywała zniekształcone obrysy kontynentów: Europy na środku, Azji i Ameryki po bokach. Umieszczony obok szyld głosił: „TU WEYDŹ, A NOWY ŚWIAT ODKRYWAY”. Mapę zdobiły rysunki mitycznych bestii: jednorożców i uskrzydłych tygrysów.

Troje agentów dotarło do zgromadzenia ludzi, którzy krzycząc, przepychali się w kolejce pod witryną wystającą łukiem na ulicę. Dwie leciwe damy w podbitych futrem płaszczach omal nie wszczęły bójk, kłócąc się o to, która z nich była pierwsza. Jake wyciągnął szyję, aby poznać przedmiot ich fascynacji.

– Porcelana – odpowiedziała mu Topaz. – Świat zachodni oszalał na punkcie chińskiej porcelany. Właściwie to na punkcie wszystkiego, co importuje się z Chin, czyli jedwabiu, gałki muszkatołowej, no i rzecz jasna napoju stulecia i całej ery nowożytnej: herbaty.

Mijając sklep, Jake zerknął do wnętrza, na komplety niebiesko-białych naczyń, na rozgorączkowanych klientów i obłożonych subiektów. Wyglądało to jak Gwiazdka na Oxford Street i przyszła mu do głowy refleksja, że obyczaje ludzi nie zmieniły się zbyt wiele przez wieki.

Topaz wskazała na gmach wznoszący się przed nimi.

– A to, jeżeli się nie mylę, jest siedziba Kompanii Wschodnioindyjskiej. Założono ją trochę ponad dziesięć lat temu, a już jest jednym z najbogatszych przedsiębiorstw na świecie.

Fronton z czterema kondygnacjami wielodzielnych okien wznosił się przed nimi niczym średniowieczny drapacz chmur, ale jeszcze większe wrażenie robił gigantyczny herb osadzony na samym środku oraz namalowany ponad nim galeon. Głównym elementem dekoracyjnym była nadnaturalnej wielkości statua przedstawiająca podróżnika dosiadającego dwóch delfinów.

Troje przybyszów z innej epoki uderzyła ostentacyjność budowli.

– A najbardziej niezwykle jest to – powiedziała Topaz – że takie gmaszyska powstają wszędzie na świecie, od Amsterdamu, przez Kair, aż po Kanton. To epoka wielkiego handlu.

Nathan zerknął na swoją mapę, po czym wprowadził przyjaciół w labirynt wąskich uliczek.

– I tutaj sprawa robi się coraz bardziej śmierdząca – powiedział, krzywiąc się i zatykając nos.

Nawierzchnia – którą stanowiła tu ubita ziemia – była śliska od nieczystości i gdyby nie przerzucone nad co większymi kałużami deski, chodzenie byłoby istnym koszmarem. Powyżej, pomiędzy pochylającymi się nad ulicą domami, widać było tylko wąski pasek nieba. Nagle jedno z okien nad nimi otworzyło się i na zewnątrz wysunęła się ręka trzymająca nocnik. Kleista zawartość naczynia plasnęła o ziemię tuż obok Nathana, który w panice uskokzył w bok.

– I jak tu nie uwielbiać tych rekonstruowanych kasztanów? – wymamrotał, ostrożnie przestępując nad świeżą kałużą.

Wreszcie wyszli spośród budynków, wracając na brzeg Tamizy. Jake potoczył wzrokiem wzdłuż rzeki. Zmierzchało już i oświetlone latarniami łodzie przewoźników sunęły po wodzie we wszystkich kierunkach. Jake nie mógł się przyzwyczaić do tego miasta, tak różniącego się od Londynu, który znał. Wydawało mu się nieprawdopodobne, że niemal wszystko, co widzi, zostanie zmiecione bez śladu przez historię. Z miejsca, w którym stali, lepiej niż wcześniej widział The Globe z jego białymi ścianami, wydającymi się świecić na tle karmazynowego nieba.

– W Bankside, na południowym brzegu, obowiązują trochę inne, mniej surowe prawa – powiedziała Topaz. – Dlatego londyńczycy właśnie tam najchętniej udają się w poszukiwaniu rozrywki. O tam, kawałek za teatrem, jest arena do szczucia niedźwiedzi.

– Szczucia niedźwiedzi? – zdumiał się Jake.

– *C'est barbare*. To barbarzyństwo. – Topaz potrząsnęła głową. – Przywiązują nieszczęsne zwierzę, któremu wcześniej spiłowali zęby, i wypuszczają na nie rozwścieczone psy. A publiczność zakłada się, kto wygra. I pomyśleć, że tuż obok wznosi się jeden z najświetniejszych teatrów w historii ludzkości. Nasza cywilizacja w pełnej krasie. Charlie miałby na ten temat wiele do powiedzenia...

Nathan obrócił mapę w dłoniach.

– Z tego, co widzę, to musi być jeden z tamtych budynków. – Skinął głową w górę rzeki, w stronę pięciu okazałych domów stojących w rzędzie nad brzegiem. W większości okien widać było światło i z co najmniej dwóch kominów unosił się dym, ale środkowy budynek był całkowicie ciemny.

Przedostawszy się przez kolejny labirynt uliczek, wyszli na cichą alejkę, biegnącą na tyłach pięciu posiadłości. Obsadzona była wielkimi kasztanowcami, których rozłożyste korony wydawały się pochłaniać odgłosy życia metropolii.

– Zdaje się, że nikogo nie ma w domu – powiedział Nathan, kiedy podeszli do bramy trzeciego domu od końca.

Stali przed imponującą budowlą z czerwonej cegły, ujętą pomiędzy dwie wieże zwieńczone dwuspadowymi dachami. Dom miał ogromne wielodzielne okna, zwłaszcza na parterze, przez które ciemność w jego wnętrzu wydawała się jeszcze bardziej intrygująca.

– Spójrzcie. – Topaz wyciągnęła palec w górę. – Jest herb.

Ponad nimi, na wpół skryty w bluszczu, widniał emblemat świeżo wykuty w kamieniu: dwa smoki podtrzymywały z obu stron tarczę podzieloną na cztery pola. W każdym z pól znajdował się inny symbol: okręt, trójząb, oko oraz ośmiornica. Na widok symbolu Xi Xianga Jake'a ścisnęło w żołądku.

– Idziemy? – rzucił Nathan i nie czekając na odpowiedź, wdrapał się na bramę, by zeskoczyć z drugiej strony.

Topaz potrząsnęła głową.

– Dobrze pamiętam, że to mnie komendantka wyznaczyła na dowódcę wyprawy – powiedziała, przechodząc w ślad za nim. – Jake, idziesz? – spytała, stojąc już po drugiej stronie bramy.

Jake zatracił się w myślach, zapatrzony na dom. Zastanawiał się, jakież to sekrety mogą się kryć w tych murach i czy znajdzie tam jakiegokolwiek ślady Filipa. Na głos Topaz otrząsnął się z zamyślenia i przelaż przez bramę za przyjaciółmi.

Zakradli się pod jedno z okien na parterze i ostrożnie zajrzeli do środka. Nie potrzebowali już kolejnych dowodów na to, że dom jest opuszczony: wszystkie meble wewnątrz były przykryte białymi płachtami chroniącymi je przed kurzem. Ciemny pokój wyglądał, jakby duchy urządziły sobie w nim wiec.

Agenci okrążyli dom, wychodząc do ogrodu, który sięgał aż do rzeki. Podczas gdy Nathan poszedł sprawdzić główne wejście – ogromne drzwi z dębowego drewna – Jake zszedł żwirową ścieżką w stronę wody. Gdy dotarł do furki otwierającej się na nieduży drewniany pomost, usłyszał niedaleki plusk i wyciągnąwszy szyję ponad żywopłotem, ujrzał łódź wiosłową sunącą w jego stronę. Na pokładzie była jedna osoba: dziewczyna, odwrócona do niego plecami. Jake pomachał ręką do przyjaciół.

– Ktoś tu płynie – zawołał scenicznym szeptem.

Cała trójka przycupnęła za żywopłotem. Usłyszeli głuchoe stuknięcie łodzi o pomost i kilka chwil później dziewczyna pojawiła się w polu widzenia. Szła ścieżką, dźwigając przed sobą drewniany cebrzyk. Otworzyła kluczem frontowe drzwi i zniknęła wewnątrz domu.

– Chyba jakaś gosposia, sądząc po wyglądzie – orzekł Nathan. – Przekonajmy się, co wie. Dobył miecza, skinął na pozostałych i na palcach podbiegł do domu.

Topaz spojrzała na Jake'a, sapiąc ze złości.

– *Qu'est-ce qu'il a?* Co takiego trudnego jest w przyjęciu do wiadomości, że to ja tu dowodzę?

Pobiegli za nim i tym razem w oknach westybulu zobaczyli migotliwe światło. Ponownie



zajrzeli do wnętrza.

– Co, do demona?! – zaklął Nathan.

Dziewczyna stała na szczycie rozkładanej drabinki. W blasku świec ujrzeli jej przestraszoną twarz, podczas gdy wytrząsała zawartość cebrzyka – mieszaninę krewetek i krabów – do dużego lejka umocowanego nad olbrzymim akwariem z żywą ośmiornicą w środku. Przyssawki macek odkleily się od szyby i zwierzę przystąpiło do uczt, przebijając dziury w skorupach krabów, aby wyssać z nich wnętrzności.

Topaz wzdrygnęła się.

– Nie cierpię tych bestii – wymamrotała.

– A ja uważam, że jest raczej słodka. – Nathan wzruszył ramionami. – Ponoć są fantastycznie inteligentne. Moja ciotka miała taką jedną. Wieczorami grywała z nią w szachy.

Topaz zignorowała go i wkroczyła do domu z uniesionym mieczem. Na jej widok dziewczyna straciła równowagę i spadła z drabinki wraz z cebrzykiem, rozsypując jego zawartość na podłodze.

– Nie chcemy cię skrzywdzić – zapewniła Topaz, stając nad nią i demonstrując obnażoną klingę. – I nie zrobimy tego, jeśli tylko udzielisz nam pomocy.

Tuż obok niej macka ośmiornicy przywarła do szyby. Zwierzę przysunęło się bliżej, wybałuszając oczy na Topaz, jakby oceniało, czy nadaje się do jedzenia.

– O-oczywiście – wyjąkała dziewczyna. – Pomogę wam. Czy zrobiłam coś źle?

Topaz zwróciła się do Nathana i Jake'a.

– Zajmiecie się owocami morza? – powiedziała, gestem wskazując wijące się na podłodze stworzenia.

Chłopcy bez słowa zajęli się sprzątaniem, ostrożnie ujmując w dwa palce krewetki i kraby, i wrzucając je z powrotem do cebrzyka. Topaz rozpoczęła przesłuchanie.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze oprócz ciebie?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Jesteś absolutnie pewna?

Żarliwie przytaknięcie.

– Jak się nazywasz?

– Jestem Bess, proszę pani.

– I pracujesz tutaj?

– Przychodzę czasami, żeby nakarmić... – Machnęła ręką w stronę ośmiornicy. Sądząc po wyrazie jej twarzy, nienawidziła stworzenia równie mocno jak Topaz.

– Czasami?

– Kiedy pan jest w domu, nie przychodzę. Kiedy wyjeżdża, posyła po mnie, wtedy przychodzę wieczorami. Dziś właśnie dostałam wiadomość...

– A kiedy byłaś tu ostatnio?

– Tydzień temu?

– Możemy zatem przyjąć, że w tym czasie twój pan był w domu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Spotkałam go tylko raz.

– A wiesz może, kiedy zamierza wrócić? Meble są przykryte, więc może tym razem wyjechał na dłużej?

– No chyba... może tak.

– Topaz, za tobą! – zawołał Nathan wesoło.

Topaz odwróciła się w samą porę, by ujrzeć nad sobą dwie macki, które ośmiornica zdołała wysunąć przez lejek karmnika. Dziewczyna wstrzymała oddech i zamknęła oczy, kiedy

śliszkie odnóże plasnęło ją lekko w policzek. Gwałtownym ruchem odtrąciła mackę, z trudem powstrzymując pokusę, aby odciąć ją mieczem.

– Nathan, czy mógłbyś, z łaski swojej, wepchnąć to tam z powrotem? – wycedziła sztywno. – Bardziej nienawidzę już tylko węgorzy.

Nathan przyszedł jej z pomocą, chichocząc z uciechy.

– Ja się nie śmieję z twoich idiotycznych strachów przed duchami – zdenerwowała się Topaz. – Nie rozumiem, czemu moja odraza do głowonogów tak cię bawi.

– Bo duchy istnieją naprawdę. Ośmiornice to tylko... takie bardziej ambitne ślimaki.

Jake przyglądał się w skupieniu dużemu portretowi, wiszącemu u stóp głównych schodów.

– Czy to twój pan, Bess? – spytał.

– Tak mi się wydaje – odpowiedziała zapytana, dygocząc ze strachu.

Nathan i Topaz przenieśli wzrok na obraz.

– No tak, trudno się pomylić – mruknęła ponuro Topaz. – To on.

## 9

# Lazurytowy wąż

Obraz przedstawiał dwie postacie, jedną na pierwszym planie, drugą stojącą w cieniu za nią. Był namalowany z wielkim pietyzmem i warsztatowo nie ustępował żadnemu z dzieł starych mistrzów, które Jake oglądał podczas wycieczek do Galerii Narodowej.

– To Xi Xiang? – spytał Jake, wskazując na główną postać.

Jego przyjaciele pokiwali głowami.

– Komendantka miała rację – wyszeptał Nathan. – Tutaj się ukrywał. W każdym razie przez pewien czas.

Jake przyglądał się malowidłu. O wyglądzie Xi Xianga nie wiedział praktycznie nic poza zdumiewającym faktem, że ma troje oczu. Portret to potwierdzał. Prawe oko Chińczyka było normalne, lewe lekko wciśnięte pod brew, pod nim zaś, na policzku, bieliło się trzecie, mętne i bezkształtne niczym zgniły omulek. Pomimo szpecącej deformacji – a może właśnie z jej powodu – na twarzy Xi Xianga gościł uśmieшек filuternej satysfakcji.

Policzki miał pokryte różem, niczym klaun, ubrany był w długą szatę, mieniającą się turkusem, złotem i czerwienią, ozdobioną haftowanymi wizerunkami pławikoników i innych stworzeń z oceanicznych głębin. Jej długie rękawy zwisały luźno, skrywając dłonie, ale przy bliższych oględzinach Jake spostrzegł klingę noża, wystającą spod jednego z mankietów.

Jake przeniósł wzrok na postać za Xi Xiangiem. Była to lekko przygarbiona stara kobieta, której surowe spojrzenie było równie frapujące jak Xiang. Miała na sobie czarną suknię, a dłonie trzymała złożone razem, jak do modlitwy, choć w rzeczywistości wsparte były na rękojeści miecza, opartego czubkiem o ziemię. Spod szaty wystawała para czerwonych pantofli na miękkiej podeszwie – jedyne barwne elementy w całej postaci.

– Wiecie, kim jest ta kobieta? – spytał Jake.

– Jeszcze nigdy nie widziałem jej wizerunku – odpowiedział Nathan – ale domyślam się, że to madame Fang, niania Xi Xiang.

– Jego kto?

– Jedyna przyjaciółka na całym świecie – wtrąciła Topaz. – Ochrania go od chwili jego narodzin. Podobno kiedy Xi miał dwanaście lat, pomogła mu utopić jego rodziców podczas pikniku nad morzem. Czarująca z nich parka.

Jake spojrzał na Topaz.

– Czy w młodości Xi Xiang nie pracował dla Straży Historii? – zapytał.

– To prawda – odrzekła. – Ale wtedy nikt nie wiedział nic na temat jego przeszłości. Wyprowadził w pole wszystkich, zwłaszcza Jupitusa, który zawsze brał jego stronę.

– No dobrze, a co jest na górze, Bess? – zainteresował się Nathan. – Kolejne akwaria?

– M-mnie nie wolno wchodzić na górę – wyjąkała dziewczyna. – Ale mają tam chyba gabinet i sypialnie.

– Wiem, że to ciut nieuprzejme z naszej strony – powiedział Nathan, prowadząc ją przez hol w stronę spiżarni – ale na pewien czas musimy odebrać ci swobodę ruchów.

Już miał ją zamknąć, kiedy Jake krzyknął:

– Zaczekaj!

Wyjął fotografię swojej rodziny i zakrywając ją dłonią w taki sposób, aby widoczny był tylko Filip, pokazał zdjęcie Bess.

– A on? – spytał. – Czy kiedykolwiek go widziałaś?

Dziewczyna nigdy w życiu nie widziała fotografii i zaniemówiła z wrażenia.

– Przyjrzyj się uważnie – nalegał Jake.

Spełniła polecenie, nawet wytrzeszczając oczy, jakby rzeczywiście go rozpoznała, ale ostatecznie potrząsnęła głową przecząco.

– Jesteś pewna? Absolutnie pewna?

– Jestem pewna, sir – odpowiedziała, ale Jake podejrzewał, że kłamie.

Nathan zamknął ją w spiżarni i wszyscy troje zaczęli wspinać się po poskrzypujących schodach. Prowadziła Topaz, która niosła nad głową zabrany z westybulu świecznik. Za pierwszym spocznikiem sklepione przejście prowadziło do głównego pomieszczenia w domu. Była to elżbietańska galeria, biegnąca przez całą długość budynku, z szeregiem dużych okien wychodzących na rzekę. Przy wejściu wisiała wielka latarnia w kształcie morskiego potwora. Nathan przytknął do niej zapaloną świecę, a wtedy rozbłysła światłem, wydając miękkie „uuumpf”. Przy szmerach tykającej i pogwizdującej maszynerii na ścianie zaczęły zapalać się kolejne lampy, aż w ciągu kilku sekund cały ich szereg zapłonął jasnym światłem.

– No, no, szacuneczek. – Nathan pokiwał głową, rozglądając się ciekawie. – W kwestii gustu, trzeba przyznać, Xi Xiangowi niczego nie brakuje.

Pokój był urządzony w wielu różnych stylach. Ściany pokrywała boazeria z ciemnego dębu, ale przedmioty i meble – politurowane szafki, złote parawany, misternie rzeźbione krzesła – budziły wyraźne skojarzenia z Chinami. Prawie całą tylną ścianę pokrywało malowidło przedstawiające morskie odmęty skomponowane z wirujących błękitów, turkusów, kobaltu i ultramaryny. Środek pokoju zajmował gigantyczny globus. Wszystko razem przypominało Jake’owi jego pierwszą wizytę w londyńskim biurze Straży Historii – miejscu, które Xi Xiang także musiał odwiedzać w czasach, kiedy sam był agentem.

– Interesujące... – mruknęła Topaz, przyglądając się globusowi.

Przez błękit oceanów ciągnęły się wiązki cienkich czerwonych linii, łączących lądy od Ameryki Południowej przez Karaiby do Ameryki Północnej, a potem przez Atlantyk do Europy. Tam linie skręcały w dół, otaczały Afrykę i przez Ocean Indyjski sięgały Azji, skąd wachlarzem rozchodziły się po Pacyfiku, aby wrócić do obu Ameryk i rozpocząć podróż od początku.

– Szlaki handlowe – powiedziała, wskazując na kolejne punkty na globie. – Cukier, srebro, jedwab, pieprz, tytoń i w ogóle wszystko. Nawet niewolnicy – dodała posępnym tonem. Jej palec zawisł nad Morzem Południowochińskim, na którym koncentracja czerwieni była największa. Akwen pokreślony był siecią zbiegających się i rozchodzących linii. – Jak już zdążyliśmy się przekonać, najbardziej popularne towary przybywają z tego zakątka świata.

Jake podszedł do ściany. Z bliska malowidło wyglądało niepokojąco. Na środku oceanu namalowano błękitny, podobny do kwarcu kryształ, pokryty skomplikowanymi inskrypcjami. Wydawał się emanować magiczną mocą, burzącą morze wokół w potężnej wodnej eksplozji. Na brzegach sceny widniały obrazy destrukcji: tonące statki, wzywający pomocy żeglarze, przybrzeżne miasta ginące pod gigantycznymi falami.

– Co to może być? – spytał, wskazując na kryształ.

Topaz podeszła bliżej i przyjrzała mu się, marszcząc brwi.

– Moja wiedza o chińskiej mitologii jest wprawdzie ciut podrzewiała – wyznał Nathan – ale czy to nie jest Lazurytowy Wąż?

– Jaki wąż? – Jake wytrzeszczył oczy.

– Lazurytowy. To smoczy kamień – odpowiedziała Topaz, ale Jake wciąż miał głupawą minę, więc mówiła dalej: – Smocze kamienie są częścią chińskiego folkloru od tysięcy lat. To mityczne kryształy dające władzę nad rzekami i oceanami. Budzą moc wodnych bóstw poprzez

kontakt z wodą. Są kamienie duże i małe, o różnych poziomach mocy, a Lazurytowy Wąż jest bodaj najszlachetniejszy i najbardziej niebezpieczny z nich wszystkich, bo pozwala okiełznać potęgę wszystkich mórz świata. Mówi się, że Qin Shi Huang, pierwszy prawdziwy cesarz Chin...

– Ten, który zaczął budować Wielki Mur Chiński – wtrącił Nathan. – I kazał pochować się z armią glinianych żołnierzy, żeby dotrzymywali mu towarzystwa w zaświatach.

– No więc mówi się, że Qin Shi był w jego posiadaniu, ale nawet on tak bardzo bał się jego potęgi, że trzymał go w jadelitowej szkatułce, której miejsce ukrycia znał tylko on sam.

– Tak, ale to tylko legenda – powiedział Nathan. – Nie zapominajmy o tym. Nikt w całej historii świata nie widział tego kamienia na oczy. A ta opowieść ma dwa tysiące lat.

Wodząc wzrokiem po malowidle, Jake spostrzegł nagle błysk zawiasów i klamki, a zaraz potem ledwie widoczny prostokąt, zagubiony wśród rozszalałych kolorów. W ścianę wprawione były zamaskowane drzwi. Jake obrócił klamkę i skrzydło otworzyło się na niewielki podest i schody.

– Muszą prowadzić do jednej z wież – powiedział Jake, przypominając sobie bryłę budynku.

Agenci dobyli mieczy i zaczęli ostrożnie wspinać się po schodach. Na górze zatrzymali się przed grubymi metalowymi drzwiami, lekko uchylonymi. Nathan ostrożnie pchnął je czubkiem klingi i wszyscy troje weszli do niewielkiego pomieszczenia przypominającego mniszą celę. Zobaczyli zakratowane okno, posłanie ze słomy i blaszany nocnik. Oprócz tego był tam jeszcze tylko jeden przedmiot: zakurzony obraz w połamanej ramie, odwrócony zamalowaną powierzchnią do ściany.

Jake odwrócił go i nagle zachłysnął się haustem powietrza.

– C-c-co? Jak...? – wyjąkał, dogłębnie wstrząśnięty.

Patrzył na malowidło przedstawiające Xi Xianga w towarzystwie... jego brata Filipa. Obaj wyglądali jak wojenni bohaterowie, uśmiechnięci, zakuci w lśniące chińskie pancerze. Dłoń Xi Xianga spoczywała na ramieniu Filipa.

– Ja... nie rozumiem. – Jake'owi trzęsły się dłonie.

Nathan i Topaz wymienili zatroskane spojrzenia.

– To tylko malowidło – powiedziała Topaz. – Namalować można wszystko. Obraz może kłamać.

Spróbowała wyjąć mu obraz z rąk, ale Jake nie puścił. Ostrożnie startł kurz z twarzy brata. Filip był uderzająco przystojnym chłopcem: miał prostokątną szczękę, podbródek z dołeczkiem i ledwie widoczny cień zarostu. Był starszy i silniejszy od Jake'a, ale obaj mieli takie same kręcone, ciemne włosy i brązowe oczy. Te oczy patrzyły teraz prosto na Jake'a. Jaką historię chciały mu opowiedzieć? Czy Filip naprawdę sprzymierzył się z Xi Xiangiem? Czy raczej był jego więźniem?

Jake odwrócił się, by spojrzeć na posłanie. Na sienniku widniał odcisnięty ślad po byłym mieszkańcu celi.

– Czy... czy on tutaj spał?

– Już dobrze, Jake. Już dobrze – wyszeptała Topaz, delikatnie łapiąc go za ramiona. Wyrwał się jej szarpnięciem.

– Gdzie on teraz jest? Czy on nie żyje? Gdzie on jest?

Jego głos grzmiał wśród ceglanych ścian. Jake opadł na kolana i wbił rękę w siennik, jakby liczył na to, że jakimś magicznym sposobem wyciągnie stamtąd Filipa.

– Gdzie on jest?! – zawołał znowu, odrzucając posłanie na bok.

Nathan i Topaz bezskutecznie usiłowali go uspokoić.

– Co oni mu zrobili? – wybełkotał Jake, wstając chwiejnie, nieprzytomny z rozpaczy.

Nagle znieruchomiał, widząc, że w słomie coś metalicznie połyskuje. Był to zegarek na rękę, z pękniętym szkiełkiem i zerwanym paskiem. Jake podniósł go z namaszczeniem, niczym najświętszą relikwię.

– Dostał to ode mnie – wymamrotał. – Był taki stragan na bazarku w Greenwich, gdzie sprzedawali stare zegarki. Wiedziałem, że mu się spodoba, bo miał wygrawerowany statek. Filip kochał statki. Nigdy do końca nie rozumiałem dlaczego... Dopóki nie spotkałem was, oczywiście. Powiedział, że nigdy go nie zdejmie.

Jake odwrócił znalezisko i zaskoczyła go kolejna niespodzianka: wiadomość wydrapana drobnym pismem na metalowej kopercie. Musiał przysunąć zegarek do oczu, aby móc ją odczytać.

*Powiedzcie rodzinie, że ich kocham. Odnajdźcie Lazurytowego Węża – przez Wrota Oceanu, K*

– Czy to na pewno napisał Filip? – spytała ostrożnie Topaz.

Jake skinął głową, w zamyśleniu przesuwając palcem po literach.

– Mogę zobaczyć? – Przyjrzała się napisowi z bliska. – Dlaczego podpisał się inicjałem K? Czy miał jakiś pseudonim?

– Nie.

– Ale jesteś całkowicie pewien, że to jego?

– Na sto procent – odpowiedział z mocą. – Wrota Oceanu... Czy ktoś z was ma jakieś pojęcie, co to może być?

Topaz i Nathan spojrzeli po sobie i pokręcili głowami.

– Pierwsze słyszę – wyznał Nathan.

Jake wsunął zegarek do kieszeni i zdał obraz z ramy.

– Bess na pewno wie coś więcej – powiedział. – Chodźmy.

Ale kiedy zbiegli na dół i otworzyli spiżarnię, odkryli, że Bess tam nie ma. Dziewczyna odepchnęła na bok kredens i wymknęła się przez uchylne okienko.

Jake pognął przez ogród w stronę pomostu.

– Łodzi też nie ma – powiedział, kiedy dogonili go pozostali.

Nagle ich twarze oświetlił rozbłysk jasnego światła. Bum! – powietrzem targnęła eksplozja po drugiej stronie rzeki. Chwilę później kolejny wybuch pchnął ponad wodą falę gorąca.

– Co, do demona... – zaczął Nathan.

W pewnej odległości od nich, w górze rzeki, płonął statek. Ogień lizał już żagle, strzelając w ciemniejące niebo fontannami iskier. Na pokładzie panował chaos, marynarze skakali do wody, uciekając przed piekłem, na nabrzeżu tłoczyli się ludzie z wiadrami pełnymi wody. Nagle kolejna eksplozja rozerwała ładownię statku, wyrzucając wysoko w powietrze ludzi, którzy pozostali na pokładzie. Ogłuszony falą uderzeniową Jake potrząsnął głową, próbując odzyskać słuch.

Statek szybko przechylił się i zaczął tonąć. Płonący maszt przełamał się na pół i górna jego część runęła do Tamizy.

Grzmot czwartej eksplozji przetoczył się nad miastem, dochodząc z galeonu zacumowanego przy Moście Londyńskim. W ciągu kilku chwil jednostka stanęła w ogniu.

– Jeden statek mógł spłonąć przypadkiem – orzekł Nathan – ale dwa to już zamach.

– W dodatku to nie są przypadkowe stare łajby – dodała Topaz. – Widzicie bandery na grotmasztach? Czerwone i białe pasy z krzyżem świętego Jerzego? To flaga Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Zamknęli dom i drogą, którą przyszli, szybko wrócili pod budynek siedziby Kompanii.

Zebrał się tam spory tłum kupców angielskich i zagranicznych, szturmujących wejście do budynku.

– Idę sprawdzić, co się dzieje – oznajmił Nathan. – Topaz, lepiej chodź ze mną. Będą tam gadać wszystkimi językami świata. – Odwrócił się do Jake’a. – A ty poczekaj tu chwilę, dobrze? Jake skinął głową.

– Dowiemy się, co się stało z Filipem, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobimy w życiu – dodał Amerykanin i skoczywszy w tłum, zaczął się przepychać, energicznie pracując łokciami.

Oszołomiony Jake stał bez ruchu, podczas gdy wokół gromadziło się coraz więcej ludzi. Myśl o bracie zamkniętym w tamtej wieży przyprawiała go o mdłości.

Ktoś potrącił go, przebiegając obok. Była to stara kobieta w ciemnej sukni i płaszczu, dźwigająca naręcz papierów. Na głowie miała mały kapelusz z czarnymi piórami, wysoki kołnierz zasłaniał większą część jej małej głowy. Kobieta upuściła papiery na ziemię, po czym dobytej nożą, przecięła czerwoną wstążkę, którą papiery były przewiązane, i szybko pobiegła dalej. Wiatr poniosł kartki między ludzi. Jedna poleciała prosto na Jake’a. Złapał ją i odczytał wiadomość wypisaną czarnym atramentem:

*WASZE STATKI CZEKA ZAGŁADA.*

*WASZĄ CYWILIZACJĘ RÓWNIEŻ.*

Jake spojrzął za pośpiesznie oddalającą się kobietą i ujrzał błysk czerwieni pod rąbkiem jej sukni – czerwone pantofle. To była ona, na pewno, stara kobieta z portretu, niania Xi Xianga. Kobieta skręciła za róg i zniknęła mu z oczu.

Jake nie wahał się ani chwili. Pchnięty świeżą dawką adrenaliny, puścił się w pogoń za madame Fang.

# 10

## W łapach niedźwiedzia

Jake skręcił za róg i wybiegł na szeroką aleję prowadzącą na Most Londyński. Na ulicy roiło się od przekupniów i nocnych imprezowiczów, których potoki zagęszczały się stopniowo, by wreszcie zniknąć w bramie strażnicy mostu. Jake rozejrzał się ponad głowami tłumu i wypatrzył kapelusz z czarnym piórem.

Rozpychał się i kluczył, wciskając w każdą lukę, wywołując gniewne okrzyki tych, którzy cierpliwie stali w kolejce. Na moście ludzki potok praktycznie się zatrzymał. Przejście między frontami sklepów po obu stronach nie miało nawet czterech metrów szerokości i przechodzący z trudem posuwali się naprzód.

Nagle brzęknął dzwon i tłum stanął w miejscu. Unoszono most zwodzony, a Jake spostrzegł, że stara kobieta zdążyła już dotrzeć na drugą stronę. Nie mógł dopuścić, żeby zniknęła mu z oczu. Bezceremonialnie rozpychając ludzi, przecisnął się do burty najbliższego powozu, zanurkował pod spód i klucząc między kołami i końskimi kopytami, przedostał się na czoło tłumu.

Kiedy skoczył na most, ten był już w połowie podniesiony i Jake natychmiast ześliznął się z powrotem. Mostowy – barylkowy mężczyzna straszący siwą, sfilcowaną brodą i poczerniałymi zębami – podniósł go za kołnierz i odrzucił na bok. Jake poderwał się, skoczył i kopnięciem pod kolana podciął nogi mężczyźnie, który runął w tył, prosto na wózek załadowany skrzynkami z dzikim ptactwem.

Zwodzone przęsto było już niemal całkowicie uniesione. Na czele tłumu czekającego na przeprawę stał czarny powóz wiozący czterech duchownych, którzy patrzyli w osłupieniu na rozgrywającą się przed nimi scenę. Wszyscy jednocześnie krzyknęli ze zdumienia, kiedy Jake wskoczył na koło ich pojazdu, wspiął się szybko na dach i potężnym susem wybił w stronę sunącego w górę mostu. Uchwyciwszy się krawędzi przęsta, zawisł nad spienionym nurtem rzeki.

W tej samej chwili uświadomił sobie, że szczelina jest już zbyt duża, aby mógł ją przeskoczyć. Tymczasem pomiędzy uniesione skrzydła mostu wpływał żaglowiec. Widząc przesuwaną się obok szczyt grotmasztu, Jake rozkołysał się i wykonał desperacki skok, lądując na bocianim gnieździe i natychmiast przeskakując stamtąd na drugie przęsto. Uwiesił się na krawędzi, podciągnął i stoczył na most po drugiej stronie.

Poderwał się i jeszcze raz rozejrzał za czarnym piórem. Zobaczył je, gdy właśnie zniknęło pod łukiem południowej strażnicy. Niewiele myśląc, wskoczył na dach najbliższego powozu i skacząc z pojazdu na pojazd, niczym po kamieniach w strumieniu, szybko przedostał się na koniec mostu. Pod strażnicą zadarł głowę i spojrzał przelotnie w martwe oczy ściętych zdrajców, połyskujące szklivem zaschniętej smoły.

Na południowym brzegu także panował ścisk, ale było tam mniej budynków i Jake szybko wypatrzył czarną postać przechodzącą przez szeroki plac. Pantofle błyskały czerwienią w rytm jej śpiesznych kroków.

Kobieta szła prosto w stronę ośmiokątnego budynku, który Jake dobrze znał: The Globe. Wkraczając na dziedziniec, nagle zatrzymała się i obejrzała przez ramię. Jake cofnął się w cień. Czy wiedziała, że ją śledzi? W tym momencie portier otworzył przed nią drzwi i madame Fang weszła do teatru.

Jake zwiadał kiedyś replikę The Globe podczas wycieczki z rodzicami. Oryginał okazał



się bardziej obskurny, z plastrami tynku odpadającymi od powykrzywianych belek szkieletu. Na ścianie obok wejścia wisiał obszarpany plakat. Ledwie czytelne zakrętasy głosiły:

*Ludzie Króla przedstawiają MAKBETA*

*Wejście: 1 pens*

Drzwi były lekko uchylone i Jake wszedł do środka, rozglądając się czujnie, na wypadek gdyby stara kobieta czekała na niego przyczajona w ukryciu. Nie zobaczył jej jednak, za to przedstawienie już trwało. Teatr pękał w szwach. Trzy kondygnacje balkonów trzeszczały pod ciężarem ludzi, poniżej cztery setki uboższych widzów tłoczyły się na stojąco na parterze. Ktoś złapał Jake'a za ramię, aż zamarło mu serce, ale był to tylko woźny, wyciągający rękę po opłatę za wstęp. Jake wysupłał z kieszeni pensa, wcisnął go w nadstawioną dłoń i ostrożnie zszedł na parter.

Na scenie bohaterka, oświetlona od dołu, maszerowała tam i z powrotem wielce czymś wzburzona. Była ubrana w elżbietańskim stylu – w czarną suknię z białą krezą – ale ramiona okrywała chustą w szkocką kratę. Malowane tło za jej plecami ukazywało zamek wśród gór.

Jake przywarł plecami do filaru i zaczął przepatrywać twarze na balkonach w poszukiwaniu kapelusza z piórem. Ludzie wyciągali szyje, aby lepiej widzieć. Nagle zapanowało poruszenie, wywołane pojawieniem się kolejnej postaci dramatu. Z cienia na tyłach sceny wyłonił się przysadzisty mężczyzna, równie nerwowy jak jego partnerka. Nie wychodząc na oświetloną część sceny, zaczął mówić.

– Stało się – wyszeptał. – Słyszałaś hałas?1

– Słyszałam sowy krzyk i poświerk świerszcza – odpowiedziała kobieta, nie patrząc na niego.

Jake uświadomił sobie, że gra ją – nader przekonująco – mężczyzna.

– Cóżeś to mówił, mężu? – spytała.

– Kiedy?

– Teraz.

– Kiedym tu wchodził?

– Tak.

Jake przypomniał sobie, że kiedyś czytał tę sztukę jako lekturę szkolną. Opowiadała o wodzu Makbecie, który usłyszawszy od trzech wiedźm, że będzie rządził Szkocją, spiskuje wraz z żoną przeciwko królowi.

Makbet w końcu wyszedł na światło i po widowni rozszedł się szmerek podniecenia. Ręce wodza ociekały czerwienią. Dłoń ścisnęła dwa sztylety, lepkie od krwi. Para kontynuowała przyciszoną rozmowę.

– Żałosnyż to jest widok – mruknął Makbet, wzdrygając się.

– Wstydź się mówić, żalosny widok.

– Zdało mi się, że słyszałem głos wołający: nie zaśniesz już więcej! Makbet zabija sen, niewinny sen.

W tłumie dały się słyszeć posykiwania widzów przerażonych rozwijającym się dramatem.

– Któż to tak wołał? – spytała Lady Makbet. – Czemuż, zacny tanie, rozmiękczasz w sobie tęgość ducha, marząc tak chorobliwie. Idź, weź trochę wody i obmyj rękę z tych plugawych znamion.

Nagle zauważyła jego rękę.

– Po coś tu z sobą przyniósł te sztylety? – zasyczała. – Tam jest ich miejsce!

– Już tam nie wejdę...

– Daj te sztylety. Śpiący i umarli są obrazkami tylko.

Porwała ostrza i opuściła scenę, zamiatając suknią deski i stukając obcasami. Pozostawiła

męża sam na sam z widownią.

Odprowadzając ją wzrokiem, Jake nagle spostrzegł kobietę, z powodu której tu przyszedł. Stała w oddzielnej łoży na samym końcu drugiego balkonu i szeptała coś do ucha osobie całkowicie skrytej w cieniu. Osoba ta – Jake odniósł wrażenie, iż był to mężczyzna – odwróciła się i wyszła, pozostawiając kobietę samą.

Zza kulis dobiegło głośnie łomotanie. Publiczność podskoczyła na swoich miejscach.

– Skąd ten odgłos? – zawołał Makbet, wznosząc skrwawione, trzęsące się ręce.

Kiedy Jake znów spojrzał w stronę łoży, stara kobieta patrzyła prosto na niego. Twarz miała bladą, jakby była duchem. Tak, to była ona, kobieta z obrazu, madame Fang. Napotkawszy jego wzrok, odwróciła się i uciekła.

– Zatrzymać ją – szepnął do siebie.

Musi ją zatrzymać. Szybko się cofnął i ostrożnie dobywając miecza, zaczął okręzać parter pod balkonem, kierując się w stronę drzwi po drugiej stronie sali. Ale kiedy przekroczył próg teatru, coś uderzyło go mocno w bok szyi, aż ugięły się pod nim kolana. Jęknął z bólu i kątem oka ujrzał madame Fang, zadającą mu kolejny cios karate, od którego zatoczył się w tył. Niemal w tej samej chwili miecz wypadł mu z ręki, wytrącony kopnięciem. Pomimo podeszłego wieku Fang była zwinna jak nastolatka.

Teraz wydobyła z fałd sukni sztylet i Jake ledwie zdążył uskoczyć, kiedy cięła nim wściekle przed sobą. Ostrze drasnęło mu ramię i oślepiła go błyskawica bólu. Fang natychmiast zaatakowała pchnięciem, ale on zdążył przetoczyć się w bok i klinga utkwiała w drewnianej ścianie. Za nimi podniosły się nawoływania. Jacyś ludzie zainteresowali się zamieszaniami i madame Fang zamarła na chwilę, po czym wyrwała nóż z drewna i puściła się biegiem przed siebie.

Jake patrzył, jak znika w sąsiednim budynku, wyglądającym bardzo podobnie jak The Globe. Wbiegł za nią do środka i natychmiast zderzył się ze ścianą dźwięków i zapachów. Odór – potu, zwierząt i piwa – był przytłaczający. Jake uświadomił sobie, że znalazł się na arenie; widzowie wrzeszczeli w podnieceniu i tupali, domagając się rozpoczęcia widowiska. Na środku, otoczony grubymi drewnianymi ścianami, znajdował się wysypany piaskiem krąg, gdzie ryczał oszołomiony niedźwiedź, kręcąc się w kółko i podzwaniając łańcuchem. Tęgi mężczyzna o policzkach rumianych od alkoholu, pełniący funkcję mistrza ceremonii, przykładał do ucha zwiniętą dłoń, prowokując publiczność do coraz głośniejszych wrzasków, podczas gdy w stojących za nim klatkach żądne krwi psy ujadły w amoku, nie mogąc doczekać się walki.

Kątem oka Jake ujrzał Fang biegnącą w jego stronę. Błysnął sztylet. Czując wzbierającą w nim furję, Jake sięgnął po miecz, ale pochwa u jego pasa była pusta. Błyskawicznie zmieniając plan, złapał kobietę za przegub i z całej siły uderzył jej ręką o słup, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż ostrze upadło na ziemię. Schylił się po nie, ale teraz Fang złapała go za rękę, którą wykręciła mu za plecami. Szybko otworzyła drzwi w drewnianej ścianie i wepchnęła go na arenę. Niedźwiedź ruszył na niego ciężkim truchtem, tocząc pianę spomiędzy obnażonych kłów, gdy nagle stanął dęba, zatrzymany przez łańcuch. Jake w porę odtoczył się spod olbrzymich łap, które grzmotnęły głucho o ziemię. Mistrz ceremonii – nieświadomy faktu, że ktoś wszedł na arenę za jego plecami – otworzył drzwi klatki i dwa psy ruszyły do ataku.

Jeden z nich od razu rzucił się na niedźwiedzia, ale drugi sadził susami w stronę Jake'a, kłapiąc ostrymi zębiskami. W biegu złapał go za ramię – z gardła Jake'a dobył się krzyk bólu – ale puścił, nie zdążywszy w porę wyhamować. Właśnie w tym momencie szczupła postać zeskoczyła z widowni na arenę i dzieliła psa ręką i mieczem. Zwierzę przez chwilę bezradnie dreptało w miejscu, po czym padło na ziemię bez czucia.

– Jake, to ja – oznajmiła postać, pochylając się, aby pomóc Jake'owi wstać.

Jake natychmiast rozpoznał tę twarz – te usta jak płatki róży, te migdałowe oczy – ale... Nie, to musiała być halucynacja.

– To ja, Yoyo!

Pomogła mu dźwignąć się na nogi, po czym – widząc, że drugi pies porzucił niedźwiedzia i biegnie w ich stronę – oboje pośpiesznie przeskoczyli przez ogrodzenie areny. Jake spojrział na Yoyo, wciąż oszołomiony. Była ubrana po męsku – w kubrak i pludry. Głowę przykryła filcową czapką, którą nasunęła sobie na oczy.

– Skąd ty się...? – zaczął Jake.

– Wyjaśnię ci później – ucięła. – Idziemy.

– Ale musimy... – Jake dyszał ciężko, w głowie miał zamęt.

– Wiem – uspokoiła go Yoyo, doskonale rozumiejąc. – Madame Fang. Pobiegnęła w stronę mostu. Musimy się śpieszyć.

Pociągnęła go za sobą.

– Ty ją znasz? – zdumiał się Jake, podczas gdy przepychali się do wyjścia.

– Moja mama ją знаła. Madame Fang usiłowała kiedyś pozbawić ją nóg, odcinając je przy kolanach. Czarująca staruszka.

Pomimo wszystko Jake nie mógł przestać się uśmiechać. Był tak zachwycony spotkaniem z Yoyo, że nic więcej się nie liczyło.

– Fajny masz kostium.

– W duchu epoki, prawda? Skoro mężczyźni grają tu role kobiet, to można i w drugą stronę. Patrz! – wykrzyknęła, wskazując przed siebie.

Wieża strażnicy na południowym końcu mostu była oświetlona pochodniami. W ich blasku dostrzegli madame Fang wspinającą się po wąskich schodkach wiodących ku makabrycznej kolekcji głów na dachu. Czerwone pantofle migały szybko w półmroku.

– Dokąd ona biegnie? – wysapał Jake.

– Nie dobiegnie... – Yoyo uniosła sztylet i mocnym rzutem posłała go w powietrze – migotliwy błysk stali na nocnym niebie.

Ku zdumieniu Jake'a stara kobieta odwróciła się i pochwyciła wirujące ostrze w dłoń, by natychmiast odrzucić je z powrotem. Yoyo uchyliła się zwinnie i wbiegła po schodach na dach. Stara kobieta czekała tam na nią z puginałem z czarnego metalu. Uderzyła na swoją przeciwniczkę, ale Yoyo porwała jedną ze sterczących w górę włóczni i z rozmachem przyłożyła Fang odciętą głowę. Raz za razem nacierała swoim upiornym orężem. Nareszcie zadała decydujący cios. Puginał Fang pofrunął młyńcem za krawędź dachu.

Przeciwniczki walczyły teraz wręcz, wymieniając ciosy i kopnięcia przy akompaniamencie krótkich, urywanych okrzyków. Jake, starając się nie wdychać trupiego odoru, dobiegł na górę akurat w chwili, kiedy Fang udało się odepchnąć Yoyo od siebie, powalając ją na plecy. Kobieta splunęła na nią, a potem odwróciła się, odbiła od krawędzi dachu i z rozpostartymi ramionami runęła do Tamizy.

Jake wprost nie wierzył własnym oczom. Przyskoczył do krawędzi w samą porę, by ujrzeć, jak Fang wynurza się z nurtu. W następnej chwili zobaczył długi, wrzecionowaty kształt – połyskujące metalicznie cygaro wyłaniające się z ciemnych odmętów. Czy mogła to być... łódź podwodna?! Podczas gdy madame Fang płynęła w jej stronę, otworzył się właz i ktoś pomógł jej wejść do środka. Następnie łódź ruszyła i szybko zaczęła się rozpędzać, roztrzaskując promy i przewracając łodzie wiosłowe.

Przy nabrzeżach i wzdłuż mostu dało się słyszeć fale okrzyków: ludzie zauważyli dziwny okręt i wiadomość rozprzestrzeniła się z prędkością błyskawicy. Niektórzy gonili za statkiem, by podziwiać niezwykle widok, inni uciekali w popłochu albo padali na kolana, aby modlić się

o zmiłowanie. Przerażone konie stawały dęba, wozy przewracały się – wybrzeże ogarniał chaos.  
Statek zanurzał się powoli, niczym olbrzymi krokodyl. Kiedy nareszcie zniknął pod wodą, powietrzem wstrząsnął chóralny wrzask, jakby właśnie nadszedł totalny koniec świata.

# 11

## Samotność Charliego

WPunkcie Zero było już dawno po północy. Zamek spał, ale Charlie Chieverley nie czuł się zmęczony. Tkwił w łóżku, opatulony kołdrą i próbował czytać książkę o kampanii Aleksandra Wielkiego w Indiach. Choć uważał temat za fascynujący, tym razem nie potrafił skoncentrować się na lekturze. Smutek ciążył mu na żołądku, jakby połknął kamień. Zjadała go tęsknota za przyjaciółmi.

Wyobrażał ich sobie w postelżbietańskim Londynie. Nathana robiącego zamieszanie wokół swoich strojów i pozostałych, jak stroją sobie z niego żarty. „Jakie sekrety mogą tam odkryć? Czy posunęli się choć o krok w poszukiwaniach Filipa?”. Jego myśli znowu zmieniły bieg. „Co oni tam jedzą, skoro nikt z nich nie potrafi gotować? Pewnie obżerają się bezwstydnie jakąś wstrętną pieczoną świnią. Siedemnastowieczni londyńczycy są najgorsi – fanatyczni mięsożercy”.

Charlie westchnął, odrzucił kołdrę i zwałóknął się z łóżka. Sięgnąwszy po kule, pokuśtykał do drzwi. Pan Drake otworzył jedno oko.

– Idę do kuchni – poinformował go Charlie. – Zrobię jakąś tartę czy coś... Muszę się trochę odprężyć.

Ostrożnie zszedł tylnymi schodami i ruszył korytarzem prowadzącym do kuchni. Zbliżając się do uchylonych drzwi, usłyszał łomot garnków i stanął.

– Kto, do demonów, gotuje o tej porze? – mruknął do siebie, zaglądając do środka.

Na drugim końcu kuchni krzątała się Oceana Noire, rozczochrana, z twarzą ubrudzoną mąką i w rozchełstany ubraniu, mamrocząc coś pod nosem.

Charlie – zaintrygowany i trochę przestraszony – pokuśtykał do środka i kaszlnął, aby zaznaczyć swoją obecność.

Oceana była tak zaabsorbowana, że nie zwróciła na niego uwagi.

– *Bonsoir*, mademoiselle Noire – powiedział Charlie głośno i wyraźnie.

Oceana zamarła.

– Ach, to ty. – Skrzywiła się. – *Qu'est-ce que tu veux?*

– Nie mogłem zasnąć – odpowiedział Charlie. – Więc zszedłem, by zrobić sobie tartę.

– *Ce n'est pas possible!* Nie możesz! – zaprotestowała. – Nie widzisz, że ja tu pracuję?

– Jestem pewien, że znajdzie się miejsce dla dwojga – odparł Charlie z uśmiechem, zdecydowany nie dać się spławić.

Przechodząc przez kuchnię, spostrzegł, że Oceana ukradkiem chowa w kredensie jakieś małe brązowe naczynie.

Charlie przygotował składniki do tarty. Wbijając jaja do miski, obejrzał się, by zobaczyć, co robi Oceana. Upiekła tort, gruzłowatą masę, którą właśnie polewała kleistą polewą czekoladową.

– Widzę, że jest pani moją bratnią duszą, mademoiselle – powiedział Charlie pogodnym tonem. – Piec torty w środku nocy... Czy to czekolada?

– Gorzka czekolada – odpowiedziała enigmatycznie. – I nie jest dla mnie! Sądzisz, że zachowałabym taką figurę, gdybym codziennie obżerała się tortami?

W rzeczy samej, Oceana zawsze była chuda jak wieszak, a schudła jeszcze bardziej, odkąd Jupitus i Róża ogłosili swoje zaręczyny.

– Ach, rozumiem. – Charlie uniósł brwi. – A kto będzie szczęśliwym obdarowanym? Oceanie zaszklily się oczy. Wlała resztkę czerwonego wina z butelki do kieliszka i pociągnęła łyk.

– Jak się miewa twoje ptaszysko? – spytała, zmieniając temat.

– Znacznie lepiej, dziękuję. Za tydzień znów będzie latał.

– *C'est bien* – odpowiedziała cicho. – Nasze zwierzaki to jedyne istoty, na których naprawdę możemy polegać, czyż nie?

Charlie pokiwał głową ze smutkiem. Lwica usiłowała go zabić, ale i tak współczuł jej właścicielce. Nie lubił myśleć o żadnym zwierzęciu jako o istocie złej, ale Józefina była szczególnym przypadkiem: choć dorastała na wyspie, zwyczajnie nienawidziła ludzi i wszystkich innych zwierząt. Być może miało to związek z tym, że jako bardzo młode kocię była trzymana w cyrku.

Charlie wrócił do tematu tortu.

– No więc dla kogo to? – naciskał, wskazując wzrokiem brązową bryłę.

Na twarz Oceany wrócił kwaśny grymas.

– Dla nich, przeklętych gołąbeczków. Dla tego człowieka i jego angielskiej kolorowej torby!

Oceana dopiła wino, zsunęła ciasto na srebrną tacę, po czym wzięła z blatu ostry nóż, który wsunęła sobie do kieszeni ostrzem do góry, złapała tort i gniewnie pomaszrowała do drzwi.

Charlie poczuł przyływ paniki.

– Chyba nie chce im pani tego dać, co?

Oceana odwróciła się gwałtownie i przeszyła go morderczym spojrzeniem.

– A co tobie do tego?

Przełknął ślinę, zerkając na ostrze, sterczące z kieszeni narzutki.

– N-nie, nic... Pomyślałem tylko, że o tej porze pewnie już śpią...

Oceana uśmiechnęła się krzywo.

– Cóż, jeżeli chcą mieć swoje ciasto oraz je zjeść, to będą musieli się obudzić – powiedziała, odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

– A poza tym – podjął Charlie – Róża i pan Cole już ze sobą nie rozmawiają. Lepiej dać im spokój.

– Nie twój interes! – wrzasnęła Oceana i wybiegła z kuchni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Charlie usłyszał, jak tupie po schodach. Ogarnęły go złe przeczucia. Pokuśtykał do kredensu i wyjął brązowy słój, który tam schowała. Był napelniony do połowy jakimś proszkiem, a Charlie od razu rozpoznał etykietę: trutka na szczury! Porwał swoje kule i ruszył za Oceaną.

– *Panno Noire! Panno Noire!* – zawołał. – Cokolwiek zamierza pani zrobić, błagam, proszę się dobrze zastanowić!

Ale po Oceanie nie było już śladu. Najszybciej, jak potrafił, Charlie zaczął gramolić się na schody.

Dysząc i rżąc, dotarł nareszcie do piętra, na którym mieściły się apartamenty Róży i Jupitusa. Drzwi do nich prowadzące były otwarte i oboje stali na korytarzu – Róża zaspana, w piżamie, Jupitus w szlafroku i bamboszach, z twarzą jak burzowa chmura.

– Nie jedzcie tortu! – wykrzyknął Charlie, kuśtykając pośpiesznie w ich stronę. – Czy wy...? Czy którekolwiek z was skosztowało tortu?

– Czy wszyscy tu kompletnie poszaleli? – odpowiedział pytaniem Jupitus. – Jest prawie druga w nocy. Co wy wyprawiacie?

– Najpierw mi odpowiedzcie – nalegał Charlie. – Czy była tu Oceana Noire?

– Owszem, była – odpowiedziała Róża. – Tłukła pięścią w moje drzwi, wrzeszcząc coś, Bóg jeden wie o czym. Wyszliśmy oboje, a wtedy powiedziała, że zrobiła dla nas niespodziankę. Potem zaczęła coś mamrotać, posłała nas oboje do diabła i cisnęła to, co tam miała ze sobą, do kosza na śmieci, o tam.

Charlie obejrzał się i ujrzał tort leżący w kawałkach na dnie kosza, a na nim nóż.

– Czyli nie jedliście tego? – upewnił się jeszcze z westchnieniem ulgi.

– To jakiś obłąd – wycedził Jupitus. – Nie mam ochoty tego wysłuchiwać. Życzę wam obojgu dobrej nocy.

Obrócił się na pięcie, wrócił do swojego pokoju i trzasnął za sobą drzwiami. Róża pokręciła głową, krzywiąc się z niesmakiem, po czym odwróciła się do Charliego i uśmiechnęła.

– Nie tknęliśmy tego, broń Boże. Ale dlaczego pytasz?

Charlie rozejrzał się niepewnie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Oceana najwyraźniej opamiętała się w ostatniej chwili.

– A w ogóle to wyglądasz znacznie lepiej – powiedziała Róża. – Nabrałeś trochę kolorków.

Zdanie to nie oddawało sprawiedliwości policzkom Charliego, płonącym czerwienią po tym, jak wgramolił się o kulach tak wysoko po schodach!

– Pozbędę się tego – powiedział, podnosząc kosz, by pokuśtykać z nim z powrotem. Nagle zatrzymał się, tknięty nagłą myślą. – W którą stronę poszła Oceana?

Róża wskazała koniec korytarza.

– Na górę. Myślę, że poszła na mury, trochę się przewietrzyć.

Charlie życzył Róży dobrej nocy i wyszedł na taras. Uważnie badał wzrokiem kontury Mont-Saint-Michel – ciemny kolaż kształtów i cieni – aż wreszcie wypatrzył Oceanę. Była na jednym z wyższych poziomów. Czy zamierzała skoczyć? Charlie schował kosz na śmieci za przyporą i myśląc o tym, że byłby najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi, gdyby już nigdy w życiu nie musiał oglądać schodów, ruszył, kulejąc, w jej stronę.

Zatrzymał się, kiedy spostrzegł, że jego obawy były słuszne. Oceana wspięła się na blanki i teraz stała, chwiejąc się, wysoko ponad falami. Letni wiatr szarpał jej włosy, układając je w łopoczącą chorągiew. Charlie zbliżył się, a wtedy odwróciła głowę, by na niego spojrzeć. Pod oczami miała smugi rozmazanego makijażu. Nie wyglądała już na obłąkaną, a tylko na zrozpaczoną.

– Panno Noire – głos Charliego był spokojny. – Proszę, niech pani tego nie robi.

– *Pourquoi pas?* – rzuciła chrapliwie.

– Ponieważ nie jest tu zbyt wysoko i najprawdopodobniej nie uda się pani zabić. Skończy pani, chodząc o kulach, jak ja, a to nie będzie ani trochę do pani pasowało.

– Czyżby? – syknęła. – A to niby dlaczego?

– Jest pani zbyt ładna na kule.

Zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

– *Ce n'est pas vrai!* Gdybym była ładna, ludzie by mnie kochali. Ale mnie nikt nie kocha.

Zacisnęła pięści i sprężyła się do skoku w otchłań.

– Jest pani najładniejszą kobietą na wyspie. Jak może pani zaprzeczać? Kiedy zobaczyłem panią po raz pierwszy, pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem nikogo tak pięknego.

Charlie mówił prawdę... choć starał się nią nie szafować. Nie trzeba dodawać, że miał też Oceanę za nieco pomyloną.

– Zawrzyjmy umowę. W następnym weekend odbędzie się letni bal nad zatoką w Saint-Malo. Będzie to pod każdym względem wspaniałe wydarzenie, na którym z całą pewnością nie zabraknie arystokratycznych typów: książąt, hrabiów i tak dalej... akurat w pani

stylu. Na pewno spotka tam pani kogoś, na czyj widok padnie pani z zachwytu. A jeśli nie, osobiście pomogę pani skoczyć.

Oceana obejrzała się na niego jeszcze raz.

– Dlaczego próbujesz mi pomóc? – spytała, przyglądając mu się badawczo.

Charlie westchnął i pozwolił, aby ramiona obwisły mu nieznacznie.

– Nie wiem. Może dlatego... dlatego, że oboje jesteśmy trochę samotni.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem Oceana uśmiechnęła się smutno i odsunęła od krawędzi.



# 12

## Chiński ekspres

Po tyleż dramatycznej, co efektownej ucieczce madame Fang Jake i Yoyo poszukali łodzi, aby przepłynąć na drugi brzeg rzeki. Yoyo wydobyla z kieszeni złotą monetę i gwizdnęła na przewoźnika, jakby wzywała wodną taksówkę codziennie. Na pokładzie przedyskutowali problem, czy powinni wrócić do siedziby Kompanii Wschodnioindyjskiej, czy raczej poczekać na pozostałych na „Gromie”. Zgodnie ustalili, że lepiej będzie, jeśli udadzą się na statek. Nathan i Topaz mieli wrócić właśnie tam, jeżeli już tego nie zrobili. Podczas gdy łódź sunęła nieśpiesznie po wodzie, Yoyo opowiedziała Jake’owi, co zaszło.

Uciekła z Mont-Saint-Michel niecałą godzinę po tym, jak on, Topaz i Nathan postawili żagle. Odciągnęła uwagę wszystkich, odpalając fajerwerki na zachodnich blankach, po czym odbiła od brzegu po wschodniej stronie wyspy.

– Nieraz przechodziłam sama przez punkty czasohoryzontu – oznajmiła chętnie. – Po raz pierwszy skalibrowałam chronofuzor, kiedy miałam trzy lata, i jestem najostrzejszym diamentem na półkuli wschodniej.

Jake w to nie wątpił.

– Którą łodzią przyплыnęłaś?

– Pożyczyłam „Zimorodka”. Wiedziałam, że komendantka trzyma na pokładzie rezerwowego zapas atomium.

– Ukradłaś jacht Galliany Goethe?! – wykrzyknął Jake, aż przewoźnik podskoczył ze strachu. – Rany, ale masz przechlapane – dokończył szeptem.

– Pożyczyłam – odpowiedziała Yoyo. – Poza tym to tylko mała żaglówka. Zresztą nie miałam wyboru. Owszem, nie wygląda to dobrze, ale w ostatecznym rozrachunku Galliana podziękuje mi za to. Mam kluczowe znaczenie dla sukcesu tej misji. Nikt nie odnajdzie Xi Xiang’a bez mnie.

Jake spojrział na swoją towarzyszkę – na jej oczy w kształcie migdałów i alabastrową twarz. Bez względu na inne przywary jej wiara we własną wartość była niezachwiana. Szybko wprowadził ją w dotychczasowe ustalenia misji i pokazał zegarek Filipa z tajemniczym zaleceniem, aby odnaleźć Wrota Oceanu. Yoyo także nie miała pojęcia, do czego mogłoby się odnosić to określenie.

Wylądowali bezpiecznie na północnym brzegu Tamizy, odszukali walący się pomost, przy którym czekał przycumowany „Grom”, i upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, weszli na pokład. Na statku nie było żywej duszy. Jake zdjął kubrak, krzywiąc się z bólu. Koszulę miał poplamioną krwią z ran i ją także częściowo ściągnął. Rękę miał rozoraną zębem psa, ale znacznie gorsza była rana na ramieniu od noża madame Fang.

– Daj, zobaczę – powiedziała Yoyo.

– Nie sądzę, żeby to było groźne – odparł Jake dzielnie.

Yoyo obejrzała ranę – głębokie, poziome rozcięcie.

– Przeżyjesz – oznajmiła. – Ale musimy to oczyścić. Apteczka?

– W tamtym kufrze. – Jake skinął głową w stronę drewnianej skrzyni, pełniącej podwójną funkcję schowka i siedziska za sterem.

Yoyo wyjęła z kufra duży skórzany pugilares i otworzyła go. Zawierał kolekcję sztucznych bród i wąsów.

– Interesujące – skomentowała zgryźliwie.

– Och, to Charliego – wyjaśnił Jake, nie mogąc powstrzymać chichotu. – Pasjonują go takie przebrania i lubi je chować w różnych dziwnych miejscach. Może pod spodem...

Pod spodem Yoyo znalazła dwa płaskie pudełka, jedno z lśnącymi instrumentami medycznymi, drugie pełne fiolek i słoiczków z medykamentami.

– Najlepiej, jeśli załatwimy to od razu – orzekła. Wyjęła buteleczkę i saszetkę z nawoskowanego papieru, którą rozerwała, by wyjąć z niej wacik. Nasączyła wacik kilkoma kroplami płynu z butelki. – Będzie piekło – ostrzegła i przystąpiła do przemywania rany.

Ból był silny i Jake mocno zaciskał zęby, żeby nie krzyknąć. Po oczyszczeniu rany Yoyo użyła kolejnego wacika do miejscowego znieczulenia.

– Kiedy mówiłaś, że będzie najlepiej, jeśli załatwimy to od razu... – zaniepokoił się Jake, ale umilkł na widok ostrej igły, którą jego towarzyszka nawlekła nicią chirurgiczną ze szpulki.

– Zagryź to – poleciła Yoyo, podając Jake'owi skrawek grubej skóry.

Nie tracąc dłużej ani chwili, pochyliła się i wbiła mu igłę w skórę. Tym razem nie powstrzymał krzyku.

– Rozglądaj się za tamtymi – poleciła mu, próbując odwrócić jego uwagę od bólu. – Widzisz ich?

Jake podrygiwał i stękał ciężko, podczas gdy Yoyo zszywała mu brzegi rany. Z wysiłkiem rozejrzał się po tłumnym nabrzeżu i potrząsnął głową.

– A co widzisz?

– Rybaków... sprzedają kraby – jęknął, patrząc na mężczyznę dźwigającego kosz pełen żywych skorupiaków. – Aj! – krzyknął znowu.

– Gotowe – oznajmiła Yoyo, zawiązując nitkę.

Odcięła wolne końce i wrzuciła narzędzia do pudełka.

– Już po wszystkim? – Jake poczuł, że oblewa go fala błogiej ulgi, a kiedy najgorszy ból minął, ku własnemu zaskoczeniu zaczął chichotać.

Yoyo wyjęła czysty bandaż i przystąpiła do owijania zranionego ramienia, starannie wyglądając kolejne warstwy.

– Miałaś kiedyś dziewczynę? – spytała.

Natychmiast przestał się śmiać. Zapadła cisza. Yoyo jak gdyby nigdy nic wiazała bandaż, a Jake'owi serce waliło jak młotem. Na pomoście jakaś dama kupowała kraby od rybaka.

– Zdziwiłabym się, gdybyś nie miał. Z taką twarzą? *Bel viso*, jak mawia signor Gondolfino. – Przemylała mu jeszcze pomniejszych skaleczenia na rękach i spakowała apteczkę. – To może ja mogłabym być twoją dziewczyną? – Brzmiało to bardziej jak stwierdzenie. Odłożyła do kufra kolekcję sztucznych wąsów, ale jedną parę zostawiła i przytknęła sobie pod nosem dla komicznego efektu.

Jake kompletnie zapomniał o swojej ranie. Gardło miał suche jak pieprz.

Yoyo była rozczarowana jego milczeniem.

– O mamo, słaba sugestia, wiem. – Odłożyła wąsy do kufra.

– Nie – wypalił Jake nagle. – To znaczy TAK! Mogłabyś. Oczywiście, że tak. – Wziął głęboki oddech. – Byłoby mi... Czy ty naprawdę...? – Podciągnął koszulę na ramię, ale rękę pozostawił wolną.

– Jesteś słodki. – Yoyo uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek. Zawahała się na chwilę. – Nie było łatwo zwrócić twoją uwagę, muszę powiedzieć.

– Nie było? – bąknął Jake. Miał wrażenie, że było dokładnie odwrotnie.

– Łażę za tobą od dnia, w którym przyплыnęłam na wyspę.

– Tak? – Jake'owi brakowało słów. Najwyraźniej wszystko odczytał opacznie.

– Umieram z głodu. Przejdę się do tego twojego rybaka i szybko coś upichcę.

Yoyo zeskoczyła na pomost i poszła obejrzeć połów. Jake, wciąż osłupiały, patrzył, jak gawędzi przyjacielsko z rybakiem. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie się wydarzyło. Czy Yoyo poprosiła go, aby mogła zostać jego dziewczyną? Nagle napęczniał z dumy jak balon. „Łaziła za mną od dnia, w którym przyłynęła na wyspę” – pomyślał. Nagle uderzyła go kolejna myśl: Nathan. Co mu powie? Tak bardzo nie chciał martwić przyjaciela.

Yoyo wróciła z naręczem krabów.

– Ostatni połów dnia.

– Wiesz, jeśli chodzi o to, co właśnie powiedziałaś... – zaczął Jake.

– O mamó, już zmieniłeś zdanie?

– Nie! Ale może... Miałabyś coś przeciwko temu, żeby przez jakiś czas był to nasz wspólny sekret?

Yoyo pisnęła z radości.

– Jasne, że nie. Uwielbiam sekrety! Dzięki nim wszystko jest bardziej ekscytujące – wyszeptała i żegnając Jake'a powłóczyłym spojrzeniem, zeszła po schodkach do kambuza, skąd wkrótce dobiegły go trzaski pękających krabowych skorupki.

Po pewnym czasie Jake wypatrzył dwie znajome sylwetki schodzące po stopniach w stronę pomostu i statku.

– Co się stało? – zawołała Topaz, wskakując na pokład. – Szukaliśmy cię wszędzie. Jesteś ranny – powiedziała, patrząc na bandaż.

– Posłuchajcie, sytuacja się rozwinęła... – zaczął Jake.

Chciał powiedzieć im o Yoyo – i madame Fang, rzecz jasna – kiedy jego nowa dziewczyna wyszła spod pokładu, balansując na dłoni tacą z jedzeniem i stertą talerzy. Nie rozpoznawszy jej w chłopięcym przebraniu, Nathan i Topaz dobyli mieczy.

– Spokojnie. – Yoyo palcem odepchnęła klingę Topaz i postawiła tacę na kufrze. – Bo dostaniecie zawału. Ma ktoś ochotę na smażonego krabika? – spytała, zdejmując pokrywę ze srebrnego półmiska.

Jedzenie wyglądało smaczkowicie – równie dobrze jak cokolwiek, co mógłby przyrządzić im Charlie: szmaragdowozielone warzywa wymieszane z różowymi kawałkami krabowego mięsa. Yoyo nałożyła pierwszą porcję.

– Najpierw Jake – oznajmiła i z kokietyjnym uśmiechem wręczyła mu talerz. – Prawdopodobnie najciężej na to pracował.

Nathan schował miecz, mimo woli szczerząc zęby w uśmiechu, ale Topaz wciąż trzymała swój w dłoni i z niedowierzaniem mrugała powiekami.

– Przepraszam bardzo... – Potrząsnęła głową. – Co ty tutaj robisz?

– Nie żeby nie było miło cię widzieć – dodał pośpiesznie Nathan. – Jest mi bardzo miło cię widzieć. I bardzo, bardzo, bardzo podoba mi się twoje przebranie. Szyk ulicznika: perfekcyjny, swobodny, wyważony.

Topaz rzuciła mu jadowite spojrzenie, po czym zwróciła się znowu do Yoyo.

– Spytałam, co tutaj robisz – powtórzyła niecierpliwie.

– Nie sądzę, aby istniała jakakolwiek potrzeba przybierania takiego tonu, panno St Honoré – odpowiedziała Yoyo, uśmiechając się nieszczerze. – Skąd wiesz, może przysłała mnie tu za wami sama komendantka? Nathan, krabika? – spytała, nakładając kolejną porcję.

– Cóż, tak, nie odmówię. Pachnie wybornie.

– A czy przysłała cię komendantka? – naciskała Topaz, wciąż odmawiając opuszczenia broni.

– Cóż, tak naprawdę to nie – wyznała Yoyo. – Ale powinna była. Krabika, panno St

Honoré?

– Nie – odparła Topaz z kamienną twarzą. – *Je n'aime pas les crustacés*. Skoro nie otrzymałaś rozkazu towarzyszenia nam, jestem zmuszona domagać się, abys natychmiast powróciła do Punktu Zero.

– Uuu, jak dramatycznie. – Yoyo zachichotała i zaczęła jeść. – Możesz domagać się do upadłego, ale nie wydaje mi się, abys miała jakiegokolwiek prawo powstrzymać mnie przed podróżowaniem, dokąd tylko zechcę.

– *Vraiment?* – Topaz stanęła nad Chinką, ściskając rękojeść miecza tak mocno, że pobielały jej kostki. – Dopóki ty pracujesz dla Straży Historii, a ja dowodzę tą wyprawą, mam wszelkie prawo! Jak się tu dostałaś?

Zapadła kłopotliwa cisza, a potem Yoyo zerknęła z ukosa na Jake'a i oznajmiła chłodno:

– Zabrałam jacht komendantki.

– Co zrobiłaś?! – Topaz parsknęła zduszonym śmiechem zdumienia.

Jake wstał, aby zainterweniować.

– Może wszyscy powinniśmy trochę się uspokoić.

Jeszcze nigdy nie widział Topaz tak rozjuszonej. Z wściekłości drżała jej górna warga.

– Niesamowite – powiedziała Yoyo, uśmiechając się sztywno. – Nawet nie zainteresowałaś się, co się działo z Jakiem. Podczas gdy wy zabawialiście się, czort wie gdzie, on odważnie ścigał madame Fang.

– Madame Fang? – wykrzyknął Nathan, omal nie udławiwszy się kęsem kraba. – Ona tu jest?

– Była – poprawił go Yoyo. – Uciekła z miasta ponad godzinę temu. Łodzią podwodną.

– Łodzią podwodną?! – parsknął Nathan.

– I wygląda na to, że Xi Xiang jest razem z nią – dodał Jake.

– Xi Xiang? – bąknął Nathan jak echo.

– *Pour l'amour de Dieu*, Nathan, przestań wszystko powtarzać! – Topaz wzięła głęboki wdech i nareszcie schowała miecz. – Przepraszam, panno Yuting, być może powinnyśmy cofnąć się do początku. Jake, czy mógłbyś zacząć od opowiedzenia nam wszystkiego, co wiesz?

Jake opowiedział im o wydarzeniach minionych dwóch godzin: o wizycie madame Fang pod siedzibą Kompanii Wschodnioindyjskiej, pościgu przez Most Londyński, jej spotkaniu z mężczyzną – być może Xi Xiangiem – w teatrze, o przygodzie z niedźwiedziem, potyczce wśród odciętych głów i wreszcie o fantastycznej ucieczce starej kobiety.

Nathan pokręcił głową.

– Chcesz mi wmówić, że siedemdziesięcioletnia starowinka skoczyła z Mostu Londyńskiego do Tamizy?

– W obecności tysiąca świadków na wschodnim brzegu – potwierdziła Yoyo. – Zdolności madame Fang wydają się nieograniczone, podobnie jak jej wytrwałość. A z wiekiem robi się coraz twardsza. Nurkuje jak delfin, potrafi przechodzić przez ogień, biegać po naprężonych linach... Jest wręcz nieludzko sprawna.

– Pewnie zamknęli dom, a potem podłożyli bomby na statkach Kompanii Wschodnioindyjskiej – myślała głośno Topaz, próbując poskładać w całość elementy układanki.

– A wy? – Jake spojrzał na Topaz i Nathana. – Dowiedzieliście się czegoś ciekawego?

– Tak – odpowiedziała Topaz. – Że Londyn nie jest jedynym miastem, w którym dokonano zamachów. – Wyciągnęła z kieszeni jedną z ulotek madame Fang i rozłożyła przed sobą. – „Wasze statki czeka zagłada. Waszą cywilizację również”. W ciągu minionych kilku tygodni podobne ulotki rozrzucono przed siedzibami organizacji kupieckich w Amsterdamie, Kopenhadze, Kadyksie, Marsylii i Genui. Następowало to zawsze po eksplozji albo na pokładzie

statku, albo w magazynie. – Topaz wyłowiła z kieszeni kolejny skrawek papieru. – Udało mi się zdobyć tę wersję, napisaną po flamandzku, od kupca z Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej. – Podniosła papier tak, aby Yoyo i Jake mogli zobaczyć napis. – Inny język, ale to samo pismo, ta sama treść.

*UW SCHEPEN ZIJN VERDOEMD. UW BESCHAVING OOK.*

– Mogę spojrzeć? – spytała Yoyo, wyciągając rękę.

Wzięła świstek od Topaz i zajęła się wnikliwym porównywaniem obu wersji.

– Holendrzy byli przekonani, że to Brytyjczycy stoją za zeszłotygodniowym sabotażem w Amsterdamie – wtrącił Nathan. – To dlatego byli w Londynie: prowadzą dochodzenie...

Mmm, ten krab doprawdy jest wyśmienity. – Odwrócił się do Yoyo i puścił do niej oczko. – Czy jest gdzieś kres twoich talentów?

Topaz cmoknęła z irytacją i skierowała rozmowę z powrotem na właściwy temat:

– Co rodzi pytanie: dokąd udał się Xi Xiang?

– Znam ten znak wodny – powiedziała Yoyo. – Jest taki sam na obu kartkach. Spójrzcie tutaj...

Pozostała trójka przymrużyła oczy, z trudem odnajdując wzrokiem zatopione w papierze cienie – ledwie widoczne znaki chińskiego pisma.

– To oczywiście insygnia Shena Pei-Pei.

– Oczywiście – zgodził się Nathan. – Przypomnij mi, kto zaczął ów Shen Pei-Pei?

– Ekscentryczny milioner-samotnik z tej epoki – odpowiedziała mu Topaz. – W tej chwili jest właścicielem połowy Kantonu. Ma tam ogromną fabrykę porcelany, imperium sosu rybnego oraz... wytwórnię papieru, największą w południowych Chinach. Który mamy teraz? Tysiąc sześćset dwunasty, czyli musi mieć prawie osiemdziesiąt lat. Ale od dziesięcioleci nikt go nie widział.

– Ach, ten Pei-Pei! – Nathan pokiwał głową. – Zawsze mi się myli z tym drugim Shenem Pei-Pei, tym, który hoduje te śmieszne koty bez sierści.

– Ale fakt, że papier pochodzi z jego zakładów, nie mówi nam zbyt wiele – zauważyła Topaz. – Xi Xiang mógł go po prostu kupić, tak jak milion innych Chińczyków.

– Nie – zachnęła się Yoyo. – Nic nie załapałaś. Shen Pei-Pei kolekcjonuje rzadkie drogocенności, a potężny smoczy kamień byłby prawdziwą ozdobą jego kolekcji.

– Lazurytowy Wąż? – powiedział Jake w zamyśleniu.

– Otóż to. Podobno trzyma swoje skarby w złotej pagodzie, wzniesionej w środku ogrodu.

Topaz myślała szybko.

– Jeszcze dziś wyruszamy do Kantonu. Płyniemy ekspresem.

– Ekspresem? – wykrzyknął Nathan. – Wykluczone! Nie płynę już więcej ekspresem.

Poprzednim razem omal nie eksplodowałem. I wyłysiałem, pamiętasz?

– Co za absurd! – prychnęła Topaz. – Trochę przerzedziły ci się włosy.

Nathan spojrział na siostrę z oburzeniem.

– Wyłaziły mi garściami! Nie zrobię tego – upierał się, głaszcząc swoją lśniącą grzywę, jakby była piekiem pokojowym. – Jestem niczym bez włosów.

– Jeżeli nie popłyniemy ekspresem, stracimy wiele dni – odparła Topaz. – Nie mamy wyboru.

– A poza tym można teraz dostać cudowne peruki – wtrąciła złośliwie Yoyo. – Mógłbyś wypróbować różne kolory. Blond mógłby ci nawet pasować...

– Jest tylko jeden słuszny kolor – odpowiedział Nathan z godnością – a mianowicie głęboki kasztan. – Zrobił znaczącą minę i zakręcił na palcu swój długi lok.

Jake był skołowany.

– Przepraszam, ale... co nazywacie ekspresem?

– Ekspres umożliwia agentom przenoszenie się na drugi koniec świata niemal natychmiast – wyjaśniła Topaz. – W mniejszej skali robiłeś już coś podobnego, kiedy translokowałeś się na Morze Śródziemne, ale kilkusetkilometrowy skok i wyprawa na drugą półkulę do południowych Chin to dwie zupełnie różne rzeczy, zwłaszcza jeżeli zachowuje się tę samą datę.

– Zachowuje tę samą datę? – Jake wciąż miał kłopoty ze zrozumieniem.

– Może spróbuję wytłumaczyć to jaśniej – wtrąciła się Yoyo. – Aby w ogóle dokonać przeskoku, musimy wejść w strumień czasu, tak? Zwykle im więcej lat mamy do przeskoczenia wstecz lub naprzód w czasie, tym łatwiej jest nam przy okazji przeskoczyć z jednej części świata do drugiej. Jeżeli zachowujemy tę samą datę, chcąc przenieść się z Londynu tysiąc sześćset dwunastego do Kantonu tysiąc sześćset dwunastego, musimy w rzeczywistości wejść do strumienia czasu, cofnąć się kilkaset lat, a potem natychmiast przenieść znów do przodu. Taka podróż może mieć dziwne efekty uboczne. To właśnie jest ekspres. Rzecz jasna w dużym uproszczeniu.

– Bardziej elegancką metodą byłoby postawienie żagli i wykonanie kilku spokojnych translokacji z jednego morza na drugie – powiedział Nathan.

– Bardziej elegancką, ale i o wiele bardziej czasochłonną – odparła Topaz.

– Cóż, w takim razie musimy płynąć ekspresem – zgodził się Jake. – Bo czas to jest właśnie to, czego akurat nie mamy.

Potoczył wzrokiem po pozostałych. Wszyscy byli diamentami, junakami – młodymi, silnymi agentami – i podejrzewał, że do wykonania tego skoku potrzebna będzie cała ich koncentracja. Starszy agent nie podjąłby takiego ryzyka.

– Wyruszymy natychmiast – postanowiła Topaz.

– A co ze mną, panno St Honoré? – spytała Yoyo. – Czy wciąż chcesz, żebym wróciła do Punktu Zero? – Patrzyła na swoją rywalkę, uśmiechając się krzywo.

– Topaz, myślę, że powinna wybrać się z nami – powiedział Nathan.

– Zgadza się z Nathanem – dodał Jake.

Topaz westchnęła.

– Panno Yuting...

– Proszę, mów mi Yoyo.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości co do twoich umiejętności, co nie zmienia faktu, że jesteś, jak by tu rzec... nieobliczalna. – Topaz zaczerpnęła tchu i mówiła dalej: – To powiedziawszy, muszę przyznać, że skoro wybieramy się do Kantonu, a ty jesteś ekspertką od tamtej części świata, decyzja zabrania cię ze sobą nie jest całkiem nierozsądna.

– Nie pożałujecie, obiecuję wam – powiedziała Yoyo.

– Ale będziesz musiała pogodzić się z jednym: ja tu dowodzę, a ty słuchasz moich rozkazów bez względu na okoliczności. Czy to jasne... Yoyo?

– Jak słońce.

Dziewczęta przez chwilę przypatrywały się sobie nawzajem.

– Wyślę do komendantki chronotelegram z wyjaśnieniem sytuacji – powiedziała Topaz posępnie. – Nie spodoba się jej to wszystko ani trochę, ale na to już nic nie poradzimy.

Wyciągnęła dłoń, a Yoyo ją uściśnęła.

– I proszę, mów mi Topaz.

Zanim wyruszyli w drogę, dziewczęta poszły się upewnić, czy „Zimorodek”, jacht Galliany, jest odpowiednio zabezpieczony (nie mieli innego wyjścia, jak tylko pozostawić go w postelźbietàńskim Londynie do czasu, aż ktoś z Punktu Zero będzie mógł go odebrać), oraz

przynieść resztę rzeczy Yoyo. Spodziewając się, że misja wykroczy poza Londyn, Yoyo wzięła ze sobą dużo pieniędzy – zwłaszcza waluty chińskiej. Topaz tak ucieszyła się na ich widok, że postanowiła nie pytać, czy one także – tak jak łódź – zostały skradzione.

Jakiś czas później, z Jakiem za sterem, odbili od pomostu i ruszyli w dół rzeki, w stronę Morza Północnego.

Jake zerknął przez ramię na metropolię za sobą. Londyn to jego rodzinne miasto, a on opuszczał je po raz wtóry, żeglując w nieznaną. Patrząc na mrowisko ulic, milion świetlnych punktów, które zdawały się opromieniać pejzaż złotą aurą, miasto tak różne od Londynu, w którym dorastał, Jake uświadomił sobie, że miejsce to ukształtowało jego życie.

Z głębin pamięci zaczęły nagle wypływać wspomnienia – dawno zapomniane momenty życia. Dzień, w którym po raz pierwszy wszedł na rower; tata puszczający siodelko na grzbiecie wzgórza w Greenwich Park i zieleń drzew pędzących wprost na niego. Pierwszy dzień szkoły, zapach nowego mundurka, niepewne twarze nowych kolegów. Urodziny, kiedy upał przekroczył trzydzieści osiem stopni, a kot sąsiadów dyszał na chodniku. I najczarniejszy dzień ze wszystkich – listopadowe popołudnie, kiedy rodzice powiedzieli mu, że jego brat już nie wróci do domu.

Jake wzdrygnął się, kiedy przypomniał sobie kanapę, na której go posadzono, zalaną łzami twarz mamy, bulgoczący kaloryfer, bo właśnie włączył się piec do ogrzewania. Tamtego wieczoru poszedł do łóżka kompletnie oszołomiony, niezdolny pojąć, co się stało.

Tydzień później wrócił ze szkoły wcześniej i poszedł do pokoju Filipa. Drzwi zastał lekko uchylone. Znajoma tabliczka ostrzegała:

***Uwaga, poszukiwacz przygód!***

W pokoju było zimniej niż w pozostałej części domu – tak zimno, że oddech zamieniał się w parę. Jake podszedł do półki z pucharami i nagrodami. (Filip był znakomitym sportowcem, jak również bardzo zdolnym uczniem. Co niezwykle u kogoś tak utalentowanego, był także popularnym kolegą. Przyjaźnił się nie tylko z nieśmiałymi ofermami, którym pomagał, ale też ze szkolnymi twardzielami. Również z dziewczynami; nawet te hałaśliwe i zadziorne w jego obecności jakby trochę łagodniały).

Jake odwrócił się od półki i rozejrzał po pokoju. Na stoliku przy łóżku piętrzyła się znajoma sterta książek opowiadających o fascynujących miejscach i ludziach z różnych epok historycznych. Samo łóżko, zwykle porzucone w nieładzie, tym razem było schludnie zaścielone, kołdra wygładzona, a poduszki przetrzepane. Wraz z tym widokiem do Jake'a po raz pierwszy dotarła straszna świadomość, że Filip już nigdy nie wróci. Nagle chłód stał się nie do zniesienia i Jake wybiegł z pokoju. W ciągu następnych trzech lat nie był tam ani razu.

Kiedy „Grom” opuścił ujście Tamizy i wypłynął na wody Morza Północnego, Topaz wyszła na pokład, niosąc cztery porcje atomium, które agenci niezwłocznie wypili. Nikt nie miał ochoty na pogawędkę. Panowała atmosfera powagi.

– Nathan, przydałyby się świeże oczy przy sterze. Zastąpisz Jake'a? – spytała Topaz. – Kurs na północno-północno-wschodni punkt czasohoryzontu – dodała, ruchem głowy wskazując mapę. – To trochę zmniejszy ryzyko.

Jake oddał ster i odwrócił się, aby popatrzeć na oddalający się brytyjski brzeg. Ze wschodu nadleciał gwałtowny podmuch i Jake zadygotał z zimna. „Chiny – pomyślał. – Płynę do Chin”.

Obejrzał się na konstantor. Trzy pierścienie, które prowadziły ich do punktu czasohoryzontu, powoli dążyły do zrównania się w jednej płaszczyźnie. Obracały się wokół metalowego globusa z wygrawerowanymi konturami kontynentów. Jake odszukał wzrokiem Wyspy Brytyjskie, potem Europę, Arabię, Indie, Syjam i wreszcie Chiny: wydęty policzek Azji.

Z jedną dłonią na kole sterowym Nathan schylił się po hełm, który trzymał między

stopami, i założył go na głowę.

–Być może zwiększy to moje szanse w kwestii fryzury – wyjaśnił.

Jake spojrział na Topaz.

– Nie powinniśmy też czegoś założyć?

Topaz uniosła palec do skroni i zatoczyła nim małe kółko na znak, że Nathanowi brakuje piątej klepki.

– Nie zrobiłoby to najmniejszej różnicy – wyszeptła do Jake'a, a potem uśmiechnęła się.

– Ja też jeszcze nigdy nie byłam w Chinach, wiesz? Cieszę się, że wybieramy się w tę podróż razem.

Jej oczy o tęczęwce w kolorze indygo wpatrywały się w Jake'a odrobinę dłużej niż zazwyczaj.

– Trzydzieści sekund! – zawołał Nathan.

Jake znów zerknął na konstantor: pierścienie prawie się zrównały. Statek zaczął drżeć i Topaz złapała go za ramię. Gest nie uszedł uwadze Yoyo, która sięgnęła po dłoń Jake'a i mocno ją ścisnęła.

Nathan zaczął odliczać:

– Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...

Statek zadygotał i przeraźliwie zatrzeszczał. Jak zwykle zupełnie znikąd pojawiła się trąba powietrzna, która natychmiast otoczyła ich białym wirem. Mignęły kolory i rozległ się dźwięk przypominający eksplozję. Jake ujrzał fontannę diamentowych kształtów, strzelających we wszystkie strony, i wystartował z własnego ciała pod niebo. Podczas gdy jego alter ego szykowało w głąb stratosfery, coraz dalej od zakrzywionej powierzchni Ziemi, przyszło mu do głowy, że nie rozumie, dlaczego wszyscy robią tyle szumu wokół podróży ekspresem. Wrażenie było takie samo jak podczas każdego przejścia przez punkt czasohoryzontu. Więcej: było wręcz łagodniejsze niż zwykle. Dopiero tuż przed osiągnięciem zenitu zauważył różnicę.

Nagle zaczął wirować w obłąkańczych fikołkach, coraz szybciej i szybciej. Wkrótce powierzchnia Ziemi błyskała mu przed oczami co ułamek sekundy. Zrobiło mu się niedobrze i odruchowo zamknął oczy. Uczucie było równie dziwnie, ale nie powodowało tak silnych mdłości. Wreszcie wirowanie ustało i Jake pomyślał z nadzieją, że może już wrócił na pokład statku, ale kiedy otworzył oczy, odkrył, że unosi się w bezkresnej czarnej pustce. Ogarnęła go panika, kiedy uświadomił sobie, że nie widzi Ziemi. Czyżby oddalił się od swojego ciała tak bardzo, że zgubił własną planetę? Przerażony rozglądał się dookoła w poszukiwaniu błękitnego globu, aż wreszcie pojął, że jest odwrócony do góry nogami i Ziemię ma nad głową.

W tej niekomfortowej pozycji, pchany przez niewidzialną siłę, ruszył naprzód i zaczął krążyć wokół planety, zrazu powoli, potem szybko przyśpieszając aż do osiągnięcia oszałamiającej prędkości.

– Ale jak?! – wyrwał mu się rozpaczliwy okrzyk. – Jak mogę lecieć tak szybko?

Próbował zrozumieć, co się z nim dzieje, choć wiedział, że to bezcelowy trud: to nie on orbitował wokół Ziemi, tylko jego alter ego. W pewnej chwili dostrzegł trzy drobne kształty daleko przed sobą. W następnym momencie kształty zniknęły.

Sekundę później zaczęły się wizje.

Podróżom przez punkt czasohoryzontu często towarzyszyły wizje z przeszłości, ale te pojawiły się przed Jakiem odwrócone do góry nogami. Zobaczył ośnieżone szczyty gór i lasy bambusowych traw, kładących się pod naporem wiatru. Zobaczył szachownicę pól na wpół zalanych wodą oraz szerokie, kręte rzeki. Były tam fortece o dachach z podwiniętymi w górę narożnikami, piętrowe pagody i pałace przykryte złotymi dachówkami. Zobaczył mur ciągnący się w nieskończoność i armię maszerującą przez zamarznąłą tundrę.



Zamknął oczy, by nie widzieć obrazów, a wtedy poczuł, że spada głową w dół. Pomknął ku morzu opływającemu ląd, którego nie rozpoznawał.

– Chiny? – spytał sam siebie, kręcąc głową, aby zobaczyć jak najwięcej, podczas gdy pod nim nabierał kształtu Orient.

Nagle zobaczył siebie stojącego wraz z pozostałymi na pokładzie „Gromu” i w rozbłysku światła powrócił do swojego ciała. Przez chwilę stał na pokładzie, dysząc i walcząc z zawrotami głowy, po czym podbiegł do relingu i zwymiotował. Kiedy odzyskał oddech, poczuł na ramieniu rękę Nathana.

– Wszystko w porządku?

Kiwnął głową. Nathan podał mu chusteczkę, a Jake zdołał wykrztusić:

– Jak tam włosy?

Nathan zdążył już zdjąć hełm. Potrząsnął swoimi lokami w odcieniu głębokiego kasztana i dumnie oznajmił:

– Możemy wszyscy odetchnąć z ulgą. Zdaje się, że przybyły w komplecie.

Jake spojrział na morze – nieruchomą gładź chabrowego błękitu, ciągnącą się w stronę złotego horyzontu. Dopiero teraz zauważył, że jest spocony.

– Udało się? – spytał.

Yoyo uśmiechnęła się do niego.

– Witamy na Morzu Południowochińskim.

# 13

## Czas kantoński

Co wy troje właściwie wiecie o Chinach? – spytała Yoyo, polerując klingę swojego miecza.

Agenci jedli właśnie lunch, żeglując na północ od punktu czasohoryzontu, w stronę portu w Kantonie.

–Pozwólcie, że nie będę owijał w bawełnę i przyznam się od razu – powiedział Nathan, okraszając słowa komicznie teatralną manierą. – Oczywiście podstawy znam, Wielki Mur i tak dalej, jednak moja wiedza jest zawstydzająco powierzchowna. Oświeć mnie!

Topaz skrzywiła się. Nieustające umizgi Nathana do Yoyo zaczynały być nieznośne. Łaził za nią jak szczeniak, rozpluwając się w zachwytach nad wszystkim, co zrobiła lub powiedziała.

– Wiem, że to najdłużej trwająca cywilizacja w historii. – Jake przypomniał sobie ustęp z książki o podróżach Marco Polo. – Cztery tysiące lat jak dotąd.

– Zgadza się. – Yoyo kiwnęła głową. – W ciągu czterech tysiącleci, choć miała swoje dobre i złe chwile, nasza cywilizacja nigdy nie upadła całkowicie. Rzymianie przetrwali marne siedemset lat, starożytni Grecy nawet krócej. Egipcjanie i Majowie spisali się lepiej, ale pierwsze miejsce należy się Chińczykom.

– *Naturellement* – rzuciła Topaz z kąśliwym uśmiechem.

– Jeżeli zaś chodzi o wasze zachodnie cywilizacje: Osmanów, Habsburgów, Romanowów... – Yoyo spojrzała na Topaz – tak zwaną cywilizację francuską... Cóż, wszystkie się skończyły, zanim na dobre zdążyły się zacząć. O tak! – Dla wzmocnienia efektu strzeliła palcami.

Topaz najeżyła się.

– To zależy, rzecz jasna, jak zdefiniuje się cywilizację – powiedziała z naciskiem.

– Okres francuskiego rozkwitu był fajny: mnóstwo pudru, wymyślne stroje i tak dalej. Ale ostatecznie wszystko to okazało się puste w środku i raczej krótkotrwałe. *Non?*

Nathan parsknął śmiechem.

– Musicie przyznać: jest w tym więcej niż ziarno prawdy!

Topaz postanowiła nie chwytać przynęty.

– Mów dalej, Yoyo, to fascynujące.

– Zatem jak to możliwe, zapytacie, że akurat my przetrwaliśmy tak długo? Jakim cudem odnieśliśmy tak absurdalnie wielki sukces? Co takiego sprawiło, że zasłużyliśmy sobie na miano Państwa Środka, królestwa pomiędzy niebem a ziemią?

– No właśnie, co? Powiedz nam! – rozpalił się Nathan.

– *Pour l'amour de Dieu* – mruknęła Topaz, przewracając oczami.

– Odpowiedź brzmi: nasz talent do wynalazków i innowacji, niegasnący przez całe tysiąclecia. Od siedemnastego wieku przed naszą erą kraj był rządzony przez potężne rody, z których każdy dawał początek zmianom i nowej epoce. Za dynastii Shang wynaleziono chiński alfabet i stworzono pierwszą w historii marynarkę wojenną. Po nich przyszli Zhou z żelazem i matematyką. W dwieście dwudziestym pierwszym roku przed naszą erą Qin Shi Huang, pierwszy cesarz, zaczął pracę nad Wielkim Murem Chińskim, największą budowlą, jaka kiedykolwiek powstała. Ponad siedem tysięcy kilometrów długości – odległość jak z Londynu do

Delhi.

– Cesarz Qin, wiem! – nie wytrzymał Nathan. – To ten, który kazał się pochować z całą masą glinianych żołnierzy.

– Nie tylko żołnierzy – powiedziała Yoyo. – Z całym dworem: zarządcami, kucharzami, nadwornymi muzykantami i niewolnikami. Tysiące terakotowych postaci, które miały mu służyć i pomagać w rządzeniu cesarstwem w zaświatach.

– To trzeba im przyznać: nie bali się rozmachu – zażartowała Topaz.

– A czemu mieliby się bać? – Yoyo wzruszyła ramionami. – Skromność jest dobra dla reszty świata. Po dynastii Qin przyszła dynastia Han. Wtedy to wynaleziono papier, kompas, sejsmograf i wiele innych rzeczy, ale, co ważniejsze dla nas wszystkich, za czasów dynastii Han powstała pierwsza międzykontynentalna droga handlowa – Jedwabny Szlak. Jak zapewne wiecie, mimo swojej nazwy nie była to jedna droga, lecz sieć dróg, prowadzących przez kontynent azjatycki, łączących Wschód z Zachodem. Rzymianie rozkochali się w chińskim jedwabiu, a była to mniej więcej epoka Juliusza Cezara. Ale, co o wiele ważniejsze, za handlem szła wymiana idei. Jedwabny Szlak szybko stał się superautostradą informacyjną.

– Fascynujące... fascynujące... – Nathan przeczesał włosy dłońmi, wytrzeszczając oczy.

– A to dopiero czubek góry lodowej. – Yoyo przejrzała się w lśniącej klindze. –

W czasach dynastii Tang, około dziewiątego wieku naszej ery, podczas gdy reszta świata tonęła w mroku średniowiecza, my pięliśmy się ku górze. Chiny przeżywały prawdziwy rozkwit kultury i sztuki. Wynaleziono białą porcelanę, druk, czarny proch. To era niebywałych postępów w wielu dziedzinach nauki, w astronomii, geografii...

– A Czyngis-chan? – zainteresował się Jake. – Kiedy on...

– Później – powiedziała Yoyo. – W trzynastym wieku pchnął granice imperium dalej niż ktokolwiek przed nim, od Europy na zachodzie po Mongolię na wschodzie. Po tym, jak Marco Polo wrócił z Chin i przywiózł stamtąd swoje opowieści, cały świat oszalał na punkcie wszystkiego, co chińskie. Obsesja ta rosła i rosła i na początku szesnastego wieku pomiędzy Wschodem a Zachodem zaczęły otwierać się morskie szlaki handlowe. – Yoyo wsunęła miecz do pochwy i z poważną miną spojrzała na swoich towarzyszy. – I tak docieramy do chwili obecnej, czyli do czasów słynnej dynastii Ming, epoki bogactw przekraczających wszelkie wyobrażenie. Wielki Mur jest ukończony, Pekin, najbardziej zaludnione miejsce na ziemi, zdobią złote pałace Zakazanego Miasta, zaś handel, źródło całego bogactwa, nie tylko w Chinach, ale i na całym świecie, rozkwita jak nigdy dotąd.

– I na tym kończymy lekcję. – Topaz nie powstrzymała się od okraszenia tych słów uśmiechem.

– Łąd! – krzyknął nagle Jake, zrywając się na równe nogi. – Ziemia na horyzoncie!

Wszyscy obejrżeli się w stronę dziobu, spoglądając na szarzejący w oddali pas łądu, drżący w spiekocie południa. Płynąc dalej, wkrótce znaleźli się w szerokim strumieniu statków sunących od i do brzegu. Jake przyglądał im się z zaciekawieniem. Mijało ich dużo zachodnich galeonów, wyruszających właśnie w długą podróż do domu, z żaglami wydętymi wiatrem, skrzypiąc brzuchatymi kadłubami, wypełnionymi po brzegi ładunkiem. Jednak to chińskie dżonki intrygowały go najbardziej. Bardziej kanciaste od europejskich jednostek wypinały wydatne rufy wysoko ponad wodę – istne urwiska z drewnianych belek – łopocząc żaglami, które wyglądały jak płetwy gigantycznej ryby.

– To Makau, o tam... – Yoyo wskazała port, wciąż ledwie widoczny w oddali: morze dachów wśród falujących wzgórz. – Niemal nowe miasto. Mieści się tu portugalska placówka handlowa, zarządzana przez Chińczyków. W czasie zaledwie kilku dziesięcioleci, odkąd zaczął się rozkwit światowego handlu, miasto rozrosło się aż dwudziestokrotnie.

Płynęli wzdłuż wybrzeża w głąb gigantycznej delty Rzeki Perłowej. Ujście było tak rozległe, że minęły godziny, nim brzegi zbliżyły się do siebie na tyle, aby mogli dojrzeć ląd po drugiej stronie. Mijali ujścia licznych dopływów rzeki, które łączyły się z deltą, unosząc własne potoki statków. Zbliżał się wieczór, kiedy „Grom” nareszcie dotarł do portu w Kantonie.

Słońce dało się we znaki Jake’owi, który ostatnią godzinę podróży przesiedział pod płóciennym daszkiem, ocierając pot z twarzy. Zapomniał jednak o dyskomforcie, kiedy tylko przed dziobem pojawiło się miasto – niczym miraż formujący się w drżącym od skwaru powietrzu. Jake wstał i wytrzeszczył oczy.

Tak jak w Londynie, wszędzie roilo się od statków, dżungla masztów i żagli zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Ale podczas gdy londyński port był ciasny i ciemny, Kanton promieniał łuną światła i kolorów. Morze miało odcień głębokiego turkusowego, a miasto, ze swoim bezmiarem dachów pokrytych żółtymi i pomarańczowymi dachówkami, wyglądało jak obsypane złotem. Kępy tropikalnych palm, wyrastających spomiędzy budynków, przydawały miejscu egzotycznej magii, zaś w oddali Jake wypatrzył dostojne pagody – ich wysmukłe wieże wznosiły się coraz węższymi kondygnacjami.

Po jednej stronie rzeki, w najokazalszej części portu, na brzegu kłębiły się tłumy Chińczyków, przeważnie w stożkowych kapeluszach ze słomy ryżowej, dobrze chroniących przed słońcem. Panował karnawałowy nastrój, ludzie wymachiwali rękami i przepychali się ku rzece, aby mieć jak najlepszy widok.

– Wzruszające. – Nathan wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nasz własny komitet powitalny.

Na brzegu dało się słyszeć wiwaty i wkrótce wszyscy krzyczeli, skakali i klaskali w dłonie. Nathan dał się porwać chwili i zaczął pozdrawiać tłumy uniesioną ręką, zarzucając kokieterynie swoją lśniąca grzywą.

Nagle z tyłu rozległ się ryk trąb tak głośny, że wszyscy czworo podskoczyli z przestachu. Zafascynowani widokami nie zauważyli statku płynącego tuż za nimi: gigantycznej jednostki, która sunąc majestatycznie w stronę nabrzeża, przykryła swoim cieniem „Groma”. Do trąb dołączyły grzmiące bębny: bam! bam! bam!

Statek miał siedem masztów, a na każdym z nich wzdymał się podobny do płetwy żagiel w kolorze kanarkowym. Na rufie piętrzył się kasztel, wielki jak wieża, o kondygnacjach zdobionych szeregami złotych płaskorzeźb. Na dziobie prężył się złoty smok z szeroko otwartą paszczą i wysuniętym językiem. Olbrzym płynął otoczony konwojem co najmniej dwudziestu mniejszych jednostek. Na pokładach roilo się od żołnierzy.

– To okręt skarbowy – powiedziała Yoyo. – Ten należy do cesarza i jego rodziny. Żadna inna jednostka nie może być przystrojona w cesarską żółć.

Kolor był wszędzie. Jake zauważył tron obity cytrynowym jedwabiem, ustawiony na przednim pokładzie.

– Cesarski okręt? – Nathan uniósł brwi. – Brzmi interesująco.

Yoyo zaczerpnęła tchu, by mówić dalej, ale uprzedziła ją Topaz.

– Okręty skarbowe to największe jednostki we flocie. Piętnastowieczny admirał i podróżnik Zheng He używał ich do transportu zaopatrzenia i kosztowności podczas licznych wypraw, jakie odbywał w imieniu cesarza – po części w celu odkrywania świata, ale także po to, żeby dać w chińską trąbkę, że się tak wyrażę. – Zwróciła się do Yoyo. – Czy nie mam racji?

– Może faktycznie daliśmy w trąbkę – odparła Yoyo. – Ale przynajmniej mieliśmy w co dać. W kwestii żeglugi pełnomorskiej Zachód wciąż był nieudolny, zakotwiczony beznadziejnie w średniowieczu.

Nathan roześmiał się.

– Ona ma rację, Topaz. Trochę to trwało, zanim nauczyliśmy się pływać, choć myślę, że nadrobiliśmy to opóźnienie z nawiązką.

Jego siostra uśmiechnęła się do niego przez zaciśnięte zęby.

– Tak czy owak, jak sami widzicie – ciągnęła Yoyo – okręt skarbowy, czyli *baochuan*, jak nazywamy go w Chinach, jest jednostką niezwykłą pod każdym względem. Może przewozić do pięciuset pasażerów: nawigatorów, uczonych, lekarzy, załogantów i żołnierzy. Jest prawdziwym miniaturowym miastem, a ten tutaj to kompletny dwór cesarza na morzu.

– Pływający pałac – podsumował Jake. – Myślicie, że cesarz jest na pokładzie?

I znów Topaz była szybsza od Yoyo.

– Zapewne nie sam Wanli, bo on rzadko opuszcza Pekin. Ale cesarz ma trzech synów, a sądząc po liczbie żołnierzy, powiedziałabym, że co najmniej jeden z nich musi tam być.

– Czego może szukać w Kantonie? – zastanawiał się Jake.

Tym razem, zanim którakolwiek z dziewcząt zdążyła się odezwać, Nathan szybko uniósł dłoń.

– To może niech Yoyo powie, co myśli. Wydaje się, że naprawdę jest specjalistką.

– Dziękuję, Nathan – mruknęła Yoyo. – Cóż, jak dobrze wiecie, Chiny są ogromne, dwa razy większe od Europy. Dlatego cesarz albo jego rodzina muszą od czasu do czasu odwiedzać prowincje, dla podtrzymania morale wśród ludu. – Odwróciła się do Topaz i dodała kąśliwie: – I generalnie, żeby dąć w swoją trąbkę.

Podczas gdy cesarski kolos podpływał do miejsca cumowania, „Grom” sunął w głąb portu. Jake chłonał widok tętniących życiem nabrzeży. Powietrze wypełniał zgiełk – nawoływania marynarzy i kupców przeplatały się z krzykami mew. Jaskrawe kolory miasta znajdowały odbicie w kaftanach robotników portowych i krzykliwych baldachimach na licznych wózkach, powozach i lektykach, które z trudem przeciskały się przez ciżbę.

– Jeżeli mnie pamięć nie myli, papiernia Pei-Pei znajduje się na południowym cyplu, o tam – oznajmiła Yoyo, wyciągając przed siebie palec. – Proponuję przycumować gdzieś w pobliżu.

Topaz zwróciła się do stojącego za sterem Nathana.

– Słyszałeś. Płyn do tamtego pomostu.

Jake przypomniał sobie, po co tu przyплыnęli. Pei-Pei był kantońskim milionerem, który nie tylko kolekcjonował bezcenne smocze kamienie – takie jak Lazurytowy Wąż – ale także był właścicielem fabryki, z której pochodził papier użyty na ulotki madame Fang. Wytropienie go mogło pomóc w ustaleniu miejsca pobytu Xi Xianga.

Zacumowali pomiędzy chińską dżonką, dwa razy większą od „Gromu”, a równie wielkim europejskim galeonem.

Wywiązała się dyskusja dotycząca garderoby. Nathan zasugerował, że powinni zacząć od zakupów i sprawić sobie oryginalny orientalny przyodziewek.

– Jest parę fantastycznych rzeczy, w jakich moglibyśmy wystąpić, w naprawdę obłądnych kolorach – przekonywał.

Ale Topaz zawetowała propozycję, wskazując, że po Kantonie kręci się mnóstwo Europejczyków i elżbietańskie kostiumy agentów wcale nie są tu nie na miejscu.

– No i gdzież tu frajda? – mruknął Nathan do Jake’a, kiedy wyszli na brzeg. – Jaki sens pływać do tych wszystkich miejsc, skoro nie można się nawet poprzebierać.

Ruszyli wzdłuż alei między dwoma magazynami. Im bardziej oddalali się od wody, tym bardziej odczuwali upał. Powietrze było gęste jak zupa.

– Będzie burza – mruknęła Topaz, spoglądając na niebo, które jeszcze pół godziny wcześniej było niebieskie, ale teraz przybrało kolor brązu.

Nie odeszli daleko od portu, kiedy natknęli się na długi i niski szary budynek o wąskich, zakratowanych oknach.

– To fabryka papieru. – Yoyo zatrzymała się w cieniu na rogu, aby przyjrzeć się dokładnie.

– To normalne, że jest tak pilnie strzeżona? – spytał Nathan, wskazując wzrokiem na uzbrojonych po zęby wartowników przed wejściem. – Jak bardzo cenny jest tutaj papier?

– Nie aż tak cenny – powiedziała Yoyo. – Zobaczmy, czy uda nam się tam dostać od tyłu. – Zrobiła krok naprzód, ale zatrzymała się gwałtownie, przypominając sobie o łańcuchu dowodzenia. – Przepraszam, Topaz. Czy powinniśmy...?

– Ruszajmy – odpowiedziała dziewczyna. – Ty prowadzisz.

Okrążyli budynek tylko po to, aby przekonać się, że jego tył jest jeszcze bardziej niedostępny niż front: tworzyła go gładka, bezokienna ściana.

– Założę się, że przez dach także nie da się wejść – westchnął Nathan.

Dach, zbudowany w tradycyjnym chińskim stylu, miał podwinięte do góry naroża i był pokryty ceramicznymi dachówkami.

– Tam są otwory wentylacyjne. – Topaz wskazała na szereg szczelin w połaci. – Możemy przynajmniej zajrzeć do środka.

Bez wahania wdrapała się na sąsiedni mur, z którego zwinnie wskoczyła na okap papierni. Pochylając się nisko, aby nie dostrzegli jej wartownicy przed budynkiem, sprawdziła nogą, czy dachówki wytrzymają jej ciężar, a potem skinęła na pozostałych. Yoyo w mgnieniu oka znalazła się u jej boku. Jake wdrapał się za nią z wyraźnie mniejszą gracją, ale gdy do wspinaczki zabrał się Nathan, Topaz gwizdnęła na niego cicho.

– Ty zostań i miej oko na straże.

– Jasne, żaden problem – wymamrotał pod nosem. – Wy idźcie się bawić, a ja zostanę i odwalę całą nudną robotę.

Trójka na dachu na palcach przekradła się do otworów wentylacyjnych, dyszących ciepłym oparem, który natychmiast rozwiewał się w podmuchach wiatru. Zajrzeli do środka i zobaczyli pod sobą obszerne pomieszczenie. Kadzie pełne wody z rozdrobnionym drewnem bulgotały nad wielkimi ogniskami, podsycanymi przez półnagich palaczy. W dalszej części sali rozgotowaną mieszaninę odciskano na sitach, zaś pozostałą papkę rozwałkowywano kamiennymi walcami. Na koniec kwadraty wilgotnego, skompresowanego papieru przenoszono do sąsiedniego pomieszczenia.

Topaz skinęła na Jake'a i Yoyo, po czym wszyscy troje przekradli się na drugą stronę dachu, uważając, by nie dostrzeżono ich z ulicy. W następnej sali mieściła się suszarnia, gdzie krzątali się pracownicy rozwieszający mokre i zdejmujący wysuszone arkusze papieru, często używając do tego celu bambusowych drabin, aby wykorzystać każdy wolny skrawek przestrzeni. Gotowy papier układano w sterty pod jedną ze ścian.

Jake zamarł na widok twarzy patrzącej na niego tuż spod otworu wentylacyjnego. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści miecza, ale mężczyzna – garbaty starowinka o pergaminowej skórze – nic sobie nie robił z jego obecności i pomacał płachtę papieru, mamrocząc coś do siebie, żeby sprawdzić jej jakość. Jake zobaczył mlecznobiałe oczy i uświadomił sobie, że starzec jest niewidomy. Wreszcie mężczyzna odczepił papier i wraz z nim zszedł po drabinie, a Jake zwiesił głowę z westchnieniem ulgi.

Troje agentów podążało dalej wzdłuż dachu, zaglądając do kolejnych otworów wentylacyjnych: najpierw nad korytarzem, gdzie dwaj wartownicy strzegli metalowych drzwi, potem nad następnym pomieszczeniem. Tutaj ludzie byli kompletnie ubrani i pracowali w bawełnianych rękawicach. Kilku nosiło okulary – maleńkie szklane dyski w oprawkach ze

złotego drutu. Obsługiwali dwie maszyny – żeliwne monstra, które nieprzerwanie szczękały i łomotały.

– Maszyny drukarskie – mruknęła Topaz.

Jake zajrzał na dół z zaciekawieniem. Widział już wcześniej takie urządzenia, w lochach zamku Schwarzhelm, górskiej kryjówce księcia Zeldta, jednak te były o wiele bardziej wyrafinowane, wyglądały jak wnętrza wielkich zegarów. Co sekundę wypluwały stronę zadrukowaną skomplikowanymi wzorami.

– Co to jest? – spytał cicho Jake, patrząc, jak plik świeżo zadrukowanych arkuszy zostaje przeniesiony na stół, starannie pocięty gilotyną na mniejsze części i złożony w metalowej skrzynce. Nagle zrozumiał. – Pieniądze! Oni drukują pieniądze.

– Jak może wiecie, to my wynaleźliśmy banknoty – powiedziała Yoyo chełpliwie. – Już w połowie jedenastego wieku, kiedy u was podstawową walutą wciąż były kurczaki.

– Tak, Yoyo, dotarło do nas. – Topaz westchnęła z irytacją. – Byliśmy opóźnieni w rozwoju. Czy możemy już zostawić ten temat?

– Jak myślicie, drukują to nielegalnie? – spytał szybko Jake, chcąc zdławić w zarodku szykującą się kłótnię.

– Niekoniecznie – odpowiedziała Yoyo. – Produkcja pieniędzy jest koncesjonowana przez rząd. Drukarnia ma cesarską pieczęć, więc to by się zgadzało. Poza tym to tłumaczy obecność strażników na zewnątrz.

–Ktoś idzie – powiedział Jake, usłyszawszy szcęk rygli w drzwiach.

Zamarli w oczekiwaniu. Po chwili drzwi się otworzyły i do środka dumnie wkroczył młody mężczyzna ubrany w błękitną tunikę, ściśniętą pasem, do którego przytroczone były dwa miecze, po jednym z każdego boku. Pomiędzy jego wargami sterczała wykałaczką, którą przetaczał językiem z jednej strony na drugą. Przenikliwym gwizdnięciem dał znać o swoim przybyciu. Starzec w okularach – najwyraźniej zarządca – kazał mu czekać.

– Daj lunetę – szepnęła Topaz do Yoyo.

Rozsunęła instrument i przyjrzała się nowo przybytemu.

– Ma znak na tunice. To ośmiornica! Znak Xi Xianga. Spójrz.

Podła lunetę Jake'owi, ale młodzieniec odwrócił się i podszedł do metalowej skrzynki z banknotami. Zarządca zdjął z szyi klucz na łańcuszku, zamknął skrzynię i wręczył ją człowiekowi w błękicie. Następnie założył mu na nadgarstek obręcz z łańcuchem, którego koniec przypiął do skrzynki. Wreszcie podpisał oficjalnie wyglądające pismo, opatrzył pieczęcią, wepchnął młodzianowi w wolną rękę i odprawił go klaśnięciem w dłoń.

Młody człowiek puścił do niego oko, odwrócił się i podszedł do wyjścia. Zapukał dwa razy. Strażnik po drugiej stronie wypuścił go i zatrzasnął drzwi.

– Za nim – powiedziała Topaz. – Szybko!

Pośpiesznie wrócili do Nathana.

– No i co? – spytał.

– Wygląda na to, że jeden z ludzi Xi Xianga zabiera dokądś skrzynię z pieniędzmi – powiedział Jake. – Ruszajmy.

# 14

## Przez Wrota Oceanu

Strażnicy historii przekradli się z powrotem przed front fabryki. Młodzieniec w błękitnej tunice właśnie wychodził głównymi drzwiami. Wręczył papier strażnikowi, który obejrzał dokument, oklepał chłopcu tors i nogawki, sprawdził, czy łańcuch jest dobrze przymocowany do nadgarstka, i wypuścił. Młodzian przeszedł na drugą stronę ulicy, wsiadł do rikszy osłoniętej daszkiem o takim samym kolorze jak jego tunika, strzelił palcami na rikszarza i odjechał.

– Biegiem! – rozkazała Topaz, wyskakując na ulicę.

Wybiegli za następny zakręt... i zrzędy im miny.

– Godzina szczytu! – jęknął Jake, potrząsając głową.

Patrzyli na szeroki bulwar, który o tej porze dnia był niemożliwie zatłoczony. Wozy, dwukółki i lektyki – nie wspominając o setkach rikszy – telepały się we wszystkie strony.

– Tam! – krzyknęła Topaz, wypatrzywszy błysk błękitu w oddali.

Rozsunęła lunetę, aby upewnić się, czy to rzeczywiście właściwy pojazd. Mignęła jej metalowa skrzynka leżąca na siedzeniu.

– To on.

– Taksi! – zawołał Nathan i machnął ręką na najbliższą rikszę, która zatrzymała się gwałtownie.

– Za mała dla nas wszystkich – orzekła Yoyo, zatrzymując następną.

Pociągnęła Jake'a za sobą do rikszy, pozostawiając pierwszy pojazd Nathanowi i Topaz.

Topaz łamaną chińszczyzną wydała rikszarzom polecenia, a ci kiwnęli głowami i potruchtali w miasto.

Jake patrzył na tłum kantończyków, którzy śpieszyli za swoimi sprawami, odpędzając skwar wachlarzami. Ludzie wracali do domów albo robili zakupy w sklepach, reklamujących swój towar na wysokich chorągwiach. Były tam apteki, kantory kaligrafów, sklepy tytoniowe i korzenne, herbaciarnie, stragany z marynatami, warsztaty sandalników, stolarzy i kamieniarzy. Były kramy sprzedające najrozmaitsze przysmaki: kurze łapki, białe brzoskwinie, pierożki gotowane na parze i mięso z rożna. Pomiędzy sklepami i w poprzek ulicy zwisały sznury papierowych lampionów.

Zgiełk miasta urozmaicały dźwięki muzyki. Dobiegające z różnych stron melodie tworzyły jazgotliwą kakofonię. Jake zauważył stojącą z boku kapelę; muzykanci podzwaniali dzwonkami, pobrzękiwali bambusowymi drumlami i bili w cymbały. Tu i tam mieszkańcy zbierali się w grupy, by grać w kości, warcaby i szachy.

Większość ludzi wyglądała na Chińczyków, ale – zgodnie z przewidywaniami Topaz – nie brakowało też Europejczyków. Kanton w rzeczy samej był równie międzynarodowym miastem, jak postelżbietański Londyn. Obcokrajowcy zachowywali się swobodnie, oswojeni z rytmem życia miasta, choć wielu pocilo się obficie w tropikalnej spiekocie.

Agenci podążali za błękitną rikszą, która klucząc, wspięła się na wzniesienie i pokonawszy stary most, zagłębiła się w uboższej części miasta. Mijali nosiwodów, którzy stąpali ciężko pod ciężarem nosideł z uwieszonymi na końcach wielkimi wiadrami. Bosonogie dzieci i wychudzone psy buszowały w stertach odpadków, szukając resztek jedzenia. Klucząc uliczkami, riksze wkrótce dotarły z powrotem na wybrzeże, do przystani poprzecinanej gęstą siecią na wpół zmurszałych pomostów.



Na najbliższy z nich spędzano właśnie konie po szerokim trapie statku. Wyłaniając się z ładowni po długiej podróży, potykały się na niepewnych nogach, zbyt długo stłoczone bez możliwości ruchu.

– Zapewne z Persji, albo przynajmniej z Bliskiego Wschodu, sądząc po statku – powiedziała Yoyo do Jake’a. – Pewnie wiesz, że konie nie są w Chinach rdzennym gatunkiem, dlatego sprowadzamy je w zamian za inne towary. Można powiedzieć, choć to pewnie lekka przesada, że gdyby nie konie, światowy handel w ogóle by nie zaistniał.

Kiedy mijali następny pomost, Jake’a uderzył w nozdrza ostry odór, od którego zebralo mu się na wymioty. Rikszarz odwrócił się w biegu i uśmiechnął.

– Wytwórnia sosu rybnego – wyjaśniła Yoyo.

– Sfermentowane, zgniłe ryby – powiedziała Topaz do brata w drugiej rikszy. – Nie nazwałabym tego *haute cuisine*.

– A mnie ten aromat nie przeszkadza – zawołał Nathan w nadziei, że usłyszy go Yoyo. – Ma w sobie ziemiście pikantną nutkę – dodał, przypominając sobie jeden ze zwrotów Charliego.

Rybi odór nie zdążył rozwiać się całkowicie, kiedy Jake wyczuł kolejny zapach – pieprzny i lekko drzewny, w pierwszej chwili przyjemny, który jednak szybko stał się przytłaczający. Jake kichnął – raz, drugi, trzeci... a potem jeszcze czwarty, na szczęście. Na nabrzeżu robotnicy przesypywali aksamitny brązowy proszek z beczek do mniejszych pojemników. Wkrótce Nathan i Topaz także zaczęli kichać, ale Yoyo, najwyraźniej uodporniona, tylko chichotała.

– Gałka muszkatowa – poinformowała kolegów.

Przed nimi, na szczycie wzniesienia, błękitna riksha zatrzymała się przed rozpadającym się budynkiem z charakterystycznym dachem, przykrytym różową dachówką. Stał u stóp skalistej skarpy, wyznaczającej granicę miasta – w istocie budynek wydawał się wręcz jej częścią. Młodzieniec w błękitnej tunice wysiadł z rikszy i odprawivszy pojazd, wniósł skrzynkę z pieniędzmi na schody przed wejściem, niby od niechcenia rozejrzał się, po czym zniknął za progiem.

Topaz kazała rikszarzom stanąć.

– Dalej pójdziemy pieszo – oznajmiła, wręczając mężczyznom po srebrnej monecie.

Zapłata była najwyraźniej znacznie hojniejsza, niż się spodziewali. Rikszarze podziękowali Topaz wylewnie, po czym pomogli pozostałym wydostać się z pojazdów, zanim zawrócili, by potruczać z powrotem w dół.

Strażnicy historii rozglądali się po niebudzącej zaufania okolicy, w której się znaleźli.

– Intrygująca lokalizacja – stwierdził Nathan z kamienną miną.

Jake spojrzał w niebo. Zastłonięta smugami chmur jasna plama słońca osuwała się ku horyzontowi. W oddali dał się słyszeć trzask gromu i niebo zamigotało błyskiem wyładowania. Wszyscy troje zwrócili się ku budynkowi z różowym dachem i odruchowo sprawdzając broń, ruszyli w jego stronę.

Z bliska wydawał się jeszcze większy i starszy; ponure gmaszysko patrzyło z wysokości wzgórza na miasto i morze. Z wnętrza dobiegała muzyka – dźwięki, które Jake odbierał jako drażniące ucho brzęczenie połączone z grzmiącym bębniem i piskliwym śpiewem.

– Chińska opera – powiedziała Yoyo. – A ten budynek to prawdopodobnie czajchana.

– Opera? – Nathan zatrzymał się w pół kroku.

Topaz nie powstrzymała się od uśmiechu.

– Ach, opera. Nie ma niczego, co Nathan kochałby bardziej! – zakpiła.

Specjalnie dla Yoyo Nathan próbował udawać podekscytowanego.

– To prawda, to prawda! – zapewnił gorliwie. – Szczególnie dotyczy to chińskiej opery. –

Zamyślił się na chwilę. – A co to właściwie jest chińska opera?

– Pradawne historie opowiadane poprzez muzykę, taniec i akrobacje. Rozrywka dla ludu.

– Cudownie, cudownie! Na co jeszcze czekamy? – wykrzyknął Nathan, po czym nachylił się do Jake'a i szeptem dodał: – Wolałbym spłonąć żywcem.

Topaz podniosła wzrok na przekrzywiony szyld nad wejściem i zatrzymała się gwałtownie. Litery, choć na wpół zatarte, wciąż były czytelne.

– Nie wierzę! – sapnęła i zwróciła się do Yoyo: – Czy tu jest napisane to, co mi się wydaje?

Teraz Yoyo wstrzymała oddech z wrażenia. Przetłumaczyła napis chłopcom.

– Wrota Oceanu.

– C-co? – wyjąkał Jake, czując, jak przyśpiesza mu puls.

Odpiął zegarek brata z nadgarstka i jeszcze raz przyjrzał się inskrypcji:

*Powiedzcie rodzinie, że ich kocham. Odnajdźcie Lazurytowego Węża – przez Wrota Oceanu, K*

– K oznaczało Kanton – powiedział. – Filip nie skończył pisać. Co tam jest w środku?

Topaz ostrożnie zajrzała do wnętrza.

– Tak jak powiedziała Yoyo: to tylko czajchana. Po co przynosić tu szkatułę z pieniędzmi?

Obejrzała się i skinęła na pozostałych, aby poszli za nią.

Wśliznęli się w mroczne wejście, przez które przedostali się do obszernej, hałaśliwej sali. Tuziny gości pochylały się przy niskich stolikach, rozmawiając i popijając z małych porcelanowych miseczek. Niektórzy palili cienkie białe fajki, wypełniające powietrze mgłą. Tu i ówdzie trzepotał papierowy wachlarz, wprawiając dym w powolne wirowanie.

– Widzicie go gdzieś? – spytała szeptem Topaz.

Nie widzieli – mężczyzna w niebieskiej tunice jakby rozplynął się w powietrzu.

Na scenie trupa artystów odgrywała przedstawienie – osobliwą pantomimę przeplataną muzycznymi interludiami. Stroje aktorów raziły oczy krzykliwymi kolorami: turkusem, różem i oranżem. Niektórzy mieli maski, inni pomalowali twarze czarną i białą farbą. Wszystkie aktorki trzymały wachlarze, którymi poruszały z gracją w harmonii z muzyką, zaś ich kunsztowne nakrycia głowy pobrzękiwały klejnotami. Jake nie widział – ani nawet nie słyszał – niczego podobnego jeszcze nigdy w życiu.

–Wybornie! – Nathan klasnął w dłonie, ze wszystkich sił starając się ukryć obrzydzenie. – Ale nam się trafiło! Rozrywka pierwsza klasa.

Po jednej stronie sali personel uwijał się za kontuarem, parząc herbatę: wysuszone liście wybierano z kolekcji słoików i mieszano w parujących imbrykach z wrzątkiem.

– Usiądźmy i poobserwujmy, co się tu dzieje – zdecydowała Topaz, zajmując miejsce przy wolnym stoliku.

Jakiś mężczyzna pokuśtykał w ich stronę, trzymając tacę z niezidentyfikowaną potrawą w postaci czarnych grud nadzianych na długie szpikulce. Yoyo rzuciła mu monetę i wzięła sobie dwa dziwne szaszłyki.

–Co to jest? – spytał Nathan, skrywając pół twarzy za chusteczką.

– Smażone chrząszcze – odpowiedziała Yoyo, rozgryzając jednego z lubością. – Dużo białka i żelaza.

– Czemu nie skosztujesz? – zachichotała Topaz, podsuwając bratu szpikulce.

Nathan odepchnął go czubkiem palca.

– Dziękuję, ale mam niezłomną zasadę: żadnych żuków po zachodzie słońca.

Jake spostrzegł, że kelner ma sztuczną nogę – byle jak ociosany drewniany klocek

przytroczony rzemieniami do kolana. Jego druga, prawdziwa noga nie wyglądała zdrowo: chuda, z czarną stopą i koślawymi palcami. Wiedziony współczuciem Jake także rzucił monetę na tacę i wziął szpikulec, choć wcale nie miał ochoty na te chińskie smakołyki.

– Co mi się może stać? – Wzruszył ramionami i ugryzł chrząszcza, krzywiąc się lekko. – Całkiem smaczny, muszę przyznać. Jak przypalona krewetka.

– Jake to jedyny odważny z waszej trójki – orzekła Yoyo.

Nathan się najeżył.

– Przepraszam, dobry człowieku! – Pstryknął palcami za odchodzącym kelnerem. – Jeszcze jedną porcję poproszę.

Zapłaciwszy, z determinacją wbił zęby w chrząszcza.

– Wyborne! Niebo w gębie! Nigdy nie jadłem czegoś podobnego.

Rozglądając się wokół, Topaz zauważyła coś dziwnego.

– Tamci nie wyglądają na stałych bywalców – powiedziała cicho, wskazując wzrokiem nowo przybyłych gości: czterech starszych mężczyzn w jedwabnych szatach, ściskających w dłoniach papierowe zwoje.

Wyglądali na znacznie lepiej sytuowanych niż ktokolwiek inny w sali. Kilku gości przyglądało im się bojaźliwie znad krawędzi swoich miseczek, podczas gdy naradzali się przez chwilę, by wreszcie zająć sąsiedni stolik. Zza kontuaru wyszedł mężczyzna o długich, cienkich wąsach – zarządca lokalu, jak domyślił się Jake. Kiedy podszedł do przybyszów, najstarszy z nich przejrzał kartę, po czym złożył zamówienie, mówiąc powoli i wyraźnie. Zarządca skłonił się i wrócił za kontuar.

Yoyo pochyliła się nad stolikiem.

– Właśnie zamówił junshan, ale junshan nie ma w menu – wyszeptała.

– A co to jest? – odszepnął Jake.

– Złote igły, najrzadsza herbata w Chinach – wyjaśniła Yoyo.

Zarządca wrócił z tacą, napełnił cztery miseczki herbatą, skłonił się i odszedł. Czterej mężczyźni odbyli przyciszoną naradę, po czym najstarszy sięgnął do imbryka, wydobył z niego jakiś przedmiot i skinął na pozostałych. Wszyscy czterej wstali, przeszli gęsiego za scenę i zniknęli za niskimi drzwiami z tyłu sali. Miseczki z herbatą parowały pozostawione na stoliku.

– Co było w tym czajniku? – spytał Jake.

Odpowiedziały mu wzruszenia ramion.

– Pozostaje nam tylko jedno... – Topaz skinęła na zarządcę. – Junshan. Cztery razy proszę.

Mężczyzna zmrużył oczy i przyjrzał się badawczo wszystkim agentom po kolei, ale w końcu wrócił z imbrykiem, nalał cztery porcje herbaty i pozostawił ich samym sobie. Topaz zajrzała do imbryka – na dnie połyskiwał mały krążek. Przechylając naczynie tak, aby nie poparzyć sobie palców, sięgnęła do środka i wyciągnęła mały jodełkowy dysk wielkości monety z prostokątnym otworem na środku. Po obu jego stronach był wyryty wzór przedstawiający fale.

– Chodźmy – zarządziła Topaz.

Wszyscy czworo wstali od stolika i ruszyli w ślad za grupą mężczyzn. Zarządca łytał na nich podejrzliwie.

Trafili do pustego magazynu oświetlonego jednym migoczącym lampionem. Po czterech mężczyznach nie było śladu, wokół, przy ścianach, stały tylko stare dekoracje sceniczne.

– Ten budynek wydaje się pomykać wszystkich, którzy tu wejdą – skomentował zgryźliwie Nathan.

Uwagę Jake'a przyciągnęły dwa malowane tła: jedno przedstawiało stożkową górę wznoszącą się ponad chmurami, drugie – zrujnowany pałac na brzegu morza.

– Spójrzcie. Z tyłu – powiedziała nagle Topaz.

Jake zerknął, a potem spojrzął jeszcze raz, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Malowidło na ścianie, choć zatarte ze starości i prawie niewidoczne, było niemal identyczne jak morski pejzaż, który widzieli w domu Xi Xianga w Londynie.

– Lazurytowy Wąż? – wskazał na kryształ na środku, pokryty dziwnymi znakami.

Podeszli, by przyjrzeć mu się z bliska, a wtedy spostrzegli wąską szczelinę w ścianie, tuż poniżej kryształu.

– Czy wszyscy myślicie to, co ja myślę? – spytała Topaz, unosząc jadeitowy krążek.

– Dawaj! – kiwnął głową Nathan.

Topaz wsunęła krążek w szczelinę i puściła, pozwalając mu wpaść do środka. Przez chwilę nic się nie działo, ale nagle dał się słyszeć wizm maszyny i środkowy segment malowidła uchylił się z chrobotem, odsłaniając długi, kamienny korytarz, którego drugi koniec wychodził na coś, co z daleka wyglądało na ogród. Agenci spojrzeli po sobie, a potem Topaz dała znak i ostrożnie wstąpili do tajnego przejścia. W korytarzu owionął ich zapach kwiatów, idąc dalej, usłyszeli szmer fontann i odległe krzyki paw.

Gdy wreszcie wyszli z dusznego mroku, Jake przetarł oczy ze zdumienia. Transformacja była uderzająca: jakimś sposobem z obskurnej czajchany w najpodlejszej części miasta wyszli na dziedziniec pałacu. Otaczały go kamienne arkady porośnięte kwiatami. Nieobecność kwaśnego fetoru miasta niosła ulgę, ale powietrze było tu nieruchome, a skwar jeszcze bardziej dokuczliwy.

Środek placu przecinała żwirowa ścieżka, przebiegająca pomiędzy dwiema prostokątnymi sadzawkami, w których różowiły się ogromne kwiaty lotosu. Na środku placu stał spiżowy posąg na postumencie – mężczyzna z ramionami wyciągniętymi przed siebie, jakby witał wchodzących. Dalej sklepione przejście prowadziło na większy dziedziniec. Powyżej murów widać było dachy kolejnych budynków.

Jake zastanawiał się, jak takie miejsce mogło pozostać ukryte przed mieszkańcami miasta. Obejrzał się na skalną ścianę za sobą – drugą stronę skarpy, pod którą wybudowano Wrota Oceanu. Właśnie przeszli przez nią na wylot.

W jednej z sadzawek coś plusnęło i Jake spojrzął w tamtą stronę. Pod okrywą liści lotosów poruszało się coś żywego. Połyskliwy, obły kształt przebił powierzchnię, by gwałtownym skrzętem ciała zniknąć w ciemnej toni.

– Węgorz! – Topaz wzdrygnęła się na ten widok. – Czy na tej planecie jest obrzydliwsze stworzenie?

– No dobrze – powiedział Nathan przyciszonym głosem. – To jak, idziemy?

Ostrożnie ruszyli ścieżką, ale po chwili zatrzymali się, aby obejrzeć posąg. Przedstawiał chudego starego mężczyznę w tradycyjnej chińskiej szacie; głowę pochylał do przodu, uśmiechając się półgębkiem. W dłoni, odwróconej wierzchem w dół, trzymał globus, w drugiej wagę z dwiema szalami.

– Patrzcie – powiedziała Topaz, zwracając uwagę pozostałych na chińską inskrypcję wyrytą na postumencie.

– Shen Pei-Pei – odczytała Yoyo. – Zatem to musi być jego posiadłość.

– Czy w takim razie – myślał głośno Nathan – powinniśmy założyć, że drukuje pieniądze dla siebie?

– A ten jego skarbiec? Złota pagoda? – spytał Jake. – Myślicie, że tu jest?

Nagle powietrzem wstrząsnął ogłuszający grzmot, teraz znacznie bliżej, a niebo rozbłysło niczym magnezja, oślepiając agentów na krótką chwilę. Kiedy odzyskali zdolność widzenia, ujrzeli mężczyznę w prostym kaftanie, krótkich obszarpanych spodniach i szerokim ryżowym kapeluszu, idącego ku nim od strony łukowego przejścia. Żwir zgrzytał mu pod bosymi stopami.

Wszyscy czworo sięgnęli do mieczy, ale natychmiast uświadomili sobie, że mężczyzna nie stanowi zagrożenia: był żałośnie wychudzony, garbaty i okropnie kulał.

Drżącą ręką wygarnął coś z koszyka, który trzymał pod pachą, i sypnął do sadzawki. Woda zabulgotała kłębowiskiem węzowatych ciał. Mężczyzna ciskał pokarm do wody garścią za garścią, mamrocząc coś czule do ucztujących węgorzy. Zatopiony bez reszty w swoim prywatnym świetle, nie zwracał uwagi na przybyszy. Nathan rzucił Jake'owi pytające spojrzenie.

Karmiciel odwrócił się w ich stronę, łypiąc oczami spod krawędzi szerokiego kapelusza. Jake zauważył jakiś błysk na jego piersi: kamienny wisior. Mężczyzna powiedział coś po chińsku, a Yoyo przetłumaczyła.

– Pyta, czy przyszliśmy na konferencję...

Nieznajomy mówił dalej, nie czekając na odpowiedź.

– Mówi, że mamy pójść pod tym łukiem do sali po prawej stronie. Mówi, że już się zaczęło.

– Spytaj go, czy jest tam Pei-Pei – powiedział Nathan.

– Pei-Pei? – Mężczyzna pokiwał głową, chichocząc cicho, po czym odwrócił się i rozpląnął w mroku.

– Jest bardziej szalony niż mokra kura w worku – mruknął Nathan.

Kolejna błyskawica rozświetliła niebo i Jake spojrział w górę lękliwie.

– Chodźmy – zarządziła Topaz.

Poprowadziła ich pod łukiem na większy dziedziniec pomiędzy dwoma budynkami – okazałymi gmachami o ciemnoczerwonych ścianach i dachach z podwiniętymi ku górze narożnikami, pokrytych milionem złotych dachówek.

– Sprawdźmy, co się tam dzieje. – Topaz wskazała budynek po prawej stronie.

Podwójne drzwi były szeroko otwarte i rzucały na mroczny dziedziniec plamę miękkiego światła. Z wnętrza dobiegał gwar rozmów.

Na palcach podkradli się do wejścia i ostrożnie, tak aby ich twarze pozostały w cieniu, zajrzeli do środka.

Pomieszczenie było obszerne, oświetlone świecami płonącymi w tuzinach żyrandoli. Po jednej stronie długiego, niskiego stołu rozsiadło się około czterdziestu osób. Byli to sami Chińczycy, głównie mężczyźni, odziani w kosztowne, haftowane jedwabne szaty. Jake wypatrywał wśród nich czterech mężczyzn, których obserwowali w czajchaniu.

Na blacie przed nimi stały modele statków: makiety dżonek i galeonów, odtworzone w najdrobniejszych szczegółach. Niektórzy z gości pochylali się nad nimi, oglądając z bliska i podziwiając kunszt wykonawcy.

Nagle rozległ się gong i wszyscy zwrócili głowy w stronę drzwi. Te otworzyły się i do sali weszła kobieta. Rozmowy ucichły. Jake rozpoznał ją natychmiast.

– Madame Fang...

# 15

## Złota pagoda

To ona? – spytała Topaz.

– Na sto procent.

– Jedno muszę jej przyznać. – Nathan pokiwał głową. – W kwestii stylu jest wyjątkowo śmiała. Niewiele osób potrafiłoby nosić się w taki sposób.

W Londynie madame Fang wystąpiła w elżbietańskim kostiumie: czarnej sukni z białą kryzą. Teraz wyglądała jak cesarzowa. Pomimo upału miała na sobie dworską szatę, haftowaną w zakręcone płomienie i smoki, spływającą nisko w dół, na czerwone pantofle (obuwie w tym kolorze było najwyraźniej jej znakiem rozpoznawczym). Cienką szyję zdobił naszyjnik z jadeitów i rubinów. Wysoki czepiec z pawich piór i perłowych kropel falował lekko, kiedy odwracała głowę. Jej twarz, choć stara, emanowała kruchym pięknem, a spojrzenie jej czarnych oczu miało magnetyczną siłę.

Fang powitała gości ukłonem i zaczęła przemawiać spokojnym, wyważonym tonem. Jake po raz pierwszy słyszał, jak mówi, i był zaskoczony głębią jej głosu.

Dziewczęta wyciągały szyje, by lepiej słyszeć, a Yoyo zaczęła tłumaczyć szeptem:

– Jestem tu, aby pomówić z wami o naszych wrogach z zachodniego świata. Wtargnęli na nasze ziemie – Brytyjczycy, Portugalczycy, Holendrzy. Założyli tu swoje kolonie. Wydawali się naszymi przyjaciółmi, partnerami. – Stara kobieta zrobiła pauzę dla wzmocnienia dramatycznego efektu. – To podstęp! Przybyli tu, aby odebrać nam nasze królestwa.

– Wrogowie? Odebrać im królestwa? – oburzył się Nathan. – O czym ona mówi, do diabła?

– Óśśś! – Yoyo przytknęła palec do ust, nakazując mu milczenie, po czym podjęła tłumaczenie: – Za dwa dni Zachód wypowie nam wojnę. W ciągu następnych tygodni i miesięcy przybędą tu ich floty, aby nas podbić, zniewolić.

– Zniewolić? Co to za bzdura...? – zdenerwował się Nathan i tym razem Topaz zatkała mu usta dłonią.

Przemowa Fang stawała się coraz bardziej płomienna:

– Musimy się bronić! Mój pan, wielki Shen Pei-Pei, pragnie wam pomóc, abyście wy pomogli jego krajowi.

Fang klasnęła w dłonie, a wtedy do sali wlał się strumień sług niosących przed sobą małe złote szkatułki. Każdy z gości otrzymał jedną, a kto zajrzał do środka, znalazł tam gruby plik banknotów przewiązany wstążką. Wśród zebranych rozszedł się szmer zdumienia.

– Każdemu z was ofiarujemy fortunę. Wykorzystajcie ją mądrze. Budujcie okręty wojny. Uzbrajajcie statki, które już macie.

Fang potoczyła spojrzeniem po wszystkich twarzach po kolei, powoli wznosząc ręce ponad głowę. Jej głos zagrział niczym bitewne kotły:

–Nadchodzi wojna! Bądźcie gotowi bronić swego kraju!

Zakończywszy przemowę, skłoniła się, a potem podeszła do modeli statków, by krążyć dostojnie wśród gości.

– Nadchodzi wojna... Bądźcie gotowi bronić kraju – powtórzyła Topaz. – Chiny nigdy nie miały żadnego interesu w tym, by występować przeciwko Zachodowi, tym bardziej teraz. A jednak Fang twierdzi, że za dwa dni wybuchnie wojna. Musimy dowiedzieć się dlaczego, i to

szybko.

Aleja za budynkiem zaprowadziła ich do ogrodu. Pagodę zauważyli jednocześnie: sześć ośmiokątnych kondygnacji wznoszących się pomiędzy wysokimi sosnami chińskimi.

– I to ma być skarbiec? – skrzywił się Nathan.

Dawniej być może budynek był wspaniały – zapewne nie bez powodu nazywano go złotą pagodą – ale czasy jego świetności już dawno minęły. Wieża lekko chyliła się w jedną stronę, a pozłota w większości złuszczyła się, odsłaniając ciemnoszare drewno. Wewnątrz nie paliły się żadne światła, co sprawiało, że budowla wyglądała nieco upiornie. Wszystkie okna były zamknięte, z wyjątkiem jednego na samej górze – otwartego na oścież.

Rozglądając się czujnie, przekradli się przez ogród do wieży, przeskakując z cienia do cienia.

Zbliżywszy się do pagody, spostrzegli, że otacza ją fosa, szeroka na jakieś trzy metry, a wypełniającą ją wodę szczelnie zakrywały liście lotosów. Do wieży prowadziły wysokie drzwi, które najwyraźniej opuszczały się, tworząc most zwodzony. Przed mostem, na środku fosy, sterczały z wody dwa pale, stanowiące dla niego podporę. Drzwi, porośnięte bluszczem i pajęczynami, wyglądały, jakby nie otwierano ich od bardzo dawna.

Jake nie był przekonany.

– Czy aby na pewno nie ma gdzieś jakiejś innej złotej pagody?

– Jest tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć – oznajmiła Yoyo, cofając się o kilka kroków, po czym przesadziła fosę dwoma susami, odbijając się po drodze od jednego ze słupów.

Topaz cmoknęła z irytacją.

– *Qu'est-ce qu'elle a, cette fille?*

– To był wspaniały skok, jeżeli wolno mi skomentować! – zawołał Nathan do Yoyo.

– Proszę, nie zachęcaj jej – westchnęła jego siostra.

Yoyo odwróciła się do nich.

– Cóż, skoro już tu jestem... Mam zajrzeć do środka?

– Nie krępuj się – wycodziła Topaz przez zaciśnięte zęby.

Yoyo podeszła do okrągłego okna osłoniętego żelaznymi kratami. Podciągnęła się na krawędzi i zajrzała do środka.

– To chyba tutaj. Jest mnóstwo szklanych gablot, ale nie widzę, co jest w środku. Mam spróbować tam wejść? – Szarpnęła za kraty.

– Wstrzymaj się z łaski swojej! – wysyczała Topaz.

Wyjęła sztylet zza pasa, przykucnęła przy fosie i czubkiem ostrza ostrożnie podważyła okrywę z liści lotosu. Pod powierzchnią zakłębiły się wężorze, jeszcze tłustsze od tych z sadzawki. Topaz powoli zamknęła i otworzyła oczy, próbując opanować odruch obrzydzenia.

– Czy wszyscy dadzą radę przeskoczyć?

– Bez problemu – oświadczył Nathan, po czym wziął rozpęd i przesadził fosę w ślad za Yoyo.

– Jake?

– Oczywiście.

Jake wzruszył ramionami, skrywając swój strach. Potem wziął krótki rozbieg i wybił się w powietrze. Kiedy odbijał się od słupa, jego stopa musnęła powierzchnię wody. Natychmiast z fosy wystrzeliły rybie łby, kłapiąc paszczami, ale nie dosięgły go i Jake wylądował bez szwanku na drugim brzegu, wpadając prosto w ramiona Yoyo. Skinął głową do Topaz.

Spięła się w sobie i skoczyła, wydając głuche stęknienie. Jednak przy odbiciu pośliznęła się na szczycie pala i runęła z pluskiem do wody, która natychmiast zagotowała się wokół niej od rozjuszonych, wijących się ciał.

Z malującym się na twarzy wyrazem najgłębszej grozy Topaz wczepiła się dłońmi w breg i wypelzła z wody. Trzy węgorze wciąż wisiły jej u nogi, wczepione zębami w skórę, wydając sykliwe gwizdy i tłukąc wściekle ogonami. Jake ruszył z odsieczą, z wprawą przecinając wszystkie trzy bestie jednym machnięciem miecza.

Bojąc się, że Fang i jej goście usłyszą hałas, pozostali pomogli mu zaciągnąć Topaz w cień. Trzy rybnie łby były wciąż przytwierdzone do jej nogi. Podczas gdy Jake zdejmował je jeden po drugim, podważając nożem zębate paszcze, Topaz leżała oparta o ścianę, dysząc ciężko i przyciskając rozdygotane dłonie do ust. Do tej pory Jake tylko raz widział ją równie przerażoną: na pokładzie „Watzmanna”, kiedy usiłował ocalić ją z rąk księcia Zeldta, jej własnego piekielnego wuja, który porwał ją na rozkaz swojej siostry.

– W porządku? – spytał cicho.

Topaz zdołała opanować oddech, spojrzała na Jake’a i uśmiechnęła się.

– *Petites créatures méchantes* – wykrztusiła, dźwigając się na nogi.

Wszyscy po kolei zajrzeli przez okrągłe okno. Parter pagody był urządzone jak muzeum. Okute złotem gabloty, tak jak sama pagoda, wyglądały na stare i zmurszałe. Spiralne schody prowadziły na następne piętro.

– Jake, masz pióro i inkaust doktora Chatterju? – spytała Topaz.

– Oczywiście. – Jake pogmerał w sakiewce i podał Topaz przedmioty, które mu powierzono, zanim opuścili Punkt Zero.

Topaz odkorkowała kałamarz, umoczyła pióro w jego zawartości, a potem położyła je na oknie, między prętami kraty. Wszyscy czworo ukryli się pośpiesznie, ponaglani złowrogim syczeniem. Po chwili okno wybuchło białym błyskiem i zionęło obłokiem dymu.

Mur wokół krat był pokruszony, ale pręty wciąż tkwiły na swoich miejscach. Topaz pociągnęła jeden z całej siły, ale dopiero za trzecim razem wyskoczył z obsady. Wyjęła jeszcze dwa sąsiednie, po czym przecisnęła się przez powstały otwór i bardzo ostrożnie opuściła po drugiej stronie. Deski podłogi skrzypnęły pod jej ciężarem. Upewniwszy się, że nic jej nie grozi, skinęła na pozostałych.

Wśliznęli się do środka, jedno po drugim, natychmiast przystępując do oglądania zbiorów. Topaz starła kurz z gabloty zawierającej dzieła sztuki z chińskiej porcelany. W sąsiedniej było to samo.

– Wygląda na to, że dobrze trafiliśmy – powiedziała. – Kolekcja Pei-Pei. Ale nie traćmy czasu. Szukamy Lazurytowego Węża. Wszyscy wiemy, jak wygląda.

– Muszę zapytać... – wtrącił Jake. – Skoro ten kamień jest taki ważny, to czy trzymano by go tutaj? Nikt nie odwiedzał tego miejsca od wieków.

– Zgadzam się z Jakiem – powiedziała Yoyo. – To nie ma sensu.

– A ja zgadzam się z Yoyo, ta dziewczyna zwykle ma rację – dodał beużytecznie Nathan.

Topaz zaczynała tracić cierpliwość.

– Cóż, skoro już tu jesteśmy, to może chociaż rzucimy okiem, co? – spytała rozdrażnionym tonem.

Czworo agentów uważnie obejrzało zbiory, przeglądając wszystkie gabloty, ale nie odnajdując niczego poza starą porcelaną. Topaz zwróciła się do Yoyo:

– Czy dobrze sobie przypominam, że w tego typu skarbnicach im cenniejsze rzeczy, tym wyższe piętro, na którym je składano?

– Nie jest to regułą, ale bywało i tak – przytaknęła Chinka.

Topaz skinęła głową i poprowadziła grupę po spiralnych schodach na pierwsze piętro. Znaleźli tam kolejną porcję zakurzonych gablot. Były w nich prastare szaty, części garderoby



i nakrycia głowy. Kolejne piętro skrywało zbiór większych dzieł sztuki. Głównie stały tam steatytowe rzeźby, ale były też spiżowe posągi orientalnych bóstw i trochę emaliowanych ozdób. Podobnie wyglądała trzecia kondygnacja.

Nigdzie nie było żadnych kryształów, więc wspięli się jeszcze wyżej, na przedostatni poziom.

– Wygląda bardziej obiecująco – zauważyła Topaz.

Gabloty w tym miejscu były misternej roboty, same w sobie stanowiły cenne dzieła sztuki. Szybki przegląd ich zawartości ujawnił, że są to prawdziwe skarby.

Jake jeszcze nigdy nie widział takich bogactw. Były tam figurki rzeźbione z kości słoniowej i jadeitowe zwierzęta, hebanowe feniksy i smoki z granatu. Były złote regalia – jabłka, berła i korony – wysadzone szafirami, szmaragdami, opalami i turmalinami. Wzrok Jake'a przyciągnął zwłaszcza jeden przedmiot: ogromny kryształ kwarcu lazurowego z wyrytą na nim morską scenką. Przedstawiała żeglarza, który wypadł za burtę łodzi i tonął z rozrzuconymi ramionami i ustami rozwartymi w niemym krzyku, podczas gdy wielka meduza owijała mu się wokół kończyn, wciągając w głębinę.

Tymczasem Nathan i Yoyo podziwiali kolekcję oszałamiającej biżuterii.

– Spójrz na tamten pierścień – powiedział Nathan, wskazując na bogato zdobioną złotą obrączkę z wprawionym w nią olbrzymim brylantem.

–No, no, niegorszy kawał węgla. – Yoyo przysunęła twarz do gabloty i gwizdnęła. – Wygląda na pierścionek zaręczynowy. Dynastia Tang. Ktoś tu chyba bardzo, ale to bardzo nie chciał dostać kosza.

– Gdybym podarował ci taki pierścionek, to może byś w końcu za mnie wyszła...? – powiedział Nathan żartobliwie rozmarzonym tonem, ale tęsknota w jego głosie zabrzmiała całkiem poważnie.

Jake obejrzał się powoli, a Topaz rzuciła mu dziwne spojrzenie.

– Śmieszne! – parsknęła Yoyo, przechodząc do kolejnej gabloty.

Nathan wyglądał na urażonego.

– Śmieszne?

Yoyo zachichotała.

– Jestem trochę za młoda, żeby tak się marnować, nie uważasz?

Nathan wzruszył ramionami.

– Jesteś w tym samym wieku co ja. Nie wiem, co jest w tym śmiesznego. Mógłbym wymienić sto równie młodych dam, ze wszystkich zakątków historii, często królewskiej proweniencji, które bez wahania skorzystałyby z szansy na zmarnowanie się ze mną.

Yoyo obejrzała się i przyjrzała mu się uważnie.

– Nie mówisz tego poważnie, prawda?

W zapadłej ciszy oboje mierzyli się twardym wzrokiem. Wreszcie Nathan nie wytrzymał.

– No dobrze, może niekoniecznie od razu małżeństwo, ale może... może nie stałaby ci się wielka krzywda, gdybyś choć trochę zwróciła na mnie uwagę... zaśmiała się czasem z jakiegoś żartu... pochwaliła moje... – Głos Nathana ucichł, a on sam zaczerwienił się i spuścił głowę.

Topaz spojrzała na Jake'a i potrząsnęła głową, jakby próbowała ocknąć się z dziwnego snu. Yoyo wybuchła śmiechem i Nathan uniósł zdumiony wzrok.

– Czemu to takie śmieszne?

– Bo... – Yoyo starała się zapanować nad oddechem. – No sama nie wiem... Niech pomyślę. Bo jesteś nadętym bufonem?

Nathanowi rozszerzyły się oczy i opadły ramiona. Jake jeszcze nigdy nie widział go tak przybitego. Yoyo wyczuła, że przekroczyła granicę.

– Przepraszam, nie zabrzmiało to dobrze...  
– *Comment oses-tu?* Jak śmiesz, Yoyo! – Topaz przystąpiła ku niej z oczami płonącymi gniewem. – Jak śmiesz mówić w ten sposób do mojego brata?! Jest wart dziesięcioro takich jak ty!

– Przepraszam, to tylko moja opinia. Mam prawo do własnego zdania, prawda? Lubię Nathana. Jest komiczny, ale...

– Komiczny? – powtórzył Nathan; cały jego świat właśnie walił się w gruzy.  
– Ale wszystkie te ciuszki, pachnidła i to ciągle bawienie się włosami. Jak można go traktować poważnie? – Yoyo naprawdę wierzyła, że naprawia sytuację.

Topaz stanęła tuż przed nią.

–Odwołaj to. *Tout de suite!*

– To nie ma nic wspólnego z tobą – powiedziała Yoyo, próbując odepchnąć ją z drogi.

Topaz nie ustąpiła.

– *Tu es impossible, j'en ai marre!*

– Ach, masz dosyć, tak? – zasyczała Yoyo, wyprowadzona z równowagi. Przysunęła twarz do twarzy rywalki, tak że prawie dotykały się nosami. – No więc, ja też mam ciebie dosyć. Mam dosyć twojej wyniosłej postawy, francuskiego zadzierania nosa! Że nie wspomnę o twoich tak zwanych umiejętnościach przywódczych, które, delikatnie mówiąc, są amatorskie i bez polotu.

– Amatorskie? Bez polotu?! – Topaz odwróciła się do kolegów. – Czy ja dobrze usłyszałam?

– Hej, dajcie spokój. To przez ten upał. Gorąco daje nam po głowach – powiedział Jake.

Do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy, ale była to prawda. Próbował rozdzielić dziewczęta, które jednak nie zwracały na niego uwagi.

– Komiczny? – Nathan potrząsnął głową. – Jak można sprowadzić mnie do jednego przymiotnika? Jestem po prostu komiczny?

– A co z tobą, Yoyo? – fuknęła Topaz. – Jesteś chodzącym kłopotem: niesubordynowana, samolubna i zwyczajnie niebezpieczna.

– Czyżby?

– Nie inaczej. Właściwie jest jeszcze gorzej. Jesteś arogancką, narcystyczną awanturnicą.

– Uuu, mocne słowa, panno St Honoré. – Yoyo spojrzała na nią groźnie. – Zaczynam się bać.

– Kłótnie donikąd nas nie zaprowadzą – spróbował jeszcze raz Jake. – Chodźmy na najwyższe piętro.

Tak jak poprzednio został zignorowany.

–Chciałabyś, żeby wszyscy cię uwielbiali – ciągnęła Topaz. – Ale ciebie nigdy nikt nie pokocha. Nigdy, przenigdy, ponieważ pomimo twoich tak zwanych zdolności w ogólnym rozrachunku jesteś zerem!

Twarz Yoyo była jak wykuta z kamienia.

– Jake, chyba już czas, żebyś stanął po mojej stronie.

Topaz zaśmiała się nieprzyjemnie.

– On na pewno cię nie poprze.

– Doprawdy? Jake, chcesz im powiedzieć, czy ja mam to zrobić?

Oczy Nathana zwężyły się w szparki.

– Powiedzieć co?

Oświadczenie Yoyo zbiegło się w czasie z kolejnym grzmotem nadciągającej burzy.

– Jake jest moim chłopakiem.

Jake zarumienił się pod ciężkim spojrzeniem Topaz.

– Mieliśmy powiedzieć... – wymamrotał, zbity z tropu. – Cz-czekaliśmy po prostu na właściwy moment.

Staął niepewnie przy Yoyo, jakby pozowali do ślubnego zdjęcia. Potem zebrał się w sobie i podniósł wzrok na Topaz.

– I myślę, że będzie lepiej, jeśli przestaniesz mówić do Yoyo tym tonem.

Teraz Topaz wyglądała na przybitą.

– *Mon Dieu...* – szepnęła, potrząsając głową, po czym wzięła się w garść i zmusiła do zgryźliwego uśmiechu. – Mam nadzieję, że jesteście ze sobą bardzo szczęśliwi.

Jake poczuł gniew.

– Byłoby miło, Topaz, gdybyś jako moja przyjaciółka mówiła to szczerze, ale tak nie jest.

– A co, twoim zdaniem, mam robić? – mruknęła Topaz. – Tańczyć z radości?

– Taka jesteś chętna do krytykowania – ciągnął Jake. – Ale nigdy nawet nie spróbujesz pomyśleć o tym, jak bardzo ranisz ludzi wokół siebie. – Przełknął ślinę, zbierając odwagę, by to powiedzieć. – Jak bardzo zraniłaś mnie.

Topaz skamieniała. Nawet Nathan był zaskoczony, nagle ujrawszy swojego przyjaciela w innym świetle.

Następne słowa Jake'a popłynęły niepowstrzymanym potokiem – wszystko, co dusił w sobie od ponad roku.

–Dwa razy ruszyłem ci na ratunek: najpierw w Niemczech, potem w starożytnym Rzymie. Byłem tak blisko śmierci. – Uniósł dwa palce. – Dobrze, może i ostatecznie nie przydałem się na wiele, ale myślę, że nie było trudno zorientować się, co czułem... Co czułem do ciebie. Że cię... że ja cię... – Nie potrafił zmusić się do wypowiedzenia ostatniego słowa. – W każdym razie ty nie byłaś zainteresowana. I wiesz co? W porządku, nie jestem He-Manem jak Lucjusz. Ale bolało mnie to, a ty nawet tego nie zauważyłaś. A to bolało jeszcze bardziej.

Topaz wbiła wzrok w podłogę. Jake złapał Yoyo za rękę i mocno uściśnął.

– Więc dlaczego nie mogę mieć dziewczyny, skoro tego chcę?

W tym momencie z piętra powyżej dobiegło ich stłumione stuknięcie, a potem cichnący turkot, jakby coś potoczyło się po deskach podłogi. Strażnicy historii zamarli w bezruchu, a potem powoli dobyli mieczy. Topaz zaczęła ostrożnie wspinać się na skrzypiące schody.

– Nikogo – zawołała do pozostałych, wchodząc do pomieszczenia na szczycie pagody.

Ku ich zaskoczeniu pokój był niemal całkowicie pusty. Nie było w nim żadnych skarbów, tylko naprzeciwko otwartego okna stał fotel z wysokim oparciem. Otaczał go krąg wysokich świeczników, w których tkwiły grube, zgaszone świece – z wyjątkiem jednego, z którego świeca wypadła i leżała kawałek dalej. To jej upadek był źródłem hałasu.

– Spójrzcie! – zawołał Jake, nagle dostrzegając bladą, pomarszczoną dłoń, wczepioną w podłokietnik fotela, a potem także kosmyki białych włosów, widoczne ponad oparciem.

– Pei-Pei? – szepnęła Yoyo, ostrożnie okrążając siedzącą postać z wzniesionym przed sobą mieczem.

Stała przed fotelem i nagle zmieniła się na twarzy. Wypuszczony z ręki miecz brzęknął o podłogę. Yoyo wybełkotała coś po chińsku.

Jake, Topaz i Nathan przyskoczyli do niej i zastygli w przerażeniu. Na fotelu siedział mężczyzna – martwy mężczyzna, i to martwy od dawna. Ciało było zmumifikowane, pomarszczona skóra żółta niczym wosk, wpatrzone w okno oczy martwe jak kamienne kulki. Był kompletnie ubrany, w szaty niegdyś zapewne piękne i kosztowne, ale teraz wyblakłe, pokryte kurzem i starymi pajęczynami. Spacerowały po nich wielkie chrząszcze; Jake'owi przyszło do głowy, że to jeden z nich musiał strącić świecę.

– Nie podoba mi się to. Nie podoba mi się to ani trochę – wybełkotał trwożnie Nathan, lekko dygocąc.

Od strony wejścia dobiegł ich nierówny odgłos kroków – ktoś mozolnie wspinał się po schodach. Wszyscy odwrócili się do drzwi, wznosząc miecze. Po chwili wytrzeszczyli oczy ze zdumienia na widok dziwnego człowieka, którego spotkali wcześniej. Był to karmiciel węgorzy. Miał ze sobą miotłę i zabrał się do zamiatania podłogi, przez cały czas mamrocząc coś do siebie. Kiedy wreszcie zauważył intruzów, skłonił się lekko i powiedział coś, czego nawet Yoyo nie była w stanie zrozumieć. Agenci spojrzeli po sobie, wystraszeni i zbici z tropu.

– Wynośmy się stąd – wyszeptła Topaz, przesuając się pod ścianą w stronę schodów.

Przekradając się obok mężczyzny, Jake zerknął na niego i spostrzegł coś pod jego kapeluszem – dziwną narośl na policzku z lekko połyskującym środkiem. Wyglądało to jak patrzące prosto na niego... oko.

Serce Jake'a zamarło ze zgrozy. Troje oczu! Xi Xiang miał troje oczu.

W tej samej chwili mężczyzna wydał okrzyk bojowy i natarł na Jake'a, pierwszym ciosem miotły wytrącając mu miecz, a potem okrutnym pchnięciem wbijając koniec kija w tchawicę. Jake padł na podłogę, dusząc się i wijąc z bólu. Mężczyzna płynnie przeniósł impet ataku na Topaz, oszałamiając ją uderzeniem w głowę, by w następnym ruchu pozbawić ją miecza, który wirując, poleciał pod ścianę. Nathan i Yoyo zaatakowali jednocześnie, ale ich przeciwnik uniósł jadeitową buteleczkę i opryskał ich ciemnozielonym płynem. Krzyknęli z bólu, przyciskając dłonie do twarzy.

Mężczyzna odrzucił kapelusz, po raz pierwszy odsłaniając całe oblicze, i zaniósł się piskliwym chichotem. Był chudy, miał złośliwą twarz i czarne, sterczące na wszystkie strony włosy, nadające mu wygląd obłąkańca. Usta umalował sobie czerwoną szminką, policzki upudrował różem. Nagle do pokoju wpadło pięciu barczystych strażników, uzbrojonych w ostre jak brzytwa szable dao, którzy błyskawicznie otoczyli przerażonych agentów.

Xi Xiang – ponad wszelką wątpliwość był to właśnie on – klasnął w dłonie z uciechy.

– Czy wy macie mnie za kompletnego durnia? – zaszydził. Głos miał jednocześnie chrapliwy i piskliwy. – Widziałem wasze przybycie! A niech mnie, przewspaniałe Tajne Służby Straży Historii. – Potrząsnął głową i ściągnął usta. – Ależ imbecyli szkolą tam teraz.

Podszedł bliżej, aby przyjrzeć się twarzom Nathana i Yoyo. W miejscach ochlapanych zielonym płynem ich skóra wyglądała na podrażnioną. Z oczu Nathana płynęły łzy.

– Jak wam się podoba mój jad ośmiornicy? Całkiem kąśliwy, nieprawdaż? – Odwrócił się na pięcie i wesoło przyskoczył do zwłok na fotelu. – Widzę, że poznaliście już mojego przyjaciela Pei-Pei. Uwielbia widok z tego okna. Rzecz jasna staruszek nie jest już tak rozmowny jak dawniej. – Xi uniósł zwiędłą rękę trupa, pomachał nią i opuścił na podłokietnik. – Ale nalegał, by pozwolić mu wypić cykutę... po tym jak uprzejmie zgodził się zapisać mi ten skromny pałacyk. – Xi znów zaniósł się skrzekliwym śmiechem.

Na schodach znowu rozległy się kroki i w wejściu pojawiła się madame Fang, beznamiętnie przyglądając się scenie.

– Nianiu, jesteś wreszcie! Widzisz, jaki ze mnie sprytny chłopak? – powiedział Xi Xiang, szerokim gestem wskazując swoich jeńców.

Kiedy tocząc wzrokiem dookoła, spojrział na Jake'a, jego uśmiech stopniał, a górna warga zadrżała w grymasie niechęci.

– Czy to jest brat Djonesa? – spytał cicho, oglądając się przez ramię na nianię.

Madame Fang powoli kiwnęła głową.

Xi zadarł nos i prychnął wzgardliwie.

– Tak, teraz widzę. To samo dumne spojrzenie – powiedział i dźgnął Jake'a palcem

w policzek.

Jake jeszcze nigdy nie widział kogoś takiego jak Xi Xiang. Złoczyńca miał trochę ponad czterdzieści lat, był lekko przygarbiony, ale żyłasty i muskularny. Pod źle nałożonym makijażem twarz szpecił mu trądzik, zaś jego oczy mroziły krew w żyłach: dwa lśniące i świdrujące, trzecie na wpół uformowane, patrzące w bok pod nienaturalnym kątem.

– Gdzie on jest? – skrzeknął Jake z gardłem wciąż obolałym po ciosie kijem od miotły. – Gdzie jest Filip? – powtórzył, przeszywając nienawistnym wzrokiem swojego prześladowcę.

Xi uniósł brwi.

– Gdzie on jest? – zachichotał złośliwie. – Zaginiony na morzu! Jak tylu moich przyjaciół. – Nagle rozepchnął strażników i tanecznym krokiem podbiegł do schodów. – Zwiążcie ich i na basen – rzucił na odchodnym. – Muszę pożegnać naszych dostojnych gości.

Madame Fang skinęła na swoich ludzi. Strażnicy wyjęli zza pasów kajdany i skuli strażników historii jednego po drugim, zaciskając im na nadgarstkach metalowe obręcze.

# 16

## Taniec na linie

Tutejsza gościnność jest oburzająca – oznajmił Nathan, ignorując ból, kiedy strażnicy pchnęli ich na schody. – Wystosuję oficjalną skargę!

Podczas gdy schodzili piętro po piętrze, Jake starał się uspokoić oddech.

– Nic wam nie jest? – spytał Yoyo i Nathana, których twarze wciąż były czerwone, a oczy nabiegłe krwią.

– Myślę, że jad ośmiornicy może być najmniejszym z naszych problemów – odpowiedziała posępnie Yoyo.

Przeprowadziwszy jeńców przez mostek, strażnicy powiedli ich wokół dziedzińca. Po niedługim czasie dotarli do żelaznej bramy ozdobionej wizerunkiem meduzy, przez którą przeszli na kolejny dziedziniec. Była tam sadzawka – większa niż te, które widzieli, i pozbawiona roślinności. Przypuszczalnie był to basen, o którym wspominał Xi Xiang.

Wokół sadzawki stała kolekcja niezwykłych posągów – chińscy żołnierze z kamienia, w szyszakach i napierśnikach, zastygli w bezruchu, wpatrzeni w dal, jakby strzegli basenu przed mającym nadciągnąć wrogiem. Każdy dzierżył inną broń: włócznię, obosieczny miecz jian, sierp, pugiń, topór, oszczep, kuszę i wiele innych.

Jake spojrział na wodę. Sadzawka była głęboka i, tak jak w pozostałych, roilo się w niej od węgorzy – widział, jak ciemne ciała kłębią się w mętnej toni – ale te miały grubość ludzkiej szyi i prawie dwa metry długości. Poruszały się powoli, krążąc niestrudzenie wokół swojego kamiennego więzienia. Miały brązowe grzbiety, żółte brzuchy i parę maleńkich płetw – szczątkową pozostałość po praprzodkach. W spłaszczonych głowach tkwiły małe oczka. Na dnie sadzawki Jake wypatrzył jakieś jaśniejsze kształty. Ułynęła dłuższa chwila, nim uświadomił sobie że zgrozą, że patrzy na kości.

Z wesółm kłaśnięciem w dłonie Xi Xiang pojawił się w bramie z madame Fang u boku. Za parą szli dwaj żołnierze, dźwigający drewniany tron, oraz grupa niosąca mały stół, kilka skrzynek i inne akcesoria. Orszak zamykali strażnicy eskortujący piątego jeńca: młodzieńca w błękitnej tunice, którego czterej agenci śledzili od wytwórni papieru. Jego buńczuczna postawa wyparowała bez śladu. Chłopiec miał podbite oko, a jego poszarpane ubranie było poplamione krwią.

Xi zakrył swoje przebranie służącego peleryną ozdobioną klejnotami i tak długą, że ciągnęła się za nim po ziemi. Na głowie miał koronę, również zdobioną klejnotami, którą założył na bakier niczym jakiś obłąkany król.

– *Electrophorus electricus* – pisnął afektownie, wyciągając bezwładną dłoń w stronę sadzawki. – Węgorz elektryczny. Czy któreś z was miało już przyjemność poznać to niezwykle stworzenie? Jakże skuteczny z niego zabójca, razi ofiary sześcioma setkami woltów! Potrafi obezwładnić aligatora. – Odwrócił się do Jake'a, z drwiącym grymasem na twarzy. – Wyobraźcie sobie, co może zrobić dziecku...

Jake zmierzył go nienawistnym spojrzeniem, ale Xi to zignorował. Strzelił palcami, a na ten sygnał dwaj strażnicy zabrali się do pracy. Otworzyli dużą skrzynkę, by wyjąć z niej zwój grubej liny. Przerzuciwszy linę ponad sadzawką, umocowali oba końce i mocno naprężyli.

– Po całym dniu mozolnego planowania zagłady ludzkości należy mi się chyba odrobina relaksu przy lekkiej rozrywce – westchnął Xi Xiang. – A linoskoczkowie są tacy zabawni!

Klasnął w dłonie i żołnierze pośpiesznie ustawili tron, a przed nim stół, na którym złożyli skrzynki. Xi ściągnął usta, zgarnął pelerynę na jedną stronę i usiadł.

– On może iść pierwszy – zarządził, wskazując na młodzieńca w błękitnej tunice. – Nauczcie go, że następnym razem powinien być uważniejszy. Jeśli oczywiście będzie następnym razem, bo moje słodkie maleństwa są... głodne! – Wsunął kciuk do ust i ssąc go, wytrzeszczył oczy na strażników.

Strażnicy pochwycili młodzieńca i pchnęli w stronę liny. Madame Fang uniosła klingę w gotowości na wypadek, gdyby ofiara spróbowała uciec. Chłopiec odwrócił się i zaczął błagać o litość.

Xi wyjął kciuk z ust, aby oznajmić:

– Jeśli przejdzie na drugą stronę, może odejść wolno.

Rozdygotany młodzieniec spojrział na węgorze gromadzące się u jego stóp. Ryby zderzały się ze sobą, reagując strachem na zgromadzonych ponad nimi ludzi. Wodę raz po raz rozświetlały błyski wyładowań. Chłopiec postawił stopę na linie i nacisnął, sprawdzając napięcie.

– Czekaj! – Xi skoczył na równe nogi.

Młodzieniec odwrócił się w nadziei na ułaskawienie.

– To zbyt łatwe. Przewiążcie mu tym oczy.

Zdjął szarfę, którą był przepasany, i wręczył ją madame Fang, która zawiązała ją na oczach chłopca.

– Najmocniej, jak się da. Nie chcemy, żeby podglądał! – zaśpiewał Xi.

Kiedy znów usiadł na tronie, Jake przyjrzał się wisiorkowi na jego piersi. Był to walec z błękitnego kryształu, długości mniej więcej palca wskazującego, pokryty zawiłymi inskrypcjami. W nagłym przeblysku Jake uświadomił sobie, co to jest.

– Lazurytowy Wąż – szepnął Topaz do ucha.

Topaz spojrzała i jej oczy rozszerzyły się.

Prerażony młodzieniec wstąpił na linę i ruszył chwiejnie przez sadzawkę.

–Znośnie... znośnie – komentował Xi, ssąc kciuk w podnieceniu.

Młodzieniec uznał, że może go uratować prędkość. Przyśpieszył nagle, ale przy kolejnym kroku stracił równowagę i z okrzykiem paniki runął do wody, burząc ciemną gładź sadzawki. Krzyczał przeraźliwie, kiedy sześć węgorzy zaatakowało go z różnych stron, rażąc kolejnymi uderzeniami prądu. Rozległy się elektryczne trzaski. Opaska zsunęła się chłopakowi z oczu i Jake ujrzał w nich niewymowną grozę; po chwili jednak zaszły mgłą – serce nareszcie przestało bić. Węgorze ucztowały dalej...

Xi Xiang podniósł się powoli. Oczy mu błyszczały, nawet to trzecie, zdeformowane, lśniło zachwytem.

Gdy woda w końcu znów się uspokoiła, Xi Xiang klasnął w dłonie i rozglądając się wokół, zapytał:

– No dobrze, kto następny?

Jake wystąpił naprzód z zaciętą miną.

– Jeżeli powiesz mi, co się stało z Filipem, pójdę.

Przez chwilę Xi stał bez ruchu. Potem odchylił głowę w tył, zebrał grudę flegmy i splunął na ziemię obok siebie.

– Dałem temu chłopcu wszystko, czego pragnął – wycedził. – Traktowałem jak własnego syna. Ale on przez cały czas spiskował przeciwko mnie, odplacając mi zdradą. Zdradą! – powtórzył piskliwie, a słowo okrążyło dziedziniec, odbijając się echem od ścian.

Pomimo wszystko Jake poczuł ulgę. To, co usłyszał, potwierdzało ponad wszelką wątpliwość, że Filip nie pracował dla Xi, ale przeciw niemu, zatem nie zdradził strażników

historii.

Xi powiódł palcem pod trzecim okiem.

–Wybrał się, wysłany przez waszych ludzi, z tym absurdalnym zadaniem do Wiednia. Kiedy to było? W tysiąc sześćset osiemdziesiątym dziewiątym? Któraś z wojen austriacko-tureckich – doskonała sposobność dla Zeldta, aby namieszać trochę w dziejach świata. – Uśmiechnął się złośliwie. – I dla mnie także, naturalnie. To niezwykle, jak czasem wypływamy w tych samych plugawych zakamarkach historii. – Uśmiech stężał mu na twarzy. – Ale wyobraźcie sobie posłanie tam piętnastoletniego chłopca. Samego! Żeby zabił Zeldta? Piętnastolatek? I pomyśleć, że to mnie zwą barbarzyńcą! – Xi zamyślił się na chwilę, po czym podjął przemowę: – Oczywiście, poniósł sromotną klęskę. A ta wiedźma, Mina Schlitz, wypaliła mu w szyję z garłacza i została na śmierć na brzegu Dunaju, leżącego w odpadkach ze ścieku, na pastwę osmańskich hord.

Jake drgnął. Mina Schlitz! Natknął się na tę młodocianą zabójczynię podczas swojej pierwszej misji i pamiętał ból, którym dusiła swoich wrogów. Zatem wobec jego brata użyła garłacza...

– Uratowałem go – ciągnął Xi. – Niosłem na własnym grzbiecie. Schlitz i Zeldt nie są moimi przyjaciółmi bardziej niż wasza zgraja. Zabrałem go do siebie, oddałem mu swoje łóżko, czuwałem przy nim dzień za dniem. Kiedy obudził się ze śpiączki, nie wiedział nawet, kim jest. Pielęgnowałem go, aż wyzdrowiał i stopniowo zaczął sobie przypominać... – Z policzka Xi stoczyła się samotna łza. – Pozwoliłbym mu wrócić do waszej wspaniałej organizacji. Tak! Bo widzisz, polubiłem twojego brata. Miał charakter. Był silny tutaj – postukał się palcem w głowę. Nie jak ci idioci, których zwykle szkolą w Punkcie Zero. – Wypowiedział tę nazwę tak, jakby wypluwał truciznę. – Tak, pozwoliłbym mu wrócić. Nawet ja! Ale on przekonał mnie, w ten swój podstępny sposób, że wcale nie chce wrócić. „Nikogo po mnie nie wysłali. Nie obchodzę ich. Czemu oni mieliby obchodzić mnie?”. Tak powiedział, a ja mu uwierzyłem. – Xi strzelił palcami na jednego ze swoich ludzi. – Sucho mi.

Żołnierz wystąpił naprzód i otworzył jedną ze szkatulek stojących na stole. Zawierała zestaw kosmetyków. Xi pogmerał w szkatułce i wydobyl niewielką dwuczęściową rurkę. Patrząc uważnie na Jake'a, zaczął obracać rurkę w jej uchwycie, aż z wnętrza wysunęła się fioletowobrazowa szminka w kolorze siniaka. Xi umalował sobie usta, cisnął szminkę z powrotem do szkatułki, wyjął róż, którym upudrował sobie policzki, a potem otworzył drugą szkatułkę, wypełnioną białym talkiem. Wklepał sobie chmurę białego proszku w twarz, aby utrwalić makijaż.

– Zabrałem Pipa... Tak go nazywałem, imię Filip zupełnie do niego nie pasowało... Zabrałem go do Londynu. Dałem mu klucze do mojej posiadłości, obsypałem podarunkami, wyedukowałem w dziedzinie sztuk pięknych, wprowadziłem w cudowny świat literatury. Byliśmy bywalcami teatrów. Zachwycaliśmy się Richardem Burbagiem w roli Hamleta. Poznaliśmy Szekspira, Jonsona, Marlowe'a. Zabrałem go do Rzymu, do pracowni samego Caravaggia.

Głos Xi znów stał się ostry. W burzowych chmurach, gromadzących im się nad głowami, pioruny biły już co kilka sekund.

–Tak, malowali nas najwięksi artyści epoki. Dałem mu to wszystko, kochałem jak ojciec. I jak mi się odplacił? – Xi wymierzył Jake'owi siarczasty policzek, aż zapiekła go skóra. – Oczywiście niania ostrzegała mnie przez cały czas, że nie wolno mu ufać, że Djonesowie to przebiegli łgarze. – Odwrócił się do madame Fang, marszcząc brwi. – Ale ja cię nie posłuchałem, prawda? – Spojrzał znów na Jake'a wzrokiem płonącym nienawiścią. – Bo widzisz, przez cały ten czas Filip Djones okłamywał mnie, czekając na dogodny moment do ataku. Ale to ja



uderzyłem pierwszy. Poddąłem go torturom: nożami, wodą, igłami. Nie zamierzałem go zabić, o nie! To byłoby zbyt łatwe. Chciałem, aby cierpiał, więc zamknąłem go w miejscu, gdzie już nigdy nie ujrzy światła! Tak, już nigdy nie ujrzy światła. Już nigdy nie wróci do swojej ukochanej Straży Historii. Nigdy nie zobaczy rodziny ani nawet innego człowieka. Nigdy więcej!

– Jego głos odbił się echem od ścian. – W końcu umrze w zimnie i ciemności, zupełnie sam.

Nagle zaczął padać deszcz – wielkimi parującymi kroplami, szybko przeradzając się w ulewę. Madame Fang skinęła na sługę, aby osłonił ją i Xi parasolem. Po chwili deszcz wściekle bombardował sadzawkę, co zdawało się bardzo bawić Xi Xianga i przerażać węgorze, które wycofały się w mroczną głębię.

Jake zmierzył Xi wzrokiem.

– Powiedz mi, gdzie jest Filip! – zażądał, niemal krzyżąc, aby go usłyszano przez szum ulewy.

– Znudziła mnie ta zabawa – oświadczył Xi. – Załóżcie mu hełm.

Jeden ze strażników – niosący coś, co wyglądało jak średniowieczne narzędzie tortur – skinął głową. Dwaj żołnierze złapali Jake'a za ręce, podczas gdy ten pierwszy wcisnął mu hełm na głowę.

– Zostawcie go! – krzyknęła Topaz, rzucając się na pomoc, ale madame Fang zmusiła ją do pozostania na miejscu.

Yoyo powiedziała coś w swoim ojczystym języku, ale w odpowiedzi otrzymała tylko cios w brzuch.

Jake nagle znalazł się w dusznym mroku. Nie słyszał niczego oprócz własnego oddechu. Hełm był wyłożony gumą i miał stalowy kołnierz, który zapięto mu solidnie na szyi.

Xi Xiang podszedł do Jake'a i zajrzał do hełmu przez szczelinę wzrokową.

– Przepraszam cię za to – powiedział miękkim głosem. – Ale widzisz, kiedy zabiorę twoje szczątki do domu, rozszarpane, aby pokazać twojemu bratu, musi móc cię jakoś rozpoznać. – Postukał w metalowy czerep i zachichotał. – Dzięki temu powinieneś zachować twarz. Tak jakby.

– Ty obmierzły, tchórzliwy... – Nathan szarpnął się.

Pomimo grozy sytuacji słowa „kiedy zabiorę twoje szczątki do domu” zabrzmiały w uszach Jake'a niemal pocieszająco. „Do domu”! Czyżby Xi miał jeszcze jedną kryjówkę? Czy tam właśnie trzymał Filipa?

– *Laissez-le tranquille!* – błagała Topaz, tryskając łzami. – *Pour l'amour de Dieu...*

Madame Fang uciszyła ją kolejnym policzkiem.

Xi Xiang zwrócił się do swoich siepaczy.

– Włóżcie go tam głową naprzód. Bardzo powoli. Chcemy nacieszyć się tym widokiem.

Żołnierze zawlekli Jake'a na brzeg sadzawki, unieśli i zaczęli opuszczać głowę do wody. Węgorze natarły na stalowy hełm z furją obłącznego tarana, aż Jake'owi zadzwoniło w uszach. Usłyszał trzaski elektrycznych impulsów – tylko gumowa wyściółka chroniła go przed porażeniem. Ale jak długo? Żołnierze poprawili chwyt, przygotowując się do wsunięcia Jake'a głębiej. Wiedział, że kiedy jego ramiona znajdą się w wodzie, węgorze rozprawią się z nim w mgnieniu oka. Przez szczelinę w hełmie widział tylko chaos gwałtownych poruszeń i czerwone oczy ryb szarżujących prosto na niego. Podczas gdy gotował się na najgorsze, przed oczami pojawiały mu się obrazy rodziny: mama, tata, a potem Filip głodzony w ciemnym lochu.

Xi Xiang trząśł się ze śmiechu, aż łzy ciekły mu po policzkach. Wtedy Nathan dostrzegł swoją szansę.

Skutymi kajdanami dłońmi złapał szkatułkę z talkiem i cisnął nią w Xi, oślepiając go chmurą białego pyłu. Następnie wyrwał mu zza pasa jadeitową buteleczkę, otworzył i chlusnął jej

zawartością na żołnierzy trzymających Jake'a. Przypadając do przyjaciela, aby wyciągnąć go na brzeg, jednocześnie staranował jednego z oprawców – ten wpadł do sadzawki. Yoyo kopnięciem z obrotu posłała do wody drugiego. Obaj natychmiast zniknęli w kłębowisku głodnych węgorzy.

Wykorzystując zaskoczenie strażników, Topaz zamachnęła się i wyrzuciła najbliższego kajdanami w szczękę. Madame Fang dobyła miecza i natarła na nią. Topaz zdołała uchylić się przed pierwszym ciosem, a w trakcie uniku wyłamała kamienną włócznię z rąk najbliższego posągu i stanęła w pozycji bojowej. Starły się ze sobą na brzegu sadzawki – metal uderzył o kamień, posypały się iskry mimo strumieni deszczu.

Nathan i Yoyo wzięli przykład z Topaz, wyłamując broń innym posągom i ruszając do ataku na resztę strażników.

Jake mocował się z zamkiem hełmu, śliskim od deszczu. Nagle w szczelinie wzrokowej ukazał mu się Xi Xiang. Pokryty był białą mazią, a wokół ust miał czerwone smugi rozmazanej szminki. Zaciśnął zęby i uniósł sztylet. Jake, niewiele myśląc, rąbnął go głową w hełmie. Czoło Xi Xianga przecięła jaskrawoczerwona krecha i krew zalała mu oczy.

Xi zawył ciekawym głosem i dźgnął na oślep sztyletem. Ostrze drasnęło Jake'a w ramię, ale chłopak zdążył już zerwać hełm z głowy i zaczął tłuc nim Xi Xianga coraz mocniej i mocniej, ogarnięty bitewnym szałem. Oszołomiony Xi cofał się chwiejnie, próbując zastaniać się rękami. Wreszcie Jake złapał go za kołnierz.

– Gdzie on jest?! – krzyknął, półprzytomny z wściekłości. – Gdzie jest Filip?!

Xi zdążył jeszcze utoczyć kolejną kulę śliny i splunąć Jake'owi w twarz, po czym z otwartymi ustami osunął się na ziemię bez przytomności.

W tejże chwili Nathan i Yoyo powalili ostatniego z żołnierzy, który runął na kamienny postument, łamiąc sobie kark z makabrycznym trzaskiem. Nathan wyrwał mu klucze zza pasa i zabrał się do otwierania swoich kajdan, podczas gdy Yoyo pozbierała broń i ruszyła Topaz z odsieczą, rzucając jej miecz.

– *Merci bien!* – krzyknęła dziewczyna, przerzucając kamienną włócznię do lewej ręki, by prawą pochwycić rękojeść miecza. Natarła na Fang z nową energią i z Yoyo u boku.

Nawet atakowana przez dwie agentki naraz stara kobieta walczyła jak maszyna bojowa, szybka jak błyskawica, bystrooka, bezbłędnie przewidująca każdy następny ruch. Jednak jej przeciwniczki były dla niej zbyt silne – wkrótce rozbroiły ją i przyparły do muru. Fang zasyczała na nie przez ciepły deszcz.

– Nie ma już ucieczki – prychnęła szyderczo.

– Dlaczego za dwa dni ma być wypowiedziana wojna? – spytała twardo Topaz, wciskając czubek klingi w poraną zmarszczkami szyję. – Co się dzieje? Gadaj!

Fang uśmiechnęła się dziwnie, a potem tupnęła piętą. Kolejne ostrze, do tej pory ukrywane pod kolanem, wyskoczyło w górę, a staruszka pochwyciła je i dźgnęła Topaz w udo, jednocześnie odpychając Yoyo na bok. Fang wskoczyła na rozpiętą linę, trzema baletowymi krokami przebiegła nad sadzawką, po czym błyskawicznie wspięła się na jeden z posągów i stając mu na głowie, wybiła się wysoko w górę. Strażnicy historii patrzyli z rozdziawionymi ustami, jak chwytą krawędź okapu i zgrabnym przewrotem wciąga się na dach. Topaz cisnęła za nią swój miecz, a pozostali poszli w jej ślady, używając wszelkiej broni, jaką mieli pod ręką. Ale Fang była zbyt szybka. Pomknęła po dachówkach zwinnie jak kot i rozplynęła się w strugach ulewy.

Po krótkiej chwili dał się słyszeć zew rogów myśliwskich. Nathan obejrzał się i zobaczył pluton żołnierzy biegnących ku nim po drugiej stronie bramy. Podbiegł i zamknął metalowe wrota, ale nie było sposobu, by je zaryglować. Żołnierze w biegu dobywali mieczy.

– Tu, na górę! – zawołała Topaz.

Przed chwilą przyciągnęła do muru tron Xi Xianga i stając na nim, wgramoliła się na dach. Pomogła Yoyo wspiąć się w ślad za nią.

– Wynosimy się! – krzyknął Nathan do Jake'a.

– Czekaj!

Jake podbiegł do nieruchomego ciała Xi Xianga, złapał błękitny wisior – Lazurytowego Węża – i zerwał mu go z szyi.

– Szybko! – naglili pozostali. – Uciekaj!

Żołnierze byli coraz bliżej.

Jake spojrzął na leżący tuż obok miecz jednego ze strażników. Schylił się po niego i trzymając oburącz rękojeść, wznosił broń ponad głowę. Teraz mógł zabić swojego wroga, wystarczyłby jeden cios. Z krótkim okrzykiem opuścił miecz, by jednak zatrzymać klingę tuż nad ciałem Xi Xianga. Pomyślał o Filipie. Jeżeli teraz zabije Xi Xianga, być może już nigdy nie odnajdzie brata.

Żołnierze wpadli na dziedziniec przez żelazną bramę. Jake odwrócił się i pobiegł. Odbił się od tronu i wspiął szybko do przyjaciół. Przemoczeni do suchej nitki pobiegli po pałacowych dachach w potokach parującego deszczu, dudniącego o złote dachówki.

# 17

## Złoty miotacz

Tędy! Z powrotem do Wrót Oceanu! – zawołała Topaz, wskazując na skały odgradzające pałac od reszty miasta.

Złote dachówki były śliskie od deszczu i musieli poruszać się ostrożnie. Zewsząd dobiegały dźwięki rogów, a hordy żołnierzy wylewały się ze wszystkich bram.

– Masz – powiedział Nathan, podając klucz Topaz.

Szybko rozpięła sobie kajdanki i odrzuciwszy je, przekazała klucz Yoyo, która zrobiła to samo, zanim oddała go Jake'owi.

Uwolnwszy ręce, pobiegli dalej w stronę głównego dziedzińca, gdy nagle ujrzeli chmurę strzał, mknących ku nim ze świstem przez potoki deszczu.

– Padnij! – krzyknęła Topaz.

Zdążyli w ostatniej chwili – wokół nich dach zagrzechotał pod gradem pocisków.

Druga salwa, a potem trzecia zastukotała o dachówki. Strażnicy historii pognali szaleńczo przez labirynt dachów, aż dotarli do skalistego wzgórza. Prędko wspięli się na grzbiet i nagle znów otworzyła się przed nimi panorama Kantonu. Port jarzył się światłami tysięcy statków, łodzi i budynków. Rzeka, rozmazana w ulewie, wyglądała jak tłusty, czarny wąż, wijący się przez miasto.

Agenci szybko zeszli na dół, opuszczając się na dach czajchany. Przedstawienie chińskiej opery wciąż trwało i budynek trząsał się od huku bębnów. Ześliznęli się po połaci dachu, jedno po drugim opuścili z krawędzi okapu i zeskoczyli na ziemię.

– Szybko! – zawołała Topaz, puszczając się biegiem w dół, w stronę portu.

Za rogiem pierwszego składu przystanęli, aby zobaczyć, czy nikt ich nie goni. Wzgórze, które zostawili za sobą, zagrzmiało kolejną fanfarą rogów i w skalnej skarpie otworzyły się ukryte wrota – wielki czarny prostokąt. Dał się słyszeć tętent i nagle z czeluści wypadli jeźdźcy na galopujących koniach. Po kilku sekundach pędzili na złamanie karku w dół zbocza, prowadzeni przez madame Fang siedzącą na białym ogierze.

Agenci bez namysłu odwrócili się i wbiegli do składu. Doszły ich okrzyki robotników usiłujących ich zatrzymać, ale nie zwracali na nich uwagi. Znaleźli się w olbrzymiej hali, zastawionej od ziemi po strop milionami przedmiotów z porcelany. Ruszyli wzdłuż środkowej alejki wychodzącej na nabrzeże portowe.

Nagle usłyszeli stukot kopyt i do magazynu wjechała madame Fang na swoim śnieżnobiałym rumaku. Jake aż przetarł oczy – staruszka wyglądała bardziej imponująco niż kiedykolwiek, w srebrnym kirysie, lśniącym hełmie, z wielką stalową szablą w dłoni. Podczas gdy rozglądała się czujnie po hali, jej wierzchołek rozdymał chrapy i potrząsał grzywą. Wypatrzwszy Jake'a i jego przyjaciół, zakrzyknęła na kawalerię na zewnątrz.

Fang powiodła szarżę przez halę, roztrącając sterty porcelany wśród panicznych krzyków robotników, rozbiegających się w popłochu w poszukiwaniu schronienia.

Uciekinierzy już dopadali wyjścia, kiedy tuż przed nimi runęła wielka sterta skrzyń z porcelaną, zasypując drogę skorupami. Gramoląc się przez szczątki, Jake zerknął za siebie i ujrzał, jak stosy białej porcelany wała się na ziemię w obłokach pyłu. Nie zważając na spustoszenie, którego była sprawczynią, madame Fang gnała ku swoim ofiarom ze wzniesionym mieczem, świdrując Jake'a spojrzeniem czarnych oczu.

Rozgniatając stopami skorupy, strażnicy historii wybiegli na nabrzeże. Potoczyli wzrokiem po gęstwie barek i drewnianych żurawi. Pobiegli ścieżką wzdłuż brzegu, ale ta okazała się ślepym zaułkiem, i musieli zawrócić.

– Tędy! – zawołał Nathan, wbiegając po trapie na dużą dżonkę kupiecką, której załoga napełniała ładownię skrzyniami z herbatą.

Wśród marynarzy rozbrzmiały okrzyki zaskoczenia i złości, kiedy intruzi przemknęli między nimi, by przesadziwszy reling, przeskoczyć na sąsiedni statek. Chwilę później na pokład przygalopowała Fang na białym koniu, prowadząc swój oddział. Kopyta załomotały o deski niczym wojenne bębny. Tym razem marynarze rzucili się do ładowni, uciekając przed jeźdźcami, którzy ślizgając się na mokrym pokładzie, ruszyli za ściganymi.

Jake i jego przyjaciele skakali z pokładu na pokład, przebiegając między zdumionymi marynarzami, klucząc wśród ludzi i takielunku. Fang i jej jeźdźcy ścigali ich niestrudzenie, przelatując nad relingami statków. Niektóre konie stawały dęba, przerażone czarną czeluścią między statkami, inne padały, zaplątawszy się w liny, ale reszta nadal niepowstrzymanie parła naprzód. Konie – nawet zgubiwszy jeźdźca – sunęły niepowstrzymaną falą, tocząc pianę z pysków, złane potem, który mieszał się z deszczem na ich grzbietach.

Kiedy czwórka agentów dotarła do końca szeregu statków, Nathan poprowadził grupę na ład. Zatupotali butami o deski pomostu i pognali do najbliższego budynku. Był to skład korzenny, który minęli wcześniej. Powietrze musowało pikantnymi aromatami, podczas gdy robotnicy napełniali baryłki różnokolorowymi proszkami.

– Przygotujcie się! – poleciła Topaz, zatykając sobie nos i łapiąc jedną z beczulek.

– Proszę nam wybaczyć. – Nathan podszedł do dziewczyny, która opatrywała beczki etykietami. – Mamy tu krytyczną sytuację. – Podeszedł do jednej z baryłek i sprawdził zawartość, rozcierając miarki proszek w palcach. – Gałka muszkatolowa? Świetna na cerę.

Dokładnie w tej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do składu wpadli Fang i jej jeźdźcy. Agenci zaczęli ciskać w nich baryłkami. Wiele dosięgało celu i żołnierze spadali z siodeł. Powietrze było gęste od pieprzowego pyłu, który oślepiał i powodował ataki kaszlu i kichania. Konie rżały, stawały dęba albo kręciły się w kółko, wierzgając w panice i siejąc spustoszenie.

W zamieszaniu agentom udało się wymknąć i po rozchwiejących pomostach przedostać się do kolejnego składu. Zaraz za progiem uderzył ich obezwładniający odór sosu rybnego. Opary unosiły się z co najmniej dziesięciu otwartych beczek, wypełnionych po brzegi brązową mazią i adorowanych przez chmary brzęczących much.

– Kiedy tu za nami wejdą – wydyszała Topaz, ledwie mogąc mówić – przewracamy beczki.

Pośpiesznie zajęli pozycje za beczkami. Zawiesisty odór wdarł się Jake'owi do nozdrzy i pokrył wewnątrz gardła, wywołując mdłości.

I znów madame Fang pojawiła się pierwsza. Jej rumak wyglądał na zmęczonego, ale ona wciąż tryskała niespożytą energią, choć jej oddział kawalerii był już mocno przetrzebiony.

Topaz dała sygnał.

– Teraz!

Stękając z wysiłku, wszyscy jednocześnie natarli na beczki i przewrócili je, posyłając w stronę prześladowców potężną falę cuchnącej brei, razem z rojami much i mącą umysły chmurą trujących wyziewów. Rżąc ze zgrozy, konie stanęły w miejscu.

Jake dostrzegł ostatnią sposobność do zatrzymania pościgu. Pod ścianą leżały puste beczki, spiętrzone w dziesięciu warstwach i zablokowane drewnianą żerdzią. Krzyknął do innych, aby się odsunęli, po czym uwolnił stertę. Lawina beczek potoczyła się po podłodze

z ogłuszającym rumorem. Konie przewracały się jak kręgle. Zwierzęta wymachiwały nogami, usiłując wstać na mokrej podłodze, a jeźdźcy umykali w panice spod wierzgających kopyt.

– Tędy! – krzyknęła Topaz i agenci pobiegli za nią do tylnego wyjścia.

– Konie! Tam! Szybko! – zawołała Yoyo, przypominając sobie stado, które mijali w drodze do Wrót Oceanu.

Podbiegli do zagrody, gdzie stadko młodych klaczy posilało się przy paśniku. Jake otworzył bramę, wybrali cztery konie, wskoczyli na ich grzbiety, spięli piętami i pognali w miasto.

Stajenni, którzy jedli kolację nieopodał, podnieśli gniewne krzyki i trzej z nich ruszyli w pogoń. Jeden zdołał dopaść Topaz i złapać ją za nogę.

– *Je suis desolée* – powiedziała i wymierzyła mu siarczystego kopniaka, który posłał go koziółkującego na ziemię.

Strażnicy historii gnali w górę, oddalając się od przystani.

– Kto pierwszy dostanie się na „Groma”, niech uruchomi maszynę! – krzyknął Nathan. – Zerknął przez ramię. – No nie! A ta wciąż za nami!

Jake obejrzał się. Madame Fang wciąż deptała im po piętach, siekąc konia szpicrutą, ale towarzyszyło jej już tylko dwóch jeźdźców.

Czworo agentów przemknęło nad grzbietem wzniesienia i pogalopowało w dół, w stronę głównego portu. Na ulicach wciąż roilo się od kantończyków, jednak większość z nich uciekła przed ulewą do czajchan i gospód, które ożywały po zmroku. Ci na środku drogi uskakiwali w popłochu przed rozpędzonymi końmi.

Nareszcie strażnicy historii dotarli do swojego statku i porzuciwszy klacze na nabrzeżu, wskoczyli na pokład. Nathan natychmiast zbiegł pod pokład i uruchomił maszynę. W normalnej sytuacji postawiliby żagle, aby nie wzbudzać niepotrzebnej sensacji, ale tym razem spieszyło im się, a w ulewnym deszczu i tak nikt nie usłyszałby sapania tłoków. Po kilku chwilach „Grom” drgnął i zaczął oddalać się od kei. Wszyscy czworo wydali z siebie westchnienie ulgi.

Jednak madame Fang jeszcze z nimi nie skończyła.

Jake ujrzał, jak galopuje w stronę statku, tratując wszystko, co znalazło się na jej drodze. Spodziewał się, że zwolni i zatrzyma się przy brzegu, ponieważ „Grom” był już kilka metrów od kei, a szczelina szybko się powiększała, ale Fang gnała na złamanie karku z bojowym okrzykiem na ustach. Jake wytrzeszczył oczy, kiedy jej ogier odbił się od nabrzeża i potężnym susem przesadził odległość dzielącą ją od statku. Koń zarżał głośno, kiedy przednie nogi zaczepiły mu się o reling, przez co runął piersią na pokład, przebijając ślizgającymi się kopytami. Fang przekoziółkowała do przodu, ale natychmiast poderwała się na nogi i przyskoczyła do zwierzęcia po broń, którą wiozła przytroczoną do siodła. Chwyła masywną złotą rurę, której rusznikarz nadał kształt smoka. Zanim strażnicy historii zdążyli połapać się w sytuacji, odbezpieczyła mechanizm i wypaliła. Struga ognia wytrysnęła ze smoczey paszczy, podpalając część takielunku. Fang złożyła się do drugiego strzału, ale wtedy Topaz wybiła się z kasztelu, chwyciła za zwisającą linę, zatoczyła na niej półokrąg i w locie kopnęła Fang w tył głowy. Miotacz wypadł staruszcze z rąk, a ona sama przewaliła się przez reling i zawisała za burtą. Yoyo natarła na nią z mieczem, zmuszając do zwolnienia chwytu.

Nawet w wodzie madame Fang nie chciała się poddać i próbowała płynąć za „Gromem”, ale ten poruszał się już zbyt szybko.

Tymczasem biały rumak zdołał dźwignąć się na nogi. Rżąc i parszcząc, rzucał się to tu, to tam, szukając swojej pani. Nagle usłyszał jej krzyki i odwrócił się gwałtownie, omal nie wyłamując koła sterowego z kolumny. Mocarna bestia stanęła dęba i bez wahania wyskoczyła za burtę. Jake patrzył w osłupieniu, jak zwierzę wpada do wody, wynurza się i zaczyna płynąć

w stronę Fang. Staruszka zdołała wpełznąć mu na grzbiet i skierować ku brzegowi.

– Jazda! – krzyknęła Topaz do Nathana przy sterze i „Grom” całą naprzód ruszył przez zatokę.

Kanton z portem i milionami lampionów szybko malał za rufą. Kiedy pożar został ugaszony, Jake przyjrzał się miotaczowi, który Fang pozostawiła na pokładzie. Wydał mu się znajomy. Nagle przebiegł go dreszcz, gdy przypomniał sobie, gdzie widział coś takiego – była to wyrzutnia z rysunku Filipa. Jake rozsznurował sakiewkę, w której oprócz różnych drobiazgów trzymał pamiątki po bracie. Wyjął rysunek, który dostał od Galliany, i porównał szkic z urządzeniem leżącym przed nim na deskach pokładu. Rysunek i broń były identyczne.

# 18

## Bal

Charlie czekał na Oceanę Noire na przystani. Wytwornie ubrany, pod pachą trzymał kule, a na ramieniu siedział mu Pan Drake. Trzy wieczory wcześniej zgodził się zabrać Oceanę na letni bal do Saint-Malo i teraz gotował się na długą noc.

Oceana nie cieszyła się dobrą reputacją. Była rozkapryszona, zarozumiała, egocentryczna i nieuprzejma. Jako szpieg także nie spisywała się zbyt dobrze. (W przeszłości podejmowała się tylko tych zadań, które dawały jej sposobność powiększenia kolekcji biżuterii. Inni strażnicy tolerowali ją wyłącznie przez szacunek dla jej nieżyjących rodziców, którzy byli znakomitymi agentami i wspaniałymi ludźmi). Jednak Charlie był zdecydowany się poświęcić i podjąć próbę pocieszenia jej po śmierci Józefiny. Potrafił współczuć każdemu, kto stracił ukochane zwierzę.

Spojrzał na swój kieszonkowy zegarek – dochodziła dziewiąta.

– Miała tu być godzinę temu. Zabawa się skończy, zanim zdążymy tam dotrzeć! – poskarżył się papudze i pokręcił głową.

Dokładnie w tej samej chwili usłyszał kroki. Oceana Noire spłynęła ku nim po schodach, w sukni z niebieskiego szyfonu, długich, białych rękawiczkach i z kwiatami we włosach. Eleganckiego stroju dopełniały perłowy naszyjnik oraz torebka w kolorze kości słoniowej. Charlie nie miał pojęcia o modzie, ale nie miał wątpliwości, że Oceana wygląda olśniewająco.

– Uznałam, że to zły pomysł – oznajmiła chłodno, jeszcze zanim zeszła z ostatniego stopnia. Prezentowała się wspaniale, ale minę miała jeszcze bardziej kwaśną niż zwykle. – Nie idę. *Désolée*. – Okręciła się zamasyście na złotym obcasie i ruszyła z powrotem na górę.

– *Non!* Mademoiselle Noire! – zawołał za nią Charlie. – Nie daję zgody na to, aby wróciła pani do swojego apartamentu i pozostała nieszczęśliwa przez resztę życia. Chce pani umrzeć jako samotna stara panna, za całe towarzystwo mając szkatułkę z biżuterią?

– Brzmi kusząco – rzuciła przez ramię, nie zwalniając kroku. – Klejnoty to jedyna rzecz na tej ziemi, na której można polegać.

– Nie ubrałaby się pani tak pięknie, gdyby nie pragnęła tam być.

Zignorowała go, więc wyjął z kieszeni kartkę i zaczął odczytywać nazwiska:

– Charles St Jean, wicehrabia Rennes, Michel-Pierre Rousseau z domu Nantes, Alain Fourgère Drugi, hrabia bretoński...

Oceana zatrzymała się i odwróciła.

– Kim są ci ludzie?

– O, ci są nieźli: Frédéric-Xavier Montjac, książę Bretanii, oraz jego młodszy brat Alençon. No tak, ale Alençon ma dopiero siedemnaście lat. Z drugiej strony ich kuzyn ma największą winnicę w Normandii...

– *Arrête! Arrête!* – wykrzyknęła Oceana, zbiegając znów na dół. – Chcesz mi powiedzieć, że wszyscy ci ludzie będą dziś gośćmi na balu?

– Oni i cała rzesza im podobnych.

Oceana zadarła nas i przez chwilę rozważała sytuację.

– Czy to jest statek, który proponujesz mi jako środek transportu? – spytała wreszcie, wskazując na jacht kołyszący się przy kei. – Łódź Kleopatry to to nie jest – orzekła.

– Szampan już się chłodzi w lodzie i przygotowałem minitarty ze szparagami. Wiem, jak uwielbia pani szparagi. To tylko półgodzinny rejs przez zatokę.



Oceana ściągnęła usta.

– Cóż, sądzę, że będą stęsknieni za kobietą mojej klasy. Nie chciałabym ich zawieść.

Odrzuciła głowę do tyłu i dumnie wkroczyła po trapie na pokład. Nie przyszło jej do głowy, by pomóc Charliemu, który bez słowa pokuśtykał dalej, by uruchomić silnik.

W oknie wysoko na zamkowej wieży stała Róża Djones, obserwując odpływających.

– Charlie Chieverley powinien sobie zbadać głowę – powiedziała kwaśno do Galliany. – Gdybym to ja miała spędzić wieczór z Oceaną Noire, tylko jedna z nas wróciłaby żywa.

Stała w gabinecie komendantki, z nadjedzonym ciastkiem w dłoni. Wsunęła do ust ostatni kęs i oblizwała palce.

– Tak się cieszę, że rumowe ciacha wróciły do jadłospisu – skoro wypadł z niego Jupiterus.

– Wciąż nie rozmawiacie ze sobą? – spytała Galliana.

Komendantka pochylała się nad biurkiem, badając mapę Chin przez szkło powiększające.

– A o czym mielibyśmy gadać? – Róża wzruszyła ramionami. – Zimna z niego ryba, ot co. Całe szczęście, że obrączka nie trafiła na mój palec.

Galliana uniosła głowę i przyjrzała się swojej starej przyjaciółce. Róża westchnęła cicho i odwróciła się od okna.

– Wybacz. To samolubne z mojej strony, że tak paplam i paplam, podczas gdy ty masz na głowie o wiele ważniejsze sprawy. – Wcisnęła się na fotel obok komendantki i obrzuciła spojrzeniem mapę. – Myślisz, że już znaleźli Xi? – spytała.

Galliana westchnęła głęboko. Drżała jej warga, a pod okiem wyrosła łza.

– Och, kochanie... – przejęła się Róża. – Co się dzieje?

– Nie powinnam ich była tam posyłać – załkała Galliana. – Wolałabym, żeby popełniał kolejne zbrodnie, niżby ginęli kolejni ludzie, których kocham. Powinnam była powstrzymać ich przed wyruszeniem do Chin, nalegać na powrót...

– Tym się zajmujemy. Po to tutaj jesteśmy. Jesteśmy strażnikami historii. – Róża starała się ukryć fakt, że jest wstrząśnięta. Od dziesięcioleci nie widziała Galliany we łzach.

Komendantka pokręciła głową.

– Powinnam ich chronić, a nie posyłać w szpony tego... tego... Xi jest tak nieludzko zły, Różo, jego dusza jest czarna jak noc. W innych zachował się choć okrucieństwo, ale on jest jak wcielony diabeł.

Róża dreszcz przebiegł po plecach. Otworzyła swój nieodłączny sakwojaż, wydobyla zeń wymiętą chusteczkę i zaczęła osuszać nią twarz przyjaciółki.

– No już... Rozchmurz się. Bo jak nie, to zabiorę cię na ten bal do Saint-Malo i zmuszę do tańczenia polki.

– Jeszcze jej nie wynaleziono – odparła Galliana, a na jej ustach zagrał cień uśmiechu.

– Tak już lepiej. Nie może być tak, że zasłużona komendantka Tajnej Służby Straży Historii rozkleja się jak Maria Antonina.

Rozległo się pukanie, skrzyknęły drzwi i do pokoju wsunęła się głowa Fredrika Isaksena. Szwed uśmiechał się zawadiacko.

– Ach, tu jesteście! – ucieszył się. – Właśnie zaczyna się cudny zachód słońca. Byłem ciekaw, czy któraś z was miałaby ochotę wyjść na zewnątrz i obejrzeć go ze mną? Mam otwartą butelczynę: bardzo zacne margaux, rocznik tysiąc siedemset osiemdziesiąty siódmy.

Oficjalnie mówił do nich obu, ale jego bałamutne spojrzenie było przeznaczone dla Róży.

– Różo, kochanie, może pójdziesz z Fredrikiem, a ja tu sobie spokojnie dokończę? – powiedziała Galliana. Widząc, że jej przyjaciółka zamierza protestować, pochylała się i wyszeptwała jej do ucha: – Idź. Dobrze ci to zrobi.

Róża lekko ścisnęła jej dłoń.

– Daję ci jeszcze pięć minut, a potem zostaw mapy i chodź do nas – powiedziała, po czym zarzuciła na ramię sakwojaż i ruszyła do wyjścia.

Fredrik przytrzymał dla niej otwarte drzwi.

– Czy mogę być tak śmiały i powiedzieć, że prześlicznie dziś wyglądasz? – wymruczał. – Cynober to twój kolor.

– Możesz być tak śmiały, jak tylko zechcesz, Fredriku – odpowiedziała, puszcżając oczko do Galliany.

Nagle jej uśmiech zgasł, bo oto korytarzem sunął w ich stronę Jupitus Cole. Zrazu ignorował Różę, ale zrównawszy się z nią, skłonił nieznacznie głowę.

– Fredriku... Panno Djones... – powiedział sucho.

Krzywiąc się z irytacji, Róża przez chwilę patrzyła na oddalającego się byłego narzeczonego. Potem wzięła swojego towarzysza pod rękę i powiedziała nienaturalnie głośno:

– Dobrze, Fredriku, chodźmy obejrzeć ten zachód słońca.

– Hm, niech pomyślę... Mój idealny mężczyzna, powiadasz? – zastanawiała się Oceana, żując szparag.

Siedziała na pokładzie z tacą smakołyków u boku. Charlie stał za sterem, nawigując przez gładkie letnie morze z Panem Drakiem na ramieniu.

– Byłby wprost idiotycznie bogaty. Nieskazitelne maniery, naturalnie... Roztropny, szarmancki, wspaniałomyślny... I nie lubię włosów w nosie ani wielkich stóp.

– No i przypuszczam, że chciałaby pani, aby ją kochał – podpowiedział Charlie. – Akceptował taką, jaka jest. To też ważne, nieprawdaż?

Oceana skrzywiła się.

– To brzmi cokolwiek prostacko, nie sądzisz?

– Może skuszę się jednak na jedną tartę – powiedział Charlie, żeby zmienić temat.

– Ojej, nie wiedziałam, że też będziesz chciał jeść. – Oceana roześmiała się beztrudno. – Sprzątnęłam wszystkie.

Charlie uśmiechnął się z zaciśniętymi ustami i spojrział w dal, zastanawiając się, co go podkuśiło, żeby wybrać się na tę wyprawę. Co robili teraz jego przyjaciele? Zawsze marzył o podróży do Chin, kraju o tak fascynującej kulturze, tak pełnego niespodzianek.

– Przed nami Saint-Malo – oznajmił.

Oceana spojrzała w stronę dziobu, mrużąc oczy. Mury miasta jarzyły się w promieniach zachodzącego słońca. Sześciobok przysadzistych obwarowań osłaniał piramidę ciemnoszarych budynków, z katedrą wyznaczającą wierzchołek.

Charlie zacumował w porcie i Oceana tanecznym krokiem zeszła na brzeg, nie zwracając najmniejszej uwagi na swojego towarzysza. Przywołany przez Charliego fiakier powiózł ich przez labirynt wąskich uliczek, by zatrzymać się przed okazałym, jasno oświetlonym pałacem.

– *Mon Dieu* – zachwyciła się Oceana, zaciskając dłoń na perłach na widok eleganckich młodzieńców gawędzących swobodnie na tarasie. – Cóż to za nowy, wspaniały świat!

Woźnica otworzył przed nią drzwi.

– Do zobaczenia w środku – zaśpiewała do Charliego. – Życz mi powodzenia!

Zanim zdążył wygramolić się z powozu, Oceana odplynęła w tłum, dokładając starań, aby zwrócić na siebie uwagę wszystkich męskich oczu. Charlie zapłacił woźnicy i rzucił smutne spojrzenie papudze.

– Jak mogłem uwierzyć, że potrafię cokolwiek w niej zmienić? Jest niewdzięczna i całkowicie niereformowalna.

Włożył kule pod pachy i pokuśtykał do sali balowej.

Kiedy znalazł się w środku, usta same rozciągnęły mu się w szerokim uśmiechu. Był to

bal jak się patrzy. Salę rozświetlał blask tysiąca świec, osadzonych w dwóch gigantycznych żyrandolach, pod którymi bawiło się co najmniej dwieście osób. Wszyscy odziani byli z wyszukaną elegancją: mężczyźni wyprężeni dumnie w ciemnych frakach, kobiety – zjawiskowe w chmurach z jedwabiu, z trzepoczącymi wachlarzami w dłoniach. Na środku pary wirowały w pełnym werwy tańcu, inni plotkowali w grupach pod ścianami. Dwudziestoosobowa orkiestra – muzycy w jednakowych, złotych kostiumach – grała na drugim końcu sali.

– Och, wspaniale, bufet! – powiedział Charlie do siebie, wypatrzywszy długi stół pod jedną ze ścian.

Narażając się na kontuzję, pokuśtykał przez parkiet, znalazł czysty talerz i zaczął napełniać go smakołykami.

– Masz ładną papugę – zabrzmiał głos tuż przy jego uchu.

Charlie odwrócił się. Stała przed nim młoda dziewczyna o ciemnych oczach i włosach poskręcanych w świderki.

– Jest oswojona? – spytała.

Zanim zdążył ją ostrzec, że ptak nie urodził się w niewoli i bywa nieobliczalny, dziewczyna wyciągnęła rękę i pogłaskała opierzony łebek. Ku zdumieniu Charliego Pan Drake nie tylko nie zaczął skrzeczeć i trzepotać skrzydłami, ale zagruchał z lubością i wskoczył nieznajomej na ramię, pocierając dziobem jej szyję.

– Piekło, dzwony i demony! Pierwszy raz widzę coś takiego. – Charlie pokręcił głową. – Podać ci coś do jedzenia? Mus wygląda całkiem obiecująco.

– Cokolwiek, byle nie było w tym mięsa. Tylko nic nie mów moim braciom – wyszeptała dziewczyna, wskazując wzrokiem na trzech rumianolichych młodzieńców za sobą. – To hodowcy świń. *Je m'appelle Ambre. Enchantée.*

– Charlie... – Głos uwiązł mu w gardle i Charlie splonął rumieńcem.

Kątem oka zauważył Oceanę rozmawiającą z dystyngowanym mężczyzną w mundurze. Miał wypielęgowaną bródkę, szarfę przewieszoną przez ramię, a na piersi połyskiwał mu dumnie rząd medali. Choć Oceana trzepotała rzęsami i rozpywała w kokieterijnych uśmiechach, Charlie odniósł wrażenie, że mężczyzna nie jest zainteresowany. Kiedy orkiestra znów zaczęła grać, Oceana wyciągnęła dłoń, dając znak, że chciałaby zatańczyć, ale brodacz zwyczajnie odwrócił się i odszedł, pozostawiając ją z ręką zawieszoną w powietrzu. Grupa młodych dziewcząt zachichotała za wachlarzami. Z zastygłą twarzą Oceana czmychnęła w kąt sali. Charlie nigdy nie widział nikogo, kto wyglądałby na tak opuszczonego i przygnębitego.

– Czy mogę przeprosić cię na sekundę? – powiedział do Ambre.

Pośpiesznie pokuśtykał do Oceany. Spodziewał się tyrady o gburach i prostakach, dlatego oślupiał, kiedy uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

– Ogromnie ci dziękuję, Charlie, że mnie tu zaciągnąłeś.

– Dziękuję? – powtórzył Charlie.

Spojrzał jej w oczy, podejrzewając, że drwi. Nie drwiła.

– Słuchaj... Wiem, że mam pewne wady. Nie jestem najprzyjemniejszą kobietą na świecie. Ale jestem wdzięczna, kiedy ludzie okazują mi życzliwość. A nikt nigdy nie okazał mi tyle życzliwości co ty w tym tygodniu. Nigdy ci tego nie zapomnę.

– Och, cóż... Ja... – Charliemu zabrakło słów. – Cała przyjemność po mojej stronie, mademoiselle Noire. Nie byłem pewien, czy dobrze się pani bawi...

– Ależ tak, oczywiście, *c'est une fête merveilleuse*. Minęły wieki, odkąd ostatni raz byłam na takim balu. Orkiestra, tańce... I tak wielu wysokich mężczyzn. Och, dosłownie umieram ze szczęścia.

Właśnie wtedy zbliżył się do nich mężczyzna, który wyprężył się przed Oceaną i uklonił.

– *S'il vous plaît, mademoiselle...?* – zaczął głębokim basem.

Oceana obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. Był nie wyższy od niej, korpulentny, o mocnej twarzy i głęboko osadzonych oczach. Jego frak był nieco przymały i nie tak wymuskany jak stroje innych mężczyzn, ale noszący go człowiek miał serdeczny uśmiech.

– Proszę powiedzieć, że zatańczy pani z rozkoszą – wyszeptał do ucha Oceany Charlie.

– Jeszcze czego? Nie sądzę, aby był w moim ty...

Charlie szturchnięciem wypchnął ją przed siebie. Mężczyzna uśmiechnął się, uklonił jeszcze raz i poprowadził Oceanę na parkiet. Odchodząc, obejrzała się, by zgromić Charliego surowym spojrzeniem.

Pomimo postury mężczyzna okazał się wyśmienitym tancerzem. Stale uśmiechnięty, mówił do Oceany, pływając z nią lekko i z gracją po parkiecie. Na początku miała zaciętą minę, ale z czasem zaczęła odpowiadać partnerowi, zrazu uśmiechając się, a potem wręcz zanosząc śmiechem. Charlie nigdy nie widział jej śmiejącej się – chyba że z cudzego nieszczęścia.

Ale kiedy tylko uśmiechnął się, dumny ze swojego sukcesu, Oceana nagle przerwała taniec i gniewnym krokiem zeszła z parkietu, pozostawiając na nim osłupiałego partnera.

– Co się stało? – zdenerwował się Charlie, kiedy podeszła do niego, zgarnawszy po drodze kieliszek szampana z tacy.

– *C'est un charlatan* – odpowiedziała i wychyliła trunek jednym haustem. – Nie powinien tu przychodzić i udawać kogoś, kim nie jest!

– Jak to oszust?

– *Il est pêcheur d'huîtres*. Hodowca ostryg!

– Nie może pani tak po prostu porzucić partnera na parkiecie!

Upokorzony mężczyzna patrzył na nich bezradnie, nie wiedząc, co robić dalej.

– Tracilibyśmy tylko czas. Oboje. Sądzę, że stać mnie na kogoś lepszego niż hodowca ostryg.

W tym momencie Charliemu skończyła się cierpliwość.

– Nie stać pani... Nie, mademoiselle! Obawiam się, że nie. Być może nie rozumiem zbyt dobrze, jak działa ten świat. Ostatecznie jestem tylko piętnastoletnim chłopcem. Ale podejrzewam, że ten mężczyzna jest wart dziesięć takich jak pani.

Pan Drake skrzeknął potakująco, a Oceana cofnęła się o krok, wstrząśnięta.

– Wygląda na miłego człowieka – ciągnął Charlie. – Ma miły uśmiech i porządne ubranie z kwiatkiem w butonierce. Ma dobrą pracę. Przecież uwielbia pani ostrygi! Czego chce więcej? A teraz proszę wrócić tam i zatańczyć z nim. I nie jest to prośba, mademoiselle, to rozkaz!

Oceana wytrzeszczyła na niego oczy, zastygła w osłupieniu, z otwartymi ustami. Charlie szturchnął ją kulą i popchnął w stronę hodowcy ostryg.

– *Bonsoir. Je m'appelle Charlie* – powiedział do mężczyzny. – *Et vous?*

– Jacques – odpowiedział skonsternowany hodowca. – Monsieur Jacques Vernet.

– Dobrze, solidne nazwisko. *Mon amie voudrait continuer à danser. D'accord?* – powiedział Charlie, ujmując jego wielką dłoń i łącząc ją z dłonią Oceany. – *Vous êtes un beau couple*.

Zagrała muzyka i Charlie gestem zachęcił parę do rozpoczęcia tańca – oboje stali jak wmurowani.

– *Dancez!* – powtórzył. – Kto wie, co przyniesie jutro?

Wreszcie Jacques uśmiechnął się niepewnie i poprowadził Oceanę przez parkiet. Wkrótce śmiała się znowu, tym razem na cały głos.

Kiedy słońce skryło się już za horyzontem, a butelka margaux zaświeciła dnem – osuszona niepostrzeżenie wśród wspominków z dawnych czasów – Fredrik Isaksen

zapropował Róży, aby poczekali, aż rozbłyszną gwiazdy.

– Taki pogodny wieczór – namawiał. – To będzie przepiękny widok. Mam przynieść koce? Wymościmy sobie gawrę.

Róża popatrzyła na niego smutno.

– Fredriku, prawdopodobnie jesteś najprzystojniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek zaproponował mi wspólne wymoszczenie gawry, ale niestety muszę odmówić. Jestem dziś nie w sosie.

Szwed nie przestawał się uśmiechać.

– Oczywiście, Rózo, rozumiem. – Ujął jej dłoń i pocałował.

Róża szła do swojego pokoju, wzdychając ze zgrzyoty. Przechodząc obok drzwi Jupitusa, ujrzała pod nimi pasek światła i usłyszała przyciszoną muzykę. Schyliła się i zajrzała przez dziurkę od klucza. Jupitus, w szlafroku i kapciach, siedział nieruchomo na swojej otomanie. W nagłym przypiływie brawury Róża uniosła dłoń, aby zapukać, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Przez chwilę stała bez ruchu, jak sparaliżowana, a potem odwróciła się i poczłapała korytarzem do siebie.

Zamknąwszy za sobą drzwi pokoju, przebrała się w koszulę nocną, weszła do łóżka, zdmuchnęła świecę i podciągnęła kołdrę pod sam nos. Nie zaciągnęła zasłon i przez okno widziała rozbłyskujące na niebie pierwsze gwiazdy. Nagle wróciły do niej słowa, wypowiedziane przez Gallianę: „Xi jest tak nieludzko zły, Rózo, jego dusza jest czarna jak noc. W innych zachował się choć okrucieństwo, ale on jest jak wcielony diabeł”.

Nagle zdało jej się, że widmo Xi Xianga zawisło w mroku tuż przed nią. Poprzedniego dnia oglądała jego podobiznę w Bibliotece Twarzy (to dziwne, ale nigdy nie widziała go na własne oczy) i teraz przypominała sobie jego upudrowane policzki i straszliwe trzecie oko spoglądające posępnie z policzka bez względu na to, co robił z resztą twarzy. Podobno miał piskliwy śmiech. Nagle zdjął ją zimny strach. Szybko przetarła oczy, ale obraz Xi Xianga nie zniknął, jego zdeformowane oko wpatrywało się w nią z ciemności.

– Jake – powiedziała głośno. – Jake, wracaj do nas, słyszysz? Proszę, wróć.

Potem naciągnęła kołdrę na głowę i zaszlochała.

# 19

## Południowy południowy wschód

Jake i jego przyjaciele nie ustalili kursu – chcieli po prostu wydostać się z Kantonu najszybciej, jak to możliwe, oddalić się od madame Fang i okropieństw pałacu Xi Xianga. Całą naprzód „Grom” parł na wschód, wzdłuż Rzeki Perłowej, gładko wyprzedzając wszystkie statki.

Nie była to łatwa podróż – oko burzy zdawało się ich ścigać, sunąc bezbłędnie ich śladem. Od czasu do czasu ulewa słabła, a fale opadały tylko po to, aby kilka chwil później ruszyć do natarcia z nowym wigorem, poganiane przez rozjuszoną wichurę. Statek pochylał się niebezpiecznie raz na jeden, raz na drugi bok, złowieszczo trzeszcząc więzaniem kadłuba.

Było źle, ale strach przed pościgiem był jeszcze gorszy. Wprawdzie pozostawili Fang pływającą w basenie portowym, ale wiedzieli, że mogła już zarekwirować któryś statek, by ruszyć ich tropem. Wydawała się zdolna do wszystkiego. Mając to na względzie, podczas gdy Topaz sterowała, Jake, Yoyo i Nathan trzymali wartę pod ociekającym baldachimem na rufie, wpatrując się w statki płynące za nimi – ciemne kształty mające w mroku. Kiedy wody wokół nich opustoszały, poczuli się bezpieczniej.

– Jak się czujecie? – zapytał Jake pozostałych dwoje.

Ich twarze wciąż były zaczerwienione od trucizny Xi Xianga. Nathan miał przekrwione i podpuchnięte oczy.

– Dopóki włosy nie zaczną mi wypadać, dam sobie radę – powiedział i wzruszył ramionami. Spojrzał na Yoyo znacząco, przypominając sobie ich sprzeczkę. – Może i jestem płytki, ale faktem jest, że pięćdziesiąt procent mojej osobowości kryje się w tych włosach. A zresztą... – westchnął, przeczesując czuprynę dłonią – nie ma sensu, żebyśmy wszyscy tu tkwili. Zostawię was, gołąbeczki, samych. – Wstał i oddalił się na dziób.

Jake patrzył za nim ze smutkiem, po czym odwrócił się do Yoyo.

– A ty jak?

– W porządku – odpowiedziała, zdobywając się na uśmiech. – Poza tym, że wszyscy mnie nienawidzą. – Wbiła wzrok w kilwater za rufą statku i westchnęła ciężko. – Pójdę przygotować coś do jedzenia. Może w ten sposób uda mi się was trochę rozchmurzyć. – Odwróciła się i zeszła do kambuza.

Stojąca za sterem Topaz odprowadzała ją wzrokiem, ale się nie odezwała. Po chwili spod pokładu dobiegł ją odgłos siekania.

Jake jeszcze raz spojrzął na złoty miotacz Fang. Zważył go w rękach – był ciężki. Jake podziwiał kunszt wykonania, przesuwając palec po zagłębieniach smoczej głowy i delikatnie naciskając spust, któremu nadano kształt szponu. Zastanawiał się, czy Filip kiedykolwiek z niego strzelił.

Obejrzał szkic drugiej broni – smukłego rewolweru. Czy on także istniał? A jeśli tak, w czyim był posiadaniu?

Jake rozwinął płótno zabrane z domu Xi w Londynie i jeszcze raz przyjrzał się obrazowi. Oto Filip, patrzący nań dumnym wzrokiem, i Xi Xiang u jego boku. Czy rzeczywiście ten portret namalował Caravaggio w Rzymie? Na dole nie było podpisu, ale malowidło bez wątplenia było dziełem mistrza.

Jake powiódł wzrokiem po kwadratowej szczęce brata i spojrzął w ciemne oczy. W Londynie obraz przeraził go – mimo ulgi, jaką przyniosła mu świadomość, że Filip jednak

przeżył, nie mógł pogodzić się z jego związkiem z Xi. Teraz, rzecz jasna, rozumiał wszystko. Xi wyłożył mu to osobiście: Filip zbliżył się do niego, ponieważ takie miał zadanie. Miał go szpiegować. Był podwójnym agentem.

Ale najważniejsze pytanie – gdzie jest Filip? – wciąż czekało na odpowiedź. Jake przypomniał sobie słowa Xi: „Nie zamierzałem go zabić, o nie! To byłoby zbyt łatwe. Chciałem, aby cierpiał, więc zamknąłem go w miejscu, gdzie już nigdy nie ujrzy światła! Tak, już nigdy nie ujrzy światła”. Ostatnie zdanie mroziło krew w żyłach: „W końcu umrze w zimnie i ciemności, zupełnie sam”.

Ale gdzie to mogło być? Xi powiedział, że Filip był „w domu”. Gdzie zatem był „dom”? Jake wyjął z kieszeni Lazurytowego Węża, przetarł go rękawem i zaczął dokładnie oglądać. Światło latarni wydobywało zeń niebieskawą aurę, ale poza tym nie było w nim nic szczególnego – ot, zwyczajny walec z błękitnego kryształu. Pokrywał go zawity wzór z wyżłobionych, falujących linii, ale ten nie kojarzył się Jake’owi z niczym.

Z którejkolwiek strony patrzył, linie nie układały się w żaden sensowny obraz. Nie przypominały też pisma. Jednak przyglądając się im uważniej, dostrzegł płytkie zagłębienie w kamieniu, a w nim wypukły symbol. Jake natychmiast rozpoznał znak: ośmiornicę.

Yoyo wyniosła na pokład cztery miski z posiłkiem i rozdała je przyjaciołom. Jedli w milczeniu, Topaz przy sterze, reszta za nią, pod daszkiem na rufie. Za prawą burtą przepływały odległe światła Makau.

Wreszcie ulewa złagodniała do mżawki, a potem ustała całkowicie. Morskie powietrze było czyste i orzeźwiające, męcząca duchota odeszła, przegnana przez burzę. Na spokojniejszych wodach żegluga była łatwiejsza. Płynęli na południowy wschód, trzymając się blisko brzegu porośniętego gęstą dżunglą.

Minęła druga w nocy, kiedy natknęli się na głęboką zatokę z niewielką osadą rybacką przycupniętą w jej głębi. Dwa statki – każdy dorównujący wielkością „Gromowi” – stały przycumowane w przystani.

– Zaczekamy tutaj do świtu – zdecydowała Topaz.

Zastopowała maszynę i „Grom” wśliznął się bezgłośnie do zatoki. Kiedy brzeg był już blisko, Topaz krzyknęła na Jake’a i Yoyo, aby rzucili kotwicę. Razem pociągnęli za dźwignię i łańcuch ruszył przez kluzę, hurkocząc i dzwoniąc, by nagle stanąć, kiedy kotwica sięgnęła dna. Statek płynął jeszcze przez chwilę, szorując burtą o naprężający się łańcuch. Nim się zatrzymał, agenci zabrali się do zwijania żagli.

W całkowitej ciszy cztery pary oczu przepatrywały brzeg zatoki. Krajobraz trwał w absolutnym bezruchu. Z trzech stron otaczały ich skalne urwiska, porośnięte gęstą roślinnością, za plecami mieli ocean. Daleko na horyzoncie widać było statki zdążające do chińskich portów i z powrotem – niewyczerpany strumień światowego handlu. Nagle ciszę zburzył głośny skrzek. Stado papug wzbilo się z trzepotem z kępy drzew i odleciało w głąb łądu. Jake pomyślał o Charliem.

– Jesteśmy tu bezpieczni, prawda? – spytała Yoyo. W jej głosie pobrzmiwała niepewność.

– Musimy zaplanować trasę – odparła sucho Topaz. – Nie możemy wałęsać się po morzach bez celu. Czy mogę obejrzeć ten kryształ?

Jake podał jej kamień i usiadł obok. Kiedy w kręgu światła pojawił się Nathan, Topaz spojrzała na niego z niepokojem. Oczy miał jeszcze bardziej nabiegłe krwią niż wcześniej, a jego cera nabrała chorobliwie fioletowego odcienia.

– Wyglądasz okropnie. Na pewno dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – mruknął. – Ale dzięki za troskę.

– Nie unosz się dumą – powiedziała Yoyo. – Jeżeli jesteś chory, Nathan, powinieneś nam o tym powiedzieć. – Zwróciła się do pozostałych, aby wyjaśnić: – Jad ośmiornicy może być bardzo niebezpieczny. Niektórzy ludzie reagują silniej niż inni.

– Powiedziałem już, że nic mi nie jest! – wysyczał Nathan. – A już na pewno nie potrzebuję twojego współczucia, panno Yuting. A teraz przyjrzyjmy się temu przekłętemu kryształowi.

Zapadła cisza. Topaz podała mu kamień, a on obejrzał go, mrugając łzawiącymi oczami. Pozostali spojrzeli po sobie.

– Te wzorki nic nie znaczą – orzekł Nathan niecierpliwie. – Co to jest? – spytał, zauważwszy znak.

– To ośmiornica – odpowiedział Jake.

Nathan miał kłopot ze skupieniem wzroku, więc oddał kamień siostrze. Yoyo pochyliła się nad jej ramieniem i dziewczęta zaczęły oglądać go razem.

– Wzory wyryto bardzo metodycznie – powiedziała Topaz. – Muszą mieć jakieś znaczenie.

– Może to tylko jeden z elementów układanki – zaryzykowała Yoyo. – Może istnieje drugi kamień?

Topaz podała kryształ Jake'owi, sięgnęła do schowka w kolumnie steru i wyjęła stamtąd mapę Chin, z której korzystali podczas podróży do Kantonu. Powiodła palcem po krętej linii brzegowej. Poniżej rozciągała się plama Morza Południowochińskiego, pocięta ledwie widocznymi liniami szlaków handlowych Wschód–Zachód.

– Wiemy tylko tyle, że podobno Zachód ma rozpocząć wojnę z Chinami. Ale dlaczego? Jak? Gdzie? Mamy czas do jutra, aby się tego dowiedzieć. Wyślę raport do Punktu Zero.

Wyjęła z kufra chronotelegraf, usiadła z dala od pozostałych i zaczęła stukać w klawisze. Błyski wyładowań na krystalicznej antenie oświetlały jej twarz.

– Jeżeli nikt nie ma nic przeciwko temu – oznajmił Nathan, wstając z wysiłkiem – to pójdę się na chwilę położyć.

Topaz, Yoyo i Jake odpowiedzieli jednocześnie:

– Tak, oczywiście. Doskonały pomysł. Daj znać, jeśli poczujesz się gorzej.

– Obudźcie mnie, kiedy zacznę łysieć – powiedział Nathan i po krótkim namyśle dodał: – Z drugiej strony może lepiej nie wiedzieć.

Począł do kajuty i rozciągnął się na swojej koi, troskliwie układając włosy po jednej stronie poduszki, jakby były chorym zwierzątkiem domowym.

Pozostała trójka siedziała w milczeniu. Jedynymi dźwiękami był stukot klawiszy chronotelegrafu i odległy szum fal bijących o skały.

Yoyo skuliła się w zwoju lin. Powieki bardzo już jej ciążyły.

– Może i ja trochę się zdrzemnę... – Ziewnęła i chwilę później spała jak suseł.

Jake i Topaz nie mogli się widzieć, oddzieleni masztem, ale świadomość wzajemnej bliskości nie dawała im spokoju. Słowa wypowiedziane przez Jake'a wciąż rozbrzmiewały mu w głowie: „Taka jesteś chętna do krytykowania. Ale nigdy nawet nie spróbujesz pomyśleć o tym, jak bardzo ranisz ludzi wokół siebie... Jak bardzo zraniłaś mnie”.

Nie zdawał sobie sprawy, że dusił w sobie tyle uczuć związanych z Topaz i dotyczących przeszłości. Byli przyjaciółmi, większą część minionego roku spędzili na wspólnych, szalonych wyprawach wokół wyspy. Dziwne, że wszystko wyszło z niego akurat teraz. Nie wiedział, czy powinien przeprosić, czy nie.

Po wodach zatoki poniosły się dźwięki mandoliny, układające się w powolną, wpadającą w ucho melodię. Jake rozejrzał się, próbując dostrzec, skąd dochodzi muzyka. Topaz zrobiła to



samo i ich spojrzenia się spotkały. Po drugiej stronie zatoki wypatrzyli sylwetkę człowieka, który siedział na dziobie statku i delikatnie szarpał struny instrumentu. Słuchali przez chwilę w milczeniu, aż Jake'a ogarnęła senność. Stłumił ziewnięcie.

– Idź, odpocznij trochę – powiedziała Topaz. – Mnie nie chce się spać. Zostanę na warcie.  
– W kąciку jej oka zaszklila się łza, którą szybko starła wierzchem dłoni.

Jake nie odpowiedział. Ziewnął jeszcze raz, nagle zdjęty przemożnym zmęczeniem. Spojrzał na Lazurytowego Węża, wodząc wzrokiem po krętych liniach wzoru. Potem ułożył się wygodniej i zapadł w sen z błękitnym kryształem w zaciśniętej dłoni.

Ocknął się gwałtownie tuż po świcie, z głową pełną obrazów – dziwnych łądów i pofałdowanych linii brzegowych. Usiadł i rozejrzał się wokół, potrząsając głową, aby pozbyć się pozostałości snu. Yoyo wciąż spała skulona między linami.

– Dzień dobry – powiedziała Topaz pogodnym tonem, wychodząc na pokład.

– Jak tam Nathan? – spytał Jake.

– Jeszcze się nie obudził. Ale oddycha tak jakoś... dziwnie. – Topaz zademonstrowała, wciągając powietrze w nienaturalnie urywany sposób. Napelniła kubek wodą z beczki. – Masz – powiedziała, wręczając go Jake'owi.

Jake pociągnął łyk, podnosząc Lazurytowego Węża, który upadł na pokład obok niego. Natychmiast przypomniał sobie swój sen, przebłęski map i wybrzeży. Wszystko to miało jakieś znaczenie, ale początkowo nie był pewien jakie. Trybiki jego umysłu nagle przeskoczyły o ząbek dalej.

– To mapa – mruknął, wpatrując się uważnie w kamień. – To jest mapa!

Topaz spojrzała na niego z niepokojem, jakby postradał zmysły. Ale Jake pobiegł do kufra, w którym trzymali papier do chronotelegrafu, i przyniósł węgiel do rysowania oraz czystą kartkę. Rozłożył ją płasko na pokładzie, położył błękitny walec na krawędzi i mocno dociskając kryształ, zaczął wałkować raz w jedną, raz w drugą stronę, aż na papierze pojawił się wytłoczony rysunek. Następnie wziął węgiel i zaczął delikatnie wcierać go w kartkę, dopóki nie zmateriałizował się na niej czarno-biały obraz. Podsunął go Topaz pod nos. Lazurytowy Wąż rzeczywiście „wydrukował” coś, co bardzo przypominało mapę. Zobaczyli poszarpaną linię brzegową, wzdłuż której ciągnął się archipelag wysp wszelkich kształtów i rozmiarów.

Jake złapał mapę, którą oglądali poprzedniego wieczoru, i porównał z nią rysunek.

– Tutaj! Patrz! – powiedział, wskazując na jej fragment. Idealnie pasował do mapy z kryształu. – A tu symbol ośmiornicy, znak Xi Xianga – powiedział. – Wskazuje to miejsce. Tutaj. To musi być ten „dom”, o którym mówił. Jego własna wyspa.

Topaz wyjęła mu z rąk oba kawałki papieru i porównała je, uświadamiając sobie, że Jake ma rację. Przyjrzała się wyspie, zwracając szczególną uwagę na współrzędne geograficzne.

– *C'est extraordinaire...* – westchnęła cicho. – *Partons tout de suite!*

– Ile czasu to zajmie?

– Osiem godzin. Siedem, jeśli się nam poszczęści.

Nie budząc pozostałych, podnieśli kotwicę. Jake spojrzał w niebo. Zapowiadał się skwar, ale nie było aż tak wilgotno jak poprzedniego dnia.

Ponieważ wiatr był słaby, nie mieli innego wyjścia, jak tylko uruchomić maszynę. Jake, który przejął ster, trzymał niskie obroty, żeby nie przyciągać uwagi hałasem. Na innych statkach wrzała krzątanina, a na brzegu rybacy szykowali sieci do połowu. Jake skierował „Groma” w stronę otwartego morza i tak jak poprzedniego dnia popłynęli wzdłuż wybrzeża, łapiąc w żagle poranną bryzę, kiedy tylko wyszli z zatoki. Ich misja nagle zyskała cel. Czy uda im się pokrzyżować plany Xi Xianga? Czy Filip jest na tej wyspie? Czy Jake ujrzy swojego brata, zanim skończy się dzień?

Wzięli kurs na południowy południowy wschód, celując w samo serce tropików. Brzeg wkrótce nabrał dzikiego wyglądu. Olbrzymie, puste plaże dziewiczego piasku ciągnęły się w nieskończoność u stóp zielonych wzgórz. Widzieli lasy palmowe i sięgające nieba zbocza purpurowych skał. Potem pojawiły się pierwsze wyspy – klejnoty osadzone w szafirowej gładzi morza. Wszystko to przywodziło na myśl raj.

Co pewien czas porównywali kształt wybrzeża na mapie z tym, co widzieli za burtą, aby określić swoją pozycję. Potem Jake zaglądał do Yoyo, a Topaz schodziła do Nathana, by chłodzić mu rozpalone czoło wilgotnym kompresem. Oboje przespali cały ranek i wciąż chrapiąc, wkroczyli w popołudnie.

Pierwsza obudziła się Yoyo. Otworzyła oczy i przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu, wpatrując się w horyzont. Potem usiadła, pomasaowała sobie głowę i zamrugła powiekami. Jake pomyślał, że wygląda już znacznie lepiej. Z jej policzków zniknęły czerwone plamy.

– Jake rozwiązał zagadkę – powiedziała jej Topaz i objasniła tajemnicę Lazurytowego Węża. – Płyniemy na wyspę Xi. Przed wieczorem będziemy na miejscu.

Nathan obudził się dopiero późnym popołudniem. Przyczłapał na pokład po schodkach, opatulony kocem, opierając się mocno na poręczy. Policzki miał rozpalone gorączką, całym ciałem wstrząsały dreszcze.

– Jak się czujesz? – spytali jednocześnie Jake, Topaz i Yoyo.

– Zimno mi – poskarżył się skrzekliwie. – Ale przecież nie jest zimno, prawda?

Jego towarzysze spojrzeli po sobie. Było prawie czterdzieści stopni.

– Dokąd płyniemy? – spytał, tocząc wzrokiem po tropikalnej scenerii.

Topaz opowiedziała mu o mapie wrytej na kryształ, ale Nathan z trudem nadażał za jej wyjaśnieniami. Oddychał ciężko i wciąż szczykał zębami.

– Dlaczego jest tak koszmarnie zimno? – wystękał.

– Musimy zabrać go do lekarza – powiedział Jake do dziewcząt przyciszonym głosem. Zapomniał o misji, teraz jego największą troską było zdrowie przyjaciela.

Topaz spojrzała na mapę.

– Tutaj jest port. Zhanjiang. Niedaleko naszego celu. Płyniemy najpierw tam, zgoda?

Jake i Yoyo skinęli głowami.

– Lekarzom nie można ufać – parsknął Nathan, usłyszawszy ich szepty. – Prędeż cię zabiją, niż uleczą. – Podszedł do nich niepewnym krokiem, przenosząc wzrok z twarzy na twarz, jakby miał kłopoty z ich rozpoznaniem. Staął i powiedział powoli: – Nie wiecie, że jestem komiczny?

Yoyo zawstydzona, pochyliła głowę szczerze żałując swoich słów.

– Słuchaj, Nathan, może jednak wrócisz do łóżka? – powiedziała cicho, wyciągając do niego rękę.

Odrzącił jej dłoń.

– Tobie też nie można ufać!

Nagle błysnął białkami oczu i ugięły się pod nim nogi. Ledwie zdążyli go złapać, nim upadł. Położyli go ostrożnie pod daszkiem. Topaz zwilżyła mu czoło chłodną wodą. Nathan zamrugnął powiekami, a potem zamknął je znowu.

– Kurs na Zhanjiang! Natychmiast! – zawołała Topaz do Jake'a.

Jake stał już przy sterze. Zakręcił kołem i zwiększył obroty maszyny, czując w żołądku ucisk lęku.

Dotarli na miejsce godzinę później. Yoyo wyjaśniła, że Zhanjiang było ważnym miastem w jedenastym wieku, za czasów dynastii Song, dzięki położeniu w głębokiej zatoce, stanowiącej naturalny, dobrze osłonięty port, jednak z czasem jego znaczenie zmalało. Było to zwarte miasto,

ściśnięte między wzgórzami a morzem, dziesięć razy spokojniejsze od Kantonu.

Słońce opuszczało się już nad horyzontem, kiedy zawinęli do głównego portu. Po drodze minęli szereg suchych doków, w których budowano statki – niektóre straszły nagimi drewnianymi szkieletami, inne były już prawie ukończone. Jeden z nich wyróżniał się wielkością – była to pięciomasztowa dżonka ze świeżego, jasnego drewna. Dostojnicy oglądający pękaty kadłub wydawali się przy nim maleńcy jak mrówki. Jake przypomniał sobie spotkanie w kantońskim pałacu Xi Xianga. Zastanawiał się, czy ci ludzie mogli brać w nim udział. Może był to jeden z okrętów wojennych, które zamówiła Fang? Jake podprowadził „Groma” do nabrzeża, gdzie zacumowali.

Nathan był ledwie przytomny i musieli we trójkę znieść go na ląd. Na nabrzeżu Topaz i Jake wzięli go pod rękę, a Yoyo podeszła do grupy pracujących nieopodal rybaków, by zasięgnąć języka.

– Medyk przyjmuje na końcu tamtej ulicy – powiedziała, wskazując kierunek.

Ulica biegła stromo pod górę. Jake przewiesił sobie nieprzytomnego Nathana przez plecy i zaczęli się wspinać.

Podczas gdy w wielonarodowym Kantonie agenci nie wyróżniali się w tłumie, tutaj wszędzie napotykali podejrzliwe spojrzenia mieszkańców. Klienci mijanej czajchany odwrócili się i patrzyli za nimi, mamrocząc półgłosem. Z ciemnego zaułka wyłonił się mężczyzna z siwą brodą i cienkim wąsem, który podreptał za nimi, wołając coś raz po raz. W wymiętej białej szacie i białej czapeczce wyglądał jak czarodziej, a Jake zauważył, że jedno oko ma jaśniejsze od drugiego. Mówiąc, grzechotał patyczkami w słoju ozdobionym malowanymi chińskimi znakami.

– Czego on chce? – sapnął Jake, czerwony z wysiłku.

– Chce nam powróżyć – wyjaśniła Yoyo, po czym przystanęła, by powiedzieć mężczyźnie, że nie potrzebują jego usług.

Wróżbita ominął ją i szybko zastąpił agentom drogę, mówiąc coś nieprzerwanie, potrząsając słojem z patykami i dotykając ich ubrań. Yoyo straciła cierpliwość i odepchnęła go na bok. Nagle głos mężczyzny zmienił się, nabierając takiej głębi i złowroźnej mocy, że Jake i Topaz zatrzymali się i odwrócili w jego stronę. Wróżbita powtórzył ostatnie zdanie, tym razem jego słowom towarzyszył gest – mężczyzna przeciągnął palcem po szyi.

– Co on mówi? – spytała zaniepokojona Topaz.

– Nic takiego... – Yoyo potrząsnęła głową, gestami ponaglając ich do marszu.

Wtedy mężczyzna przemówił po angielsku, drżącymi ustami ostrożnie formułując słowa:

– Jedno z was czeka śmierć.

Jake aż wstrzymał oddech z wrażenia. Yoyo przepędziła wróżbitę i cała grupa podjęła wędrowkę na szczyt wzgórza, gdzie natknęli się na prostopadłościenny budynek z drewnianych belek. W gasnącym świetle dnia dostrzegli afisz z wymalowanym czerwoną farbą symbolem.

Na szczęście lekarz okazał się przemiłym człowiekiem. Właśnie zbierał się do domu, ale kiedy ujrzał, w jakim stanie jest Nathan, kazał położyć go na drewnianym łóżku ustawionym na środku mrocznego pomieszczenia.

Założył okulary, po czym zapalił lampę i postawił ją obok pacjenta. Sprawdził mu puls w kilku różnych miejscach, pomacał szyję i obejrzał język. Podczas gdy badał Nathana, Yoyo mówiła do niego po chińsku, opowiadając o jadzie ośmiornicy.

Po pewnym czasie medyk wziął głęboki wdech i podszedł do półek na ścianie, zastawionych setkami słoików z różnymi substancjami. Wybrał kilka z nich, z każdego odsypał do miseczki kilka szczypt proszku, dolał wody i wszystko dokładnie wymieszał. Poprosił gości, aby podtrzymali Nathanowi głowę, po czym ostrożnie wlał mu miksturę do ust. Następnie zmierzył mu temperaturę. Zaczął mówić do Yoyo, a ona tłumaczyła.

– Mówi, że Nathan źle zareagował na jad. Trucizna sparaliżowała mu wnętrzności. Przez to ciężko mu oddychać.

Topaz ujęła dłoń brata i mocno uścisnęła.

– Wyjdzie z tego? Czy doktor może mu pomóc?

– Mówi, że gdybyśmy przyszli za godzinę, być może byłoby już za późno, ale spróbuj go z tego wyciągnąć.

Jake nie mógł przestać myśleć o przepowiedni wróżbity. „Jedno z was czeka śmierć”. Gdyby tylko poszukali pomocy wcześniej...

Wreszcie medyk zasugerował, aby zostawili go i pozwolili pracować w spokoju. Przyniósł więcej lamp i poustawiał butelki na stole.

– Topaz – powiedziała cicho Yoyo. – Pozwól mi zostać przy nim. Płyńcie na wyspę we dwoje. Mamy mało czasu.

W pierwszym odruchu Topaz chciała zaprotestować, ale wiedziała, że Yoyo ma rację. Ktoś musiał zostać, a ponieważ tylko ona mówiła po chińsku, mogła lepiej zająć się Nathanem.

– Obiecuję, że będę się nim dobrze opiekować – dodała Yoyo, ściskając dłoń Topaz.

Dziewczyna skinęła głową i otarła łzę, która zebrała się w kąciку jej oka. Nagle, ku zaskoczeniu Yoyo, Topaz ją uściskała.

– Pozostawimy „Groma” tam, gdzie jest – powiedziała. – Na wyspie szybko zauważyliby statek. Użyjemy szalupy i silnika doktora Chatterju. Zanim odpłyniemy, wyślemy chronotelegram do komendantki. – Ucałowała Nathana w czoło, szepnęła mu coś do ucha i wyszła z pokoju.

Jake spojrział na przyjaciela, czując gulę w gardle.

– Powodzenia, staruszku – powiedział, naśladowując charlestoński akcent Amerykanina. Wyjął prowizoryczną mapę odcisniętą z Lazurytowego Węża i wręczył ją Yoyo. – Jeśli nie wrócimy, wiesz, gdzie nas szukać – powiedział, zaciskając usta w niepewnym uśmiechu.

Nagle Yoyo zarzuciła mu rękę na szyję.

– Będę strasznie tęsknić – oświadczyła z pasją.

Jake skamieniał.

– C-cóż... uważaj na siebie, proszę – wyjąkał, po czym odkleił ją od siebie i pośpieszył za Topaz.

Yoyo podeszła do drzwi i popatrzyła za odchodzącymi. Czowała, że ogarniają ją mdłości.

Jake i Topaz pobiegli z powrotem na „Groma”. Topaz szybko nadała wiadomość dla komendantki Goethe, a Jake odwiązał i opuścił na wodę szalupę wiosłową, wcześniej wkładając do niej skrzynkę z silnikiem doktora Chatterju.

Topaz schowała chronotelegraf, a potem wybrała trochę broni – rewolwerową kuszę, którą dostali od Chatterju, kuszę tradycyjną, miecze i sztylety – i wrzuciła do worka. Spakowała też trochę chleba, sera i butelkę piwa imbirowego na drogę.

– A co z miotaczem? – spytał Jake. – Bierzemy?

Topaz spróbowała podnieść metalową rurę.

– Waży chyba więcej niż ja – stęknęła, poddając się. – Nie, jeszcze nas zatopi.

Zakryła smoczy łeb kocem, po czym oboje zeszli po drabince na łódź. Ująwszy po jednym wiosle, popłynęli w stronę morza, oddalając się od świateł Zhanjiang. Kiedy wydostali się z zatoki, Jake zmontował silnik, przypominając sobie, jak silnik, rumpel i śruba łączyły się w jeden pomysłowy mechanizm, przełożył go za rufę szalupy i przytwierdził do niej zaciskami. Szarpnął za sznurek. Silnik kichnął dwa razy i umilkł. Po kilku próbach nareszcie zaskoczył. Jake ujął rumpel, uruchomił śrubę i szalupa pomknęła przez ciemne morze.

Noc była już blisko.

## 20

# Schody w głębinie

Kierowali się mapą, za pomocą gwiazd utrzymując kurs na południe. Tropikalna bryza bawiła się ich włosami. Niewyraźna linia bieli znaczyła ich drogę na gładkiej tafli morza. Było ciepło i pogodnie. Wkrótce nad horyzontem wstał księżyc, barwiąc wodę ultramaryną, głęboką jak czysty lazuryt.

Jake zerknął na Topaz. Milczała, skupiając wzrok na morzu przed sobą. Słowa, które padły w złotej pagodzie, wciąż nie zostały omówione, ale dla Jake'a nie miało to teraz znaczenia. Liczyło się to, że mógł z nią być sam na sam.

Ogarnęło go wzruszenie. Nagle pomyślał o Londynie, o tym, jak żył, zanim spotkał strażników historii, o monotonii szkoły, szarych zimach i bezcelowych latach. Zastanawiał się, co robiłby tam teraz (gdziekolwiek owo teraz się znajdowało)... Ślęczałby nad algebrą? Pisał wypracowanie o rozwoju miast?

Zamiast tego był w Chinach, w czasach dynastii Ming, żeglując przez tropikalne morze z niesamowitą dziewczyną u boku – dwoje podróżników z dwóch różnych epok na wspólnej wyprawie, superważnej misji mającej ocalić materię przeszłości. Jasne, nie unikną niebezpieczeństw, ale cóż to za piękna przygoda!

– Jake? – powiedziała cicho Topaz. – Muszę ci coś powiedzieć.

Przygotował się wewnętrznie, przekonany, że będą rozmawiać o swojej kłótni, ale...

– Chodzi o Filipa. O to, gdzie teraz jest.

Jake poczuł ucisk w żołądku.

– Co z Filipem?

– Dobrze ponad rok temu komendantka odebrała chronotelegram przesłany przez nieznanego nadawcę. Podejrzewała, że był nim Filip.

Jake spojrzał w oczy koloru indygo.

– Co było w wiadomości?

– Nie było słów. Wiadomość zawierała tylko cztery liczby. Komendantka uznała, że to współrzędne. Wiesz, kiedy ktoś chce wskazać dokładne miejsce w przeszłości, podaje długość geograficzną, szerokość i datę. W tej kolejności. Chronotelegram mógł być wezwaniem pomocy.

Zapadła cisza, którą burzył tylko terkot silnika. Jake poczuł się zdradzony.

– I nikt nie pomyślał, żeby mi o tym powiedzieć?

– Nie było dowodu, a komendantka nie chciała dawać ci fałszywej nadziei.

– Ale te współrzędne... były niekompletne? To próbujesz powiedzieć?

Topaz uniosła mapę Morza Południowochińskiego.

– Bo widzisz, długość geograficzna wyspy, na którą płyniemy... jest dokładnie ta sama.

– Czyli Filip może tam być, tak?

– *C'est possible*. – Topaz wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni. – Ale oczywiście musisz przygotować się na... na możliwość, że... – Nie musiała kończyć zdania.

– Czy mógłbym się napić, proszę?

Topaz otworzyła butelkę z piwem imbirowym i podała Jake'owi. Napił się i oddał jej butelkę. Potem podzielili się prowiantem i zjedli w milczeniu.

Zbliżali się do grupy wysp. Topaz przyjrzała się im uważnie, porównując z konturami na

mapie.

– Już niedaleko – powiedziała. Wstała, by lepiej widzieć. – To tamta, najdalsza.

Niedługo później Jake wyłączył silnik i znów zasiedli do wiosła. Jeszcze nigdy nie widział tak spokojnego morza.

– Oto ona – powiedział. Teraz on również wstał, aby obejrzeć dokładniej cel ich podróży.

– Wyspa Xi Xianga.

Przestali wiosłować. Wyspa wynurzała się z morza skalistym stożkiem o ostrym, lekko zakrzywionym wierzchołku – wyglądała niczym kapelusz wiedźmy. Na tle księżycy wydawała się czarna jak węgiel. Wokół niej rozciągało się bezkresne morze.

– Jest jak Punkt Zero – stwierdziła Topaz. – Albo raczej jak jego wredny kuzyn.

Wyspa wydawała się upiorna i nieprzyjazna.

Powiosłowali dalej i przestali dopiero kilkaset metrów od brzegu.

– Zostawmy łódź tutaj – zaproponowała Topaz, wskazując na wystającą z wody stertę pokruszonych skał. – Resztę drogi musimy pokonać w pław, jeśli nie chcemy zostać zauważeni. Zgoda?

Jake skinął głową i przywiązał linę do sterczącego z wody kamiennego palca. Potem zdjęli buty, spakowali je wraz z bronią do worka, który Jake zawiesił sobie na ramieniu, i opuścili się do wody. Była ciepła jak zupa.

Popłynęli w stronę wyspy. Nie było na niej widać żadnych oznak życia ani śladu zieleni, tylko postrzępione skały wznoszące się ku zakrzywionemu szczytowi. Jake zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnili błędu w interpretacji kryształowej mapy, ale nie podzielił się z Topaz swoimi wątpliwościami.

Niespodziewanie morze, do tej pory gładkie jak stół, zaczęło falować. Jake zakrztusił się słoną wodą.

– Coś się zbliża – powiedziała Topaz, czując wibracje w wodzie.

Odwrócili się, ale horyzont za nimi był czysty. Mimo to fale rosły, bijąc z pluskiem o skalisty brzeg przed nimi.

Nagle ujrzeli podłużny kształt wyłaniający się spod wody. Zaśnił metalicznie. Jake rozpoznał go natychmiast.

– To łódź podwodna Xi! – krzyknął do Topaz, która płynęła w pewnej odległości przed nim.

Poprzednio widział ją znikającą w wodach Tamizy pod Mostem Londyńskim. Teraz wynurzała się szybko, płynąc prosto na nich.

– Uciekaj! – krzyknął Jake i rzucił się w bok, próbując zejść jej z drogi.

Od strony wyspy dobiegł ich głęboki metaliczny zgrzyt. Skalną ścianę przed nimi przecięła pionowa szczelina – sekretne przejście. Kamienne wrota rozchyliły się z łoskotem, odsłaniając gigantyczną pieczarę. Jarzyła się miękkim światłem, które błysnęło refleksami na obłym kadłubie okrętu. Jake szaleńczo młócił wodę rękami, ale odkosy dziobowe stalowego kolosa porwały go i wcisnęły pod powierzchnię.

Wynurzył się, oszołomiony, kaszląc i parskając. Topaz wołała coś do niego, ale nie mógł zrozumieć słów. Nagle zobaczył, że wskazuje na wielkie wrota – zamykały się. Jake czym prędzej popłynął za Topaz w stronę zwężającej się szczeliny. Olbrzymie skrzydła powoli zbliżały się ku sobie wśród przeciągłych zgrzytów i jęków żelaznych zawiasów ukrytych za skalną fasadą. Jake przyspieszył i wpływając w otwór, poczuł, że ociera się o wrota. Już miały przeciąć go na pół, kiedy Topaz chwyciła go za rękę i przeciągnęła na drugą stronę tuż przed tym, jak zawarły się z głuchym łoskotem.

Oboje zaczerpnęli tchu i zanurkowali. Popłynęli pod wodą wzdłuż skalnej ściany, a po

kilku chwilach wynurzyli głowy, by zorientować się w swoim położeniu. Znajdowali się w podziemnej, skąpo oświetlonej przystani. Ściany pieczary wznosiły się stromo, zbiegając ku sobie, by spotkać się w mroku wysoko ponad ich głowami.

Przed nimi łódź podwodna Xi przybijała do pomostu cumowniczego. Jej poszycie wykonane z lśniących stalowych płyt ozdobił symbol krwistoczerwonej ośmiornicy. Z metalicznym zgrzytem otworzył się wielki właz i zaczęli wychodzić zeń ludzie – czterej żołnierze, którzy szybko przywiązali cumy i ustawili się na pomoście. Stanęli na baczność, chwiejąc się, wyraźnie chorzy. Z nabiegłymi krwią oczami wyglądali tak jak wcześniej Nathan. Jeden z nich ledwo trzymał się na nogach.

Następna wyszła madame Fang, tryskająca wigorem bardziej niż kiedykolwiek, w srebrnym kirysie, z siwymi włosami upiętymi w zwarty kok. Mimo władczej postawy skłoniła się przed ostatnią osobą, jaka wyłoniła się z włazu.

Choć ze swojego miejsca nie mógł dostrzec twarzy, Jake wiedział, że to Xi Xiang. Ubrany w pełny pancerz wykonany z powiązanych spiżowych płyt, na ramionach miał olbrzymie złote epolety. Kita długich, złotych włosów opadała z czubka szpiczastego hełmu, który zdjął, podobnie jak rękawice kolcze. Rozejrzał się po przystani. Dwoje zdrowych oczu patrzyło w jedną stronę, trzecie, zdeformowane, lypało w inną. Przyprószona różem twarz zatraciła gdzieś swój łobuzerski wyraz, zastąpiony teraz marsową miną. Xi Xiang odwrócił się nagle i grzechocząc zbroją, zniknął w przejściu na końcu pomostu, rozjarzonym światłem, które Jake i Topaz widzieli z zewnątrz. Jego niania ruszyła za nim. W tej samej chwili jeden z żołnierzy padł na kolana i zwymiotował. Fang obejrzała się i krzyknęła na pozostałych, którzy wzięli go pod rękę i powlekli za nią. Mała przystań znów opustoszała.

Jake obejrzał się na wrota, przez które przedostali się do środka. Przemknęło mu przez głowę, że być może powinni uciekać z tego miejsca, zanim będzie za późno, wiedział jednak, że odwrót nie wchodzi w grę. Jeżeli Filip jest gdzieś na tej wyspie, stanowi to wystarczający powód, by zostać.

– W porządku? – spytała Topaz.

Skinął głową.

– Ruszajmy.

Wygramolili się z wody, przypasali miecze i wkroczyli do sklepionego przejścia, za którym znaleźli schody prowadzące w dół, w głąb ziemi. Pobiegli po stopniach jasno oświetlonych blaskiem gazowych lamp, aż dotarli do obszernej komory. Jej ściany były ozdobione freskami przedstawiającymi sceny z historii Chin – armie przepływające przez rzeki, wspinające się na góry i karczujące lasy. Na każdym malowidle żołnierzy prowadził przywódca w zdobnej cesarskiej szacie.

– To Qin Shi Huang, pierwszy cesarz – szepnęła podekscytowana Topaz. – Spójrz na daty. – Wskazała na cyfry umieszczone w rogu każdego malowidła. – Dwieście jedenasty rok przed naszą erą. Rok przed jego śmiercią.

– To ten cesarz, który kazał się pochować z armią glinianych żołnierzy? Pierwszy właściciel Lazurytowego Węża? – spytał Jake.

Ale Topaz patrzyła już na coś innego.

– *Ce... ce n'est pas possible* – wyjąkała.

Wyciągnęła dłoń w stronę końca komory, skąd kolejne, o wiele wspanialsze schody opuszczały się spiralną wstęgą złożoną z szerokich odcinków, połączonych poziomymi podestami.

– Wchodzą prosto... do morza – powiedział Jake, wstrząśnięty.

Były to najbardziej spektakularne schody, jakie kiedykolwiek widział. Biegły wewnątrz

obszernego tunelu, którego romboidalne okna wpuszczały do wnętrza przyćmioną, błękitną poświatę. Zszedł kilka stopni w dół, aby wyrzeć przez jedno z okien, i zobaczył podmorski krajobraz, a daleko na samym dnie... pałac!

Zapadła już noc, ale ogromny budynek rozświetlał okolicę miękkim blaskiem, promieniejącym z jego licznych okien. Jake powiódł wzrokiem wzdłuż tunelu ze schodami, który niczym ogromny wąż otaczał podstawę góry. Pałac był jednocześnie majestatyczny i złowrogi, zbudowany w orientalnym stylu, okryty wielopoziomowymi dachami o podwiniętych ku górze narożach. Otaczały go liczne mniejsze budynki, połączone siecią biegnących po dnie tuneli. Były tam nawet podmorskie ogrody, falujące kępami ogromnych wodorostów. Ale najbardziej uderzający był kolor budynku, połyskliwe błękitny, jakby miliony przykrywających go dachówek wykonano z lazurytu.

Nagle na Jake'a spłynęło olśnienie.

– Lazurytowy Wąż – powiedział cicho. – To on. Wielki klejnot cesarza!

Topaz westchnęła z zachwytu.

Odkąd zaciągnął się do Straży Historii, Jake widział już rozmaite tajne schody. Podczas jego pierwszej wizyty w londyńskim biurze spiralna wstęga stopni zaprowadziła go do podziemi pod Monumentem. Ukryte schody znajdowały się pod laboratorium Zeldta w Wenecji, a kolejne pod Forum Romanum w starożytnym Rzymie. Ale te – pomyślał Jake – były jak dotąd najbardziej niezwykłe ze wszystkich.

W połowie drogi na dół, daleko przed sobą, ujrzeni nagle żołnierza w starożytnej zbroi. Potem, w miarę jak zakręcił odsłaniał przed nimi kolejne odcinki tunelu, pojawiali się następni... Jake i Topaz zatrzymali się i dobyli mieczy.

– Strażnicy z łodzi? – wyszeptał Jake.

Topaz potrząsnęła głową.

– To chyba posągi.

Ostrożnie wyjrzała za zakręt tunelu. Postacie trwały w absolutnym bezruchu. Topaz odbezpieczyła rewolwerową kuszę i posłała bełt w stronę najbliższego żołnierza. Pocisk odbił się od niego z metalicznym brzękiem i upadł na schody.

Topaz i Jake podeszli, aby przyjrzeć się figurom. Na podeście stało sześć niezwykle realistycznych posągów. Wojownicy byli uzbrojeni i stali w naturalnych pozach, jakby gawędzili ze sobą, jednocześnie mając oko na intruzów. Jake i Topaz okrążyli ich i ruszyli dalej w dół schodów. Rosnące ciśnienie uciskało bębenki i musieli co chwila przełykać ślinę, aby odetkać uszy.

Wreszcie, u stóp schodów, dotarli do sklepionego holu otoczonego drzwiami – wszystkie były zamknięte z wyjątkiem wielkich wrót na środku. Te prowadziły do obszernej sali. Zbliżając się do nich, Jake i Topaz ujrzeni cztery martwe ciała, leżące na posadzce tuż za progiem. Byli to żołnierze z łodzi podwodnej.

Jake nie zauważył tego od razu – było dość ciemno, a zwłoki leżały w stercie, zwalone jedno na drugie – ale mężczyźni nie mieli wcale głów.



# 21

## Kraniec mórz

Zamarli, wpatrując się ze zgrozą w zdekapitowane ciała. Jake odruchowo obejrzał się na schody, znów opierając się nagłej chęćcie ucieczki.

Topaz zajrzała za próg.

– Kolejne posągi. Całe tuziny – szepnęła.

Trzymając rewolwerową kuszę w jednej ręce, drugą dobyła miecza i weszła do środka. Jake poszedł w jej ślady.

– Co to za miejsce? – mruknął.

Znaleźli się w wysoko sklepionej, okrągłej komnacie, wypełnionej kamiennymi ludźmi naturalnej wielkości. Ich szklane oczy połyskiwały jak żywe. Jedna grupa tłoczyła się na niskim podeście, jakby debatując nad czymś ukradkiem, ze wzrokiem utkwionym w punkcie na środku sali. Po drugiej stronie, za długim stołem, siedziało dwunastu mężczyzn o surowych obliczach, patrzących prosto przed siebie. Pomiędzy tymi dwiema grupami, na podwyższeniu, siedział mężczyzna w dostojnych szatach, znacznie okazalszych niż odzienie pozostałych. On także wpatrywał się posępnie w centralny punkt komnaty.

– To sąd – powiedziała Topaz. – Rozprawa.

Wyciągnęła palec, wskazując kolejno na grupy posągów.

– Publiczność, ławnicy, sędzia. W jednej z książek od Yoyo czytałam, że w chińskiej mitologii, kiedy ktoś umiera, trafia przed sąd piekielny. Jeśli jego grzechy nie mogą zostać wybaczone, ponosi karę.

Wskazała na freski po obu stronach sędziego. Na jednym z nich ścinano zmarłych, na drugim zmuszano ich do wspinania się na drzewa wykonane z ostrzy, które wbijały im się w dłonie i stopy.

Oniemiały z wrażenia Jake ruszył na palcach wokół komnaty. Zajrzał w granitową twarz sędziemu, a potem cicho przekradł się obok grupy widzów. Realizm posągów był oszałamiający. Oto zgrzybiały starzec nadstawiał ucha, jakby miał kłopoty ze słuchem. Młoda dziewczyna obok niego rozchyłała usta w zaczątku uśmiechu. Przysadzista kobieta nieopodal wyglądała na wystraszoną, zaś stojący przy niej mężczyzna miał na twarzy szyderczy uśmieszek. Nieco dalej kolejny mężczyzna skrywał twarz w dłoniach. Jake'owi przyszło do głowy, że w jego złotych epoletach jest coś znajomego.

Posąg opuścił dłonie i wydał z siebie piskliwy rechot.

Xi Xiang!

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Jake uniósł kuszę i wystrzelił. Xi przypadł do ziemi i bełt stuknął w ścianę. Xi Xiang na czworakach czmychnął między posągi. Topaz obróciła się gwałtownie, posyłając za nim wszystkie pociski, jakie pozostały w bębenku jej kuszy, ale jedynymi trafionymi były kamienne figury.

Nie wiedząc, jakie niespodzianki mogą ich jeszcze czekać, Topaz i Jake rzucili się do ucieczki, ale w otwartych wrotach stanął błądy, półnagi olbrzym, uzbrojony w skrzwawione maczety. Zahamowali z poślizgiem i popędzili w przeciwną stronę, a wtedy spod stropu opadła na nich sieć, która natychmiast zacisnęła się pod nimi i poderwała w górę tak szybko, że grzmotnęli głowami w marmurową posadzkę. Zadyndali nad podłogą, schwytni niczym dzikie bestie. Unieruchomieni, z przyciśniętymi do ciał rękami, nie byli w stanie unieść mieczy, aby się

obronić.

Xi odebrał wielkiemu mężczyźnie maczetę i wsunął ją przez sieć, kalecząc Jake'a pod brodą. Po ostrzu popłynęła strużka świeżej krwi.

– Zabierz im broń – rozkazał.

Olbrzym postąpił naprzód, machnięciem maczety wyciął otwór w sieci i wsunął rękę między jeńców. Jake odwrócił głowę, uciekając od jego cuchnącego oddechu. Cała broń została im odebrana, z wyjątkiem jednego grotu ze złamanego bełtu, który Jake zdołał ukryć w dłoni.

Wtedy Jake dostrzegł madame Fang. Stała za podwyższeniem sędziego, czekając, aż Xi skończy poprawiać szminkę na wargach. Jake rzucił mu nienawistne spojrzenie, zaciskając zęby i dysząc z wściekłości.

– No dobrze... – Xi klasnął w dłonie, doprowadziwszy się nareszcie do porządku. – Witam w sekretnym pałacu naszego pierwszego wielkiego cesarza. Jeżeli ktoś miałby jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, że Chińczycy są najgenialniejszym narodem w historii, powinien przyjść tutaj. – Wyciągnął dłoń przed siebie i powiódł nią wokół. – Liczy sobie tysiąc osiemset lat, zbudowany pod wodą, i wciąż świetnie się trzyma, jakby wzniesiono go zaledwie wczoraj! – Podeszedł do wolno kołyszącej się sieci i wyszczerzył zęby do Topaz. – Z ciebie jest całkiem sprytna dziewczynka, nieprawdaż? Nie to co ten półgłówek obok ciebie. Wiedziałaś, że to Qin zbudował ten pałac?

Topaz milczała.

– Pół miliona ludzi straciło życie podczas jego budowy. Niektórzy zmiażdżeni ciśnieniem. Oczy wtłoczone w głąb czaszki... Doprawdy, rozkoszny widok! No i cóż znaczy życie pół miliona niewolników, kiedy rezultatem jest taki splendor!

Jake szarpnął się bezskutecznie w linach.

– Jestem pełen podziwu dla wielkiego Qin – mówił dalej Xi. – Dlatego do dziś pielęgnuję jego tradycje. – Spojrzał na bezgłowe zwłoki żołnierzy. – Zwyczajnym śmiertelnikom nie wolno tu wchodzić. Wprawdzie ci czterej panowie byli tak uprzejmi, że dostarczyli mnie tutaj... Nie, nie! Co by było, gdyby powiedzieli komuś o pałacu? Stanowimy tu zwartą grupę: niania, ja oraz nasz zaufany eunuch, rzecz jasna. – Xi czule poklepał olbrzyma po ramieniu, a potem przybliżył się do jeńców i konfidencjonalnie wyszeptał: – To mój oprawca, ale nie oczekujcie zbyt wiele w kwestii zdolności konwersacyjnych. Obciążę mu język! – zapał, jakby powiedział niesłychanie zabawny żart. – Tak, jest nas tu tylko troje. No i dziesięć tysięcy posągów, rzecz jasna.

Xi uniósł miecz i przeciął linę, która podtrzymywała sieć z jeńcami. Jake i Topaz upadli na posadzkę.

– Weź ich – rzucił do olbrzyma, po czym podeszedł do drzwi naprzeciwko głównych wrót, otworzył je zamasyście i wymaszerował z komnaty.

Fang ruszyła za nim w głąb szerokiego, okazałego korytarza.

Eunuch złapał sieć i powłókł ją po posadzce w ślad za swoim panem. Ciągnął więźniów niedbałymi szarpnięciami, objając ich głowy o ściany i futryny. Nagle, jak za sprawą magii, korytarz zajaśniał światłem bijącym z przypominających muszle kinkietów, których niekończący się szereg ciągnął się wzdłuż ściany.

Jake starał się rozglądać, czujnie szukając czegokolwiek, co mogłoby podpowiedzieć mu, gdzie szukać Filipa.

Mijali setki kamiennych posągów, każdy inny, cały cesarski dwór. Kamienni żołnierze strzegli każdego wejścia, dwórki i paziowie śpieszyli, zajęci swoimi obowiązkami, zastygli w bezruchu. Minęli salę, gdzie cesarzowa i jej damy dworu stroiły się przy pomocy pokojówek; w innej zobaczyli ludzi zastygłych w tańcu.

W końcu dotarli do przejścia, za którym biegnące w dół krótkie schody prowadziły do największej z sal, które dotychczas widzieli. Xi czekał na dole.

– Qin zbudował ten pałac, aby zapanować nad morzami, tak jak panował nad lądem – powiedział z błyskiem w oku i oblizał wargi. – Ale ja poradzę sobie z tym o wiele lepiej!

Eunuch ściągnął więźniów ze schodów – łup! łup! łup! – a Fang zamknęła za nimi drzwi.

– Gdzie on jest? No, gdzie moje maleństwo? – zaszczębiotał Xi, odwracając się.

Podszedł do ogromnego szklanego akwarium na środku komnaty i wyjął z niego ośmiornicę. Owinął nią sobie szyję niczym szalem, pozwalając, by macki pełzały mu po twarzy.

– Tęskniłeś za mną, prawda? Co takiego? Twoja siostrzyczka? Następnym razem przywiozę ją ze sobą z Londynu, obiecuję! Uważaj, rozmażesz tatusiowi makijaż – mruczał, podczas gdy zwierzę ocierało mu się o usta. Uniósł je i ucałował w papuzi dziób zamykający otwór gębowy, po czym włożył z powrotem do akwarium. Odwrócił się i podszedł do swoich więźniów. – Stwórzmy sobie ciut lepsze warunki do rozmowy – powiedział, po czym wyjął nóż i rozciął sieć.

Jake i Topaz wysypali się na posadzkę.

– Jeśli spróbujecie uciec, zjedzą was rybki. To bardzo proste! – Klasnął w dłonie z uciechy i wykonał piruet. – No więc, jak się wam podoba moje gniazdko?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Xi kopnął leżącego Jake'a w żołądek.

– Wstawaj, strażniku historii! – zasyczał.

Jake dźwignął się na nogi, z oczami płonącymi furją, wciąż ściskając w dłoni odłamany grot. Topaz stanęła obok niego. Eunuch nie spuszczał z nich oka, przebierając palcami na rękojęściach maczet.

Rozejrzeli się wokół. Komnata była czymś w rodzaju sali dowodzenia. Przed nimi cztery gigantyczne okna, zamknięte od góry łukami, wychodziły na mroczny podmorski pejzaż. Jedną ze ścian niemal w całości zajmowało ogromne antyczne zwierciadło, sięgające od posadzki do stropu, ujęte w ramę rzeźbioną w wijące się morskie stwory. Przed lustrem stał rząd umocowanych do podłogi klatek. Były puste i wyglądały jak wyciągnięte ze średniowiecznej izby tortur.

Akwarium z ośmiornicą było płytkie, ale miało szerokość i długość niewielkiego basenu. Kamienne wyspy, uformowane w kontury kontynentów – Azji, Afryki, Europy, obu Ameryk – wyrastały z wody na środku zbiornika. Była to mapa świata. Na wodzie podskakiwały setki maleńkich galeonów – miniaturowe repliki żaglowców, posiadające maszty, żagle i kompletne olinowanie. Niektóre wypadły z akwarium na podłogę i leżały zmiażdżone, jakby rozdeptane nieuważną stopą.

Pomiędzy akwarium a czterema oknami stał kolejny tron, tak gęsto wysadzany klejnotami, że wyglądał jak powiększona zabawka. Tuż obok znajdował się pulpit sterowania, zaopatrzony w liczne dźwignie i pokrętła. Jake zamarł na chwilę, kiedy ujrzął leżący na nim, jakby pozostawiony przez zapomnienie, złoty rewolwer. Była to druga broń ze szkicu Filipa, dokładnie taka jak na rysunku – uformowana w wijące się ciało smoka, z długą wysmukłą lufą.

– Może rozświetlimy morze? – wyszczerzył się Xi i przerzucił jedną z dźwigni na pulpicie.

Potężne reflektory zaczęły włączać się jeden po drugim, rozświetlając dno oceanu na wiele kilometrów w dal i ożywiając podmorszy pejzaż. Świat za wielkimi oknami rozbłysnął kolorami – szmaragdem, korałem i ametystem – i roziskrzył się zygzakującymi ławicami ryb.

– Pomysłowe, nieprawdaż? Światło i ogrzewanie zapewniają nam podmorskie złoża gazu ziemnego. Za chwilę niania uraczy nas małym przedstawieniem. Bohaterem będzie jeden z tych tutaj – powiedział, wskazując na modele statków w akwarium. Przeszedł na drugą stronę sali. –

A tu za wami jest zwierciadło Qina. Świat nie ma pojęcia, że lustro to także jego wynalazek. Ci prostacy, Rzymianie, zawsze rościli sobie do niego prawo. No, przejrzyj się! – Złapał Jake'a za ramiona i gwałtownie obrócił w stronę zwierciadła, a potem przysunął usta do jego ucha i wyszeptał: – Mówią, że człowiek widzi w nim swoją przeszłość. – Pchnął Jake'a na lustro i przycisnął mu twarz do szyby. – Powiedz, co tam widzisz, nieokrzesany chłopcze. Swoje banalne życie? Udrękę swojej smutnej historii? – Trzecie oko mrugnęło powoli do Jake'a. Xi przyciszył głos jeszcze bardziej i zasyczał, strzelając językiem spomiędzy zębów na podobieństwo jaszczurki: – Czy widzisz tam swojego braciszka?

Jake zamachnął się i ułamanym grotem ugodził swojego oprawcę w szyję. Xi krzyknął, a Jake uderzył jeszcze raz, celując w zdeformowane oko. Tym razem Xi uchylił się i zdołał kopnąć przeciwnika między nogi. Jednocześnie olbrzym złapał chłopca za szyję swoimi wielkimi, pulchnymi palcami, a madame Fang przyłożyła Topaz nóż do gardła.

Xi zaczął kopać Jake'a z furją, raz za razem, stękając ze złości.

– Do klatki z nimi! – krzyknął wreszcie, zrzucając swoją pancerną tunikę i badając palcami ranę.

Jake'a i Topaz wepchnięto do oddzielnych klatek.

– Nianiu, już czas – powiedział Xi, strzelając palcami.

Jake'owi zamarło serce. Przygotował się na najgorsze, ale Fang tylko skinęła głową, wbiegła na schody, otworzyła drzwi i wyszła.

Xi wrócił do akwarium, wygarnął z niego ośmiornicę i zasiadł na tronie nadąsany, podczas gdy jego ulubieniec wodził mu mackami po twarzy. Z czasem uspokoił się trochę, przestał sapać i zapadł się głębiej w fotelu.

Kwadrans upłynął w ciszy. Xi wpatrywał się beznamiętnie w toń za wielkimi oknami. Nagle pochylił się do przodu.

– Oto i ona! – oznajmił.

Okna pociemniały. Olbrzymi kształt przesunął się za nimi, całkowicie zasłaniając widok. Jake dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, co to jest – olbrzymia ośmiornica. Jajowate ciało jarzyło się światłem, osiem macek falowało nieśpiesznie, podczas gdy przepływała obok pałacu. Jake potrząsnął głową, nie wierząc własnym oczom. Jak Xi mógł zapanować nad taką bestią? To wymykało się jakiegokolwiek logice. Wtem ujrzał, że bestia jest maszyną wykutą ze stali. Macki składały się z metalowych segmentów połączonych przegubowo i otaczających promieniście przeszkloną kabinę.

– Czyż niania nie jest najsprytniejszą dziewczynką na świecie – zapiszczał Xi w podnieceniu, podskakując na siedzeniu i machając do sternika tkwiącego w brzuchu mechanicznego potwora. Mała ośmiorniczka na jego kolanach zwinęła i rozwinęła macki, jakby przytakiwała.

Stalowy kolos podpłynął bliżej, wypełniając swoją sylwetką wszystkie cztery okna. Cień madame Fang pozdrowił gestem jej władcy, po czym maszyna zawróciła majestatycznie i odpłynęła, biorąc kurs na południe, w stronę oceanicznych głębin.

– Przyciemnić światła – rozkazał Xi.

Niemy olbrzym obrócił pokrętło i lampy wokół komnaty przygasły. W półmroku podwodny pejzaż nabrał wyrazistości. W oddali widać było kadłub statku płynącego do Chin. Ośmiornica Fang płynęła w jego stronę, powoli zbliżając się do powierzchni.

Jake i Topaz patrzyli, jak dwa kształty schodzą się razem i macki ośmiornicy obejmują statek. Przez pewien czas oba poruszały się zespolone, po czym znów się rozdzieliły, a niszczyciel wycofał się, zwijając macki.

Statek szedł na dno, obracając się powoli na bok, z trzema żaglami falującymi jak szata

upiora. Małe kształty odrywały się od tonącej jednostki, by zawisnąć w toni, i Jake uświadomił sobie, że to ludzie. Z daleka dzieło zniszczenia wydawało się odrealnione, niemal poetyczne, ale on mógł wyobrazić sobie krzyki przerażonych marynarzy, wsysanych pod wodę przez potężny wir. Wreszcie statek uderzył w dno, przełamując się bezgłośnie na pół. Mechaniczna ośmiornica zawisała na chwilę nad swoją zdobyczą, po czym zawróciła i popłynęła w stronę pałacu.

Topaz, która dotąd obserwowała widowisko osłupiała ze zgrozy, zaczęła mamrotać przekleństwa, szarpiąc prętami klatki w bezsilnej furii.

– Vous êtes le diable. Vous allez souffrir d'une mort inimaginable.

Xi nie słuchał. Zaklaskał chudymi dłońmi z uciechy i odtańczył walca wokół pokoju, trzymając w ramionach swoją ośmiorniczkę. Potem podbiegł do okna, gdzie chichocząc i mówiąc do siebie, patrzył na powrót potwora. Kiedy maszyna podpłynęła bliżej, Jake ujrzał ciało nabite na jedną z macek – marynarza z zatopionego statku, z ustami otwartymi w niemym krzyku i nieruchomymi oczami.

Bestia skierowała się w stronę stacji cumowniczej z boku pałacu. Po kilku minutach dał się słyszeć odległy zgrzyt metalu, a po kolejnej dłuższej przerwie za drzwiami rozległy się kroki i Fang weszła do komnaty.

Xi padł na kolana i ucałował jej dłoń.

– Nikt nie morduje tak jak niania!

Podszedł do akwarium, wpuścił ośmiorniczkę do południowego Pacyfiku, po czym w skupieniu powiódł palcem nad miniaturową flotą, wypatrując konkretnej jednostki. Wreszcie znalazł. Wyjął statek z wody, rzucił na podłogę i zmiażdżył obcasem. Model chrupnął jak rozgniatany chrząszcz, a Xi zaniósł się skrzekliwym śmiechem.

Jake spojrzął na pozostałe rozdeptane makiety – było ich co najmniej dziesięć – i zdał sobie sprawę, że wszystkie są statkami, które Xi Xiang posłał na dno. Już samo to było wystarczająco przerażające, ale w akwarium pływała jeszcze setka kolejnych żaglowców.

Wielki plan Xiang był oczywisty. Zbrodniarz miał podwodny pałac pod najruchliwszymi szlakami żeglugowymi, jakie znał świat. Przez ten rejon Morza Południowochińskiego w siedemnastym wieku przepływały tysiące statków krążących niestrudzenie między Europą, Azją i Nowym Światem – statków z Wielkiej Brytanii, Holandii, Hiszpanii, Arabii, Indonezji, Indii, Japonii, Brazylii i setek innych krajów. Losy całego świata, obecnego i przyszłego, zależały od tego nieustającego ruchu.

Topaz pokręciła głową.

– Chcesz zatopić je wszystkie? – powiedziała, patrząc na akwarium. – *C'est ça?*

Xi zachichotał.

– Z przyjemnością posłałbym je na dno co do jednego, ale to raczej nie będzie konieczne.

Zacisnął usta w złym uśmiechu, mrużąc zdrowe oczy. Trzecie, dla odmiany, otwarło się szeroko. Zniżył głos do szeptu.

– Już wkrótce wszyscy zaczną wykonywać tę robotę za nas, atakując i niszcząc się wzajemnie. I mam przeczucie, że katalizatorem będzie... – odwrócił się do akwarium i wybrał kolejny model, jeden z największych – ...ten statek – dokończył i uniósł makietę w górę.

Jake natychmiast rozpoznał charakterystyczne żółte żagle. Był to okręt flagowy cesarza Chin, ten sam, który widzieli w Kantonie.

– Jutro o ósmej rano cyrk zwany cesarską flotą wyrusza na swój ordynarny objazd sąsiednich krain, aby pochwalić się swoimi wielkimi okrętami – oznajmił Xi. – Ale wyprawa skazana jest na tragiczny koniec. Ukochany syn suwerena zginie wraz z całym swoim dworem.

Przerwał na chwilę, dając słuchaczom czas na pełne zrozumienie skali jego sprytu.

– Do Pekinu nadejdzie list, ułożony przeze mnie, rzecz prosta, ale na pozór napisany

i podpisany przez wszystkie europejskie mocarstwa handlowe. Europa przyzna się do ataku przeprowadzonego w ramach odwetu za własne straty. Wybuchnie wojna, wojna światowa, wojna Wschodu z Zachodem. – Xi znów przeszedł do szeptu. – Historia spadnie za kraniec mórz. To będzie koniec wszystkiego!

Jake i Topaz zaczęli składać w całość części układanki: wybuchy na żaglowcach w Londynie i Amsterdamie, rozbudowa floty w Chinach, a potem kolosalna wojna toczona przez najpotężniejszych graczy epoki. Orientowali się w historii dość dobrze, aby rozumieć, że skutkiem będzie nie tylko koszarne ludobójstwo i zerwanie stosunków handlowych. Taka wojna powstrzyma także wymianę idei. Odcięte do świata królestwa będą zdane na łaskę paranoidalnych władców.

Jake nagle przypomniał sobie fresk z Lazurytowym Wężem w Londynie: starożytny smoczy kamień na dnie morza, straszliwy klejnot zdolny unicestwić cały świat.

– No dobrze. – Xi klasnął w dłonie i odwrócił się do swoich więźniów. – My tu sobie gadu-gadu, a tu trzeba nakarmić wami rybki. Zaczynamy? – Przyskoczył do pulpitu przy tronie i wduśił przycisk.

Pod Topaz otwarła się zapadnia i z krótkim westchnieniem zaskoczenia dziewczyna zniknęła w dziurze.

– Neeee! – zawył Jake.

Topaz zawołała jego imię, ale jej głos szybko się oddalał. Nagle dał się słyszeć plusk wody, a zaraz potem odległy krzyk.

– Żaden pałac nie byłby kompletny bez labiryntu. – Xi zachichotał. – A wodny labirynt to jeszcze większy dreszcz emocji. Gotujcie się na prawdziwie makabryczny spektakl!

Wcisnął sąsiedni guzik i podłoga pod Jakiem ustąpiła, ale on w porę uchwycił się prętów klatki i zawisł, dyndając nogami nad czeluścią. Nie widział w niej niczego prócz ciemności.

– Nie no, serio? – zachnął się Xi, podchodząc bliżej.

Jake poczuł, że jego spocone palce zaczynają się ślizgać.

– Jakież to wzruszające! Nie chcesz nas opuścić, tak? Rozumiemy, w końcu całkiem zabawna z nas kompania, nieprawdaż? Ale widzisz, Jake, jesteśmy strasznie zajęci. – Westchnął. – Mamy tyle do zrobienia, wiesz? Niania niebawem wyrusza znowu, a ona nie cierpi zabijać o pustym żołądku.

Wciąż szczerząc zęby w uśmiechu, kopnął Jake'a w pobielące kostki.

– Powiedz: pa, pa! – Xi pomachał wesoło odbiciu Jake'a w zwierciadle, po czym uniósł nogę i z całej siły wbił obcas w palce więźnia.

Kość chrupnęła paskudnie, ale Jake wciąż się trzymał, naprężając każde ścięgno do granic wytrzymałości.

Xi przestał się śmiać.

– Głupi jesteś, wiesz? Nie powinieneś pójść poszukać swojej przyjaciółki?

Już miał kopnąć jeszcze raz, ale Jake zaczerpnął tchu, zwolnił uchwyt i runął w otchłań.

## Tortura wodna

Zapał się w ciemność, ale zaraz uderzył stopami o stromo nachyloną ścianę. Przez chwilę sunął coraz szybciej po śliskim kamieniu, a potem znów wystrzelił w otwartą przestrzeń. Zdążył jeszcze zarejestrować obraz przepastnej pieczary, nim z impetem uderzył w wodę.

Była ciepła, a on solidnie się jej opił. Wokół siebie czuł ruchy setek wodnych stworzeń. Ryby wślizgiwały mu się pod koszulę i nogawki, kłusząc boleśnie małymi, ostrymi ząbkami. Wynurzył się na powierzchnię i usłyszał własny krzyk. Spróbował dosięgnąć skalnego występu ponad sobą, ale ten był za wysoko. Poczł ostry ból w pięcie i spojrzawszy w dół, ujrzł brązową rybę, przypominającą nieco szczupaka. Wybił się w górę jeszcze raz i tym razem zdołał uczeplić się krawędzi. Ostatkiem sił wciągnął się na kamienną półkę.

Stanął na nogach, dysząc ciężko i ignorując piekący ból ran od ukąszeń. Rozejrzył się wokół, czekając, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności. Pieczara, w której się znalazł, była skrzyżowaniem trzech ogromnych podziemnych tuneli, które to wznosząc się, to opadając, prowadziły w różne strony, klucząc między rozsianymi wszędzie sadzawkami rozmaitych kształtów i rozmiarów. Wszędzie wokół kapala, ciurkała lub lała się woda.

– Topaz! – zawołał. – Topaz, słyszysz mnie?!

Okrzyk odbił się echem od dalekich, niewidzialnych przestrzeni. Piekło, w którym się znalazł, ów labirynt, jak nazwał go Xi, wydawał się równie wielki, jak sam pałac.

– Topaz! – zawołał jeszcze raz.

Odpowiedź nadeszła z tak daleka, że ledwie ją usłyszał.

– Jake?!

Skupił się, próbując ustalić, z którego tunelu dobiegła.

– Jake... Nie mogę stąd wyjść!

– Spróbuję cię znaleźć! – odkrzyknął, kierując się w stronę najszerszego z trzech tuneli.

Z plecami przy ścianie przesunął się ostrożnie wokół brzegu kolejnego jeziora, które zniknęło w mroku pod skalną ścianą. W tym roito się od pękających ryb porośniętych ostrymi kolcami. Wyczuwając jego obecność, jedna z nich nagle nadeła się do pełnych rozmiarów, strosząc swoją broń.

Jake zawołał Topaz jeszcze raz, aby sprawdzić, czy obrał właściwy kierunek.

– Tutaj... – odpowiedziała. W jej głosie słychać było drzenie.

Przyśpieszył kroku, sadząc susami w górę i w dół po skalnych stopniach, przeskakując sadzawki tam, gdzie mógł, brodząc lub płynąc, gdzie nie miał innego wyboru. Szybko przyzwyczaił się do towarzystwa ławic zjadliwych stworzeń o ostrych zębach.

Wkrótce stanął na kolejnym przecięciu trzech tuneli i znów zawołał. Głos Topaz wrócił do niego, tym razem bliższy, zwielokrotniony pogłosem, jakby dobywał się z głębokiej komory. Wybrane przez Jake'a przejście wychodziło prosto na rozległe jezioro, które całkowicie zagroziło mu drogę. Na stopniach schodzących ku brzegowi leżał ludzki szkielet, wyciągający w górę kościaną rękę, jakby wspinał się do wyjścia. Górna połowa wyglądała na nietkniętą, ale nogi kościotrupa kończyły się na wysokości kolan.

Jake zajrzył do jeziora. Woda była idealnie gładka, pod powierzchnią nic się nie poruszało, ale czy mógł bezpiecznie tam wejść?

Podniósł kość udową szkieletu i ostrożnie wsunął koniec do wody, tak daleko od brzegu,

jak tylko mógł sięgnąć. Woda zakipiła kłębowiskiem małych, pulchnych rybek, które miały się wściekle, kłując gnat. Jake w panice odskoczył w tył, ale dwie ryby wciąż trzymały się kości. Strząsnął je nerwowo, wciąż kłapiące z furią zębataymi pyszczkami. Piranie! Jake widział je już kiedyś i wiedział, że polują ławicami, w mgnieniu oka ogryzając z ciała wszystko, co żywe. Wzdragając się, kopnął trzepoczące się na brzegu rybki z powrotem do wody. Uświadomił sobie, że gruba kość udowa może być nie najgorszą bronią, i postanowił zatrzymać ją przy sobie. Uniósł gnat przed sobą niczym miecz i wykonał kilka próbnych sztychów.

– Lepsze to niż nic – mruknął do siebie.

Po namyśle zabrał szkieletowi także największą z kości ręki i obie zatknął sobie za pas.

Nagle usłyszał łoskot dobiegający z wysoka. Spojrzał w górę i zobaczył ciało jednego ze ściętych żołnierzy zsuwające się wąską rynną, by runąć z pluskiem do jeziora. Tuż za nim spadły następne zwłoki, a potem trzecie i czwarte. Kiedy piranie rzuciły się do uczt, nadleciał deser w postaci czterech głów, z których jedna przeleciała tuż obok Jake'a. Martwe oczy spojrzały na niego z wyrzutem.

Jake odwrócił się i pobiegł z powrotem na skrzyżowanie. Tam ujrzał, że sąsiedni tunel zakręca i biegnie w mniej więcej tym samym kierunku co pierwszy. Wkroczył do niego, nawołując Topaz.

– Jesteś tam jeszcze?!

– Nigdzie się nie wybieram – usłyszał odpowiedź, a zaraz po niej krótki okrzyk strachu.

– Co się stało?

– Tu są meduzy – odpowiedziała. – Muszę się opędzać.

– Meduzy. – Jake westchnął z rezygnacją. – No tak, oczywiście. Muszą być.

Ruszył przed siebie, wspinając się i schodząc po stopniach, okrążając kolejne sadzawki, aż dotarł do ślepego zaułka. W rozpaczy grzmotnął pięścią w ścianę.

– Topaz?

– Myślę, że jesteś coraz bliżej – nadeszła odpowiedź.

Jake odwrócił się gwałtownie. Brzmiało to tak, jakby Topaz była dokładnie pod nim.

– Odezwij się jeszcze raz...

– Gdybym wiedziała, że w programie będą kąpiele, zabrałabym kostium – zażartowała, ale w jej głosie brzmiał strach.

Po jednej stronie Jake'a jezioro niknęło pod ścianą, z zaledwie kilkoma centymetrami wolnego miejsca nad powierzchnią wody. Głos Topaz dobywał się z tej wąskiej szczeliny.

Nie było się nad czym zastanawiać. Jake sprawdził wodę kością i nie stwierdziwszy obecności piranii ani innych drapieżników, wszedł do sadzawki, wziął głęboki wdech i zanurkował.

Wkrótce odkrył, że idąc po dnie na palcach, jest w stanie trzymać usta tuż nad poziomem wody. Sunął naprzód przez mrok, w stronę pasemka światła w oddali. Był już w połowie drogi, kiedy usłyszał plusk, woda zafalowała i coś delikatnie otarło mu się o biodra. Zastygł w bezruchu, zaciskając dłonie na kości. Czymkolwiek było to stworzenie, miało długie i grube cielsko. Jake ostrożnie przesunął się naprzód i tym razem zwierzę przemknęło mu między nogami, na krótką chwilę owijając się wokół łydki. To nie był węgorz kłapiący szczękami na oślep – to był wąż. Pyton.

– Jake, jesteś tam? – głos Topaz stał się nagły.

Nie śmiał się odezwać ani nawet poruszyć. Wąż prześliznął się wokół niego, delikatnie rozcinając powierzchnię wody, po czym zniknął w głębinie. Jake wiedział, że węże bardziej boją się ludzi niż na odwrót (z wyjątkiem, rzecz jasna, czarnych mamb księcia Zeldta), i postanowił iść dalej.



Zabrakło mu metra do światła na końcu przejścia, kiedy wąż pojawił się znowu. Tym razem owinął mu się powoli wokół torsu i... nagle zacieśnił uścisk. Efekt był natychmiastowy: wypchnięte z płuc Jake'a powietrze uszło przez krtań ze strasznym sapnięciem. Próbował uderzyć zwierzę kością, ale bez skutku. Wyczuwając, że głowę węża ma przed sobą, wypuścił z ręki prowizoryczną broń, złapał zwierzę za szyję i ścisnął. Bestia tylko zwinęła się ciasniej, ściskając mu płuca jak imadło, aż poczuł pulsowanie krwi rozsadzającej mu skronie.

Jake bezskutecznie próbował zaczerpnąć tchu. Nagle przez głowę przemknął mu fragment jakiejś dawno przeczytanej książki: „Dusiciela nie mają zębów jadowych. Można rozewrzeć im paszczę i złamać szczękę”. Powiódł dłońmi po łuskowatym łbie, odszukał paszczę i spróbował otworzyć. Na początku nawet nie drgnęła, ale desperacja przydała Jake'owi sił. Naparł mocniej i wsunął palce w poszerzającą się szczelinę. Teraz bestia zaczęła się bronić, próbując wyrwać mu łeb i bijąc wściekle końcem ogona. Jake nie przestawał napierać, rozwierając szczękę coraz szerzej i szerzej, ale pyton wciąż miazdżył go w bezlitosnym uścisku.

Jake zaklął i z wściekłym okrzykiem szarpnął z całej siły. Chrupnęły pękające kości i nagle uścisk zelżał. Wężowe cielsko zwiotczało, a sploty rozluźniły się. Jake wyplątał się z nich, zanurkował po kość i wypełził na brzeg. Ręce dygotały mu z wyczerpania. Znowu był w tunelu przegrodzonym jeziorem z piraniami, ale tym razem po drugiej stronie zbiornika.

– Już idę! – zasapał. – Gdzie jesteś?

– Tutaj!

Jake rozejrzył się. W ścianie za nim ział prostokątny otwór. Wpełził do środka i wytknął głowę w szybie studni, kwadratowej w przekroju, szerokiej na jakieś trzy metry i niezbyt głębokiej. Na dnie, skulona w kącie w półmroku, stała Topaz, po ramiona w wodzie.

– A ty skąd się tu wzięłaś? – spytał Jake, starając się osłabić grozę sytuacji żartobliwym tonem.

– Byłam w okolicy i pomyślałam, że wpadnę. – Topaz wyciągnęła palec w górę, wskazując czerniejący w ścianie studni wylot szybu prowadzącego zapewne aż do komnaty dowodzenia Xi Xiang. Nagle krzyknęła ze strachu. – Wracają tu!

Dwie zwiewne parasolki upiornego światła sunęły ku niej pulsującym ruchem, ciągnąc za sobą strzępiaste macki.

– To osy morskie – powiedziała Topaz. – Mogą zabić człowieka jednym użądleniem. Słuchaj, to pewnie głupie pytanie, ale czy w swoich wędrówkach po labiryncie nie natrafiłeś przypadkiem na zwój liny?

Jake odwrócił się, opuścił nogi z krawędzi otworu i plusnął do wody obok Topaz.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknęła.

– Pomagam ci.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem, bliska łez.

– Podsadzę cię. Jeśli zdołasz stanąć mi na ramionach, dosięgniesz tej dziury, z której wyszedłem.

– A ty jak się wydostaniesz?

– To nie będzie problemem. Poza tym nie powinniśmy marudzić tu zbyt długo – zażartował Jake, maskując dławiący go strach. – Jak z pewnością podkreśliłby Nathan, zbyt dużo wody szkodzi na cerę.

– Jake, uważaj!

Ramiona jednej z meduz zdryfowały niebezpiecznie blisko.

– Mam broń. – Jake wytknął z wody dwie kości. – Można je tym zabić?

– Nie jestem pewna. Bijąc je, możemy je tylko rozdrażnić. Może lepiej wyjąć je z wody i poczekać, aż się uduszą. Albo wsadźmy je do tamtej dziury.

Jake obejrzał się i ujrzał niewielki otwór w skale, na poziomie swojej głowy.

– Jesteś genialna, panno St Honoré – powiedział z uznaniem.

Za pomocą dłuższej kości odepchnął od siebie najbliższą meduzę. Następnie, trzymając się z dala od długich ramion, wsunął koniec kości pod stworzenie i wyłowił je z wody. Na oklapłym ciałku, nie większym od pomarańczy, Jake zauważył coś w rodzaju oczu.

– Czy one widzą?

– To jedyne meduzy, które mają prawdziwe oczy.

Ostrożnie wsunął meduzę w otwór i przekręcił kość. Po drugiej stronie ściany rozległ się plusk. Szybko powtórzył operację z jej towarzyszką i odwrócił się do Topaz.

– Nareszcie sami – powiedział z uśmiechem.

Wargi Topaz drżały. Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Dlaczego wciąż mnie ratujesz? – spytała, pociągając nosem.

– Co?

– Raz za razem zjawiasz się i ratujesz mi życie. I to po wszystkim, co ci zrobiłam.

– Chodzi ci o... naszą kłótnię? Właśnie też chciałem z tobą pogadać. Nie powinienem być mówić tego, co powiedziałem i...

– Nie! *Il faut que tu ne me parles plus!* Dziwię się, że w ogóle chcesz ze mną rozmawiać. Wybacz mi, Jake, tak strasznie mi przykro. – Otarła oczy i nos. – Także z powodu Yoyo. Dla niej też byłam potworem...

– Cóż, Yoyo też potrafi zaleźć za skórę...

– *J'étais envieuse.* Byłam zazdrosna. Tak strasznie zazdrosna. Zwracałeś uwagę tylko na nią.

– Zazdrosna o Yoyo?

– Powiedziałeś wcześniej, że nie jesteś He-Manem jak Lucjusz... Jake, jesteś odważniejszy niż ktokolwiek, kogo kiedykolwiek poznałam. I ja... – Znów potrząsnęła głową. – I ja... Trochę mi głupio mówić ci to tutaj, Jake, w tych lochach pod dnem oceanu, gdzie prawdopodobnie zginiemy, ale... *mais tu sais que je t'adore,* Jake.

Zapadła cisza.

Jake zamrugał powiekami. „Uwielbiam cię, Jake”. Czy Topaz naprawdę to powiedziała?

Oboje stali w całkowitym bezruchu, patrząc na siebie każde z własnego rogu studni.

Gdzieś w górze rozległo się głucho stuknięcie, a potem zgrzyt kamienia trącego o inny kamień. Jake i Topaz spojrzeli w górę. Strop nad studnią powoli sunął w ich stronę. Opuszczając się, wkrótce miał zasłonić otwór, przez który Jake przedostał się do szybu.

– Musimy uciekać, natychmiast! – wykrzyknął Jake i mocnym wymachem rąk podpłynął do Topaz. – Wejdz mi na ramiona.

– Jake, to się nie uda.

– Właż! Szybko!

Splótł dłonie, czyniąc z nich stopień, po którym wspięła mu się na barki. Postawiła mu stopy na ramionach i powoli wstała, przytrzymując się ściany.

– Ostrożnie – powiedział, stając na palcach, aby unieść ją jak najwyżej.

Topaz wodziła rękami po ścianie, aż natrafiła na krawędź. Spojrzała w górę. Mogła podciągnąć się do otworu, ale strop zasłonił go już prawie do połowy.

– Na co czekasz?! – huknął Jake. – Wchodź!

– A ty jak stąd wyjdiesz?

– Podciągniesz mnie. Sięgniesz w dół i podciągniesz.

Topaz potrząsnęła głową. Wiedziała, że to niemożliwe.

– Ruszaj! – krzyknął Jake. – To jest rozkaz!

Topaz puściła krawędź otworu i zeskoczyła z powrotem do wody.

– To ja tu dowodzę, pamiętasz?

– Nie będę ci więcej powtarzał. Włóż na mnie i wynoś się stąd!

– *Non*, panie Djones! *Jamais*. Zostaję z tobą. Znajdziemy inną drogę... albo zginiemy tu razem.

Strop był coraz niżej. Wkrótce wyjście skurczyło się do rozmiarów cienkiej szczeliny, a potem i ona zniknęła. Byli zamknięci w więzieniu bez wyjścia, w kamiennej komórce na dnie oceanu. Niebawem mieli utonąć, udusić się albo zostać zmiażdżeni na placek – trudno było odgadnąć, co nastąpi najpierw.

– Daj mi tę swoją kość – powiedziała Topaz.

Jake podał jej większą, a ona zaczęła tłuc nią w ścianę, próbując powiększyć otwór, przez który wcześniej wyrzucił meduzy. Przyłączył się do jej wysiłków i nawet udało im się skruszyć krawędź dziury, ale ściana mierzyła prawie pół metra grubości.

Strop obniżał się nieubłaganie. Był tuż nad ich głowami. Mieli mało czasu.

Jake'a nagle olśniło. Złapał obie kości i wklinował je w szczelinę między ścianami studni a stropem. Zatrzeszczały, rozcierane przez kamienną płytę. Mechanizm zazgrzytał, próbując pokonać dodatkowy opór, ale w końcu strop się zatrzymał.

Jake i Topaz spojrzeli po sobie. Kupili sobie trochę czasu, ale wciąż byli w pułapce. Myśli Jake'a popłynęły ku pomnikowi w cieniu wierzby na Mont-Saint-Michel – klepsydrze z czarnego marmuru. Ujrzał na niej swoje imię, świeżo wykute, tuż obok imienia Topaz. Ujrzał stojących przed pomnikiem żałobników, rodziców i ciocię Różę w pierwszym rzędzie, zalanych łzami.

– Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? – zwrócił się do Topaz. – Pod Monumentem. Rozpętała się wtedy wielka burza. Nigdy przedtem nie widziałem takiej pogody w Londynie. Prawdziwy huragan. Przyszłaś prosto z Muzeum Brytyjskiego i zaczęłaś opowiadać mi o Tutanchamonie, jakbyśmy znali się przez całe życie... – Jake odetchnął głęboko. – Ale tak naprawdę tamta chwila była początkiem mojego życia. Wolałbym zginąć tu z tobą teraz, niż dożyć dziewięćdziesiątki i nigdy cię nie spotkać.

Rozległ się głośny trzask kości pękającej pod naporem kamiennej płyty. Strop opadł gwałtownie o kilka centymetrów i znów ruszył w dół w dawnym tempie. Jake i Topaz przyłgnęli do siebie. Wkrótce nad wodą zostało tak mało miejsca, że musieli odchylić głowy do tyłu, aby móc oddychać. Odchylali je coraz bardziej i bardziej, a kiedy zostały już tylko trzy centymetry miejsca – tyle, by utrzymać nad wodą nos i usta – strop stanął z głuchym stęknieniem i wszystko ucichło.

Przez chwilę trwali w bezruchu, wciągając powietrze długimi, drżącymi haustami. Nagle strop drgnął i z kamiennym hurgotem ruszył w górę. Jake i Topaz patrzyli w zdumieniu, jak wznosząca się płyta odsłania prostokątne wejście w ścianie studni. W otworze ukazała się para solidnych butów z cholewami. Należały do wysokiej, smukłej postaci w lśniącej zbroi bojowej – na razie nie sposób było stwierdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta – uzbrojonej w dwa rapiery, trzymającej zwój liny i hełm pod pachą. Palce jej dłoni były długie i zgrabne. Strop sunął coraz wyżej. Zobaczyli długie siwe włosy zarzucone na jedno ramię, a potem twarz...

– K-komendantka Goethe? – wyjąkał Jake.

Galliana uśmiechnęła się z góry.

– Wszyscy w jednym kawałku? – spytała i rzuciła im linę.

Jake i Topaz popatrzyli na siebie nawzajem i parsknęli śmiechem niewyobrażalnej ulgi. Czuli się jak we śnie.

– Tym razem ty pierwszy – powiedziała Topaz.

Jake złapał koniec liny i wspiął się do wyjścia.

– Dobry wieczór, komendantko – powiedział, kiedy stanął z nią twarzą w twarz. – Przybywa pani w samą porę.

Nawet teraz, świeżo wyrwany ze szponów śmierci, Jake czuł się przy Gallianie nieco onieśmielony. Komendantka rzuciła linę Topaz i razem wyciągnęli ją ze studni.

–Pijcie. – Galliana odkorkowała butelkę i podała ją swoim agentom.

Słodka woda! Pili łąpczywie, wielkimi łykami.

– Skąd się pani tu wzięła? – Topaz wytrzeszczyła oczy.

Niezwykłym wydarzeniem byłoby samo spotkanie komendantki poza Punktem Zero, a co dopiero w podwodnym pałacu w siedemnastowiecznych Chinach.

– Odpowiedzi później – powiedziała Galliana. – Najpierw pytanie: czy Xi zamierza zaatakować flotę cesarza Chin? Bo wyruszyła z Makau dziś rano. Co najmniej czterdzieści okrętów.

– Tak. – Jake kiwnął głową. – Chcą zatopić cesarski okręt flagowy. Mają pojazd podwodny w kształcie ogromnej ośmiornicy.

– A zatem musimy się śpieszyć. Czas działa na naszą niekorzyść.

Galliana odwróciła się i ruszyła w głąb tunelu. Jake i Topaz podążyli za nią. Komendantka przemierzała labirynt szybko i pewnie, wbiegając i zbiegając po stopniach, nurkując w dziurach i na wpół ukrytych przejściach, ani razu nie wstępując do żadnej z diabolicznych sadzawek.

– Odpowiadając na twoje pytanie – zawołała przez ramię. – Na pewno pamiętasz, że Xi Xiang pracował kiedyś dla Straży Historii. Był moim porucznikiem, zanim został nim Jupiterus. Pewnego razu razem odkryliśmy mapę w tajnym skarbcu Zakazanego Miasta w Pekinie – mapę podwodnego pałacu Qin Shi Huanga. – Poklepała zwój pergaminu przytroczony do pasa. – Zabrał ją, ale wcześniej zdążyłam zrobić kopię. Oczywiście wtedy nie mieliśmy pojęcia, gdzie znajduje się pałac. Odkryłam to dopiero wczoraj i natychmiast przybyłam. Na mapie jest zaznaczona każda pieczara i każdy tunel. Już prawie zapomniałam, jak to jest przenieść się dwieście lat wstecz. – Uśmiechnęła się do agentów. – Dobrze mi to zrobiło.

Po pewnym czasie zatrzymała się na jednym z zakrętów, by zerknąć na mapę. Powiodła dłonią po ścianie i odnalazłszy zagłębienie, mocno pociągnęła, otwierając sekretne przejście. Gestem zaprosiła Jake'a i Topaz do środka.

Znaleźli się u podstawy ogromnego szybu, wokół którego wspinały się spiralą schody, po części kamienne, gdzieniegdzie połatane próchniejącym drewnem.

– To jest coś w rodzaju wyjścia ewakuacyjnego – wyjaśniła Galliana, wstępując na pierwszy stopień. – Niektóre fragmenty kompletnie przegniły, więc radzę wam trzymać się jak najbliżej ścian.

Wspinali się długo, zataczając krąg za kręgiem wokół ścian szybu. W pewnej chwili Jake spojrzął w dół i zakręciło mu się w głowie, ale Topaz złapała go za rękę i ruszyli dalej.

Wreszcie poczuli na twarzach orzeźwiający dotyk wiatru, a w uszy wlał im się miękki syk oceanu. Przez otwór nad nimi wpadał do szybu biały blask księżyca. Byli we wnętrzu skalistego krateru. Galliana wyprowadziła ich poza krawędź i nagle ujrzeli morze – bezkresną tafłę mieniącego się srebra. Jake zorientował się, że są po przeciwnej stronie wyspy Xi Xiang niż wrota, przez które dostali się do pałacu. Niedaleko brzegu podskakiwał na falach niewielki statek, chińska dżonka o zielonych żaglach. Jake widywał ją już w przystani w Punkcie Zero. Na dziobie widniała wymalowana zielonymi literami nazwa – „Latarnia”.

– Po drodze wstąpiłam po paru przyjaciół – powiedziała Galliana. – I zabrałam trochę broni.

Nagle odezwał się znajomy głos o amerykańskim akcencie:

– Wiedziałem, że nic im nie będzie. Z doświadczenia wiem, że wróżbitom nie można ufać.

To był Nathan, odziany w chiński strój, z Yoyo u boku. Podeszli bliżej i czwórka młodych agentów zwarła się w serdecznym uścisku.

– Już wyzdrowiałeś? – spytał Jake, który nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Obudziłem się, nagle znów czując się jak dawny ja. Trochę osłabiony, naturalnie, ale ten doktor to prawdziwy cudotwórca. I jaki hojny! Spójrz tylko, jak mnie wystroił. W kwestii gustu z pewnością niczego mu nie brakuje.

Nathan uniósł ręce, demonstrując swój nowy strój: haftowaną jedwabną tunikę, przepasaną w talii, workowate spodnie, wysokie buty i stożkowaty ryżowy kapelusz.

– Świetna sylwetka! – pochwalił Jake, świadomy, że jego przyjaciel marzył o przebierankach, odkąd zawinęli do Kantonu.

Jake odszukał wzrokiem Yoyo. Wyglądała na zawstydzoną. Kiedy widział ją po raz ostatni, wyznała mu żarliwie: „Będę strasznie tęsknić!”.

– Dobrze znowu cię widzieć, Yoyo – powiedział i pomyślał, że zabrzmiało to trochę zbyt oficjalnie. – Mam nadzieję, że Nathan nie sprawiał zbyt dużo kłopotów?

Galliana przerwała mu, oszczędzając dalszego zakłopotania.

– Plan jest następujący – oznajmiła, wskazując statek. – Wasza czwórka weźmie „Latarnię” i popłynie na północny wschód, na spotkanie z cesarską flotą. Musicie znaleźć dowódcę i ostrzec go przed niebezpieczeństwem. Flota musi zawrócić. Jeżeli się nie uda, niech chociaż przygotują armaty do odparcia ataku. Wszystkie armaty. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

Spojrzeli po sobie z wahaniem.

– Komendantko, z całym szacunkiem... – zaczął niepewnie Nathan. – Jeżeli zbliżymy się do cesarskiej floty, to czy nie należy się obawiać, że zanim zechcą nas wysłuchać, najpierw spróbują roznieść salwami swoich armat?

– Cóż, w takim razie będziecie musieli użyć głowy – odparła szorstko Galliana. – Jesteście strażnikami historii, pamiętacie? Kto ma Lazurytowego Węża?

– Ja. – Yoyo wyjęła kamień z kieszeni i pokazała komendantce.

– Może się wam przydać jako karta przetargowa, oni rozpoznają ten klejnot. Dobrze, nie traćmy więcej czasu. Wszyscy na stanowiska, natychmiast! – Zaklaskała w dłonie nagląco.

Nathan poszedł pierwszy, brodząc w płytkim morzu. Po chwili wspinał się po drabince na pokład „Latarni”.

Jake zwlekał, zdezorientowany.

– Komendantko... pani tu zostaje?

Spojrzała na niego. W oczach miała błysk, jakiego nie widział nigdy dotąd.

– Zamierzam tam wrócić. – Wskazała na krater za sobą. – Wrócić i zrobić to, co powinnam była zrobić wiele lat temu: zabić Xi Xianga.

Na brzegu nieopodal leżał, przygotowany wcześniej, mały arsenał, zawierający także złoty miotacz z „Groma”. Sztuka po sztuce Galliana brała broń, przewieszając ją sobie przez ramię albo przypinając do pasa.

Jake spojrzał na „Latarnię”, a potem znów na Gallianę.

– Komendantko, proszę mi pozwolić pójść z panią.

Potrząsnęła głową stanowczo.

– Już dość się wszyscy nacierpieliście. Xi Xiang to teraz moja sprawa.

– Ale jest szansa, że Filip...

– Wiem, wiem – odpowiedziała łagodniejszym tonem. – Jeżeli tam jest, żywy, uwolnię go. A teraz idź do swoich przyjaciół. Twoje miejsce jest przy nich.

– Ale, komendantko...

Galliana położyła mu palec na ustach.

– Jake, nie pozwolę nikomu z was wrócić do tego piekielnego miejsca. Wydałam rozkaz i jest on ostateczny.

Jake odwrócił się z ociąganiem, wszedł do wody, a po chwili wspiął się na pokład „Latarni”. Topaz pomogła mu wejść, a Yoyo z Nathanem podnieśli kotwicę i uruchomili maszynę.

Jake patrzył, jak Galliana, obładowana bronią, znika w szybkie prowadzącym w głąb wyspy. Topaz stanęła obok i ścisnęła mu dłoń. Nagle Jake przyciągnął ją do siebie i wpił się w jej usta krótkim, stanowczym pocałunkiem.

– Wybacz mi – szepnął, po czym zgrabnym susem przesadził reling i skoczył do morza.

Popłynął z powrotem w stronę wyspy, ignorując nawoływania przyjaciół. Wydostawszy się na brzeg, popędził po skałach do krateru i zniknął w wylocie szybu, goniąc komendantkę. Na pokładzie „Latarni” jego przyjaciele popatrzyli po sobie wstrząśnięci i zdumieni.

– Jake’u Djones! – Nathan wzniosł ręce w najwyższym zachwycie. – Jesteś moim niedościgłym wzorem! Moim bohaterem! Przyćmiewasz nas wszystkich razem wziętych.

Jake pędził po schodach na złamanie karku. Dostrzegłszy go, Galliana zatrzymała się i czekała z pochmurną miną.

–Wiedziałam, że nie mam dużych szans, abyś zostawił mnie w spokoju – oznajmiła chłodno, kiedy stanął przed nią zdyszany.

Podawała mu kuszę rewolwerową, nieco większą niż używana przez Topaz, rapier oraz sztylet. Sama niosła podobny zestaw, uzupełniony kompletem noży przy pasie.

– Chodźmy.

– Czy mogę wziąć miotacz mojego brata?

Galliana zdjęła z ramienia złotego smoka i wręczyła Jake’owi. Zdążył zapomnieć, jak ciężka była to broń – ważyła tyle co mała armatka. Złapał ją oburącz i zarzucił sobie na plecy.

Ruszyli schodami w dół, w stronę pałacu. Jake wciągnął w nozdrza duszny zapach wilgoci i wzdrygnął się.

# 23

## Okręt

Troje agentów na „Latarni” popłynęło szlakiem handlowym, najpierw na północ, a potem skręcając na wschód w stronę Makau. Niespełna godzinę po opuszczeniu wyspy Xi Xianga wypatrzyli chińską flotę płynącą przeciwnym kursem, z porannym słońcem wznoszącym się za rufami okrętów.

Tuziny jednostek płynęły w trójkątnym szyku, otaczając olbrzymi okręt cesarza. Gąszcz jego żółtych żagli błyszczał niczym drugie słońce.

– Czy mi się tylko wydaje, czy tu jest więcej statków, niż było w Kantonie? – zdumiał się Nathan.

– Co najmniej trzy razy więcej – odpowiedziała Yoyo. – Imponowanie gminowi we własnym kraju to jedno, ale teraz wybierają się ku obcym brzegom i chcą zademonstrować swoją potęgę.

– A wolno mi spytać, do czego im służą te wszystkie łajby? – spytał Nathan. – Lubię popatrzeć na przyzwoity orszak, jak każdy, ale czy oni nie posunęli się ciut za daleko?

– Oczywiście główna jednostka, okręt flagowy, który widzieliśmy w Kantonie, jest ośrodkiem dowodzenia – wyjaśniła Yoyo. – Na pokładzie są nie tylko cesarski apartament i pokoje cesarzowej, ale też kapitanowie, nawigatorzy, kartografowie, tłumacze, lekarze i tak dalej.

– I bez wątpienia cesarska garderoba – wtrącił Nathan. – Coś takiego musi być na szczycie listy priorytetów. Wszyscy znamy trzy filary udanych wakacji za granicą: ciuchy, ciuchy oraz ciuchy.

Dziewczęta porozumiały się wzrokiem i przewróciły oczami. Yoyo podjęła wypowiedź:

– Dalej mamy statki wiozące konie, statki zaopatrzeniowe z żywnością i wodą pitną, transportowce z wojskiem i okręty wsparcia technicznego, pełne drewna na naprawy. Inne wiozą dary: jedwab, porcelanę i kość słoniową. Są też łodzie patrolowe, znacznie mniejsze, i obok żagli wyposażone także w wiosła, aby móc szybko kursować od okrętu do okrętu.

– Zatem musimy najpierw złapać łódź patrolową – orzekła Topaz, nie odrywając wzroku od horyzontu. – Nie sądzę, żeby dopuścili nas do okrętu cesarza bez oficjalnego zaproszenia.

– Dobry plan – kiwnął głową Nathan. – Szukamy łodzi patrolowej.

W milczeniu przepatrywali zbliżające się okręty. Łatwo było o nich rozprawiać, kiedy obserwowano je z daleka, ale im bardziej się zbliżały, tym groźniejszy przedstawiały widok. „Latarnia” była przy nich tylko plamką na oceanie. Duma chińskiej floty parła ku nim niepowstrzymanie – czterdzieści okrętów rozbijających fale potężnymi dziobami, łopoczących tysiącem żagli, skrzypiących milionem naprężonych lin.

Nathan przełknął ślinę.

– Jakies pomysły? – spytał niepewnie.

– Wyłącz maszynę – rozkazała Topaz. – Yoyo, czy w kufrze są pochodnie?

Yoyo zajrzała do skrzyni przy sterze i wyjęła z niej pochodnię wraz z krzesiwem. Topaz wzięła obie rzeczy, podpaliła pokrytą smołą pochodnię i podłożyła ogień pod żagiel. Płótno natychmiast zajęło się płomieniem.

Nathan wyrzucił w górę ręce w geście niedowierzania.

– Co...? Czyś ty rozum straciła?!

– Dobry ruch. – Yoyo pokiwała głową. – Jesteśmy na ich kursie i musimy wysłać sygnał SOS, dać im powód do zatrzymania się, jednocześnie pokazując, że nie stanowimy zagrożenia.

–A jeśli się nie zatrzymają? A co, jeśli mają lepsze zajęcia niż zawracanie sobie nami głowy? Spłonimy tu żywcem albo się potopimy!

– Zamknij się, Nathan. – Obie dziewczyny westchnęły jednocześnie.

Nathan rzucił im podejrzliwe spojrzenie, przenosząc wzrok z jednej na drugą.

– A wy od kiedy tak się przyjaźnicie, co?

Zerknęły jedna na drugą z łobuzerskim uśmiechem.

–Nathan, jak by ci tu... – zaczęła Yoyo. – Twój kaftanik się jakby...

Obejrzał się i wrzasnął. Tył jego nowiutkiej jedwabnej tuniki tlił się i dymił. Zerwał ją z siebie i zgasił ogień kilkoma gniewnymi tupnięciami.

– Już zrujnowana. Ledwie zdążyliśmy się zapoznać – mamrotał pod nosem.

Płomienie rozpełzły się po żaglach i zaczęły lizać maszt. Bijący w niebo pióropusz czarnego dymu płynął w stronę nadciągającej floty. Topaz rozsunęła lunetę i skierowała na szeroki, prostokątny dziób okrętu flagowego. Zobaczyła samotną postać, odzianą w złoto i błękit, która stała na samym środku, również obserwując ich przez lunetę.

– Wydaje mi się, czy to wymyka się spod kontroli? – zaniepokoił się Nathan.

Pożar ogarnął już rufę. Bijący stamtąd nieznośny żar zmusił agentów do przesunięcia się w stronę dziobu. Topaz przyszło do głowy, że być może trochę się pośpieszyła.

Nagle jedna z łodzi patrolowych oderwała się od szyku i ruszyła w ich stronę, szaleńczo młóćąc wodę wiosłami. Kiedy się zbliżyła, brodaty kapitan zawołał coś do nich po chińsku. Głos miał szorstki, wyraźnie nie był mu w smak ten przystanek z powodu płonącego statku. Po krótkiej rozmowie z Yoyo wykrzyknął kilka rozkazów do swojej załogi. Wiosła od strony „Latarni” zostały wciągnięte i łódź podeszła dość blisko jej burty, by rozbitkowie mogli wskoczyć na pokład.

Z maszynową sprawnością wiosła wysunęły się z powrotem i łódź zawróciła, akurat kiedy nadciągnęła reszta floty. Mniejsze jednostki omijały „Latarnię”, ale okręt flagowy po prostu ją staranował, rozłupując na zapałki.

– No pięknie... – jęknął Nathan pod nosem, patrząc na szczątki statku. Potoczył wzrokiem wokół siebie i natrafiwszy na dwadzieścia par nieprzyjaznych oczu, wypróbował jeden ze swoich przymilnych uśmiechów. – Brytyjska robota. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Liche toto...

Yoyo i Topaz, nie tracąc czasu, przystąpiły do wyjaśniania kapitanowi, że flota jest w niebezpieczeństwie, potężny wróg – potwór z morskich głębin – może zaatakować w każdej chwili. Kapitan słuchał z uniesioną brwią i krzywym uśmiechem. Kiedy zażądały rozmowy z dowódcą floty albo – jeszcze lepiej – z kimś z rodziny cesarskiej, parsknął niedowierzająco i powtórzył ich słowa marynarzom, którzy także wybuchnęli śmiechem.

Wreszcie Yoyo wyjęła błękitny kryształ i powiedziała kapitanowi, co to jest. Próbowała wcisnąć mu kamień w rękę, ale nieufny brodacz schował dłoń za siebie i cofnął się o krok, potrząsając głową.

– Lazurytowy Wąż? – spytał po chińsku, zaglądając młodym agentom w oczy.

Pokiwali głowami potakująco. Kapitan zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów, a potem znów ryknął śmiechem, zarażając wesołością załogę.

– Zdaje się, że mamy problem z porozumieniem – zauważył Nathan, uśmiechając się zaciśniętymi ustami.

Topaz potoczyła wzrokiem po morzu, wypatrując śladów potwora madame Fang. Kiedy spojrzała na okręt flagowy, ujrzała, że postać na dziobie wciąż tam jest i nadal obserwuje ich



przez lunetę.

Yoyo podjęła kolejną rozpaczliwą próbę przedstawienia kapitanowi grozy sytuacji, ale jedynym efektem jej wysiłków były kolejne salwy śmiechu. Zirytowana znieznacka wykręciła mu rękę za plecami, dobyła sztyletu i przystawiła ostrze do szyi, grożąc, że poderżnie mu gardło, jeżeli nie zacznie traktować jej poważnie. Rechot urwał się jak nożem uciął, zastąpiony metalicznym szczękiem, kiedy wszyscy jednocześnie dobyli broni. Nastąpił pat. Dłonie ścisnęły rękojeści mieczy, oczy rzuciły czujne spojrzenia.

Nagle rozległ się donośny zew rogu i po twarzy kapitana kilkakrotnie przemknęła plama jasnego światła. Ktoś na okręcie flagowym poruszał lustrem, przesyłając sygnał. Kapitan warknął coś do Yoyo, a kiedy opuściła nóż, wykrzyknął kilka komend i załoga błyskawicznie wróciła do wiosł. Łódź obróciła się i ruszyła naprzód, klucząc wśród okrętów flotyli.

– Wygląda na to, że ktoś chce się z nami rozmówić – wyjaśniła Yoyo przyjaciółom.

Topaz spojrzała na dziób okrętu flagowego, ale tajemniczy obserwator zniknął.

Łódź patrolowa zrównała się z cesarską dżonką i kapitan, złożony wokół ust, zawołał coś gromkim głosem. W burcie kolosa otworzyły się wrota ładunkowe, odsłaniając grupę żołnierzy oraz chudego mężczyznę w czarnej koszuli. Po krótkiej dyskusji pomiędzy okrętami przerzucono drewniany trap, na który bezceremonialnie wpełznięto strażników historii.

Zamarli na chwilę, sparaliżowani widokiem przelewającego się im pod stopami oceanu, ale mężczyzna w czerni krzyknął na nich nagłoco, więc zebrali się na odwagę i szybko przebiegli na pokład. Żołnierze natychmiast wciągnęli trap i zatrzasnęli wrota.

Troje agentów odwróciło się do chudzielca o surowym obliczu. Miał oczy jak szklane paciorki i cienki czarny wąs. Krzyknął na strażników, aby odebrali gościom wszelką broń.

– Przypuszczam, że nie ma szans na pokwitowanie? – spytał Nathan kwaśnym tonem. – Jestem dość przywiązany do tego miecza.

Nieprzyjemny Chińczyk wykrzyknął kolejny rozkaz i zaczął oddalać się korytarzem. Żołnierze powiedli za nim strażników historii.

Długo szli przez wnętrze okrętu, wspinając się po schodach, przemierzając korytarze, przechodząc z pokładu na pokład, od poziomu kwater załogi z jego ulem kajut, aż do pokładów działowych – rozległych, niskich pomieszczeń, które czuć było siarką. Po ich obu stronach stały szeregi armat, środek zaś zajmowały stojaki z tysiącami sztuk rozmaitej broni – mieczy, muszkietów, toporów i włóczni – jak również stopy pancerzy. Nathan wytrzeszczał oczy, łapczywie chłonąc te widoki.

Wreszcie dotarli do masywnych drzwi. Chudzielec wybrał klucz z kółka na pasku, otworzył zamek i wprowadził agentów do długiej sali o ścianach wystanych czerwonym jedwabiem, zastawionej złoconymi meblami.

– Cesarskie kwatery, jak przypuszczam – skomentował Nathan, zaglądając ciekawie przez najbliższe drzwi do bogato urządzonej kajuty. Ujrzał tam grupę dam dworu, upudrowanych, w jedwabiach, z ustami jak kwiat róży. Odpowiedziały zdumionymi spojrzeniami, a kiedy błysnął zębami w swoim reprezentacyjnym uśmiechu i wykonał skomplikowany ukłon, uderzając przy tym czołem o nadproże, zaniósł się tłumionym chichotem.

Mężczyzna w czerni trzasnął drzwiami, rzucając Nathanowi ciężkie spojrzenie, po czym wskazał im drogę do kolejnych schodów i wyprowadził na białe deski głównego pokładu.

Na statku wrzała krzątanina. Armia marynarzy obsługiwała żagle, podczas gdy na środku pokładu, pod wypłowiałymi od słońca baldachimami, pracowali nadworni uczeni – nawigatorzy, astronomowie, przyrodnicy i artyści. Niektórzy stali przy stołach, kalibrując instrumenty i notując liczby, inni kreślili szkice i schematy albo siedzieli, zatopieni w lekturze.

Strażników historii poprowadzono przez to zgromadzenie w stronę dziobu, gdzie krótkie schody wspinały się na platformę, osłoniętą od strony pokładu parawanami. Topaz uświadomiła sobie, że to tutaj musiała stać postać w złocie i błękitach, która obserwowała ich przez lunetę. Dostęp do schodów strzegł oddział strażników, prezentujących przed sobą złowrogo obnażone szable.

Jakiś starzec przepchnął się między żołnierzami i podszedł do gości. Musiał być dostojnikiem bardzo wysokiej rangi, ponieważ chudzielec w czerni złożył mu czołobitny pokłon. Starzec odziany był w srebrną szatę, pasującą kolorem do jego rzadkich włosów i misternie zaplecionej brody, ozdobionej lśniąco klejnotami. Spojrzenie miał harde i zwracał się do nich wyniosłym tonem. Yoyo tłumaczyła jego słowa Nathanowi.

– Mówi, że jest cesarskim doradcą i że wielki książę, to jest cesarski syn, chciałby się z nami zobaczyć.

– No i świetnie. – Nathan się rozpromienił. – Chodźmy!

Ruszył w stronę schodów, a wtedy doradca warknął rozkaz i strażnicy wzniesli szable.

– Chce najpierw dowiedzieć się czegoś o nas – wyjaśniła Yoyo i dodała od siebie: – To raczej nie był jego pomysł, żeby zaprosić nas na pokład.

– No to wytłumacz mu, że za chwilę zginie – zasugerował Nathan, cedząc słowa przez zęby.

Yoyo zaczęła mówić, ostrzegając doradcę o grożącym okrętom niebezpieczeństwie. Starzec słuchał z kamienną twarzą, nieprzekonany. Yoyo wyjęła Lazurytowego Węża i objaśniła, czym jest. Bez lęku ujął kamień, obejrzał pobieżnie i wrzucił ramionami. Widząc, że sprawa nie posuwa się naprzód, i bojąc się, że zabraknie im czasu, zaczęła błagać, posuwając się nawet do ukłęknięcia przed dostojnikiem. Wszyscy w pobliżu nadstawiali uszu z niepokojem, ale cesarski doradca najwyraźniej nie wierzył w ani jedno jej słowo.

Zaczął wygłaszać odpowiedź protekcyjnym tonem, kiedy od strony podwyższenia zagrzmiął głos, głęboki jak dzwon, przerywając mu w pół słowa. Doradca zjeżył się i fuknął gniewnie, ale strażnicy rozstąpili się. Nathan i Topaz spojrzeli pytająco na Yoyo.

– Wygląda na to, że książę zechciał nas przyjąć.

## 24

# Imperium tonie

Idąc gęsiego, wspięli się na platformę. Było tam znacznie ciszej niż na pokładzie – parawany skutecznie tłumiły hałas. Pod płóciennym daszkiem stał tron, ustawiony przodem do bezkresu oceanu. Jego obicie miało barwę cesarskiej żółci, tak jak żagle, ale poza tym, w przeciwieństwie do tronu Xi Xianga, był to prosty i skromny mebel, z pewnością bardzo stary. Ktoś na nim siedział, postać wpatrzona w morze, ale ze swojego miejsca strażnicy historii widzieli jedynie koronę z poduszczkami z szafirowego jedwabiu, wysadzaną perłami i zwieńczoną małym jabłkiem ze złota.

Siwowłosa doradca pokłonił się i przemówił, a wtedy postać na tronie wstała i odwróciła się, by spojrzeć na strażników historii. Cesarski syn miał uderzająco przystojną twarz, co zaskoczyło obie dziewczyny (nawet Nathanowi opadła szczęka). Był mniej więcej w ich wieku, ale przybrał surową minę, unosząc brodę i marszcząc brwi w wystudiowany sposób, jakby uczono go wyglądać władczo. Nie wychodziło mu to zbyt dobrze: zdradzały go oczy piętnastolatka – pełne niepewności.

Chłopiec ubrany był w złotą szatę, haftowaną w turkusowe smoki. Miał pas z gagatów i wysokie buty wysadzone klejnotami. U jego boku stał uwiązany żywy paw, równie dostojny jak jego pan, wypatrując czegoś na horyzoncie.

– To się nazywa strój stosowny do okazji – westchnął Nathan, a dziewczęta bezwiednie przyglądziły włosy i poprawiły na sobie postrzępione i brudne odzienie.

Książę zrobił krok w ich stronę, co wywołało natychmiastową reakcję doradcy, który zbliżył się do niego, zirytowany tym naruszeniem etykiety. Chłopiec warknął na starca i ten wycofał się z ociąganiem.

Topaz wyczuła odbywającą się między nimi próbę sił i zaferowała księciu uśmiech zachęty. Ten tylko ściągnął usta, po czym odezwał się po chińsku. Yoyo odpowiedziała, a wtedy książę przeniósł wzrok na jej towarzyszy i pomachał im dłonią, błyskając pierścieniami w słońcu.

– Wy z Anglia? – spytał z silnym obcym akcentem.

W pierwszym odruchu chcieli wyjaśnić, że Nathan jest Amerykaninem, zaś Topaz Francuzką, ale dla oszczędności czasu oboje pokiwali głowami.

– Z Anglii, tak.

– Z Anglia najlepsze zegary – stwierdził chłopiec, po czym dodał wyniosłym tonem: – Ja Zhu Chanxun, drugi syn cesarza.

Strażnicy historii odpowiedzieli ukłonem, a paw zaskrzeczał donośnie, rozkładając ogon w turkusowoszmaragdowy wachlarz.

Zhu przemówił ponownie:

– Ja słyszeć, co wy mówić. Wy mówić, ja w niebezpieczeństwie. Jakie niebezpieczeństwo?

Yoyo wyjaśniła sytuację po raz trzeci, sugerując podjęcie natychmiastowych działań prewencyjnych.

Zhu zaczekał, aż dziewczyna skończy mówić.

– Wy chcą ją zawrócić? Cała flota? Wrócić na ląd?

– Zgadza się – przytaknęła Topaz. – I przygotować armaty...

Cesarski doradca znów stanął między nimi, gniewnie potrząsając głową, ale książę

odprawił go machnięciem ręki. Nagle spostrzegł błękitny kryształ w dłoni Yoyo. Widząc jego spojrzenie, podała kamień chłopcu, a ten obejrzał go uważnie, wodząc palcem po wyżłobionych liniach.

– Czemu wy przynieść mi kamień? Ten kamień to... – przerwał na chwilę, szukając właściwego słowa, po czym wykonał ruch naśladujący eksplozję. – Ten kamień to zagłada.

Bojąc się, że atak może nastąpić w każdej chwili, Topaz wtrąciła się, łamaną chińszczyzną błagając księcia, by wydał rozkaz zawrócenia do najbliższego portu. Nathan gorliwie poparł wniosek, choć mówił po chińsku znacznie gorzej od siostry.

Doradca w końcu stracił cierpliwość i zaczął się domagać, aby zamorskich zuchwalców zakuć w kajdany. Księżę wysłuchał go spokojnie, nie odrywając wzroku od trojga przyjaciół. W pewnej chwili wymienili się spojrzeniami, które nie miały nic wspólnego ze światem dorosłych, dworów i władzy – za to wiele z koleżeństwem. Potem Zhu odwrócił się i przemówił do kapitana okrętu, wydając mu rozkazy.

Yoyo przetłumaczyła z błyskiem ulgi w oczach:

– Kazał mu zmienić kurs, skierować okręt do najbliższego portu i przygotować armaty.

Dworzanin osłupiał. Policzki mu poczerwieniały, a twarz wykrzywiła wściekłość. Młody księżę, rozgniewany, zażądał od niego szacunku należnego synowi cesarza.

Na rozkaz Zhu na pokładzie zagrały trąby, zaś z innych statków zaczęły szybko napływać odpowiedzi. Trzeszcząc z wysiłku, sto lin napięło się jednocześnie i siedem gigantycznych żagli obróciło się wokół masztów w doskonale zsynchronizowanym ruchu. Nagle snop słonecznego blasku opromienił czworo nastolatków złocistą aurą. Cesarska dżonka zaczęła leniwie skręcać na północ, w stronę lądu. Reszta okrętów poszła w jej ślady, rozciągając szyk w półksiężyc.

Obserwując ruchy floty, Nathan spostrzegł, że jedna z jednostek na tyłach formacji – niewielki zbiornikowiec wiozący wodę pitną – wpada w głęboki przechył, kładąc maszt pod kątem prawie czterdziestu pięciu stopni. Jednak statek płynął dalej, a po chwili zaczął się prostować.

Nieoczekiwany wybuch rozdarł powietrze ogłuszającym hukiem. Ładunek wody wystrzelił w górę niebotyczną fontanną. Nathan krzyknął i pozostali odwrócili się, aby ujrzyć kadłub wciągany pod wodę przez coś, co z daleka wyglądało jak ogromne szczypcy.

Księżę wstrzymał oddech, wpatrując się w tonący statek rozszerzonymi ze zgrozy oczami. Spojrzał na błękitny kryształ w swojej dłoni, a potem na strażników historii.

– Pomóżcie mi, proszę. Co robić? – Twarz miał białą jak śnieg.

Yoyo i Topaz wytłumaczyły mu, że załoga musi przygotować armaty i wypatrywać morskiego potwora. Skinął głową i minawszy strażę, szybkim krokiem ruszył przez główny pokład, a za nim reszta orszaku. Paw próbował podążyć za swoim panem, ale złota smycz zatrzymała go na miejscu.

Na widok swojego księcia dworzanie padali na kolana, bijąc pokłony. Zhu nie miał na to czasu. Kazał wszystkim zająć się swoimi sprawami i posłał porucznika, aby sprawdził, czy armaty są gotowe do bitwy. Nathan poprosił o zgodę na towarzyszenie mu przy tym zadaniu.

Nagle z oddali dobiegł ich chóralny krzyk przerażenia. Księżę i jego dworzanie przypadli do burty, aby zobaczyć, co się dzieje. Kolejny statek z zaopatrzeniem wpadł w tarapaty – dziób wystrzelił wysoko w górę, podczas gdy rufa pograżyła się w wodzie. Kadłub zamarł na chwilę w tej nienaturalnej pozycji, po czym przełamał się na pół, rozrzucając załogę we wszystkie strony i rozsypując ładunek drewna.

Okręt płynący za nim, pełen żołnierzy, zderzył się z wrakiem. Połowa jego załogi znalazła się w morzu. Teraz ostrzegawcze okrzyki rozlegały się już na każdej jednostce wielkiej floty. Na pokładzie okrętu flagowego zapanował chaos.

Nathan zbiegł na dół za porucznikiem Zhu. Na pokładzie działowym wrzała krzątanina: przy każdym dziale uwijało się trzech marynarzy, ubijając proch w lufie, ładując ciężkie kule, zasypując otwory zapałowe i szykując lontownice. Na komendę porucznika armaty podtoczono z łoskotem do burt, wysuwając lufy przez furty działowe i kierując je w stronę wody.

Nathan podszedł do otworu obserwacyjnego na sterburcie, by wypatrywać mechanicznej ośmiornicy sterowanej przez madame Fang. Na wodzie wciąż widać było zakrzywione ślady kilwaterów po gwałtownym zwrocie floty na północ.

Nagle ujrzał rozmazany pod falami, pająkowaty cień, sunący w stronę okrętu. Krzyknął na alarm, wskazując kierunek i dając sygnał artylerzystom, aby skierowali tam lufy dział. Porucznik bez namysłu wsparł go oficjalnym rozkazem.

Lontownice znalazły się nad żelaznymi zadami armat. Wszyscy zasłonili sobie uszy, po czym lufy plunęły ogniem, powietrze rozdarł ogłuszający huk i wypełniły podmuchy siarkowego żaru. Kiedy salwa pocisków uderzyła w morze, kurtyna wody wzbijała się w górę i wielka fala popłynęła w stronę reszty floty. Natychmiast po strzale porucznik wydał rozkaz przeładowania armat. Marynarze rzucili się do pracy w kłębach prochowego dymu, zbierającego się pod stropem pokładu. Nathan z zapartym tchem wpatrywał się w morze, szukając oznak trafienia mechanicznego potwora.

Wtedy gdzieś pod okrętem rozległo się pojedyncze głuche łupnięcie, a potem drugie i trzecie. Nathanowi żołądek podszedł do gardła. Łup! łup! łup! Wiedział, że to stalowa macka próbuje przebić kadłub. Rozległ się przeciągły trzask – potwór zdołał przebić drewniane poszycie. Z głębi okrętu słychać było huk wdzierającej się do wnętrza wody i wrzaski ginących marynarzy. Na hałas znów nałożyły się głuche uderzenia, tym razem dobiegające spod innej części kadłuba.

Górny pokład tonął w zgiełku czynionym przez biegających w panice dworzan. Zhu, młody książę, stał w miejscu jak wmurowany, niezdolny poskładać słów w rozkazy, jakich potrzebował. Grupa dam wysypała się z cesarskich kwater prosto w kłęby armatniego dymu – wytworne suknie błyskały jasnymi plamami pośród zamieszania.

W pewnej chwili rozległ się gromowy trzask i cały okręt zakołysał się gwałtownie. Żółty tron przejechał ze zgrzytem przez parawany, stoczył się po schodach i gruchnął na pokład wśród okrzyków trwogi. Topaz i Yoyo przecisnęły się przez tłum dworzan, nawigatorów, lekarzy i kartografów, z których wielu wciąż trzymało w dłoniach swoje instrumenty i mapy. Wychyliwszy się przez burtę, ujrzały koniec metalowej macki, wbity w kadłub i zacieśniający uścisk na drewnianych belkach szkieletu.

Topaz porwała zwój liny. Przywiązała koniec do relingu, a resztę rzuciła do wody, tuż obok macki. To samo zrobiła z drugą liną, po czym kolejny zwój zawiesiła sobie na ramieniu, a ostatni rzuciła Yoyo. Tymczasem Yoyo przyniosła dwa masywne żelazne młoty, które wypatrzyła wśród narzędzi okrętowego cieśli. Podała jeden Topaz. Dziewczęta przeszły za reling i zaczęły opuszczać się na linach w stronę macki, obserwowane przez księcia – oniemiałego na widok ich odwagi – oraz tłum dworzan tłoczących się przy burcie.

Znalazłszy się odpowiednio nisko, Yoyo puściła linę i spadła na metalową mackę. Ta wygięła się, zacieśniając chwyt na okręcie. Blachy przegubowego złącza nasunęły się na siebie, omal nie miażdżąc jej palców, ale Yoyo ześliznęła się po obłej skorupie, biorąc głęboki wdech, zanim wsunęła się do wody. Dłońmi szukała drogi wzdłuż mechanicznej kończyny.

Topaz poszła w jej ślady, zanurzając się pod wodę i trzymając macki potwora, który wczepił się w kadłub okrętu niczym kolosalna pąkla.

Dziewczęta przesuwają się coraz niżej, aż znalazły się tuż obok szklanej kabiny. Fang – złowroga, ciemna postać w fotelu sternika – ujrzała je i poruszyła sterami. Macka nagle

wyprostowała się i strażniczki historiiomal się z niej nie zsunęły. Topaz zaczęła owijać mackę liną, aby miały się czego trzymać, ale Fang wściekłym ruchem pchnęła dźwignię, a potem pociągnęła, zamiatając macką tam i z powrotem jak biczem. Topaz nie utrzymała się i upuściła młot, ale zdołała uchwycić linę zwisającą z relingu i szybko podciągnęła się na powierzchnię, gdzie łąpczywie wciągnęła powietrze do płuc.

Tymczasem pod wodą Yoyo zdołała dotrzeć do szczytu szklanej kabiny. Zawiązała koniec swojej liny wokół nasady macki i owinęła nią sobie stopę, aby nie porwał jej nurt. Potem uniosła młot i opuściła na szkło, uderzając miarowo, aż na powierzchni ukazała się pajęczyna drobnych pęknięć. Ignorując jej starania, Fang wystrzeliła kolejną mackę, przebijając kadłub okrętu.

Yoyo biła w szybę z całych sił i w końcu udało jej się wywołać przeciek. Mimo sączącej się do kabiny wody Fang wciąż pracowała sterami, zajęta okrętem. Yoyo uderzała raz za razem, aż z szyby odpadł większy fragment i woda wtargnęła do środka potężnym strumieniem. Potwór zakotłosał się w nurcie pod wciąż płynącym okrętem, ale trzy macki uwięzły głęboko w kadłubie. Czując, że nie wytrzyma dłużej bez powietrza, Yoyo złapała linę i pomagając sobie mocnymi wymachami nóg, wróciła na powierzchnię.

Teraz Topaz zanurkowała, trzymając się własnej liny, w stronę kabiny ośmiornicy. We wnętrzu, tuż obok wybitej przez Yoyo dziury, wypatrzyła uchwyt rygli, utrzymujących szklany dach na miejscu. Sięgnęła do środka, ale Fang dobyła noża i cięła z furją, kalecząc jej przedramię. Ignorując ból, Topaz pociągnęła za uchwyt i dach oderwał się od ośmiornicy, by wirując, popłynąć z nurtem. Do wnętrza chlusnęła kaskada wody, błyskawicznie wypełniającabinę. Nurt szarpnął potwora w tył, wyrывая z okrętu wszystkie macki oprócz jednej.

Yoyo wróciła pod wodę, złapała Topaz za rękę i pociągnęła, ruchem głowy wskazując powierzchnię. Topaz nie protestowała, bliska omdlenia. Wystrzeliła w górę, w stronę światła i przebiwszy powierzchnię, zachłysnęła się wielkim haustem powietrza.

Pod wodą madame Fang wciąż walczyła, usiłując zapanować nad ośmiornicą i odpędzić sztyletem Yoyo, gramoląc się do kabiny. Odparowawszy kolejny cios młotem, Yoyo kopnęła na oślep dźwignię na pulpicie. Ostatnia macka puściła kadłub, a mechaniczny potwór zahamował gwałtownie, zostając w tyle za okrętem. Fang i Yoyo wpadły na siebie. Wstrząs wytrącił im broń z dłoni. Złapały się nawzajem za szyje, pozbawiając resztek powietrza, jakie zostało im w płucach.

Oslabiona z braku tlenu Yoyo ostatkiem sił zdołała uderzyć głową przeciwniczki o krawędź pulpitu. Kiedy oszołomiona Fang osłabiła uchwyt, dziewczyna złapała stery, zawróciła potwora i dała całą naprzód. Celowała w skalne urwisko, wyrastające nieopodal z dna. Maszyna przyśpieszała. Fang ocknęła się akurat na czas, aby ujrzeć sunącą na nią kamienną ścianę. Yoyo zamknęła oczy w oczekiwaniu zderzenia.

Na powierzchni Topaz wciąż oddychała łąpczywymi haustami. Flota zawróciła, a jedna z małych łodzi patrolowych już płynęła w jej stronę. Topaz zanurkowała jeszcze raz, próbując zobaczyć, co się stało. Czy Yoyo nie powinna już wypływać? Nagle mroczną otchłań rozjaśnił błysk światła i Topaz usłyszała odległy huk eksplozji. Panicznymi ruchami skierowała się ku powierzchni.

– Neeee! – krzyknęła, wytknąwszy twarz ponad wodę.

Łódź patrolowa była tuż obok. Marynarze wyciągali ręce, aby pomóc jej wejść na pokład. Brodaty kapitan, poprzednio tak nieufny, wpatrywał się w nią z nietajonym podziwem.

– Musimy ją znaleźć! Znaleźć Yoyo! – lamentowała Topaz, rozglądając się gorączkowo na wszystkie strony.

Ale otaczało ją tylko puste morze.

## Komendantka Goethe

Nie mając pojęcia o losach załogi „Latarni”, Galliana Goethe i Jake pośpiesznie schodzili spiralnymi schodami w głąb wyspy. Prowadziła Galliana, jedną ręką trzymając latarnię, drugą rewolwerową kuszę, podczas gdy Jake stękał pod ciężarem żelaznej rury miotacza. W połowie drogi komendantka przystanęła na zrujnowanej kamiennej platformie i sprawdziła ich położenie na mapie.

– Tam – szepnęła do Jake’a, wskazując otwór w ścianie przy końcu platformy. – Tamtędy przejdziemy na tyły sali balowej.

Platforma była skruszona i musieli stąpać ostrożnie. Z każdym korkiem pył sypał się w czarną czeluść szybu. Nagle wielka bryła osunęła się pod stopą Jake’a, który zachwiał się, straciwszy równowagę. Ciężki miotacz omal nie pociągnął go poza krawędź, ale Galliana złapała go w porę i przyciągnęła do ściany.

– W porządku? – spytała.

Skinął głową, poprawiając pas miotacza.

Korytarz za przejściem w ścianie doprowadził ich do zardzewiałych żelaznych drzwi. Sprawdzili gotowość broni, po czym Galliana obróciła klamkę i delikatnie pchnęła. Drzwi otworzyły się z przenikliwym piskiem zawiasów. Już miała przekroczyć próg, kiedy odezwał się Jake:

– Komendantko?

Odwróciła się i spojrzała na niego pytająco.

– Chciałem tylko... życzyć pani powodzenia.

Galliana uśmiechnęła się i zmierzwiła mu czuprynę.

– I ja ci go życzę. Twoja rodzina zawsze była najdzielniejsza z nas wszystkich.

Jake zaczerwienił się na ten komplement.

– Chciałem też powiedzieć, że... – wybąkał. – To, co stało się z pani synem, musiało... Ja nawet nie mogę sobie wyobrazić, jak pani musiała... – umilkł, nie potrafiąc znaleźć właściwych słów.

Galliana pochyliła głowę i westchnęła.

– To był mroczny czas – powiedziała cicho. – Najmroczniejszy w moim życiu.

Jake zdawał sobie sprawę, że to co najmniej dziwne miejsce na taką rozmowę, ale czuł, że zanim znów wkroczy do podwodnego pałacu, musi poznać przynajmniej część jej historii.

– Kiedy zniknęła pani na tych schodach, właśnie teraz, całkiem sama, uświadomiłem sobie, że... że nie wiem o pani zbyt wiele. Nawet tego, gdzie się pani urodziła, ani... ani jak pani została komendantką.

Galliana zdawała się rozumieć. Oczy miała poważne – okna do świata niezwykłych tajemnic.

– Uwierzyłbyś, że miałam wielkie trudności z dorastaniem? – powiedziała łagodnie. – Byłam znacznie wrażliwsza i nie tak bystra jak moi czterej starsi bracia. I bałam się własnego cienia, jak ujmował to mój ojciec. Mieszkaliśmy nad Bałtykiem, w małym niemieckim porcie, Flensburgu. Długie zimy, ciepłe lata... Szczęśliwe miasteczko. Wszyscy w mojej rodzinie byli

strażnikami historii i to od wielu pokoleń. Byliśmy też skutnikami. Do dziś połowa naszej floty to statki zbudowane przez rodzinę Goethe.

– Bała się pani? – wyrwał się Jake'owi. Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Dotąd zawsze myślał o niej jako o kobiecie nieznającej strachu.

– Mówię ci, nikt nie spodziewał się po mnie niczego dobrego. – Twarz Galliany spochmurniała. – Nie musisz znać szczegółów, ale moi rodzice, kuzyni, bracia, cała rodzina została zamordowana. Spaleni w swoich łóżkach po rodzinnym weselu. Pod osłoną nocy Sigvard Zeldt uderzył ze swoim oddziałem egzekucyjnym.

Jake znał to nazwisko. Nieżyjący od dawna Sigvard Zeldt był ojcem Xandra i Agaty, przeciwko którym Jake miał okazję walczyć w swoich poprzednich misjach.

– Tylko ja się uratowałam – ciągnęła Galliana. – Ukryłam się pod wodą, oddychając przez glinianą rurkę. Byłam jedyną osobą z rodziny, która pozostała przy życiu. Do dziś jestem. Dlatego nie mogłam już dłużej bać się własnego cienia. Musiałam złapać życie za rogi.

Gorycz tych słów, choć skryta, nie umknęła Jake'owi. Cierpienia, jakich musiała zaznać Galliana – tracąc rodzinę nie raz, a dwa razy – wykraczały daleko poza możliwości jego wyobraźni, a jednak znalazła w sobie odwagę, aby żyć dalej, nie skarżąc się, zawsze czyniąc to, co słuszne i sprawiedliwe.

– Ale bywałam też szczęśliwa. – Uśmiechnęła się nagle i pieszczotliwie uszczypnęła go w policzek. – Miałam cudownego męża i przeżyłam wiele radosnych chwil, dużą część z nich z twoją rodziną, która zawsze była bliska mojemu sercu. – Przerwała na chwilę, poważniejąc. – A teraz, Jake, zapytam cię po raz ostatni: czy poczekaś tutaj na mnie?

Potrząsnął głową.

– Chodźmy – powiedział, wskazując na drzwi.

Galliana ostrożnie przestąpiła próg, sprawdzając, czy nikt za nimi na nich nie czeka. Wewnątrz paliło się światło, więc zgasiła latarnię i skinęła na Jake'a, aby wszedł za nią. Wielki miotacz utknął we framudze i dźwięknął głośno, kiedy Jake uwolnił go mocnym szarpnięciem.

– Więcej z tego kłopotu niż pożytku – powiedziała Galliana, zdejmując mu z pleców złotego smoka i składając na posadzce obok latarni.

Jake rozejrzał się uważnie. Przechodził tędy już wcześniej. Otaczały ich posągi zastygłe w tańcu, podczas gdy inne przyglądały im się spod ścian. Rozglądając się czujnie, przekradli się do otwartych podwójnych drzwi po drugiej stronie sali. Jake zerkał w twarze tancerzy zastygłe w pełnym ruchu – z rozszerzonymi z emocji oczami i ustami otwartymi do śmiechu.

Galliana wytknęła głowę za drzwi i wyszła na główny korytarz. Nagle usłyszała odgłos kroków i szybko wycofała się do sali balowej. Czekali przy drzwiach, nasłuchując. Zbliżający się człowiek miał krok ciężki, grzmiący – to z pewnością nie był Xi Xiang, ale jego niemy siepacz. Posągi zadrżały, kiedy wkroczył do sali.

Galliana zamachnęła się, wbijając łokieć w pierś olbrzyma, który zatoczył się w tył. Uniósł rewolwerową kuszę, ale nim zdążyła nacisnąć spust, kopnięciem wytrącił jej broń z ręki. Kiedy schyliła się po nią, wyrwał maczetę zza pasa i świsnął nią w powietrze. Galliana uchyliła się przed pierwszym ciosem, drugim... Jake złożył się do strzału z własnej kuszy, ale komendantka wciąż wchodziła mu na linię celowania. Z oczami płonącymi determinacją złapała mężczyznę za nadgarstek, blokując cięcie z góry, ale był od niej silniejszy i klinga nieubłaganie zbliżała się do jej głowy. Nagle założyła mu nogę za łydkę i mocno pchnęła go w tył. Olbrzym runął na plecy, wymachując rękami w beznadziejnej walce z grawitacją. Głową uderzył o ścianę, ale ciężar ciała ciągnął go w dół i zmuszał do wykręcania szyi, aż wreszcie coś chrupnęło mu w karku jak rozgniatany orzech. Otworzył usta – ich oczom ukazał się węzłasty kikut języka – a oczy mu zgasły. Galliana zaciągnęła zwłoki – jej siła była zdumiewająca – do kąta, gdzie były



najmniej widoczne. Jake wodził za nią wzrokiem, z ustami otwartymi ze zdumienia.

– Przepraszam cię – powiedziała do niego. – Powinnam była cię uprzedzić. – Podniosła swoją kuszę i sprawdziła, czy bębenek wciąż jest umocowany jak należy. – Można by pomyśleć, że po czterech dekadach służby powinnam się przyzwyczać do odbierania życia, ale nic z tego... To coś, do czego nie sposób przywyknąć.

Ruszyli głównym korytarzem, komendantka zwrócona twarzą naprzód, Jake ubezpieczał tyły. Kluczyli, kryjąc się między kamiennymi dworzanami, aż dotarli do otwartych drzwi sali dowodzenia. Galliana weszła tam, z bronią złożoną do strzału, ale pomieszczenie okazało się puste. Za czterema ogromnymi oknami rozciągał się morski pejzaż, teraz oświetlony przefiltrowanym przez wodę światłem dnia. Coś poruszyło się w wielkim akwarium i Galliana obróciła się gwałtownie, ale na celowniku ujrzała tylko małą ośmiornicę, która wynurzyła się na chwilę na powierzchnię. Zwierzę obrzuciło ją leniwym spojrzeniem, po czym osunęło się z powrotem do wody, ciągnąc za sobą strumień baniek. W sali znowu zapadła cisza. Jake zdążył zauważyć, że na pulpicie obok tronu nie ma już złotego rewolweru, gdy nagle zgasło światło. Pałac pogrążył się w półmroku, ale po chwili gazowe lampy zapłonęły na nowo, jedna po drugiej.

Galliana spojrzała na Jake'a, a on pomyślał, że być może powinni byli wziąć ze sobą latarnię. Sięgnął do kieszeni i namacał palcami uspokajający prostopadłością zapalniczki, którą dostał od Nathana w renesansowej Wenecji.

Komendantka rozłożyła mapę, a Jake zajrzał jej przez ramię. Główny korytarz okrążył pałac, łącząc jego główne komnaty. Postukała palcem w pomieszczenie naprzeciwko sali balowej.

– Sypialnia – szepnęła.

Wrócili na korytarz i przeszli nim do wejścia do sypialni. Drzwi były nieznacznie uchylone. Galliana pchnęła je stopą i oboje przywarli plecami do ściany po obu stronach wejścia.

Przez pełną minutę żadne z nich nawet nie drgnęło. Wreszcie Galliana wśliznęła się do środka, by ujrzeć mroczny przedpokój, gdzie dwa szeregi kamiennych sług klęczały naprzeciwko siebie. Głowy posągów były pochylone w kornym pokłonie, ale ich szklane oczy łypały w stronę drzwi, bacznie obserwując wchodzących. Za nimi okrągłe przejście – drzwi księżycy – prowadziło do głównej komnaty. Galliana i Jake minęli szpaler dworzan i weszli do sypialni.

Na środku, otoczone przez kolejne klęczące posągi, stało ogromne łoże z baldachimem błękitnym jak sam pałac. Jedwabne siatki zwisały ze wszystkich stron, osłaniając śpiącą postać.

Z bronią w gotowości Galliana gestem nakazała Jake'owi zostać na miejscu, a sama bezgłośnie podkrađła się do łóżka. Jake rozejrzał się, uważnie lustrując twarze posągów – po poprzednim doświadczeniu wołał nie ryzykować. Niemi dworzanie patrzyli na niego z wyrzutem.

Galliana odciągnęła zasłonę czubkiem kuszy i wyciągnęła rękę w stronę nieruchomego kształtu w pościeli. Zerwała kołdrę, gotowa do strzału, i zachłysnęła się ze zdumienia.

Jake podszedł bliżej i ujrzał, że śpiąca postać także jest posągiem, ale wykutym z jadeitu. Usta miała szeroko otwarte – trudno było osądzić, czy w grymasie rozkoszy, czy raczej cierpienia.

Nagle usłyszeli za sobą chichot – charakterystyczny, piskliwy śmiech Xi Xianga. Oboje odwrócili się jednocześnie, celując w okrągłe drzwi. Niewyraźna postać czmychnęła przez mroczny przedpokój na korytarz. Trzasnęły drzwi, a światła w pałacu znów zgasły i ponownie się zapaliły.

– Ach, chce się z nami pobawić... – powiedziała miękko Galliana.

Poszli korytarzem na drugą stronę pałacu, ale wkrótce światła zgasły raz jeszcze. Tym razem na dobre. Ogarnęła ich czerń. Jake jeszcze nigdy w życiu nie znalazł się w ciemności tak absolutnej. Znów usłyszeli chichot, a potem odgłos szybko zbliżających się kroków.

Jake usłyszał brzęk – to Galliana wystrzeliła z kuszy. Bełt świsnął w powietrzu, stuknął o ścianę i zagrzecotał na posadzce. Strzeliła po raz drugi, a potem trzeci, a Jake zrobił to samo, chociaż nie mieli do czego celować.

Sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Kiedy ją wyjął, coś dotknęło jego ramienia i usłyszał ciche szydercze parsknięcie. Zamarł w bezruchu zdjęty grozą, aż poczuł ciepło oddechu na twarzy, a z ciemności tuż przed nim wyłonił się ledwie widoczny jaśniejszy kształt – białko zniekształconego oka.

– Jaka szkoda, że nie udało ci się odnaleźć brata – wyszeptał Xi Xiang.

Jake skrzesał płomień zapalniczki, by ujrzeć, że Xi trzyma broń – złoty rewolwer Filipa – wymierzony prosto w jego serce.

– Jake! – krzyknęła Galliana. Wyskoczyła z mroku i odepchnęła go na bok dokładnie w chwili, w której Xi pociągnął za spust.

Błysnął płomień, lufa dmuchnęła grzybkiem dymu, a Galliana obróciła się w powietrzu, zderzyła z kamiennym filarem i osunęła bezwładnie na posadzkę.

Xi zachichotał i śpiesznie podreptał w mrok. Korytarz jeszcze przez chwilę rozbrzmiewał echem jego kroków, a potem wszystko ucichło. Nagle dał się słyszeć odległy stuk i znów zapłonęły lampy.

Jake rozejrzał się lękliwie. Przed i za sobą zobaczył tylko pusty korytarz.

Galliana leżała nieruchomo pod filarem, jej ciało było nienaturalnie wygięte.

W napierśniku ziała dziura, z której ściekała krew, zbierając się w gęstą kałużę. Sklejone kosmyki srebrnych włosów opadały na pobladłą twarz. Oczy komendantki zaszyły mgłą.

Jake stał nad nią, kręcąc głową, najpierw zdjęty grozą, potem złością. Rzucił się do odpinania sprzączek jej zbroi, ale delikatnie odepchnęła jego rękę.

– Uciekaj... – szepnęła chrapliwie. – Proszę, uciekaj.

Jake potrząsnął głową.

– Nigdy!

Wyjął zapasowy magazynek z bełtami i założył go w swojej kuszy w miejsce pustego. Potem zabrał Gallianie pas z nożami i zawiesił sobie na ramieniu.

– Wrócę tu, słyszy pani? Niedługo wrócę – przyrzekł.

Wtedy usłyszał dźwięki muzyki – delikatne zawodzenie smyczków dobiegające zza drzwi w głębi korytarza. Pobiegł tam i znalazł się znów w sali balowej, gdzie zamrugał w zdumieniu, widząc, że kamienni tancerze obracają się powoli w takt muzyki.

Huknęło i za posągami wyrósł kolejny obłok dymu – to Xi wypalił do Jake'a z drugiego końca sali. Jake uskoczył za grupę rzeźb. Jeden z posągów, trafiony pociskiem w pierś, rozprysnął się na tuziny kawałków. Jake zaczął strzelać. Roześmiany Xi kicał od posągu do posągu, podczas gdy wokół niego świsnęły bełty kuszy. Żaden nie dosięgnął celu.

Opróżniwszy magazynek, Jake odrzucił kuszę i zaczął rzucać nożami Galliany. Nagle coś małego, ale ciężkiego stuknęło o posadzkę u jego stóp – petarda w kształcie smoka, którego paszcza syczała czerwonym dymem. Jake osłonił głowę i smok wybuchł, napełniając pokój czerwoną mgłą. Xi zarechotał i zaczął ciskać kolejne petardy – fioletową, żółtą, zieloną... Rozszedł się straszliwy odór. Jake czuł, że dym pali mu płuca.

W zjadliwym oparze dostrzegł przebłysk ruchu, kiedy jego przeciwnik umknął na korytarz. Jake obejrzał się na metalowe drzwi, przez które on i Galliana przedostali się do pałacu. Mógł teraz uciec, opuścić to miejsce na zawsze...

Zacisnął zęby i ruszył w ślad za Xi.

Jego arcywróg truchtał w stronę sali dowodzenia. W progu odwrócił się i wystrzelił. Jake uchylił się, a pocisk zrykoszetował w strop, który zaczął kruszyć się wielkimi bryłami. Posągi

strzegące wejścia zaczęły się przewracać. Jake schylił się po odłam rozbitej rzeźby – pulchną dłoń wraz z przedramieniem – i wykrzykując przekleństwo, cisnął nią w Xi. Trafiła go w czoło, mocno, aż pokoziołkował po schodach za progiem, gubiąc po drodze rewolwer. Xi potoczył wokół zaskoczonym wzrokiem i dostrzegł broń błyszczącą pod tronem. Zerwał się na równe nogi, ale w tej samej chwili Jake zeskokczył ze schodów i z rozpędu kopnął go w szczękę.

Oszołomiony Xi zachwiał się i pewnie byłby upadł, gdyby Jake nie złapał go za poły i nie powlókł do akwarium.

– Gdzie jest Filip! – ryknął Jake. – Masz dwadzieścia sekund na odpowiedź!

## 26

# Zwierciadło przeszłości

Jake zacisnął dłonie na szyi potwora i wepchnął mu głowę pod wodę. Podczas gdy Xi szamotał się rozpaczliwie, spod wody wyłoniła się jego ośmiornica, która owinęła odnóża wokół nadgarstków Jake'a, usiłując oderwać je od swojego pana. Skoro to się nie udało, pajęczymi ruchami popęzła Jake'owi po ramieniu, mackami szukając twarzy i wciskając mu przyssawki do ust. Kiedy złapał ją w garść, trysnęła mu w oczy czarnym atramentem. Jake otarł twarz i odrzucił zwierzę, które natychmiast odwróciło się tułowiem w górę i zamiatając po podłodze mackami, popęzło z powrotem do wody. Tymczasem Xi zdołał zaczerpnąć haust powietrza. Próbował coś powiedzieć, ale Jake znów wepchnął mu głowę pod wodę i słowa wypłynęły jako bańki powietrza. Jake przytrzymał go tak odrobinę dłużej niż poprzednio, po czym brutalnie wyszarpnął na powierzchnię.

– Powiem ci, gdzie on jest! Wszystko powiem! – wrzasnął Xi, parszkając wodą. – Powiem ci, obiecuję, że powiem, ale błagam, nie zabijaj mnie w taki sposób! Utonięcie to... – Xi zgiął się wpół i zwymiotował Jake'owi na rękaw wodą i śluzem. – Utonięcie to dla mnie najgorszy koszmar. Zastrzel mnie... Obiecuj, że mnie zastrzelisz!

– Mów, gdzie on jest!

Xi potrząsnął głową z przerażoną miną. Makijaż rozmazał mu się czarnymi smugami na policzkach, wargi drżały. Jego dwoje zdrowych oczu było szeroko otwartych, trzecie mocno zaciśnięte.

– Nie żyje. Zginął prawie rok temu.

Jake nie odpowiedział, patrzył na Xi oczami bez wyrazu.

Xi mówił dalej:

– Wiem, że nigdy mi nie uwierzysz, ale nie ja go zabiłem. Jak mógłbym? Nawet po wszystkim, co się wydarzyło, wciąż go kochałem... Jak ojciec syna. On... – Przez chwilę nie mógł zmusić się do wypowiedzenia tych słów. – On popełnił samobójstwo.

Jake pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Mógł swobodnie poruszać się po całym pałacu – ciągnął Xi. – Powiedziałem ci, że trzymałem go w zamknięciu, ale tak nie było. Nie, nie, wcale nie. Nie jestem aż takim potworem. Pewnego ranka zszedłem na dół i znalazłem go... – Podpuchnięte oczy Xi trysnęły łzami i tylko trzecie, zmutowane, pozostało nieporuszone. – Znalazłem go powieszzonego.

Głos Jake'a był zimny jak lód:

– Gdzie? Gdzie go znalazłeś?

Xi wskazał na żyrandol nad głową. Widać było, że wspomnienie jest dlań zbyt wielkim ciężarem. Wstrząsnęło nim łkanie.

– Odciałem go. Wyczułem puls. Próbowałem go reanimować, zrobiłem sztuczne oddychanie... Umarł w moich ramionach. – Xi wydał zduszony jęk bólu.

Jake przez chwilę stał bez ruchu.

– Dziękuję, że mi powiedziałeś – rzekł.

Xi próbował się uśmiechnąć, ale Jake bez ostrzeżenia wepchnął mu głowę z powrotem pod wodę. Xi stawiał opór, wykręcając szyję na boki.

– Obiecałeś, że mnie nie utopisz... – wykrztusił jeszcze, ale następne słowa zniknęły w strumieniu bąbelków.

Jake pchał obiema rękami, dociskając głowę do dna akwarium. Xi miotał się i wierzgał, ale Jake nie miał dlań litości. Ośmiornica wczepiła mu się w nogę i zaczęła pisać się do góry, ale strząsnęła ją z siebie.

Wkrótce twarz Xi nabrała sianej barwy. Trzecie oko otworzyło się i patrzyło na oprawcę błagalnie. Nagle Jake poczuł odrazę do samego siebie. Przypomniał sobie słowa Galliany na temat odbierania komuś życia. „To coś, do czego nie sposób przywyknąć”. Wyciągnął Xi z akwarium i pozwolił ciału osunąć się na posadzkę. Ośmiornica poruszyła głowę swojego pana tam i z powrotem, ale troje nieruchomych oczu patrzyło przed siebie bez życia.

Jake poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Żołądek podszedł mu do gardła. Czy zabił Xi? Opadł na kolana i potrząsnął ciałem, puszczając w niepamięć fakt, że należało do potwora. Jak mógł zamordować człowieka? Człowieka błagającego o życie! Miał dopiero piętnaście lat.

Przez okno, daleko w głębinach oceanu, ujrzał krótki rozbłysk światła. Podszedł do szyby, wytężając wzrok, ale nie był w stanie wypatrzeć, co to było. Nagle dostrzegł odbicie w szkłe i serce w nim zmarło...

Ciało przy akwarium zniknęło. Xi uciekł!

Jake, nie odwracając się, ostrożnie powiódł spojrzeniem po szybie i odnalazł odbicie swojego wroga, stojącego przy tronie, ociekającego wodą i mierzącego mu w plecy ze złotego rewolweru. Wyglądał jak duch unoszący się nad dnem oceanu.

– Skłamałem... Pip żyje – zaskrzeczało widmo, z trudem przeciskając słowa przez obolałe gardło.

Jake przypomniał sobie ostrzeżenie Galliany: „Bądźcie bardzo ostrożni. To przewrotny człowiek, spodziewajcie się fałszu na każdym kroku”.

– Tak, tak, twój braciszek żyje. – Xi uśmiechnął się. – Patrzyłeś mu prosto w twarz.

Jake odwrócił się powoli, a Xi poprawił uchwyt na rewolwerze.

– Jake! – krzyknął głos od strony drzwi.

Obaj spojrzeli w tamtą stronę, a Galliana wypaliła ze złotego miotacza. Płomień uderzył w Xi z tak wielką siłą, że oderwał mu prawą rękę, która plusnęła do akwarium, roztrzaskując miniaturki okrętów. Xi wrzasnął przeraźliwie. Jego szata stanęła w ogniu.

Galliana kuśtykała w dół schodków, dźwigając olbrzymią broń.

– A to za mojego syna... – Strzeliła znowu.

Xi runął na posadzkę, podrygując spazmatycznie. Otworzył usta – szokująco czerwoną dziurę na tle zwęglonej skóry.

– Amatorzy – skrzeknął, unosząc rewolwer i oddając dwa strzały w okno.

Ręka opadła. Zmutowane oko obróciło się w stronę Jake'a i znieruchomiło. Xi wyzionął ducha.

Dopiero teraz Galliana zachwiała się i podparła na krawędzi akwarium. Uniosła dłoń do swojej rany. Wcześniej pozbyła się napierśnika i zdołała owinąć tors materiałem, ale ten przesiąkł już krwią. Twarz komendantki była biała jak śnieg.

Nagle rozległ się głośny trzask i oboje gwałtownie odwrócili głowy. Pierwszy pocisk Xi trafił jedną z dużych szyb okna – pojawiła się rysa; drugi strzaskał mniejszą szybę i przez otwór tryskał do środka potężny strumień wody. Jake poczuł w uszach zmianę ciśnienia.

– Uciekajmy – sapnęła Galliana. – Jak ta wielka szyba puści, będzie po nas w sekundę.

Pokuśtykała po schodach w stronę drzwi, ale Jake wciąż myślał o Filipie. Co Xi miał na myśli, kiedy mówił: „Patrzyłeś mu prosto w twarz”? Gdzie jest Filip?

Zalewająca posadzkę woda sięgnęła klatek, ściekając przez zapadnie do labiryntu.

– Jake, musimy uciekać. Natychmiast! – niecierpliwiła się Galliana.

Rysa na oknie wydłużyła się.

Jake skinął głową posępnie. Wyszarpnął złoty rewolwer z poczerwiałej dłoni Xi Xianga i wbiegł za komendantką po schodach. Wsparł ją, obejmując ramieniem, zaskoczony lekkością i kruchością jej ciała.

Szli głównym korytarzem, mijając salę balową i cesarskie komnaty, odprowadzani szklanym wzrokiem kamiennych dworzan. „Czy Filip jest tutaj, uwięziony w tym labiryncie?” – zastanawiał się Jake.

Dotarli do sali sądowej, gdzie odbywał się zatrzymany w czasie proces. Jake zatrzymał się w progu i odwrócił, spoglądając w głąb korytarza. Galliana wyczuwała jego rozdarcie, ale jej głos był stanowczy:

– Jake, musimy stąd wyjść.

Z ciężkim sercem odwrócił się i rozpoczęli wspinaczkę po wielkich schodach. Byli już prawie na szczycie, kiedy Jake’a uderzyła nowa myśl. „Patrzyłeś mu prosto w twarz”... Wcześniej Xi zawlókł go przed wielkie zwierciadło. „Mówią, że człowiek widzi w nim swoją przeszłość” – powiedział wtedy, chichocząc. „Czy widzisz tam swojego braciszka?”

– Lustro... – powiedział do siebie. – On jest za lustrem! – Odwrócił się do Galliany. – Tylko dwie minutki – powiedział. – Proszę na mnie zaczekać. Zaraz wrócę.

– Jake, nie! – rozkazała, z trudem łapiąc oddech, ale było już za późno.

Jake pędził w dół, przeskakując po dwa stopnie naraz. Galliana oparła się o ścianę, aby nie zemdleć.

Biegł, rozchlapując stopami wirujący nurt, jeszcze raz przemierzając ośmiokątny korytarz, mijając cesarskie komnaty i klucząc między posągami, aż dotarł do sali dowodzenia.

Zbiegł po schodach, zanurzając się po pas w wodzie. Zwęglone zwłoki Xi unosiły się na powierzchni, twarzą w dół, z ośmiornicą wczepioną żalobnie w swego martwego pana. Tuż obok kręcił się powoli przechylony tron. Jake spojrział na wielkie okno, uszkodzone strzałem z rewolweru. Do pierwszego pęknięcia dołączyły następne, rozbiegające się we wszystkie strony. Szkło mogło pęknąć w każdej chwili.

Jake dobrnął do lustra i spróbował spojrzeć przez nie w miejscu, gdzie srebrne podłoże odłupało się ze starości. Wydało mu się, że za szkłem widzi pustą przestrzeń. Zawrócił, złapał tron i przyholował go za sobą do lustra. Za nim szyba stęknęła pod naporem wody, a linie pęknięć rozszerzyły się o kolejny centymetr.

Zbierając wszystkie siły, jakie mu pozostały, Jake uniósł tron i cisnął nim w zwierciadło. Szkło rozprysło się z hukiem i setki sztyletów światła runęły gradem do wody, która chlusnęła niepowstrzymaną falą do odsłoniętej przestrzeni za lustrem. Nurt porwał Jake’a ponad zębatą krawędzią ramy, ale woda szybko się uspokoiła i wkrótce odzyskał oparcie dla stóp.

Znalazł się w podłużnej wąskiej komorze o ciemnych ścianach. Na jej odległym końcu dostrzegł klatkę oraz... sylwetkę mężczyzny, stojącego za kratami i wpatzonego w Jake’a.

Brnąc ku niemu przez wodę, Jake zauważył, że mężczyzna ma knebel w ustach, a ręce skute za plecami. Był wysoki i szeroki w barkach, ale szczupły. Ubranie miał podarte, policzki zarosnięte strzępiastą brodą.

– Filip...? – szepnął Jake, zbliżając się do klatki.

Cień nie poruszył się. Z bliska Jake mógł lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Była czarna od brudu, ale białka oczu błyszcząły jasno.

– Filip... – zaczął, po czym słowa utknęły mu w gardle. – Filip, czy to...?

Wsunął rękę przez pręty i wyjął więźniowi knebel.

Uwolnione usta natychmiast rozciągnęły się w drżącym uśmiechu. Jake wstrzymał oddech, z oczu trysnęły mu łzy.

– Filip! – ryknął, wyciągając ręce w głąb klatki i biorąc brata w objęcia, choć trudno było

uwierzyć, że ten wysoki, brodaty nieznajomy naprawdę jest jego dawno zaginionym bratem.

Filip otworzył usta, ale wydobyła się z nich tylko seria zduszonych skrzeków. Spróbował jeszcze raz. Głos miał znacznie głębszy, niż zapamiętał Jake.

– Zastanawiałem się... kiedy wreszcie... się tu zjawicie – wykrztusił z wysiłkiem.

Jake przypomniał sobie pęknięte okno.

– Musimy uciekać i to natychmiast. Gdzie klucze od klatki?

– Xi... ma je... przy swoim pasie. – Filip ruchem głowy wskazał kierunek. – Tam...

Jake odwrócił się. Trup Xi zdryfował w stronę sekretnej komory i uwiązał na sterczącym z ramy odłamku lustra. Jake podszedł do niego i sięgając mu pod brzuch, namacał obręcz z kluczami. Kiedy odwrócił się w stronę klatki, usłyszał za sobą kolejne stęknięcie szkła. Jedno z pęknięć wydłużało się z wolna w stronę rogu okna, a cała szyba zdawała się wybrzuszać pod naporem tysięcy ton wody.

Pierwszy klucz okazał się za duży, następny zbyt mały. Potem Jake upuścił cały pęk i musiał zanurkować, by poszukać zguby na podłodze. Przy trzeciej próbie, dygoczącymi rękami, zdołał otworzyć zamek, po czym rozkuł brata za pomocą innego, mniejszego klucza.

– Umiesz pływać? – spytał.

Filip uśmiechnął się i zmierzwił mu włosy.

– Chodźmy, młodszy bracie.

Rozgarniając wodę rękami, przebrnęli przez salę dowodzenia, dotarli do schodków i wspięli się po nich do wyjścia. Byli już za progiem, kiedy usłyszeli huk eksplodującego szkła i ogłuszający szum wdzierającego się do pałacu oceanu. Filip zatrzasnął drzwi.

– Biegiem! – ponaglił.

Popędzili korytarzem, Filip chwiejnym krokiem, na osłabionych nogach. Mijając salę balową, usłyszeli łomot drzwi komnaty dowodzenia, wyłamanych potężnym strumieniem wody. Rozjuszony morze wdarło się na korytarz, roztrącając armię posągów jak kręgle.

Jake i Filip przyśpieszyli kroku. Przebiegli przez pałac tuż przed czołem fali i co tchu pognali w górę po wielkich schodach. Zbliżając się do szczytu, Jake rozglądał się za komendantką, ale nigdzie nie było jej widać. Przebiegli między freskami podziemnego holu i ostatnimi schodami popędzili na przystań.

– Tutaj! – zawołał słaby głos.

To była Galliana stojąca w otwartym włazie łodzi podwodnej Xi Xianga. Jake i Filip przebiegli wzdłuż pomostu i przeskoczyli na lśniący kadłub.

– Komendantko Goethe... – Filip skinął głową, schodząc do wnętrza łodzi.

Przez wylot klatki schodowej trysnął strumień wody, wprawiając ściany w drżenie.

– Szybko, Jake! – krzyknęła Galliana.

Jake wsunął nogi do włazu i skoczył w ślad za Filipem. Galliana zatrzasnęła pokrywę i w tej samej chwili fala uderzyła w łódź, porywając ją, jakby była zabawką.

W środku Galliana zachwiała się, ale Filip złapał ją, nim upadła. Widząc, że jest bliska omdlenia, ułożył ją na kanapie. Rozległ się ogłuszający łoskot, kiedy łódź grzmotnęła we wrota przystani, które rozchyliły się pod naporem wody. Prąd wyniósł ich na otwarte morze.

Jake przypadł do Galliany, Filip już zajmował się jej raną. Odslonięte płuco broczyło pulsującym strumieniem krwi.

– Komendantko... – Jake rozejrzał się wokół bezradnie. – Musimy płynąć po pomoc!

Galliana ujęła jego dłoń i uścisnęła uspokajająco.

– Sądzę, że na to jest już za późno – wyszeptła z wysiłkiem i delikatnie pogłaskała go po policzku. Z kącika ust pociekła jej strużka spienionej krwi. – Jake przez cały czas miał rację. – Spojrzała na Filipa. – Witaj w domu. – Westchnęła boleśnie i jej oczy zaszkliły się łzami.

Bracia spojrzeli po sobie z rozpaczą, ale Galliana uśmiechała się. Wyciągnęła ręce w ich stronę i powiedziała:

– Dwaj bracia złączeni, dwaj książęta Egiptu...

Jake uświadomił sobie, że myśli o książce, którą miał jego ojciec, kiedy przyszedł powiedzieć mu coś ważnego – stary tom z rysunkiem piramid na okładce. Jakież to sekret skrywał przed synem?

Twarz komendantki przybrała surowy wyraz.

– Róża... – szepnęła Galliana. – Róża Djones. Teraz ona musi dowodzić.

A potem komendantka Goethe umarła.



## Chińskie fajerwerki

Duma chińskiej floty jakimś cudem utrzymała się na wodzie. Dziób sterczał wysoko w górze, a pokłady pochylały się ukośnie, ale dziury na rufie zostały załatane i okręt przetrwał, a wraz z nim jego cesarscy pasażerowie. Siedmiomasztowiec rzucił kotwicę niedaleko brzegu, a reszta floty zgromadziła się wokół niego, przybierając wygląd pływającego miasta.

Łódź patrolowa dostarczyła Topaz do luku ładunkowego, gdzie wypatrywał jej Nathan. Padli sobie w ramiona, a Topaz wtuliła się w brata i zaszlochała żałośnie. Kiedy wspięli się na główny pokład, cały dwór cesarza Chin kłaniał im się w pas. Zhu wyszedł im na spotkanie z otwartymi ramionami, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Wy ocalić nas – powiedział, spoglądając znacząco na swojego nadopiekuńczego doradcę. – Ocalić mnie i ocalić Chin.

Jego dworzanie zebrali się wokół jak starzy przyjaciele i zaczęli wiwatować.

Topaz cieszyła się wraz z nimi, ale to nie zmniejszyło jej bólu po stracie Yoyo ani strachu o Jake'a. Wraz z Nathanem niezwłocznie poprosili księcia o wypożyczenie im łodzi. chcieli popłynąć na wyspę Xi Xianga i zrobić wszystko, co w ich mocy, by uratować swoich towarzyszy.

– Ja wam nie pożyczyc łódź – odpowiedział Zhu. – Ja wam dać moja flota. – Po czym wydał rozkaz, aby kapitanowie płynęli według wskazówek Topaz.

Wtem na jednym z okrętów rozległy się okrzyki – wypatrzone człowieka za burtą. Jakiś rozbitek dryfował ku nim wczepiony w szczątek wraku. Serce Topaz забиło mocniej, kiedy podbiegła do relingu, aby patrzeć, jak pół tuzina marynarzy wyławia z morza bezwładną postać.

– Yoyo...!

Nie była w stanie stwierdzić, czy dziewczyna żyje, czy nie, ale w końcu na okręt przekazano wiadomość, że jej przyjaciółka wciąż oddycha. Topaz i Nathan aż podskoczyli z radości, wznosząc pięści w powietrze. Pozostało im zatroszczyć się o Jake'a i Gallianę.

Jakiś czas później, kiedy okręty wyruszyły w drogę do wyspy Xi, Yoyo dostarczono na pokład okrętu flagowego, gdzie natychmiast zajęli się nią cesarscy lekarze. Miała paskudne rany na ramieniu i torsie, a całe jej ciało pokrywały skaleczenia i sińce.

Topaz i Nathan trzymali ją za ręce. Spojrzała na nich, mrużąc oczy w jasnym słońcu.

– Więcej już o niej nie usłyszymy – wymamrotała. – Niezniszczalna madame Fang zginęła tak, jak żyła: wybuchowo.

Pomimo tego zapewnienia Topaz uświadomiła sobie, że zerka niespokojnie na morze, w strachu, że uparta staruszka wciąż może się gdzieś czaić.

– Jakież wieści o Gallianie i Jake'u? – spytała Yoyo.

– Właśnie do nich płyniemy – odpowiedziała Topaz.

Pokonali zaledwie kilka mil, kiedy Nathan wypatrył łódź podwodną, wynurzoną i płynącą w ich stronę. Początkowo wywołało to panikę i załoga znowu rzuciła się do armat, ale Topaz zauważyła dwie postacie, rozciągnięte na stalowym kadłubie. Jedna z nich nagle poderwała się i pomachała ręką.

– *C'est Jake!* – zawołała Topaz, podskakując i klaszcząc z radości. – *Il est vivant!* – Zmrużyła oczy, aby przyjrzeć się drugiej osobie, i dodała niepewnie: – Czy to Galliana jest z nim?

Nathan wyjął lunetę, przyłożył do oka i odszukał łódź podwodną. Zaskoczył go widok obdartego, brodatego młodego mężczyzny. Usta rozciągnęły mu się w uśmiechu.

– A niech mnie...

Bracia Djones weszli na pokład cesarskiego okrętu, gdzie po kolejnym pełnym wzruszeń powitaniu Jake podzielił się z innymi druzgoczącą wiadomością o śmierci Galliany.

– Oddała swoje życie za mnie – rzekł z rozpaczą.

Wstrząśnięta Topaz opadła na kolana, a po twarzy Nathana ciekły strumienie łez – widok, jakiego Jake nie doświadczył jeszcze nigdy dotąd. To powinna być chwila triumfu – zaginiony Filip Djones odnaleziony po czterech latach, Xi Xiang unicestwiony, jego niecny plan pokrzyżowany – ale jak mogli świętować bez swojej przywódczyni?

Kiedy młody książę pojął, co się stało, natychmiast posłał ludzi na łódź podwodną, polecając im, aby zajęli się ciałem Galliany tak, jakby należała do jego rodziny.

Filip stał przy łkającym Jake'u, otaczając go ramieniem. Topaz popatrzyła to na jednego, to na drugiego, i uśmiechnęła się przez łzy.

– *C'est un miracle* – powiedziała, pociągając nosem – widzieć was razem. Choć widzę, że to Filip jest tym ładnym...

Jake zaskoczył ją nagłym pocałunkiem w policzek. Zarumieniła się i oboje wymienili czułe spojrzenia. Filip uniósł brwi.

– Jak długo mnie nie było?

Yoyo patrzyła na nich, uśmiechając się łagodnie. Poprzedniego dnia, u medyka w Zhanjiang, domyśliła się, że uczucia Jake'a wobec niej nie mają wielkiej mocy. Prawdopodobnie w głębi duszy od zawsze wiedziała, że Jake i Topaz są nierozłączni. Podeszła do Nathana, który stał przy relingu, wpatrując się posępnie w łódź podwodną. Właśnie opuszczano do niej trumnę z jadeitowych płyt, gotową na przyjęcie ciała Galliany.

– Nigdy jej nie zapomnę – wymamrotał. – Ona jedna nigdy się ze mnie nie śmiała. I to od niej usłyszałem mój pierwszy komplement. Kiedy miałem cztery latka, powiedziała, że moje kawaleryjskie buty ze srebrnymi ostrogami są olśniewające. – Nagle uderzyła go straszna myśl: – A może to było: niepokojące?

Łódź podwodna została wzięta na hol i flota znów wyruszyła w drogę, tym razem biorąc kurs na Zhanjiang. Port był tam głęboki, a stocznie zdolne do dokonania niezbędnych napraw.

Jake i Filip stali ramię w ramię w popołudniowym słońcu, spoglądając w stronę archipelagu. Góra Xi Xiang, najdalsza z wysp, była łatwo rozpoznawalna: ostry stożek z lekko przechylonym wierzchołkiem. Bracia wiedzieli, że nigdy jej nie zapomną. Było to miejsce niewyobrażalnego cierpienia, ale też miejsce, gdzie nareszcie się odnaleźli.

– Masz jakiś pomysł, co komendantka miała na myśli? – spytał Filip. – „Dwaj książęta Egiptu”?

– Nie – odrzekł Jake. – Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

Wieść o wchodzącej do portu flocie szybko rozeszła się po miasteczku i na nabrzeżach wkrótce zaroilo się od gapiów, przybyłych, aby podziwiać ogromny okręt, wtaczający się majestatycznie do zatoki. Zhanjiang nie podejmowało cesarskich gości od ponad stu lat.

Nagle z niewidocznego podwórka wystrzeliła rakietą, wznosząc się szybko na tle ciemnego nieba. Po chwili wybuchła miriadami błękitnych i różowych gwiazd. Minutę później eksplodowała następna, tym razem złoto-pomarańczowa. Wkrótce fajerwerki strzelały, gwizdząc przeraźliwie, ze wszystkich zakątków miasta.

Zhu wgramolił się na pochyloną platformę na dziobie okrętu, uśmiechając się po królewsku. Kiedy zgromadzeni w porcie gapie zorientowali się, kim jest, tłum zatrzęsł się od oklasków i wiwatów, które szybko przeszły w pieśń. Młody książę pozdrawiał poddanych,

wymachując ręką, a nawet puścił się dla nich w radosny płas.

Nathan spojrział na Jake'a, unosząc brwi.

– Co za ekstrawagancja. Czyżby to nasz wpływ? – wyszeptał. – Ani się obejrzymy, jak zacznie wyprawiać szalone bale przebierańców w stylu rokokowym.

Hong Wu, chudy mężczyzna w czerni, który powitał strażników historii na okręcie, zbliżył się, aby zapytać, co ma uczynić z trumną komendantki. Yoyo podjęła się smutnego zadania sprawowania pieczy nad przeniesieniem ciała Galliany na „Groma”, który wciąż czekał na nich przycumowany do nabrzeża. Kiedy strażnicy historii poszli pożegnać się z księciem, jego dobry nastrój prysł w jednej chwili. Książę zmierzył ich surowym spojrzeniem.

– Ja nie pozwolę wam odpłynąć do Anglia – powiedział stanowczym tonem, a Topaz i Yoyo porozumiały się niespokojnym spojrzeniem. Ale po chwili twarz odprężyła mu się w uśmiechu. – Najpierw wy zjeść ze mną kolacja.

Cały pokład okrętu obwieszono lampionami, a wielki stół nawigacyjny na środku nakryto do uczyty (jeden koniec trzeba było unieść dla zniwelowania przechyłu). Kolejne lampiony – czerwone kule ze złotymi frędzlami, jarzące się blaskiem na tle ciemniejącego nieba – rozświetliły takielunek.

Hong Wu podbiegł do Yoyo i szepnął jej coś do ucha. Obejrzała się przez ramię i Jake zrobił to samo. Na pokładzie „Gromu” lśnił ledwie dostrzegalny prostokąt zieleni – jadeitowa trumna Galliany, strzeżona przez pluton żołnierzy. Nagle Jake ujrzał coś jeszcze, od czego serce zabiło mu szybciej. Na końcu kei stała samotna postać. Jake rozpoznał długie, cienkie wąsy i białą brodę. To był wróżbita, którego spotkali podczas poprzedniej wizyty w mieście. „Jedno z was czeka śmierć” – powiedział wtedy.

Nie mylił się.

Strażnicy historii ruszyli w drogę o brzasku, zabierając ze sobą łódź podwodną Xianga – cenny nabytek dla floty Punktu Zero. Nikt tak naprawdę nie miał ochoty nią płynąć. Pierwszy zgłosił się Filip, tuż po nim Jake, ale Yoyo orzekła, że dość się już nacierpieli i że robi to sama. Nathan nalegał, aby móc jej towarzyszyć. Ku jego najwyższemu zdumieniu zgodziła się.

Topaz i bracia Djonesowie patrzyli, jak odpływają razem, gawędząc przyjaźnie.

– Dogadują się coraz lepiej – zauważył Jake.

– Może mają ze sobą więcej wspólnego, niż im się wydaje – odpowiedziała Topaz.

Wspięli się na pokład „Gromu” i przystanęli na chwilę, by pomilczeć nad trumną Galliany. Potem postawili żagle. Statek i łódź podwodna popłynęły obok siebie, omijając flotyllę, by na pełnym morzu wziąć kurs na Wietnam.

Kiedy przyszło do zażycia atomium, Jake spytał, co powinni zrobić z Gallianą. Topaz przypomniała mu, że obiekty nieożywione są przenoszone przez strumień czasu przez żywych – musieli tylko pozostawać blisko niej.

– Tak... oczywiście – wyjąkał Jake, nagle czując bolesną gulę w gardle.

Jeszcze wczoraj Galliana była komendantką Tajnej Służby Straży Historii, teraz stała się obiektem nieożywionym.

Filip objął go ramieniem, a Topaz poszła nadać chronotelegram do Punktu Zero. Miała przekazać dobrą wiadomość – o Filipie – oraz złą...

Kiedy byli już blisko punktu czasohoryzontu, tuż po obiedzie, Nathan wyłonił się z włazu łodzi podwodnej i zawołał ponad falującym morzem:

– Powodzenia! Do zobaczenia po drugiej stronie.

Pomachali mu, a kilka chwil później szybowali już w przestworzach, oddzieleni od własnych ciał, wysoko w stratosferycznej ciszy. Jake zobaczył wyspy Indonezji, bezmiar Oceanu Indyjskiego, wschodnie wybrzeże Afryki. Potem obraz rozmazał mu się przed oczami w wielkim

pędzie, jak nagle przyśpieszające koło, i Jake runął przez przestrzeń z prędkością światła, ze swoim bratem i Topaz u boku. Upłynęła dłuższa chwila, nim Ziemia zwolniła obroty i kontynenty znów stały się widoczne. Wreszcie zaczęli opadać w stronę bladobłękitnych wód wschodniego Atlantyku i wkrótce ujrzeli sylwetkę „Groma” kołyszącego się na falach na północ od brzegów Hiszpanii. Sylwetka łodzi rosła, aż Jake zobaczył samego siebie, stojącego na pokładzie obok Filipa i Topaz, trzymającego wraz z nimi wartę nad zieloną, jodeitową skrzynią.

Powrócił do ciała z takim impetem, że zachwiaił się i byłby upadł, gdyby Topaz i Filip nie złapali go w porę. Najpierw zauważył zmianę pogody, bryza była tu chłodna, orzeźwiająca. Kilka chwil później, w pewnej odległości od statku, morze zakipiło bąbelkami. Dał się słyszeć syk, błysnął reflektor i łódź podwodna wyskoczyła na powierzchnię jak korek.

Byli w drodze do domu.

## 28

# Ziemia faraonów

Wporze popołudniowej herbaty obie jednostki wchodziły do przystani na Mont-Saint-Michel. Jake patrzył na barwny tłum na brzegu. Strażnicy historii zebrali się, by być świadkami ostatniego powrotu komendantki.

– To największy komitet powitalny, jaki widziałam – westchnęła Topaz, wyglądając wraz z Filipem i Jakiem przez reling.

Na ramieniu trzymała torbę zawierającą Lazurytowego Węża oraz portret Filipa i Xi pędzla Caravaggia. Wszyscy zgodzili się, że te bezcenne przedmioty powinny znaleźć bezpieczne schronienie w zamkowym skarbcu.

Jake potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Ponad setka agentów, odzianych w swoje najlepsze stroje z najrozmaitszych epok, stała na baczność, patrząc na zbliżający się statek.

– Komendantka nie cierpiała czerni – skomentowała Topaz. – Dlatego wszyscy się tak wystroili.

Nawet Jupitus Cole ubrał się na białą, rezygnując ze swojego zwykłego ciemnego garnituru. Charlie stał obok niego w ubraniu tak krzykliwym jak pióra papugi siedzącej na jego ramieniu, a dalej Oceana Noire w przydymionym różu. Tuż za nimi czekał Fredrik Isaksen, z pochmurną miną, ale oczami błyszczącymi jak zwykle.

Patrząc na ich twarze, Filip Djones zacisnął dłonie na relingu i zaczerpnął haust powietrza.

– Nie są tak straszni, jak wyglądają... – powiedział do niego młodszy brat i uśmiechnął się, świadomy, że Filip nie widział tych ludzi od lat.

Nagle Jake'a naszała okropna myśl. Oliwka! Ukochana charcica komendantki. Co z nią teraz będzie? W tej samej chwili spostrzegł signora Gondolfina, który obejmując psa ramieniem, głaskał go po głowie i szeptał mu coś do ucha. Patrząc na stoicką minę Oliwki, Jake pomyślał, że jakimś cudem już wiedziała.

„Grom” przybił do brzegu, a łódź podwodna przycumowała za nim. W całkowitej ciszy opuszczono trapy.

Filip zszedł na ląd pierwszy, Jake tuż za nim. Ledwie ich stopy dotknęły ziemi, ciszę przerwał przenikliwy pisk radości. Miriam, z twarzą we łzach, przepchnęła się przed zebranych, torując drogę Alanowi i Róży. Chłopcy zniknęli w takim kłębowisku uścisków i pocałunków, że patrzący ledwie mogli odróżnić jednego Djonesa od drugiego. Felson, szczerząc się z radości, przyłączył się, by podskakując jak piłka, rozdawać własne psie całusy.

Komendantkę Gallianę Gizelę Ariadnę Goethe pochowano następnego ranka w cieniu wierzby, nieopodal wielkiej marmurowej klepsydry. Dwa obrazy – jeden przedstawiający jej synka, drugi męża – oba namalowane przez Rembrandta i nigdy nieoglądane przez nikogo spoza Straży Historii, zostały pieczołowicie złożone wraz z nią do grobu. Wygłoszono wiele pożegnań, okraszonych zabawnymi anegdotami i opowieściami o niezwykłej odwadze komendantki.

Róża Djones wystąpiła jako ostatnia i przemawiała z wielką swadą.

– Nikt z was o tym nie wie – powiedziała na zakończenie, demonstrując swój nieodłączny sakwojaż – ale Galliana dała mi to podczas mojej pierwszej misji, kiedy miałam zaledwie piętnaście lat. Torba należała do jej matki, która... – Róża urwała i zamiast dokończyć, powiedziała: – Chroniła mnie przez te wszystkie lata, a teraz zwracam ją, aby mogła chronić

Gallianę w jej podróży, dokądkolwiek się wybiera.

Kiedy składała sakwojaż w mogile, doszło do osobliwego zdarzenia. Oto w zapadłej ciszy Jupitus Cole zachłysnął się dławiącym szlochem. Róża odwróciła się do byłego narzeczonego, który ukrył twarz w dłoniach, wstrząsany łkaniem.

– Uczucia? – wyszeptała ironicznie Róża. – Jednak nie wykuto cię z granitu?

Jupitus padł jej w ramiona i zapłakał głośno.

Druga niezwykła rzecz zdarzyła się godzinę później, kiedy para wybrała się na przechadzkę brzegiem morza, aby odetchnąć świeżym powietrzem. Róża ujrzała klejnot połyskujący jasno wśród skał. Przyklękła i podniosła znalezisko, wpatrzona weń ze zdumieniem.

– Jupitusie Cole, to musi być znak od gwiazd...

Odwróciła się, trzymając przed sobą obrączkę ślubną, którą cisnęła do morza po katastrofie, w jaką przemienił się ich ślub. Spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.

Tydzień później wzięli ślub na polanie u stóp zamku, w letnie popołudnie w każdym calu tak piękne jak poprzedni dzień ślubu. Kiedy nadeszła chwila wymiany obrączek, wszyscy goście wstrzymali oddech w oczekiwaniu na komplikację, ale ceremonia odbyła się bez niespodzianek.

Kiedy Różę i Jupitusa ogłoszono małżeństwem, podniósł się zgiewk wiwatów. Goście wstawali z miejsc i klaskali. Nawet Oceana Noire wołała „brawo, brawo!” operowym głosem. (Oceana złamała regulamin, przyprowadzając na uroczystość towarzysza – przystojnego hodowcę ostryg, który nie miał nic wspólnego ze Strażą Historii – ale wszyscy postanowili przymknąć na to oko).

– *C'est merveilleux* – zaśpiewała, tarמושząc Charliemu policzek, co zirytowało Pana Drake'a, który nastroszył pióra i zasyczał ostrzegawczo.

Charlie przewrócił oczami i wyszeptał do papugi:

– Zdaje się, że stworzyłem potwora...

Po ślubie odbyła się huczna biesiada, a kiedy słońce dotknęło horyzontu, wokół całej wyspy rozpalono lampiony, orkiestra zagrzmiała muzyką i rozpoczęły się tańce. Kolejne kadryle i walce stawały się coraz bardziej zamaszyste, w miarę jak nieboskłon ożywał tysiącami gwiazd.

Jake i jego przyjaciele dołączyli do szkockiego reela: Topaz, Charlie – który wciąż kulał, ale mimo to bardzo chciał zatańczyć – Nathan, Yoyo oraz Lydia Wunderbar (pomimo iż była „wielka jak namiot”, jak sama to ujmowała, Lydia słynęła ze swojej niezrównanej zwinności w tańcu). Niedaleko Fredrik Isaksen rozparł się przy stole, zabawiając grupę czarujących dam opowieściami o swoich przygodach. Signor Gondolfino, wciąż z Oliwką u boku, popatrywał życzliwie na pływających tancerzy, od czasu do czasu wznosząc wesole okrzyki. Towarzyszyli im mastiff Felson oraz słonica Dora z Panem Drakiem siedzącym jej na czole. Zwierzęta obserwowały w lekkim osłupieniu błazeństwa tych dziwaków – ludzi.

Kiedy skończył się taniec, Jake uświadomił sobie, że od dawna nie widział Filipa. Nie mogąc znaleźć go wśród weselnym gości, powiódł wzrokiem po zamku, przeszukując prostokąty światła w otwartych oknach. Wszystkie były puste, ale po chwili zdołał wypatrzyć samotną postać na blankach muru.

Filip odmachał mu, więc Jake pobiegł do zamku, pomknął głównymi schodami na górę, mijając portret Sejanusa Poppoloego – odnowiony po incydencie z Józefiną – i przedostał się na mury. Kiedy podszedł do Filipa, ten odwrócił się do niego z uśmiechem. Przez chwilę obaj stali w milczeniu, wpatrzni w odległy punkt, w którym gwiazdy stykały się z oceanem, słuchając dobiegających spod zamku odgłosów zabawy.

– Wszystko w porządku? – spytał wreszcie Jake.

– W życiu nie byłem szczęśliwszy – wyznał jego brat pogodnym tonem.

Jake wiedział, że za tym stwierdzeniem kryje się coś więcej – coś, o czym Filip nie

mówił. Nie można przejść tak ciężkiej próby i potem od razu czuć się normalnie.

– A więc... ciocia Róża została komendantką Tajnych Służb Straży Historii! Co za wspaniała wiadomość. Teraz nie będzie już mowy o powrocie do Londynu.

– A chciałbyś wrócić? – spytał Jake.

Filip zmarszczył brwi.

– Nigdy nie czułem się tam jak w domu. – Powiódł dłonią wokół. – To jest dom.

Jake chciał przytaknąć, ale przeszkodził mu głos, który rozległ się za ich plecami:

– Tu jesteście! Szukamy was wszędzie.

To była Miriam. Szła ku nim, niosąc buty w ręce i utykając, podtrzymywana przez Alana. Jake zauważył, że tata trzyma w dłoni książkę z piramidami egipskimi na okładce.

– Tam na dole wszystko wymyka się spod kontroli. – Miriam zachichotała. – W ramach przygotowań do miodowego miesiąca w osmańskiej Turcji Jupitus założył klipsy w kształcie kół i właśnie wykonuje taniec brzucha na stole!

– Po raz pierwszy w życiu widziałem, jak moja siostra się rumieni – dodał Alan.

– Co to za książka? – spytał Jake, niezdolny dłużej powstrzymać ciekawości.

– Co? Ta książka? – zająknął się Alan i spojrzał na książkę, jakby był zaskoczony, że widzi ją we własnej dłoni.

Mąż i żona wymienili spojrzenia.

– Cóż... – westchnęła Miriam i zaczęła mówić tonem, jaki zwykle rezerwowała dla trudnych klientów salonu łazienek: – Prawdę mówiąc, rzeczywiście mamy wam coś do powiedzenia i wydaje się, że to równie dobry moment jak każdy inny. – Zaczepnęła tchu i klasnęła w dłonie. – Chodzi o to, jak przysłuchacie się na świat... – urwała, zaśmiała się nerwowo i zwróciła do Alana z niemą prośbą o wsparcie.

– Mama próbuje powiedzieć – wtrącił pośpiesznie Alan – że choć sądzicie, iż urodziliście się w szpitalu w Lewisham, to... to wcale nie jest prawda. Urodziliście się w przeszłości... całkiem dawno temu.

– To, rzecz jasna, niczego nie zmienia. – Miriam próbowała obrócić wyznanie w zwyczajne stwierdzenie faktu. – Wciąż jesteście dokładnie tymi samymi chłopcami. Tak jak te bliźniaki z naprzeciwka, które przyjechały z Toronto.

– Co to znaczy, że urodziliśmy się w przeszłości? – Jake zmarszczył brwi.

Filip uśmiechał się, jakby właśnie rozwiązał zagadkę, nad którą pracował od lat.

– Mieszkaliśmy wówczas w Egipcie – ciągnęła Miriam. – W czasach Ramzesa Drugiego. Wtedy mogliśmy podróżować po historii, dokądkolwiek chcieliśmy. Nasz walor nie miał sobie równych. To naprawdę był złoty wiek Egiptu, prawda, Alan?

– O tak, luksusy i dobrobyt – przytaknął.

– Ramzes D-drugi? – wyjąkał Jake.

– Stacjonowaliśmy tam, prowadząc egipskie biuro Straży Historii, w pobliżu Doliny Królów. Byłam w ciąży z tobą, Filipie, kiedy tam przybyliśmy...

– Czterdzieści stopni w cieniu, nie najlepsze warunki – wtrącił Alan. – Ale żeby nie przedłużać, udaremniliśmy próbę zamachu na faraona, a on z wdzięczności uczynił nas królami.

– Nie byliśmy królami – zaprotestowała Miriam, choć rozpromieniła się na to wspomnienie. – Nie przesadzaj, wprowadzasz ich w błąd.

– Dali nam we władanie całą prowincję! – przypomniał Alan. – Miałaś tron ze złota i turkusów, że nie wspomnę o tysiącu dworzan gotowych ci służyć na każde skinienie!

– Tak, to było całkiem miłe – przyznała Miriam. – Cóż to była za ulga, nie musieć zajmować się kuchnią.

Jake'owi kręciło się w głowie.

– O czym wy mówicie? – naciskał, nie wiedząc, czy ma się rozplakać, czy roześmiać.

Alan odezwał się łagodnym tonem:

– Chłopcy, urodziliście się w wielkim, przepysznym pałacu. I żyliście tam jak królowie.

Podobała się wam każda spędzona tam chwila. Patrzcie! – Otworzył książkę i pokazał synom. – To był wasz dom.

Ujrzeni ryciny przedstawiające majestatyczne budowle, wspaniałe pałace i porośnięte palmami ogrody z widokiem na Nil.

– Z Egiptu pochodzi też nasze nazwisko: Djonezes. Uprościliśmy je i w końcu się przyjęło. Nikomu nie podobało się moje: Chapman.

– Wróciliśmy po czwartych urodzinach Filipa. Z naszego luksusowego egipskiego pałacu do południowego Londynu, gdzie utworzyliśmy salon łaźni. – Miriam uśmiechnęła się.

Jake wodził palcami po rycinach. Nagle jego konfuzja zniknęła jak zdmuchnięta. Czuł się wspaniale. Jednak nie był zwyczajnym chłopcem, uczącym się w zwyczajnej szkole. On i jego brat byli – od zawsze – wyjątkowi.

– Mogę pokazać Topaz i reszcie? – spytał zapalczywie, wrywając książkę z rąk ojca. – Nigdy nie uwierzą, że jednak nie jestem ze starego, nudnego Lewisham, ale z innej epoki historycznej! – Nie czekając na odpowiedź, pognął po blankach do zejścia. Nagle zahamował gwałtownie. – Czekaście... Kiedy żył Ramzes Drugi?

– Około tysiąc dwieście pięćdziesiątego przed naszą erą, mniej więcej – odpowiedział Alan.

Jake policzył na palcach, poruszając bezgłośnie ustami, po czym uśmiechnął się szeroko i zacisnął pięści w geście triumfu.

– Tak! To ponad trzy tysiące lat temu. Ale będą mieli miny! – Z tymi słowami wybiegł na schody i zniknął.

– Stare, nudne Lewisham – Miriam westchnęła i zwróciła się do drugiego syna: – Przypuszczam, że ty też tak to odbierałeś?

Filip zastanawiał się przez chwilę nad doborem słów.

– Lubilem tam mieszkać – powiedział w końcu. – Ale przyznacie, że nie był to złoty wiek Egiptu.

Alan zachichotał, poklepał starszego syna po plecach i wkrótce wszyscy śmiali się wesoło.

Jake zbiegał po wielkich schodach, sadząc po dwa stopnie naraz. Mijając portret Sejanusa Poppoego, zatrzymał się i posłał mu soczystego całusa.

– Jesteś genialny, staruszkule! – wykrzyknął i wypadł przez podwójne drzwi na dole.

Za progiem przystanął i dysząc ciężko, potoczył wzrokiem po bawiących się gościach. Wszyscy stali w wielkim kręgu, klaszcząc do taktu, podczas gdy Róża i Jupiterus – ten ostatni wciąż z wielkimi kołami na uszach – tańczyli polkę.

Jake czuł się tak, jakby szczęście miało zaraz rozsadzić mu serce. Uwielbiał strażników historii. Każdy z nich był fascynujący i oryginalny. Nie byli złośliwi, jak łobuzy z jego szkoły, ani małostkowi, jak niektórzy klienci salonu rodziców. Byli dobrzy, odważni, kochali przygodę. Wrócił myślą do burzliwej nocy, kiedy spotkał ich po raz pierwszy, kiedy Jupiterus Cole porwał go i zabrał do londyńskiego biura pod Monumentem. Wtedy był wobec nich bardzo nieufny, bał się. Teraz zaś bał się tylko tego, że pewnego dnia zabraknie ich w jego życiu.

– Jake? – odezwał się za nim w ciemności dziewczęcy głos.

Miał cudzoziemski akcent, ale brzmiał znajomo. Jake nie był w stanie przypisać go do osoby. Pomyślał, że to Yoyo albo Topaz żartują sobie z niego, ale wtedy ujrzał je obie w kręgu weselnym gości.



– Jake? – powtórzy głos i tym razem z cienia wystąpiła zakapturzona postać, przyzywająca go dłonią w rękawiczce.

–Kto to? – spytał, wciąż uśmiechając się, ale trochę już zalękniony.

Postać znów przywołała go gestem, więc zrobił krok w jej stronę.

Za sobą usłyszał szelest zarośli i poczuł ostry ból w potylicy. Jego wzrok stracił ostrość, nogi ugięły się pod ciężarem ciała, książka wypadła na ziemię. Nim upadł, ktoś złapał go pod ramiona i powłókł przez różane krzewy, oddalając się od weselników...

Półprzutomny, ledwie zdawał sobie sprawę z obecności zakapturzonej postaci patrzącej na niego z góry, z twarzą ukrytą za maską. Nagle postać uniosła pięść w rękawiczce i uderzyła go jeszcze raz. Ujrzał błysk białego światła, a potem zapadła ciemność.

Ocknął się, kiedy rzucono go na drewnianą podłogę. Usłyszał ludzi nawołujących się gorączkowymi szeptami i nagle uświadomił sobie, że jest na statku. Rozległ się szczeł wciąganego łańcucha, łoskot kotwicy rzucanej na pokład, a potem sapanie maszyny. Statek ruszył z szarpnięciem, szybko nabierając prędkości. Głowa Jake'a podskakiwała na deskach od narastającego dygotu kadłuba. Zakapturzona postać pojawiła się znowu – stanęła nad nim i celując czubkiem rapiera w szyję, zerwała maskę.

Jake dostał gęsiej skórki na całym ciele. Oczywiście, że znał ten głos. Znał także tę twarz: czarne oczy, bladą skórę i karmazynowe usta. To była Mina Schlitz. Nie widział jej od nocy, kiedy zabił jej węża na pokładzie „Watzmanna”.

– Masz go? – spytał głęboki głos.

Pytający podszedł do Jake'a, mocno utykając i obmacując drogę przed sobą kijem. Odziany w długi płaszcz z czarnych piór wyglądał jak wielki kruk. Jego twarz, podwójnie upiorna na tle ciemności, była potwornie zniekształcona. W miejscu lewego oka ziała wypalona dziura, odsłaniając nagą kość. Książę Xander Zeldt – bo bez wątplenia był to właśnie on – przyglądał się Jake'owi obojętnie.

– Zabrać go pod pokład – rozkazał. – Zamknąć pod kluczem. Kurs na moją siostrę i dajcie jej znać, że jesteśmy w drodze.

Zanim zniesiono go w trzewia statku, Jake zdążył po raz ostatni spojrzeć na Mont-Saint-Michel – ciemną piramidę budynków, która stanowiła centrum jego świata. Usłyszał jeszcze niesione wiatrem strzępy muzyki i wiwaty weselników, z każdą chwilą coraz cichsze i dalsze.

W Punkcie Zero Topaz postanowiła poszukać Jake'a. Tuż za głównymi wrotami zamku znalazła otwartą książkę, porzuconą w trawie. Podniosła ją i ujrzała barwną ilustrację przedstawiającą egipski pałac na brzegu Nilu. Umieszczony powyżej napis brzmiał: *Ziemia faraonów*.

Na odgłos szczekania obejrzała się i zobaczyła Felsona. Zastanawiała się, dlaczego tak ujada na morze.

# Podziękowania

Jak zawsze chylę czoło przed syrenami: Becky Stradwick, Clare Conville, Lauren Bennett, Sue Cook i Sophie Nelson. Dziękuję Justinowi Somperowi za jego fantastyczną pracę, Alemu za to, że nigdy nie daje się zbić z pantafelku, oraz Martinowi i Rosie za ich uprzejmość i słynne całodniówki. Specjalna wzmianka należy się Ting za inspirację, oraz Sophie L – witamy z powrotem! Na koniec chciałbym podziękować Sue Kerry, istnemu aniołowi stróżowi – nie tylko mojemu, ale i wielu z nas.

1 Fragmenty *Makbeta* Williama Szekspira w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

